

E d m u n d T e l e r c z y k

T R Z Y L A T A

N A B O C Z N I C Y

I.

"Przynosimy Wam wolność-
oddychajcie swobodnie!"

Tymi to słowy uspokajał mnie i tulącą się do mnie z drżeniem Dziunię starszy z dwuosobowego patrolu/chyba Białorusin, sądząc po polskości tego zdania/ z dwuosobowego patrolu, który wieczorem dnia 20 stycznia 1945 r. po wyparciu Niemców z Koła wszedł z naganami w rękę do naszego pokoju, poszukując ukrywających się ewentualnie Niemców.

W co w rzeczywistości przekształciła się nie tylko w stosunku do mnie, ale i do wielu innych w ten właśnie sposób głoszona tak długo oczekiwana wolność-postaram się "sine ira et studio" przedstawić w poniższym opisie mej niedobrowolnej pielgrzymki i związanej z nią prawie trzyletniej niewoli u oswobodzicieli.

Zacząć naturalnie trzeba "ab ovo".

Dzień 25 stycznia 1945 r., piąty od ucieczki z Koła dotychczasowych ciemiężycieli, południe, słonecznie, lecz mroźno.

Zajęty byłem właśnie na podwórzu sądowym z b.sekr. Nowackim składaniem do komórki ksiąg hipotecznych, częściowo uratowanych przez Jackiewicza z palącego się sądu, jedynych zresztą rzeczy, uratowanych z tak ładnie przez Niemców urządzonego budynku, którego wnętrze zgorzało w niedzielę czy poniedziałek. Podpalony on został wraz

z więzieniem przez-jak wówczas przypuszczałem, jakiegoś klienta, a jak się po powrocie dowiedziałem-właśnie oswobodzicieli, uważających widocznie tego rodzaju instytucje za zbyt czynne dla nowych demokratycznych obywateli.

Już pod koniec naszej pracy zjawił się przysłany przez burmistrza, którym był wówczas Ostrowski, teść Buszy, chłopak z zawiadomieniem, że komendant miasta prosi mnie o przybycie celem organizowania sądu. Ponieważ od rana już zaczęło się tworzenie innych władz, jak Urzędu Skarbowego, Magistratu itp., nie miałem najmniejszej podstawy do jakichkolwiek podejrzeń, to też oporzadziwszy się trochę udałem się wraz z Nowackim na Rynek do dawniejszego Grundstücksamtu. Spotkanej po drodze Dziuni powiedziałem o celu mej drogi i się rozstaliśmy, ona na Bliznę, ja na Rynek.

Wobec chwilowej nieobecności Komendanta musieliśmy kilkanaście minut poczekać w przepełnionym budynku. Po pewnym czasie zjawił się pełniący funkcję komendanta major radziecki ze swą żoną i tłumaczami, to też weszliśmy za nim do jego pokoju z przybyłem jeszcze w międzyczasie b. woźnym Janiakiem. Kiedy mu powiedzieliśmy swe nazwiska i funkcje/oczywiście było/, kazał mi zostać, Nowackiemu poczekać na korytarzu, a Janiakowi pójść do domu. Ponieważ chwilowo zajął się kimś innym, chciałem zamienić kilka słów z siedzącym w tym pokoju Stefanyszynem, ten jednak ku memu zdziwieniu zrobił odpychający ruch ręką, dodając: "Jestem zatrzymany!", wobec czego odstąpiłem.

Po chwili major kazał go wyprowadzić i zwróciwszy się ku mnie zrobił ruch ręką, jakby zapraszający mnie do zajęcia miejsca. Okazało się niestety, że zrozumiał go całkiem opacznie, gdyż ruch ten odnosił się do stojącego pod piecem kacapa, który stanawszy za mną zaczął mnie bez słowa szczegółowo rewidować. Byłem tym tak zaskoczony, że nie mogłem się zdobyć na jakiegokolwiek słowo zapytania czy protestu. Jedynie na pytanie majora, czy mam broń, zaprzeczyłem, dodając, że za Niemców było to karane śmiercią. I w dalszym ciągu w ogólnym milczeniu odbywało się opróżnianie mych kieszeni z nielicznych tam znajdujących się przedmiotów osobistych. Kiedy mjr. Fiedorow-bo tak się on nazywał-dostał do ręki mój portfel i wyjąwszy z niego około 174 RM bez liczenia wojennych wyrzucił na stos pod okno, zrozumiałem, że nie chodziło tu o organizację sądu, a o moją tylko osobę, że los mój jest narazie przesądzony, naturalnie nie co do życia /ani na chwilę co do tego nie miałem obaw/, lecz co do mej wolności. Zaciąłem się jednak, nie pytając się mego chwilowego "dominus vitae et necis"-za co?, gdyż z powodu niezajomości języka byłoby to zresztą utrudnione i do niczego by nie doprowadziło.

A narazie z pewną ironią obserwowanym jego zachowanie się. Każdy przedmiot dokładnie oglądał i albo odrzucał, jak ceratowy portfel czy rękawiczki, albo odkładał na bok, jak drewnianą papierośnicę z resztkami mego zapasu tytoniu i zapalniczkę, lub też

chował do szuflady. Miałem wtedy możliwość przekonania się po raz pierwszy, lecz nie ostatni, zarówno o poziomie rosyjskiej kultury materialnej, jak i o występujących u nich brakach materiałowych. Kiedy bowiem zobaczyłem tubkę z wkładami do automatycznych ołówków, zapytałem się co to jest, a gdy mi jakoś wyjaśniłem, schował jako bezcenny skarb, po raz pierwszy w życiu widziany. Natknąwszy się następnie na kilka kartek moich wspomnień z dzieciństwa, przede wszystkim oderwał ostatnią czystą kartkę, poczym zainteresował się ich treścią, dając je do tłumaczenia polskiemu tłumaczowi, b. pracownikowi młyna.

Rewizja była tak szczegółowa, że przeszukujący wykrył nawet w kieszonce od marynarki kawałek przytrzymywacza taśmy maszynowej /który niedawno ułamał się u mego Remingtona/, co również wywołało "Co to jest?" Udałem mi się jakoś mu wytłumaczyć, że nie jest to część zapalnika minowego, przy pomocy przybyłego w międzyczasie burmistrza, któremu również dałem te notatki do przegłędnięcia, uważając je być może za jakiś szyfr szpiegowski, poczym dołączyłem do innych dokumentów. Nic tam w nich takiego nie było, żał mi się jednak zrobiło, że tak trudno odtwarzane z pamięci notatki mi zginęły.

Czekałem spokojnie na przesłuchanie, będąc pewien, że przy nim wyjaśni się wszystko i zostanie zwolniony, bo cóż mi można było zarzucić? Że byłem przed wojną prawie sędzią? I może by to przesłuchanie nastąpiło, gdyby nie zjawiał się jakiś pułkownik, z którym major

coś poszeptał, poczym wyszli a zastąpiło ich kilku podchmielonych oficerów młodszych, z których jeden podszedł do mnie stojącego pod ścianą i wymachując rękoma z krzykiem "Po czemu ty w Gestapo pracowałeś?" Zrozumiałem o co mu chodzi i energicznie odparłem "Ja nie robotąłem!" - licząc się z tym, że może mnie uderzyć. Jakoś jednak ograniczył się do słów "Zawtra już tobie major pokaże, żeś nie robotąłem!" - i odszedł ku memu wielkiemu zadowoleniu. Major po swym powrocie posłał mnie do drugiego pokoju, gdzie musiałem dość długo czekać na ponowne zajęcie się moją osobą. Do poprawy mego nastroju ówczesnego nie przyczynił się bynajmniej widok wciśniętego za piec jakiegoś szczerowato wyglądającego człowieka, któremu po chwili major osobiście przyniósł kawałek chleba. Był to albo szpicel albo podobna mnie ofiara. Po pewnym czasie major zawołał mnie i kazał innemu oficerowi mnie przesłuchać, co zresztą ograniczyło się do spisania moich personaliów i znalezionych u mnie dokumentów. Kiedy spytał się mnie, czy nie posiadam jeszcze jakichś przedmiotów, z pewnym wahaniem wy dobyłem z kieszonki uszły poprzednio uwadze mego kaczapa zegarek i położyłem go na stole, lecz widząc, że zajęty pisaniem oficer nie zwrócił na to uwagi, a tłumacz do mnie mrugnął, schowałem go z powrotem. Na tym komedia mego przesłuchania się skończyła i major zaprowadził mnie do innego pokoju, wypełnionego już kilkudziesięcioma osobami, wśród których był i Lewandowski z synem. Bardzo się oni zdziwili na mój widok. pytając się, za co mnie za-

trzymali, na co naturalnie nie mogłem im udzielić odpowiedzi. I tak zaczęło się me oczekiwanie na dalszy los.

O sobie byłem spokojny, przejmowała mnie jedynie myśl, jak ten cios przyjmie Dziunia.

Po pewnym czasie przeszli przez nasz pokój "towarzysz" Wilk, Oliskiewicz i Nowacki. Drugi popatrzył na mnie jakby z litością, Nowacki zaś szepnął, że właśnie przesłuchiwany jest w mej sprawie jego brat i Leonard Ernst i o wyniku przesłuchania mnie jeszcze zawiadomi. Poprosiłem go o jak najszybsze zawiadomienie Dziuni, co naturalnie obiecał.

Zbliżyła się 15-a godzina, gdy zjawił się ponownie major z tekturowym pudełkiem, w które zaczął wkładać dokumenty wywołanych przez siebie osób. Kilku-przeważnie Ukraińcom-kazał stanąć na boku i już miałem nadzieję, że i mnie wyłączy /z uwagi na nieprzesłuchanie/, gdy padło me nazwisko jako ostatnie. Po zapakowaniu pudełka, kazał nam zejść na ulicę. Kiedy jako ostatni stanęłam na chodniku, ujrzałam wśród tłumu zgromadzonych ludzi, trzymaną przez Henię i Basię, która na mój widok z rozpaczliwym płaczem krzyknęła: "Eduśka, mężu mój najdroższy! Za co? Przecież Tyś Polak!" "Właśnie dla tego!" - pomyślałam sobie, uśmiechem starając się jej dodać otuchy. Mimo konwoju milicjantów starała się do mnie podejść, jednak nie pozwolono jej na to. "Gdzie jest komendant? Prowadźcie mnie do komendanta!" - wołała rozpaczliwie, nie widząc, że ten był zajęty na czole robieniem czwórki.

Korzystając z przybliżenia się do mnie Oliskiewicza, rzekłem doń: "Uważajcie na mą żonę i dopomóżcie jej!" - wiedząc, że on jeden może jeszcze mi i jej pomóc. I rzeczywiście, jak się po powrocie dowiedziałem, jako późniejszy starosta w granicach swej możliwości podtrzymywał ją na duchu i pomagał w jej staraniach o me uwolnienie.

Wreszcie major dał znak do wyruszenia i cała kolumna, złożona z około 85 osób, przeważnie Niemców, Volksdeutschów i Czarnomorców, ruszyła w kierunku Przedmieścia, konwojowana przez jednego Ruska i panunastu milicjantów w cywilnych ubraniach, lecz z opaskami. Dziunia jeszcze kawałek nam towarzyszy, wreszcie jednak zostaje z Basią, by dotrzeć do komendanta, Henia zaś idzie obok mnie chodnikiem aż do syndykatu. "Dokąd was prowadzą? - pyta się. "Nie wiem, podobno do Kłodawy" - odpowiadam, gdyż tak mówiono na sali. "Uważajcie na Dziunię. Jestem przekonany, że najpóźniej za kilka tygodni wrócę!" Nie przypuszczałem wówczas, że te tygodnie przemienią się w lata, nim znowu wrócę do Koła.

Korzystając z chwilowego zatrzymania się kolumny, wyciągnąłem z ukrycia zegarek i ze słowami "Masz tu zegarek, może się Wam przydać!" - dałem go stojącemu obok milicjantowi, by go jej wręczył. Podszedł ku niej i wzamian wręczył mi otrzymane od niej rękawiczki wełniane. Byłem pewien, że dał jej i zegarek, niestety okylikem się. Gdy po powrocie zadał jej stosowne pytanie, odpowiedziała, że nic o zegarku nie wie i próbowała, nawet mnie przekon-

nać, że to ja właśnie chciałem od niej otrzymać zegarek, którego nie miała. Tak to poprostu kochający rodak wolał go zatrzymać dla siebie. Żebym to ja mógł teraz się z nim spotkać!

Wreszcie ostatnie skinienie i ruszamy dalej w stronę dal, kiedy na ratu-
szu wskazówki zegara wskazywały mniej-
więcej 16,30 godzinę, Henia zaś zostaje,
by dołączyć do osamotnionej tak niespo-
dziewanie Dziuni.

Pielgrzymka do Kłodawy.

Wkraczamy na szosę kłodawską. Jest dość silny mróz, bo około 15, lecz nie czuję zimna, będąc dość dobrze ubra-
ny. Ciepła koszula prócz dziennej, także
kalesony długie, me dawniejsze szasery,
oczywiście bez lampasów, długie sporto-
we pończochy, prawie nowe trzewiki z gu-
mową podeszwą, swetr, marynarka stara z
kamizelką, jesionka i narciarka - to mój
ówczesny ekwipunek. Jak mi się później
miało przydać to wyjątkowo ciepłe ubra-
nie w ten dzień!

Narazie jedynie głód daje mi się we znaki, bom przecież od rana nic nie miał w ustach. Na sali wprawdzie Le-
wandowscy dzielili się ze mną swym obia-
dem, lecz nie zdażyłem nic zjeść. Nie bez
ironii też myślałem o obiecany na wie-
czór pasztecik zajęczym, a z pobłażliwą
goryczą o tym, że lepiej by było, gdy me
najbliższe zamiast ze łzami, przybyły na
spotkanie ze mną z czymś do jedzenia.
Nie można zresztą było się dziwić, że
na feralną wiadomość o moim zatrzymaniu
potraciły głowy; nie mogły przecież przy-
puszczać, że me odtransportowanie nastą-
pi tak szybko!

Idziemy nadzwyczaj powoli, gdyż
w naszym transporcie jest kilku starców,
z których jeden co chwilę ustaje, aż dwaj
ziomkowie muszą nieść pod rękę, a po
kilkuset metrach nawet wlec za sobą. Nie
podoba się to naszym konwojentom, którzy,
gdy próba uzyskania jakiejś podwoju dla
słabszych spełzła na niczym, załatwiają

się z tym najsłabszym w inny, jakże radykalny sposób. Mianowicie zaś trzymują nas na chwilę, paru milicjantów /prawie zresztą smarkaczy/ zabiera go ze sobą do pobliskiego lasu, w zapadającym mroku słychać po chwili kilka strzałów i wracają już sami. Podziało to na innych maruderów tak pobudzająco, że przez kilka kilometrów nasi poganiacze nie mają żadnych kłopotów z kolumną.

Dumając nad tym sposobem likwidacji słabszych i nad tym, czy tak samo postąpiliby z Polakiem, wracam myślą do Dziuni. Co ona tam teraz robi? Czy jej starania u komendanta odniosą jakiś skutek? Miałem co do tego taką nadzieję, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby któreś z przejeżdżających aut wojskowych nagle zatrzymało się przy nas i po wywołaniu mego nazwiska zabrakło mnie do domu. Niestety było to tylko marzenie ściętej głowy!

Dopiero kilkanaście kilometrów za Kołem udało się konwojentom zdobyć furmankę, na którą wsadzili nie mogących już iść dalej. Mijają nas tymczasem różne tabory wojskowe, z których padają pod naszym adresem takie wyzwiska, jak germańcy itp., a nawet kilku żołdatów rzuciło się na jakiegoś Niemca, by porwać trzymany przez niego nad głową dla ochrony przed wiatrem kożuszek, co im się naturalnie udaje i uchodzą bezkarnie ze zdobyczą. Przy tak umilanej podróży dopiero koło 1-ej dotarliśmy wreszcie do bardzo zniszczonej Kłodawy i stanęliśmy na rynku, podczas gdy konwojenci próbują dowiedzieć się o niej-

scu naszej odstawki. Ten postój wykorzystują znowu żołdacy, obmacując na po kolei nogi w poszukiwaniu wysokich butów. Kilku pechowców je posiadających musiało z nich zrezygnować czy to bez większego sprzeciwu czy też po obaleniu na ziemię. Zdobywcy pospiesznie się oddalali, pozostawiając zresztą trzeba to przyznać - poszkodowanym zwykle buty. By nie narażać się na utratę innych części garderoby, za radą Lewandowskiego idę na czoło kolumny, gdzie, jak się okazało, są sami Polacy. Tam czuję się bezpieczniejszy, gdyż w obliczu straży napastnicy byli mniej odważni, woląc operować na tyłach. Przedstawił mi się wówczas Ignaczewski jako kolega Janka, z czego bardzo się ucieszyłem, mając przynajmniej jednego, możliwego znajomego.

Wreszcie prowadzą nas do klasztoru, przed którego bramą znowu musimy czekać na mrozie przeszło godzinę. Wtedy już jednak mogłem korzystać z tytoniu mego nowego znajomego, który miał go przeszło kilo i mi go nie żałuje, to też nareszcie mogę się napalić po tak długiej i uciążliwej drodze. Podczas niej bowiem zdaje się zupełnie nie paliłem, a najwyżej parę papierosów otrzymanych od Lewandowskiego.

Zaczęliśmy już porządnie marznąć, gdy wyszło wreszcie kilku oficerów, którzy zaczynają wyczytywać nas z listy i ustawiać czwórkami. Wtedy też nadarzyła mi się druga i ostatnia okazja ucieczki. Mianowicie kiedy mnie wywołano, znalazłem się w jednej z ostatnich czwórek, tuż obok rogu stodoły. Nasze straże były na czele, za mną zaś puste

pole, to też wystarczyło wte-
wejść niepostrzeżenie za węgiel i conaj-
mniej kilka minut by upłynęło, nimby mój
brak spostrzeżono. Dla znajomego teren
nie byłoby przy tym żadnego ryzyka; ja
jednak do takich nie należałem i mógł
bym się jeszcze wpakować na jakiegoś
sowjetę. W danej chwili jednak myślałem
jedynie o znalezieniu się w jakimś nie-
co mniej mroźnym miejscu, a nie o uciecz-
ce i związanym z nią ryzykiem, zwłaszcza
wtedy, kiedy - jak liczyłem - w ciągu paru
dni przekonają się o mej niewinności
i sami mnie wypuszczą!

Pierwsza okazja do ucieczki
była wtedy, gdy Nowacki wraz z innymi
przechodził przez nasz pokój. Nie przy-
puszczam, by znajdujący się w następnym
pokoju młócjanicy zwrócili na mnie uwa-
gę, gdybym w tak dostojnym gronie opu-
ścił dotychczasowe miejsce pobytu. Natural-
nie warunkiem powodzenia takiego kroku
było niezwrócenie uwagi przez mą świtę
na dodatkowego towarzysza, a to już by-
ło wątpliwe. Zresztą i wtedy wyżej poda-
ne przyczyny nie uzasadniały ucieczki.

Policzonych jak barany pro-
wadzą nas w końcu wąskimi schodami naj-
pierw do góry, a następnie jakimiś kory-
tarzami na dół i umieszczają całą na-
szą grupę w jakiejś kapicy czy zakry-
stii o kamiennej posadzce. Szczęśliwie
udało mi się zająć miejsce przy ścianie
i razem z Ignaczewskim siadamy w kucki,
posilając się posiadanym przez niego
pasztetem zajęczym. O spaniu naturalnie
w tych warunkach nie było mowy i z
utęsknieniem czekaliśmy, co nam świt p
przyniesie.

Kiedy wreszcie on nadszedł,
wyprowadzają nas grupkami dla załatwie-
nia potrzeb, z czego też bardzo chętnie
korzystamy, nie krępując się ustawionymi
co kilka kroków strażnikami. Po powrocie
przynoszą nam kilka bochenków chleba,
dzieląc każdy na 8 czy 10 części. Mnie
przypadła klucha prawie surowego cias-
ta wielkości jabłka, to też ograniczy-
łem się do zjedzenia skórki, oddając ko-
muś resztę.

Po tym nadzwyczaj skromnym
posiłku czekamy dalej na wyzwolenie. Do-
piero koło południa zaczynają po kolei
nas wywoływać, przy czym niektórzy wra-
cają po pewnym czasie z powrotem, nie-
którzy zaś nie, co wzbudza w nas nadzie-
ję, że i tu o nas myślą i prowadzą do-
chodzenie dla odróżnienia kozłów od
owiec. Niestety, kiedy przyszła kolej na
mnie, przekonałem się, że znowu chodzi
tu tylko o ponowne jak najskrupulat-
niejsze obłuskanie nas. U mnie oczywi-
ście niczego już nie znaleźli, a w szcze-
gólności obrączki, którą przezornie
schowałem, to też skończyło się na od-
czytaniu spisu zabranych mi dokumentów
i kazali mi wracać na miejsce wzdłuż
szpaleru prosto - i krzywookich straź-
ników.

Ignaczewski miał tymczasem
okazję porozmawiania z jakimś pułkow-
nikiem, który zrobił mu nadzieję zwol-
nienia za parę tygodni, gdy sprawa się
wyjaśni, i wtedy będzie miał możliwość
wskazania swych byłych pracodawców z
SS-Arbeitsstab, gdzie służył jako szofer.
Bardzo go to podniosło na duchu, gdy u
mnie wywołało prawie zazdrość, że tak

rychło odzyska swobodę. Nie mieliśmy jeszcze wtedy pojęcia o taktyce N.K.W.D.; nie wiedzieliśmy, że ich system polega właśnie na ustawicznym wprowadzaniu w błąd i podtrzymywaniu nastroju nadziei różnymi kłamstwami.

Nadchodzi druga noc i nic nie wskazuje na to, by miała ona przynieść jakąś zmianę w stosunku do poprzedniej, gdy koło 2-ej słychać jakiś ruch na korytarzu i po chwili znowu zaczynają nas wywoływać i wyprowadzać po 20 na oświetlone samochodowymi reflektorami podwórze. Widok szeregu aut ciężarowych z zapuszczonymi motorami, których szum mącił cizę nocną, wywoływał zbyt bliskie asocjacje z opisami wywozu więźniów z Lublanki! Cóż jednak było robić, zgodnie z poleceniem poszczególne grupy wchodziły do aut, nasza do trzeciego czy czwartego, i siadamy na ławkach, w które na szczęście nasz wóz był zaopatrzony. Dzięki temu też mieliśmy później stosunkowo znośną podróż, podczas gdy inne załogi musiały siedzieć na gołych deskach podłogi, ściśnięte jak śledzie, nie mogąc ani się podnieść, ani wyprostować.

Nastrój mych towarzyszy był minorowy, odzywały się już głosy, że nas wiozą na stracenie do lasu, jak jednak tylko wzruszyłem ramionami, nie wierząc ani na chwilę w taką ewentualność. Nastrój ten ~~zwrócił~~ prawie do rozpaczliwej chwili, gdy nasi dwaj konwojenci wyciągnęli ze skrzyni pęk sznurków i zaczęli nampokolei wiązać ręce, przy czym ja, siedząc z brzegu, poszedłem na pierwszy ogień. Szczęśliwie udało mi się tak

złączyć dłonie, że nie odczuwałem wogóle sznurków i przy odrobinie wysiłku potrafiłbym się sam z tych więzów uwolnić. W każdym razie dla pesymistów był to dalszy szok i zaczęli się nawet modlić głośno, mnie jednak to bynajmniej nie wytrąciło z równowagi. Poco bowiem bawiliby się w tak troskliwe spisywanie naszych papierów, robienie list itd., gdyby mieli zamiar nas od razu zlikwidować, i do tego za co? Przecież byli między nami zarówno dzieciaki, jak i starcy, kobiety i prócz Niemców również Polacy, a więc niby przyjaciele!

Wreszcie jedno auto za drugim rusza w nieznanym kierunku. Zakryci ze wsząd płachtą nic nie widzimy i jedynie przez szparę bije w nas blask reflektorów jadącego za nami wozu. Kolumna nie zatrzymuje się ani po pierwszym, ani po drugim kwadransie, to też pesymizm zaczyna powoli ustępować. Domyślamy się, że wiozą nas w kierunku Warszawy i rzeczywiście koło 10-ej wjeżdżamy w jej ruiny. Nasi dwaj konwojenci nie są bynajmniej złymi chłopakami i jeden z nich podnosi tylną zasłonę ze słowami: "Ot, co Germańcy zrobili z waszej Warszawy"-to też przez parę minut możemy oglądać rozwalone domy. Już poprzednio dali oni zresztą dowód dobrego serca, kiedy na błaganie mego sąsiada, jakiegoś Ukraińca z Koła, rozwiązali mu ręce, by mógł swobodnie palić, za co zrewanżował się machorką. I mnie również dostał się od niego papieros, za co byłem mu bardzo wdzięczny.

Powoli i innym udało się uwolnić od więzów, czy to bezpośrednio czy

też przy pomocy konwojentów, jedynie ja się zaciąłem i ich o to nie prosiłem, to też w końcu byłem jedynym ze skrępowanymi rękoma. To samozaparcie przychodziło mi zresztą bez najmniejszego trudu, gdyż więzy nie sprawiały mi najmniejszego kłopotu. Po przejechaniu Pragi już sądziliśmy, że powiozą nas dalej na wschód, zwłaszcza, że widzimy drogowskaz "Moskwa 1.200 klm", gdy skręcamy na południe i znowu mija godzina za godziną, przerywana jedynie rzadkimi postojami z nieznanymi powodów.

Dopiero znacznie później, już pod koniec niewoli dowiedziałem się o przyczynie i okolicznościach jednej takiej przerwy, świadczących o dużym poczuciu swoistego humoru naszych aniołów stróży.

Otóż w czasie takiego postoju podszedł do jednego wozu konwojent, wyciągnął dwóch z brzegu zpoza zasłony i zabrał ze sobą. Po chwili rozległy się dwa strzały i ten sam zjawia się po dalszych dwóch. Ci przygotowani już na wszystko, żegnają się i zrezygnowani wychodzą. Znowu strzały i zabranie następnych. Wreszcie konwojentom się ta zabawa sprzykrzyła i krzyczą "Wszystko wysiadać!" I wtedy dopiero się okazuje, że koło tkwiącego w rowie auta stoją rzekomi nieboszczycy i usiłują daremnie wyciągnąć wóz z pułapki. Dopiero wspólnymi siłami udało się tego dokonać. Prosto konwojenci urządzili sobie wesołą zabawę kosztem całej załogi tego wozu.

Już dawno zapadła noc, gdy w końcu wjeżdżamy w las, o czym świadczyło

bicie gałęzi w nasz płócienny dach. To znowu dało pesymistom powód do gadania o bliskiej śmierci w lesie, o którym mówili od chwili wyjazdu. Jakby nie nadawał się do tego samego celu którykolwiek z lasów mijanych po drodze, bez potrzeby utraty tak dużej ilości benzyny!

I tym razem pesymizm ten był niepotrzebny, gdyż wreszcie zatrzymujemy się na jakimś podwórzu folwarcznym, otoczonym zresztą, jak się już za dnia okazało, kilkoma rzędami drutów kolczastych. Tu wreszcie nas wysadzają i w ten sposób kończymy drugi etap naszej wędrówki.

III.

Za drutami Przyłęką.

Pierwszą naturalnie czynnością odbiorców było zliczenie nas, następną pisanie naszych personalii i wreszcie zrewidowanie, zresztą pobieżne, to też niepotrzebnie wyrzuciłem porzed tym sporą garść otrzymanego wcześniej od Ignaczewskiego tytoniu.

Gdyśmy w "bani" czekali na zakończenie przyjęcia, wszedł okazałej tuższy około 70-letni mężczyzna ze słowami "Gdzie jest mój syneczek?" Byłem przekonany, że odpowie mu kilkunastoletni najwyżej chłopaczek, a okazało się, że chodzi o dorosłego, około 45 lat liczącego mężczyznę. Był nim Cichocki, chemik, z którym się zresztą później bliżej zetknąłem i stąd wzmianka o tym szczegółliki.

Po zakatwieniu wszystkich formalności wpuszczono nas wreszcie do jakiejś stodoły, rozświetlonej nieco blaszką ognia, palącego się w stojącym przy wejściu żelaznym piecu. Jedynie po panującym gwarze można się przekonać, że jesteśmy tu pierwsi /a jak się miało okazać-i nie ostatni/. Na pytanie "Skąd jesteście?" padają odpowiedzi "Z Kutna, Sochaczewa, Poznania itd" A więc oswo-badzanie w pełni!

Ze względu na ciemność nie można już znaleźć miejsca na zbitych prowizorycznie pryczach, to też kładę się z Ignaczewskim na wolnym miejscu pod ścianą na podściółce ze suchego na

gnoju. Mimo zmęczenia jednak o śnie nie ma mowy zarówno z powodu głodu, jak i panującego szumu, to też po pewnym czasie siadam przy palącym się ogniu, wyjednaawszy sobie łaskę komendanta i innych pilnujących tego znicza odrobiną tytoniu.

I tak spędziłem kilka godzin, grzejąc się i patrząc w ogień i wijące się na spalającej się olszynie esy i floresy. To profil jakiejś baby czy demona, to zarysy domów i roślin powstają na palących się głowniach, a myśli moje wciąż biegły do Dziuni. Cóż dałbym wtedy za to, by móc jej w jakiś sposób dać o sobie znać, o tym, że żyję i siedzę na jakimś folwarku w sercu Polski. Starąłem się skupić myśli, by w drodze telepatii zawiadomić ją o moim losie, lecz nie bardzo wierzyłem w skuteczność tej poczty.

Wreszcie jednak zmęczenie wzięło górę nad chłodem i głodem i wróciłem pod ścianą na swe legowisko, by zapaść w sen.

Dopiero o świcie mogliśmy się rozglądnąć po naszej nowej siedzibie. Okazało się, że jesteśmy w Przyłęką, gm. Sobolew, pow. Garwolin, w ilości jakichś 340 chłopów, umieszczonych w dwóch stodołach czy owczarniach. W ciągu następnych kilku dni dołączyło do nas jeszcze kilkudziesięciu dalszych, którzy znaleźli losyć dla siebie miejsca na dobudowanej trzeciej kondygnacji do już istniejących prycz. Ja zająłem miejsce na "jaskółce", gdzie było wcale ciepło, choć trochę kurnie, gdyż dym z nieszczelnych pieców gromadził się nad nami, że czasem nie

można było wytrzymać.

Tam to właśnie wśród wcześniej przybyłych spotkałem Tundaka, Kędzię i Matysiaka, a później przyłączył się jeszcze do nas i Bulczyński. W ten sposób spotkało się nas w jednym obozie, aż pięciu wychowanków jednego gimnazjum, w tym trzech z jednej klasy! Trzeba było aż Rosjan, by doszedł do skutku choć częściowy zjazd maturzystów! Góra z górą się nie zejdzie...!

I zaczęły biec jeden dzień po drugim, tak jednostajne, jak paciorki różańca.

Rano dostawaliśmy po kilka sucharów i kawę, na obiad zupę z kaszy o zmieniającej się gęstości zależnie od tego, czy się ją dostawało wcześniej, czy później, z dodatkiem kilku plasterków kiełbasy. Na kolacje dawano nam również zupę, lecz już zdefydowanie rzadszą. Za wiele tego było, by umrzeć, za mało, by żyć, jakoś jednak głodu się nie odczuwało. Wielu zresztą miało jeszcze zapasy z domu, więc się trzymali jako tako, a poza tym brak pracy nie wyczerpywał naszych organizmów, dla których otrzymywane pożywienie akurat wystarczało, przynajmniej narazie.

Jedyna praca, jaka się nadarzała, była dobrowolna i polegała na rąbaniu drzewa dla kuchni, zbudowanej prowizorycznie pod gołym niebem. Wcale się do niej nie kwapiłem, woląc całymi godzinami siedzieć przy piecu czy leżeć na przy- czy, rozmawiając z towarzyszami o możliwości szybkiego zwolnienia względnie o przyczynach aresztowania.

Jeżeli chodzi o skład uwzię- nych, to stanowiliśmy prawdziwą mozaikę zarówno pod względem narodowościowym /z przewagą zresztą Niemców/, zawodowym i wiekowym: obok kilkunastoletnich dzieciaków z Hitlerjugend byli wśród nas i starcy. Wszyscy na jednakowych prawach.

Zaraz w pierwszą niedzielę byliśmy świadkami tragicznego zajścia. Oto niejaki Ebert z Grzegorzewa, Polak mimo niemieckiego nazwiska, dostał ataku manii prześladowczej, że po zamordowaniu jego żony i dzieci czeka go taki sam los. Kiedy kilku potrafił, a nawet jednemu wylał zupę, chciano go poskromić i doszło nawet do bijatyki, po której się trochę uspokoił. Nikt już na niego nie zwracał uwagi, gdy nagle na dworze rozległo się kilka strzałów i ktoś wpadł z wiadomością, że został on zraniony. Okazało się, że pod wpływem swej manii skorzystał z chwilowo otwartej bramy i ją przeszedł, udając się spokojnie w pole. Naturalnie strażnicy zaczęli do niego strzelać ramię go ciężko. Jak się później dowiedzieliśmy, zmarł on w szpitalu. Przynajmniej się nie męczył długo!

Codzień rano odbywała się tzw. prowierka czyli sprawdzanie stanu, trwająca kilka minut, w czasie której oficer kontrolny pouczał nas, czego robić nie wolno itp, poczym mogliśmy wrócić do naszych zajęć tj. do leniuchowania. Wielkość bowiem stojącego do naszej dyspozycji podwórza nie pozwalała na przechadzki, a zresztą panujący mróz odbierał nam do nich ochotę.

Poza drucianym płotem ustawieni byli "czasowoje", którzy nie pozwalali

zbliżać się do siebie na mniej niż 5 kroków i którym w nocy trzeba się było meldować, gdy chciało się iść z potrzebą. "Czasowej, ja chcę na obornuju"! było hasłem wywoławczym i dopiero zgoda strażnika umożliwiła bezpieczne wyjście do ustępu, położonego w rogu stodoły. Mniejszą zresztą potrzebę załatwiało się tuż pod wrotami. Przyzwyczajiliśmy się zresztą szybko do ich jazgotu i nie zwracaliśmy na nich uwagi, nie ryzykując jednak zbyt bliskiego do nich podejścia.

Przychodzili do nas czasem rosyjscy oficerowie, zostawiając przy bramie w specjalnej skrzynce swe pistolety i dodawali nam otuchy, że wkrótce nasze sprawy zostaną zbadane i zostaniemy zwolnieni, co naturalnie braliśmy wtedy za dobrą monetę. Wśród nas było dwóch jeńców wojennych, jakiś major, b. komendant zdaje się Sochaczewa i jego adiutant, porucznik, w cywilu pastor. Kiedy raz ten major, korzystając z przybycia pułkownika, umiającego słabo po niemiecku, zwrócił się do niego z prośbą o przeniesienie do obozu jeńców wojennych, bo przecież oni są wojskowi, pułkownik zadał mu dość niezrozumiałe pytanie "A wyście z kim walczyli?" - mając prawdopodobnie na myśli jego niebojową funkcję. Major tak zgłupiał na to pytanie, że zrobił całkiem ośłą minę, co z kolei wywołało rumieniec wstydu na twarzy jego adiutanta.

W miarę upływu czasu, gdy zapasy domowe się wyczerpały, co przedsięwzięli zaczęli się rozglądać za możliwością zdobycia dodatkowego posiłku. Po-

moc przy kuchni zastrzeżona była dla wybrańców, wobec czego niektórzy puścili się na handel swym mieniem. Podaż jednak była zbyt duża, a popyt za mały, to też rezultaty tego handlu były dość mizerne. Na szczęście poprawiło nas los znalezienie w stodole kilku worków z otrębami, które posłużyły do pieczenia placków. Z początku nieufnie patrzyłem na te spalone z wierzchu, a surowe w środku specjały, wnet jednak się do nich przekonałem i choć sam ich nie piekłem, pomagałem Ignaczewskiemu w ich przyrządzaniu.

Leżało tam również kilka żelaznych beczek, którymi, jak się później dowiedziałem od Ciszewskiego, on sam się zainteresował i ku swej radości znalazł w nich smalec, niewiedomo roślinny czy zwierzęcy, w każdym razie jadalny. W ciągu kilku dni zdołał on z nich przy pomocy łyżki wydobyć kilka kilo, które zamienił na konserwy wzgl. machorkę. Gdy jednak po pewnym czasie inni również wpadli na ślad tej złotej żyły, wyschła ona bardzo szybko.

Warunki higieniczne były bardzo prymitywne. Znajdowała się wprawdzie na terenie obozu prowizoryczna łaźnia, lecz zwykle bez wody, a poza tym nie mieliśmy mydła, to też musieliśmy poprzestać na kilkakrotnym jedynie umyciu się przez okres pobytu. Nic też dziwnego, że po jakimś tygodniu pojawiły się już pierwsze wszy, przechodzące na nas przede wszystkim od licznych Czarnomorców. Ja szczęśliwie stałem się przedmiotem ich napaści kilka dni po Ignaczew-

skim, a do tego było ich tylko kilka, to też po ich wybiciu miałem znowu przez kilka dni od nich spokój.

Tak wegetując doczekaliśmy się 12 lutego, łącząc nadzieję na szybkie uwolnienie z przygrzewającym coraz bardziej słońcem. Wieczorem tego dnia rozeszła się wiadomość, że mają nas odtransportować do naszego "prawitielstwa" do Lublina lub Warszawy. Przezorni, a do nich należał i Ignaczewski, rzucili się zaraz na resztki otrąb, by przygotować sobie zapas placków, które później bardzo nam się przydały.

Te wiadomości okazały się o tyle prawdziwe, że koło 2-ej w nocy nas obudzono, rozdano suchary i zupę oraz zliczono, poczym po kolei wywoływano za bramę, stawiając nas w czwórkach pod strażą kilkunastu uzbrojonych w automaty konwojentów. Kiedy wreszcie wszyscy znaleźli się w kolumnie, ruszamy przez pokryte śniegiem pola ku polnej drodze, którą wydostajemy się na szosę. Nie kierujemy się jednak na prawo ku Warszawie, a na lewo w stronę Lublina, odległego o ca 60 klm, rozpoczynając w ten sposób dalszą tułaczkę.

IV.

Kolejna droga krzyżowa.

Było już wtedy zupełnie jasno, to też spotykani po drodze przechodnie czy gapie, uważając nas za Niemców, kierują pod naszym adresem nie bardzo przychylnie owacje, na co jednak zupełnie nie zwracamy uwagi. Za skrzyżowaniem szos spotykamy grupę cywilów i polskich wojskowych, wśród których miał być i Czybirow z Koła, który naturalnie nie mógł mnie poznać pod prawie trzytygodniowym zarostem.

Idąc w towarzystwie Ignaczewskiego i Cichockiego rozmawiamy, jakby to było cudownie, gdybyśmy tak mogli wsiąść w przelatujący właśnie samolot i pojechać nim do swych rodzin! Marzenie ściętej głowy!

Pędzili nas tak przez cały dzień aż do Ryków i po 30 klm mniej więcej umieścili nas tam w poniemieckich barakach, ziębniętych i zmokłych, gdyż w międzyczasie zaczęło śnieżyć. Po zjedzeniu gorącej zupy ułożyliśmy się na gołych deskach prycz. Słuchając opowiadania Cichockiego o sposobie fabrykacji cukru wreszcie mimo niewygodny usypiamy nie czując specjalnie śniegu, między innymi właśnie dzięki ofiarowanemu mi przez niego porządnemu swetrowi, jaki pozostał mu w spadku po zmarłym w międzyczasie w Przyłęku ojcu.

Następnego dnia znowu fasujemy zwykle suchary i zupę, poczym przeprowadzają nas do drugiego baraku na zwyczajową już rewizję, połączoną z konfi-

skątą zbędnych rzeczy, jak ołówków, świstków papieru z agrałkami włącznie. Stamtąd wracamy do poprzedniego baraku. Nie wiem, czy znalazł się ktoś taki, który w przewidywaniu powrotu zostawił w nim część swego nielicznego dobytku; taki przewidujący wygrał by!

Po paru godzinach rozchodzi się wieść, że mają zwalniać sędziów! Serce zabiło mi w piersiach na tę nowinę i po cichu miałem nadzieję, że może i ja będę wśród tych szczęśliwych. Niestety! Wprawdzie istotnie zjawia się kilku oficerów i z posiadanej listy wyczytali nazwiska około 30 sędziów i paru sekretarzy, lecz tylko z Radomia. Wśród nich znalazł się i Matysiak, jednak pominięto kilku innych sędziów z tego okręgu, między nimi i Bulczyńskiego. Miał on pecha znajdowania się na liście sędziów grodzkich, której czy to umyślnie, czy też przez przeoczenie nie wzięto pod uwagę. Ja jako człowiek nieznanany nie mogłem figurować na żadnej liście.

Zwolnienie nastąpiło podobno na skutek interwencji Ministerstwa i objęło tylko sędziów, objętych listą Sądu Okręgowego w Radomiu.

Choć nie miałem już sposobności pożegnania się z Matysiakiem, miałem nadzieję, że nie omieszka on przekazać gdzie należy wieści o mym losie i rzeczywiście się na nim nie zawiodłem.

Znowu nadchodzi noc, którą spędzamy drżąc, przytuleni do siebie z powodu zimna. Po śniadaniu znowu wyprowadzają nas na dwór, liczą i prowadzą dalej w stronę Lublina. By jakoś skrócić

drogę i odpędzić smutne myśli, zaczynam liczyć kroki i miałem ich przeszło 12.000 na "liczniku", gdy z wierzchołka wzgórza ujrzelśmy rozciągający się w dole Dęblin w odległości kilku kilometrów. To dodało nam sił, bo odczuwaliśmy już porządne zmęczenie w nogach.

Wkraczamy wkrótce do Ireny, mocno zniszczonego przedmieścia Dęblina, pod ponurym pręgierzem oczu ich mieszkańców, i kierujemy się w stronę dworca, wypełnionego długim szeregiem krytych wagonów towarowych. Staram się rozpoznać szerokość torów, jednak nie mogę się zorientować, czy odpowiada ona polskim czy też rosyjskim wagonom. Czekamy dość długo na naszych przewodników, którzy wreszcie wracają i prowadzą nas do kilku stojących na uboczu wagonów, dzieląc na grupki po 50 osób. Karol gdzieś się zabłąkał i nie mogłem go odnaleźć, to też pozostałem w towarzystwie Cichockiego i Ignaczewskiego.

Po utworzeniu grup dowódca, rosyjski kapitan o szklanym oku, podchodzi do naszej jako pierwszej i otwiera drzwi, daje znak do wchodzenia. Kiedym jako pierwszy zbliżył się do wagonu, wyciągnął rękę zapaszającym ruchem w stronę wnętrza i odezwał się po polsku: "Proszę panów!" i to tak szyderczym tonem, że od razu zrozumiałem, że nie mamy co marzyć o oglądaniu Lublina czy Warszawy, że czeka nas dalsza podróż i dla tego właśnie pofatygowali się przygotować wagony!

Z moimi towarzyszami usadowiłem się w rogu wagonu, nie zbyt wielkiego, który jednak zdołał pomieścić całą

grupą. Gdy ostatni z naszej pięćdziesiątki przekroczył próg, drzwi z głuchym trzaskiem się za nim zasunęły i zapanowała prawie ciemność, gdyż okna były zakryte blachą, a jedynie przez pozostawiony w drugich drzwiach otwór na korytko ustępowe dochodziło trochę światła.

I tak zamknęły się już definitywnie za nami wrota wolności, narazie na "długich dni trzydzieści", by otworzyć się znowu na innej już ziemi, gdzie owiało nas już nie ojczyste powietrze, które miało nam przynieść wiosnę, pierwszą po pięciu latach niewoli wolną wiosnę, a przyniosło ostrą, uralską zimą!

Skończył się zarazem pierwszy akt mego "exodus" z rodzinnej ziemi.

v.

Transport śmierci.

Nie zdając sobie narazie sprawy z tego, że kiedyś będziemy mogli nadać temu drugiemu aktowi naszych losów taką tragiczną nazwę, radzi byliśmy, że skończył się nasz uciążliwy marsz i możemy odpoczywać. Siedząc z podwinętymi nogami, by nie dotykać następnego szeregu, spodziewaliśmy się rychłego wyruszenia w dalszą drogę. Niestety, cierpliwość nasza miała być wystawiona na wielką próbę: upłynęły bowiem - o ile się nie mylę - pełne dwie doby, nim wreszcie dał się słyszeć tak oczekiwany stukot kół. W międzyczasie dano nam zupełny spokój, taki zupełny, że chyba nawet nie otrzymywaliśmy sucharów, nie mówiąc już o ciepłym posiłku. Dostarczono nam jedynie piecyk żelazny i wybito w dachu dziurę dla jego kolumny, zapominając już jednak o opale do niego.

Muszę się zresztą przyznać, że pamięć co do tego fragmentu jakoś mnie zawodzi: może jednak przed ruszeniem dostaliśmy i trochę sucharów i trochę drzewa. Pamiętam jedynie wzruszający moment, jak drugiego dnia naszego uwięzienia w wagonie przez szparę kominową zawitał w mój kącik promyczek słońca. Czekaając, aż w wędrówce po ścianie spocznie na mej głowie jako pomyślny zwiastun wolności, powtarzałem za Antygoną: "Aktis aeliou to kalliston!" Najpiękniejszy jednak promyczek słońca zaświecił mi w oczy i zniknął, a mnie się zdawało, jakbym utracił kogoś drogiego!

W naszej pięćdziesiątce było

5 czy 6 Polaków, a reszta po
łowicie Volksdeutsche/pochodzący prze-
ważnie z powiatu kolskiego/, Niemcy i
Czarnomorcy, schwytni w różnych miejs-
cach. Wśród nich był jeden nauczyciel,
dość inteligentny, z którym później nie
jednokrotnie rozmawiałem o różnych sprawa-
ch. Jako umiejący po rosyjsku został
on starostą wagonu i trzeba przyznać,
że funkcje te wypełniał uczciwie, niko-
go nie krzywdząc ani uprzywilejowując.
Że tam czasem udało mu się dostać dru-
gą porcję, nie można mu było brać za złe,
jako że nie działało się to naszym kosz-
tem.

Reszta jego współplemieńców
to chłopstwo, a właściwie bydło ludzkie.
Źle się zresztą wyraziłem, stosując to
wyrażenie tylko w stosunku do nich; jak
się później miałem przekonać, i resztę
mych chwilowych towarzyszy można było
również zaliczyć do gatunku "la bête hu-
maine". Nie czytałem wprawdzie tej książ-
ki W. Hugo, lecz przypuszczam, że w niej
właśnie opisał on ten gatunek ludzi w
w ich naturalnej nagości, bez nałożonej
przez kulturę powłoki, spod której wy-
zierało kierujące się tylko jednym in-
stynktem, instynktem życia, zwierzę!

W naszym wagonie zresztą sto-
sunki międzyludzkie były jeszcze możli-
we i nie odczuwało się zbytnio tej bes-
tii, w innych jednak, jak się później do-
wiedziałem, a częściowo i przekonałem,
nagość ta wystąpiła w całej pełni.

Jeszcze w Kłodawie /jak mi
opowiedział Ciszewski/ miał miejsce je-
den z przejawów działalności tej bestii.
Otóż w jednej z cel był taki ścisk, że

nie można było marzyć o rów-
noczesnym leżeniu i trzeba było odpoczy-
wać na zmianę. Między nimi był jakiś nie-
miecki żandarm, który powołując się na
swą ranę nie chciał zrezygnować ze swe-
go leżącego miejsca. Wobec tego inni za-
częli mu siadać najpierw na nogach, a póź-
niej i na piersiach, choć starał się od
nich uwolnić. Rano się okazało, że służą-
cy im za siedzenie czy poduszkę Niemiec
jest już trupem. Nie przejęto się tym
jednak zupełnie i nadal korzystano z je-
go ciała w tym samym celu aż do chwili
wyniesienia go.

Lecz wracam do swych losów.
Oczekując na chwilę ruszenia siedzieli-
śmy w swej klatce, słysząc jedynie słu-
chem dochodzące nas z zewnątrz odgłosy.
Kilka razy słychać było gwar przechodzą-
cych koło naszego wagonu innych grup,
widocznie umieszczanych w dalszych wa-
gonach; kilka razy przetaczano nas z jed-
nego toru na drugi i doczepiano dalsze
wagony. Gdy wreszcie cała karawana zosta-
ła skompletowana, a trwało to - jak wspom-
niałem - parę dob, wagon nasz drgnął, rusza-
jąc już definitywnie w nieznaną dal.

Trudno było z początku zorien-
tować się co do kierunku jazdy z uwagi
na szczelność naszego zamknięcia. Dopiero
gdy przedsiębiorczym udało się odłupać
kawałek drzazgi przez drzwiach, można by-
ło przez powstały otwór wyglądać na bo-
ży świat. Dla głównego sprawcy tej przed-
siębiorczości wywołało to zresztą przy-
kre skutki: gdy bowiem konwojenci zauwa-
żyli tę szparę, wsadzili go na 24 godziny
do nieopalanego wagonu. W naszym kąci-
ku była też niewielki otwór w przedniej
ścianie, który Ignaczewski zdołał roz-

szerzyć i przez wielkości małego palca lufcik mogliśmy oglądać całymi godzinami wąski wycinek pobocza, mając tuż przed sobą bagnet stojącego na sąsiednim wagonie konwojenta. Na szczęście nie zauważył on naszego "judasza" i do końca pobytu w tym wagonie było to nasze jedyne okno na świat.

Dostarczenie na którejś stacji trochę drzewa opałowego pozwoliło na rozniecenie ognia w naszym piecyku. Wraz ze wzrostem temperatury powietrza do poziomu plusowego, podniósł się i nastrój psychiczny. Niestety zbyt szczupły przydział opału i nieregularne jego dostawy nie pozwalały na utrzymywanie tego znicza przez cały czas. Ze zbliżaniem się nocy gasł ten ogienek i musieliśmy się pogrążyć w prawdziwy sen zimowy, pozostawiając wspomnieniom ogrzewanie nas. Ponieważ jednak ten sposób nie okazywał się dostatecznie ciepłodajny, rano, gdy pierwszy brzask dnia docierał do naszego wagonu, ukazywał nam jego ściany szklące się od pokrywającego go śnieżnego całuhu szronu.

Już ta utrzymująca się niska temperatura, a nie tylko rosyjskie nazwy migających od czasu do czasu stacji pozwalały na zorientowanie się, że jedziemy na wschód, a tym samym, że trzeba własnym przemyśleniem uzupełniać skąpe racje opałowe, przeważnie drzewa, niekiedy jednak węgla brunatnego czy koksu, który nie chciał się w naszej "kozie" palić. Znalazło się też kilku silnych Kałmuków, którzy "viribus unitis" zdołali po kolei oderwać od ścian wagonu poziome wzmocniające je dwucalowej grubości bale, przy-

śrubowane "na fest", a co dziwniejsze, porąbać je bez pomocy siekiery przez skakanie na ustawione ukosem i to do wielkości, koniecznej dla naszego piecyka. Naturalnie mogli oni tę inicjatywę samozachowawczą wykazywać jedynie w czasie ruchu pociągu, by nie narażać się, w razie wykrycia przez konwojentów, na zrozumiałe z ich strony negatywne nastawienie do tego rodzaju operatywności. Ciekawym, jak się później zarząd kolei ustosunkował do tego rodzaju dewastacji taboru kolejowego?

Nas o to głowa nie bolała i przez kilka dni mogliśmy się cieszyć dłużej rozkosznym ciepłem.

Dopóki ogień huczał w piecyku, temperatura była całkiem znośna, to też można było wtedy bez obawy kataru urządzić polowania na wszy, które rozmnażały się w przerażającym tempie. Z chwilą jednak, gdy ostatnie blaski gasły, temperatura momentalnie spadała, zrównując się z zewnętrzną. Ile ona wynosiła, trudno powiedzieć, w każdym razie jakich 15-25°. Ja, otulony dodatkowo przyjętą w śpuznicznie po Cichockim grubą kurtkę mogłem drwić sobie z tego mrozu, na co nie mogli sobie pozwolić inni znacznie gorzej ubrani. W każdym razie żaden z naszego wagonu nie zmarzł, może właśnie dzięki tym dodatkowym subsydiom opałowym!

Drugim problemem, dającym się niektórym we znaki, był śmiertelna antyteza pierwszego-woda. Nie mówię tu o wodzie do mycia, bo o niej w naszych warunkach nie można było nawet marzyć, a o zwykłej wodzie do picia.

szerzyć i przez wielkości małego palca lufcik mogliśmy oglądać całymi godzinami wąski wycinek pobocza, mając tuż przed sobą bagnet stojącego na sąsiednim wagonie konwojenta. Na szczęście nie zauważył on naszego "judasza" i do końca pobytu w tym wagonie było to nasze jedyne okno na świat.

Dostarczenie na którejś stacji trochę drzewa opałowego pozwoliło na rozniecenie ognia w naszym piecyku. Wraz ze wzrostem temperatury powietrza do poziomu plusowego, podniósł się i nastrój psychiczny. Niestety zbyt szczupły przydział opału i nieregularne jego dostawy nie pozwalały na utrzymywanie tego znicza przez cały czas. Ze zbliżaniem się nocy gasł ten ogienek i musieliśmy się pogrążyć w prawdziwy sen zimowy, pozostawiając wspomnieniom ogrzewanie nas. Ponieważ jednak ten sposób nie okazywał się dostatecznie ciepłodajny, rano, gdy pierwszy brzask dnia docierał do naszego wagonu, ukazywał nam jego ściany szklące się od pokrywającego go śnieżnego całunu szronu.

Już ta utrzymująca się niska temperatura, a nie tylko rosyjskie nazwy migających od czasu do czasu stacji pozwalały na zorientowanie się, że jedziemy na wschód, a tym samym, że trzeba własnym przemyśleniem uzupełniać skąpe racje opałowe, przeważnie drzewa, niekiedy jednak węgla brunatnego czy koksu, który nie chciał się w naszej "kozie" palić. Znalazło się też kilku silnych Kałmuków, którzy "viribus unitis" zdołali po kolei oderwać od ścian wagonu poziome wzmacniające je dwucalowej grubości bale, przy-

śrubowane "na fest", a co dziwniejsze, porąbać je bez pomocy siekiery przez skakanie na ustawione ukosem i to do wielkości, koniecznej dla naszego piecyka. Naturalnie mogli oni tę inicjatywę samozachowawczą wykazywać jedynie w czasie ruchu pociągu, by nie narażać się, w razie wykrycia przez konwojentów, na zrozumiałe z ich strony negatywne nastawienie do tego rodzaju operatywności. Ciekawym, jak się później zarząd kolei ustosunkował do tego rodzaju dewastacji taboru kolejowego?

Nas o to głowa nie bolała i przez kilka dni mogliśmy się cieszyć dłużej rozkosznym ciepłem.

Dopóki ogień huczał w piecyku, temperatura była całkiem znośna, to też można było wtedy bez obawy kataru urządzić polowania na wszy, które rozmnażały się w przerażającym tempie. Z chwilą jednak, gdy ostatnie blaski gasły, temperatura momentalnie spadała, zrównując się z zewnętrzną. Ile ona wynosiła, trudno powiedzieć, w każdym razie jakich 15-25°. Ja, otulony dodatkowo przyjętą w spuszczalnie po Cichockim grubą kurtkę mogłem drwić sobie z tego mrozu, na co nie mogli sobie pozwolić inni znacznie gorzej ubrani. W każdym razie żaden z naszego wagonu nie zmarł, może właśnie dzięki tym dodatkowym subsydiom opałowym!

Drugim problemem, dającym się niektórym we znaki, był śmiertelna antyteza pierwszego-woda. Nie mówię tu o wodzie do mycia, bo o niej w naszych warunkach nie można było nawet marzyć, a co zwykłej wodzie do picia.

Czy to wskutek złej organizacji czy też może umyślnie, przez cały czas jazdy najwyższej 2-3 razy ją dostaliśmy i to po raz pierwszy w czasie postoju w Moskwie w dniu 1 marca, do tego z lokomotywy, a więc ciepłej i przesiąkniętej naftą.

Ponieważ jako wyżywienie dawano nam wyłącznie suchary i stosunkowo gęstą zupę, organizmy nasze coraz bardziej wysychały. Ja jakoś nie bardzo odczuwałem pragnienie, inni jednak nie mogli się powstrzymać od zjadania śniegu, uzyskiwanego w niewielkich zresztą ilościach czy to z dachu, czy też z toru. Pierwszy zdobywano przez otwór kominowy, co ograniczało jego ilość z uwagi na długość ręki, a ponadto było bardzo niebezpieczne, jak się o tym przekonał jeden z innego wagonu, przyplacając to podobno przestrzakałem ręki. Do uzyskiwania drugiego służyła puszka, opuszczana przy pomocy znalezionej gdzieś drutu przez otwór ustępowy. Inni wreszcie po przestawiali na zjedaniu szronu ze ścian.

Skutki niezależnie od sposobu nabycia tej namiastki wody były jednakowe: prędzej czy później sraczka. Być może właśnie chęć jej zapobiegnięcia leżała u podstaw takiej oszczędności naszych ówczesnych władz w dostawie tego życiodajnego płynu, nie przecież nie kosztującego.

W każdym razie my byliśmy tym racjonowaniem najbardziej dotknięci, to też, kiedy wreszcie w łaźni mołotowskiej otworzyła się przed nami możliwość nieograniczonego jej spożycia, nasyciliśmy się nareszcie nią tak zewnętrznie, jak i

wewnętrznie. Jeszcze dziś przypominam sobie ten dreszcz rozkoszy, jaki przebiegł me ciało, kiedy uczuł na plecach ciepły strumień, zmywający ze mnie prawie dwumiesięczny brud. Czuliśmy się po tej kąpieli naprawdę jak nowonarodzeni, choć kilku z transportu przyplaciło to oczyszczenie z doczesnych brudów nawet śmiercią.

Wspomniane ograniczenie opału i wody może nie byłoby jeszcze takie przykre, gdyby wyrównywało je odpowiednie pożywienie. Niestety i pod tym względem sytuacja była tak samo smutna.

Jedyną rzeczą, na którą mogliśmy codziennie liczyć i która tym samym utrzymywała nas przy życiu, były suchary. Stąd też chwila ich fasowania była najuroczystszy momentem dnia. Wydawano je nam o różnej porze dnia, a nawet nocą, zależnie od postoju pociągu. Kiedy nasze czujki powiadamiały nas o przechodzących mimo wagonu ludziach z workami sucharów, cała uwaga skierowana była na chwilę, gdy rozlegnie się szczepek otwieranej kłódki. Czasami zdarzało się, że pociąg ruszał, nim nadeszła nasza kolej i wówczas poprostu jeden krzyk wydobywał się z piersi wszystkich. Prędzej jednak czy później nadchodziła ta upragniona chwila i rozlegał się głos: "Skolko was?" - a po otrzymaniu odpowiedzi do środka wpadał mniej lub więcej napełniony worek. Jeżeli nie było już - względnie jeszcze - światełka dziennego, zapalaliśmy chowane na ten cel ostatnie szczapki i przy ich świetle następował uroczysty i powszechnie kontrolowany podział. Na rozporartym na podłodze jedy-

nym kocu, po którym chodziły wszy, układano tyle kucek, ile nas było, najpierw z całych sucharów, następnie porcówek i kawałków. Zależnie od ogólnej opinii starosta ujmował z jednych, by wyrównać rzekomo mniejsze, poczym każdy kolejno podchodził, otrzymywał swą porcję, na którą składały się 2-3 suchary, i wracał na swoje miejsce.

Zależnie od siły woli jedni zjadali je odrazu, inni zaś rozdzielali na dłuższy okres czasu. Z biciem w pierś muszę się przyznać, że moja siła woli nie wystarczała do takiego samozaparcia: wychodziłem z założenia, że rozkosz przerywana nie jest prawdziwą rozkoszą. Stąd też chrupałem je tak długo, aż ręka "sięgnęła do ładownicy i nie znalazła". Aczkolwiek czasem były one tak twarde, że prawie raniły dziąsła, gryzłem je z przyjemnością. Zwłaszcza smakowały nam otrzymane przez pewien czas złociste amerykańskie. Wyobrażam sobie, jak by one nam smakowały z dobrą kawą czy mlekiem!

Wspomniana wyżej porcja jedynie kilka razy była większa, gdy konwój przez omyłkę trochę mniej wysypał w poprzednim wagonie.

W pierwszych dniach podróży te suchary były naszym jedynym pożywieniem, a dopiero po pewnym czasie, gdyśmy już zdecydowanie skręcili na wschód, dodawano jeszcze do nich zupy. Składały się one z bardzo gęstej kaszy z rybnymi konserwami, która znakomicie działała na nasze wygłodzone żołądki. Niestety dostawaliśmy jej niewiele, bo sądząc po wielkości posiadanych jeszcze z Przyłęku puszek od konserw, które zastępowały nam

zastawę stołową, za ledwie 3/4 litra jednorazowo. Żeby ten posiłek dostawał się nam raz na dzień! Gdzie tam! Czasami od jednego do drugiego posiłku upływało do 1,5 doby, nim znów dało się słyszeć radośnie dla nas brzmiące: "Odkrywaj dwiery!"

Przyczyn tak długich odstępów można się było dopatrywać z jednej strony w wadliwej organizacji, polegającej na urządzeniu tylko jednej kuchni o zbyt małej wydajności, a z drugiej prawdopodobnie w hołdowaniu przez nasze ówczesne dowództwo zasadzie "społecznego oszczędzania". Bo przecież ile można było zaoszczędzić przy wyżywieniu transportu, złożonego z około 2.300 ludzi! O Jego wielkości mogliśmy się przekonać przy wyjeździe z Moskwy, kiedy to na zakręcie mogliśmy się doliczyć około 60 wagonów w składzie naszego pociągu.

Można też było sobie wyobrazić, jakie były skutki stosowania wobec nas tych oszczędności! Nie było postoju, byśmy nie widzieli przenoszonych lub poprostu wleczonych po śniegu zmarzniętych prawie nagich trupów, a właściwie szkielety. Zwalano je wszystkie do specjalnego wagonu, by w czasie dłuższego postoju wyrzucić je na pobocze i pozostawić zawiadowcy stacji troskę o ich pogrzebanie. Nasz wagon utracił w ten sposób jedynie dwóch pasażerów, starszych już ludzi, w innych jednak miało ubyc do 30%!

Do nich nie wliczam Cichockiego, z którym dotychczas dzieliłem nie tylko łożo, ale i pozostawione przez ojca

óbranie, które wdziałem na własne. Kiedyś, próbując się podnieść, odczułem ostry ból w jamie brzusznej /ruptura? /który w ciągu kilku godzin /a może dni?/ nasilił się tak bardzo, że wreszcie zdecydowano się przenieść go do wagonu "sanitarnego", różniącego się od innych jedynie mniejszą obsadą i prawdopodobnie wyższą temperaturą, gdzie po paru dniach, jak się później dowiedziałem, zmarł. Pozostawił mi on w spadku obok ubrania i burki - jeszcze kawałek okówka, szczęśliwie uchowany przed rewizjami.

Dopiero w Moskwie "naczalstwo" widocznie zainteresowało się stanem sanitarnym naszego transportu, gdyż warunki aprowizacyjne trochę się polepszyły. Dzięki dodatkom w postaci paru kostek cukru, małej konserwy rybnej na czterech i jeszcze czegoś - zamiast odczuwać, jak dotychczas "zwierzęcy głód" - mieliśmy już tylko "wilczy apetyt".

Ta popraważywienia okazała się jednak nie tylko spóźniona, ale dla niektórych nawet zgubna. Prosto osłabione żołądki nie mogły już tego nieco lepszegożywienia strawić i zaczęła się szerzyć dyzenteria, zwłaszcza wśród tych, którzy poprzednio gasili pragnienie śniegiem.

Mnie na szczęście wówczas ta choroba szczęśliwie ominęła, lecz Wagnaczewskiego jej pierwsze symptomy tak nagle przydusiły, iż pewnej nocy prosto nie zdążył dojść przez stos śpiących ciał do korytka ustępowego i musiał biedak pozbyć się w konsekwencji pyjamy. Na szczęście były to tylko lekkie jej

początki i ustąpiły po zastodowaniu się przez niego do mej rady: parodniowego postu. Inni jednak, widocznie nie mający tak dobrych mentorów, oblegali prosto ustęp i trudno się było do niego zdrowym docisnąć.

Po Mołotowie jeszcze bardziej poprawiono nasz wikt przez uzupełnienie codziennego menu daniami rybnymi w postaci śledzia wzgl. innej ryby. Poprawa tak jednak w praktyce była względna, bo większość tych dodatków ginęła po stronie "ruskiej", gdy my "inostracy" musieliśmy zadowolić niezaspokojonym apetytem i możliwością urągania im - naturalnie tylko w duchu.

Lecz stop, za szybko jadę!

W rzeczywistości czas włókł się nam okropnie. Jedynym bowiem naszym zajęciem było - poza koniecznym po kilkunastu dniach podróży iskaniem wszy - wyglądanie przez naszą szparkę. Widoki, jakie nam ona udostępniała, nie były zresztą zbyt atrakcyjne: kawałek toru, pobocza i przyległy las, ciągnący się całymi kilometrami. Czasem tylko przesunęły się jakieś zabudowania dworcowe, lecz niedokładna jeszcze wówczas znajomość alfabetu rosyjskiego nie zawsze pozwalała mi na odczytanie nazwy. W każdym razie z nich można się było przekonać, że jedziemy w kierunku Moskwy.

W dzień, gdy część była na nogach, mieliśmy trochę miejsca, w nocy jednak był taki ścisk, że mogliśmy siedzieć tylko w kuczki, mając na nogach głowy poprzedników. Z uwagi na miejsce pod ścianą, mieliśmy przynajmniej o nią oparcie, co wyrównywało związaną z tym

niedogodność, polegającą na konieczności odrywania się rano od ściany, do której płaszcz przymarzał. Ja na szczęście zimna nie odczuwałem, będąc tak dobrze ubrany; jak jednak inni je znosili, mając na sobie tylko li-che płaszcze, nie umiem powiedzieć. W panującym wprawdzie tłoku było dość ciepło, jednak z kolei on powodował drętwienie członków, a ponadto w takim ścisisku wszy miały ułatwioną możliwość przechodzenia z jednego na drugiego żywiciela.

Po kilku dniach takiego siedzenia kość ogonowa była już otarta i stwardniała, to też siedzenie na twardej podłodze już nam przykrości nie sprawiało.

Ponieważ z innymi Polakami, siedzącymi w drugim końcu wagonu, nie utrzymywaliśmy w zasadzie kontaktu, jedynym urozmaiceniem mym były rozmowy z siedzącym obok mnie Ignaczewskim /po "wybyciu" Cichockiego/. Poza snuciem horyskopów co do naszej najbliższej przyszłości, rozmawialiśmy o domu, przy czym miałem okazję przekonać się, że w porównaniu z nim mam idealną teściową. Naogół doszliśmy do jednomyślnego przekonania, że po dostarczeniu do obozu oddziela nas od Niemców i najpóźniej w sierpniu po przekonaniu się o naszej niewinności, nas puszczą. Niestety omyli-liśmy się tylko o dwa lata!

Raz przy takiej rozmowie ta-ka opadła go melancholia się, że się po- płakał i musiałem mu wprost łzy ocierać.

Tak minęły dwa tygodnie i do-

tarliśmy do Moskwy, z której zresztą nic poza tramwajami nie widzie- liśmy. Staliśmy tam dwie czy trzy doby, dobrze już nie pamiętam, jednak zapowie- dziana komisja do nas nie dotarła i je- dynie ustawiczne sygnały alfabetem Mor- sego przejeżdżających lokomotyw mączyły wtedy nasz spokój.

Wreszcie i ten postój się za- kończył i ruszyliśmy dalej, na wschód, ku Uralowi, który widzieliśmy jako następny etap naszej podróży.

Krajobraz w miarę jazdy o ty- le się zmieniał, że widać było więcej wzgórz i kolei elektrycznych, zwłaszcza pod koniec jazdy. Nadal jednak odbywała się ona nieregularnie; długie kilkugo- dzinne jazdy przerywane były równie długimi postojami. Woleliśmy te pierwsze, gdyż słysząc turkot kół zdawaliśmy so- bie sprawę, że każdy ich obrót przybli- ża nas coraz bardziej do tak upragnio- nego w naszych ówczesnych warunkach obo- zu.

I tak płynęły dalsze dni bez jakiegokolwiek zmiany, przerywane jedynie posiłkami, jak wspomniałem już nieco lepszymi, załatwianiem potrzeb fizjolo- gicznych przy korytku, do którego dotar- cie między leżącymi wymagało wprost akrobatycznych umiejętności, oraz wybie- raniem i tłuczeniem wszy, które coraz bardziej dawały nam się we znaki. Najgor- sze były głowowe, gdyż ich ukąszenie pa- liło jak ogień i były trudniej osiągal- ne z racji znajdowania się poza zasię- giem wzroku. Walka zresztą z tym nabyt- kiem była syzyfowa. Można było ubić kil- kadziesiąt, by za parę godzin znowu mieć

-w razie powtórzenia polowania-taką samą ilość następnych na rozkładzie!

Wreszcie 13 marca stanęliśmy na dużej stacji, jak się okazało Mołotow. Tu wyprowadzają nas najpierw grupkami na peron, każąc klęczeć na śniegu w otoczeniu konwojentów i olbrzymiego psa, a po dokładnym zliczeniu prowadzą nas ulicami miasta pod okiem przechodniów, uważających nas za Niemców, do dużej łaźni. Tam po rozebraniu się zakładamy nasze ubiory na haki, oddajemy do "prażarki" i przechodzimy z kolei do fryzjerów, którzy ku memu osobiście olbrzymiemu zadowoleniu golą nam wszystkie włosy nie bardzo zresztą ostrymi maszynkami.

Dopiero wtedy mogliśmy udać się do natrysków. O uczuciu, jakie mnie ogarnęło, gdy poczułem strumień ciepłej wody na plecach, wspomniłem już poprzednio. Tu wystarczy dodać, że mogliśmy się wreszcie po prawie dwóch miesiącach umyć porządnie-bo dali nam i po kawałku mydła-, oraz napić.

Czekając w następnej ciepłej sali na zakończenie procesu likwidacji wszy, miałem sposobność widzenia u niektórych naprawdę okropnych ran, powstałych wskutek odmrożeń względnie wszy, sięgających u jednego Niemca aż do odsłoniętych całkowicie kręgow! Jak ten człowiek musiał cierpieć!

Przy wydawaniu nam rzeczy umyślnie przygaszono światła, a do tego, zamiast wydawać według numerów, zwało no je wszystkie na jedną kupę, to też

można sobie wyobrazić powstałe przy ich wyszukiwaniu zamieszanie. Nic też dziwnego, że złodzieje mieli & wdzięczne pole do popisu w ślad za "Bańczycami", które postąpiły w ten sposób, by ukryć dokonane przez siebie kradzieże. Wskutek tego też straciłem wtedy ubranie, otrzymane od Cichockiego.

Jakby nowonarodzonych po kąpieli odprowadzono naszą grupę do wagonów, pomniejszoną o tych kilka osób, którym to dobrodziejstwo nie wyszło na dobre, i znowu się za nami drzwi zamknęły. Brak drugiej marynarki i kamizelki wynagrodziła mi świadomość pozbycia się nareszcie naszych dokuczliwych sublokatorów tj. wszy.

Łaźnia ta trwała cały dzień, nim wreszcie cały transport już wymyty ruszył w dalszą drogę. Tym razem jazda nie trwała długo, gdyż już po paru dniach wyrzucono nas znowu na jakiejś stacji-ce i podprowadzono grupami do grupki prawdopodobnie lekarzy, gdyż zaczęli oni oddzielać chorych od jako tako wyglądających.

Kiedy nasz wagon podszedł czwórkami, jeden z nich spytał się, jak się czuję i czy jestem zdrowy. Na mą odpowiedź twierdzącą, pokręcił głową i zapytał o wiek. Nie chcąc się rozdzielać z Ignaczkowskim i nie wiedząc, do czego jest przeznaczona druga, zresztą znacznie większa grupa, potwierdziłem jeszcze raz me dobre samopoczucie, zresztą nie odbiegając od prawdy, i wtedy kazał nam przejść do mniejszej grupy. Po dokonanej selekcji nas zaprowadzono zpowrotem

do stojącego pociągu, tamtych zaś skierowano w śnieżną dal ku jakimś stojącym budynkom.

Skład naszego pociągu był już inny, wagony większe, to też wsadzano nas do nich po kolei. W zamieszaniu każdy starał się znaleźć w znanym sobie towarzystwie, to też widząc się w otoczeniu jakichś kałmuków, minąłem zajmowany przez nich wagon i z Ignaczkowskim wsiadłem do innego, w którym zobaczyłem znaną mi z Przyłęku twarz Czajkowskiego. Udało nam się zająć miejsce pod ścianą przy piecyku, wnet jednak wygonił nas stamtąd jakiś mongoł, z którym oczywiście się bić nie mogłem. Z braku innego miejsca musieliśmy ulokować się tuż przy drzwiach.

W końcu wagon "pulmanowski" - naturalnie tylko ze względu na rozmiar - otrzymał swą obsadę około 90-głową z podobnym do żyda jakimś hajdamakiem na czele, którego też odrazu nasi konwojenci mianowali starostą wagonu.

Swą władzę rozpoczął on od zaniechania, gdyż całkowicie nie reagował, gdy jego kompani przystąpili do obłupywania pozostałej większości z cenniejszych rzeczy. Niewielka zresztą była ich zdobycz, gdyż większość Niemców i tak już nie wiele miała przy sobie, to też siedzieli sobie spokojnie w kącie, nie ważąc się nawet pisnąć.

I ja wtedy straciłem płaszcz, o czym w innym miejscu, nie wyszedłem jednak bynajmniej przy tym jak przysłowiowy Zabłocki, wprost przeciwnie!

Dopiero wtedy, gdy to obdzieranie się kończyło, wkroczył nasz starosta, wołając: "Koniec bazaru!" i wtedy w jed-

nym końcu wagonu usadowili się ruscy z mongołami i paru żydami, po drugiej stronie Niemcy, a w środku kilku nas Polaków. Kiedy już nastąpił spokój, wszcząłem rozmowę z jednym z nich, niewielkiego wzrostu, w średnim wieku. Usłyszawszy, że jest z Kutna, powiedziałem mu o swej służbie wojskowej, między innymi, że dowódcą mego batalionu marszowego był kpt. Szawczenko. Jakie było me zdumienie, kiedy ten na to: "To ja właśnie nim jestem!" Też spotkanie!

Naturalnie zaraz spytałem się, gdzie się podział w tej wsi pod Skiernewicami i nie mniej byłem zdziwiony, usłyszawszy, że przez cały dzień pozostał w niej. Dlaczego w takim razie nie mogliśmy go znaleźć, gdyśmy pod wieczór wybieraliśmy się z niej w stronę puszczy kampsoskiej?

Dalsze jego losy były nieco podobne do moich: jakimś sposobem dostał się poza Warszawę, stamtąd wrócił do Kutna, uniknąwszy niewoli niemieckiej, by dostać się - tak jak ja - do sowieckiej.

Celem ułatwienia aprowizacji nasz hetman podzielił cały wagon na trzy grupy, lecz nie według kryteriów ilościowych, a narodowościowych. Najmniejsza, rusko-żydowska dostawała największe przydziały, natomiast największa - niemiecka, najmniejsze, podczas gdy nas zaliczono do średniej. W praktyce wyglądał podział następująco: Cukier i smalec wsiadał bez śladu w pierwszej grupie, z której każdy dostawał ponadto co najmniej po jednym śledziu; dla nas Polaków przypadła już jeden na dwóch, Niemcom zaś dostawał się jeden na trzech. Gdy jeden z nich upom-

niał się o cukier, nasz Fiszos bō tak się ten herszt nazywał-, zawołał: "Kto nie dostał cukru? Niech się tu zaraz zgłosi, to dostanie!" Naturalnie nikt nie był tak głupi, by się przekonać na własnej skórze, coby dostał!

Kiedy przyszła kolej na rozdział zupy, to ruscy zostawili sobie dwa wiadra, pozostawiając tyleż reszcie. Rozdawał sam starosta i kiedy wymienił nr. 39, jaki ja miałem, zgłosił się prócz mnie jakiś aserbejdżanin, mający prawdopodobnie nr. 29. Widząc dwóch pretendentów do jednej chochli, Fiszos spytał się mnie o nazwisko, a następnie mego rywała i widocznie z tego domyśliwszy się, że właściwym pretendencem jestem ja, wyróżnął tamtego tak w mordę, że z wyciem uciekł w kąt, straciwszy kilka zębów. Zdążyłem jeszcze uprzedzić kogoś, sięgającego po jego bańkę, i zagarnąć ją dla siebie. Postawiwszy ją w kacie zgłosiłem się po swoją porcję i ją szczęśliwie dostałem. Dzięki temu też jakoś wtedy się pożywiłem.

Noc musiałem spędzić z Ignaczewskim przy drzwiach na wilgotnej, bo zalewanej od ustępu podłodze i choć w górną część ciała było mi dzięki kożuszkowi ciepło, to w dolną z uwagi na jego krótkość odczuwałem zimno. Całe szczęście, że tym razem dalsza podróż nie trwała już długo i zdaje się następnego dnia, 15 marca, wyładowaliśmy się w Kiź'u.

Z dworca załadowanych po 25 osób do samochodów ciężarowych wywieziono za miasto. Pamiętam, jak Ignaczewski zaczął się cieszyć, że już przybyliśmy

namiejsce, na co Czajkowski: "Żebyś ty jeszcze tego nie żałował"! i zaczął się modlić. Ja nie podzielałem ani jego pesymizmu, ani też optymizmu pierwszego, nie mniej jednak byłem rad, że trwająca z górą 30 dni wędrówka dobiegła przynajmniej narazie kresu.

Jechaliśmy tak kilkanaście kilometrów, mijając po drodze drewniane domy i wieże kopalni, aż wreszcie wyrzucono nas o parę set metrów od ogrodzonych wysokim płotem budynków, składających się na nasz pierwszy, a niestety nie ostatni obóz na Uralu.

VI.

Kwarantanna w XVII-lagrze.

Takie właśnie oznaczenie nosił, jak się później dowiedzieliśmy, nowy nasz przybytek, w którym mieliśmy przebyć pewnego rodzaju kwarantannę. Piesza do niego droga, prowadząca przez wystające kikuty drzew, widocznie ściętych przy wyższym śniegu i robiących wrażenie krzyży cmentarnych, mogła na innych zrobić wrażenie przygnębiające, myślny jednak myśleli o tym, by jak najprędzej znaleźć się w ciepłym budynku i móc wypocząć. Najpierw jednak musieliśmy cierpliwie czekać, aż nad policzą, przed potężną bramą, nad którą brakowało jedynie napisu: "Lasciate ogni speranza voi ch'entrate!", podobnie zresztą, jak brakowało go nad innymi, czekającymi nas w przyszłości podobnymi bramami!

Po jej minięciu nasze nadzieje na ciepło się nie ziściły, gdyż ogromne sale, do których nas wpuszczono, posiadały wprawdzie ceglane piece, lecz zimne.

Zajęliśmy w dwójkę górne piętro jednej z licznych znajdujących się tam drewnianych prycz i dzięki temu mieliśmy doskonały widok na zaszły wkrótce wypadek poskromienia naszego atamana. Kiedy bowiem ten chciał zarekwizować dla siebie zajętą już przez jakiegoś mongoła pryczę, ten kopnął go, a następnie tak mu dał w mordę, że nasz bohater się przewrócił. Najwięcej przez niego poszkodowani próbowali już na nim się odegrać, lecz przeszkodziło im nadejście kilku oficerów, pytających się o przyczynę zajścia. Poprzednie ofiary przedstawiły im swe

żale, sądząc naiwni! - że zajmą się tym gagatkiem. Istotnie się nim zajęli, gdyż pogadawszy z nim na osobności, mianowali go starszym zony! Swoją swego zawsze pozna!

W pierwszym rzędzie przystąpiło do spisowywania nas, co spowodowało, że wielu Volksdeutsche było w kropce, jaką podać narodowość, która przecież mogła mieć duży wpływ na szybkość zwolnienia. Wypełnianie wówczas formularze /podobnie zresztą jak późniejsze/ były jednej treści: Imię i nazwisko, otczestwo, rok urodzenia, miejsce zamieszkania i data aresztowania, a ponadto rubryka przybył i wybył, po rosyjsku "ubył", co wzrokowo kojarzyło się się ze słowem "ubit"!

Z uwagi na ilość nowej załogi - około 800 - to ewidencjonowanie trwało cały następny dzień.

Noc spędziliśmy przytuleni do siebie na pryczy, gdyż Ignaczewski w swym podartym kaftanie, jaki otrzymał w wyniku działalności "bazarowej" wzamian za posiadany płaszcz, marzył porządnie. W ciągu następnego dnia sytuacja się poprawiła, gdyż zaczęto palić w piecach, a poza tym przeniesiono nas - po odbyciu prażarki i badania lekarskiego - jako należących do III kategorii do mniejszego budynku z salami na około 30 osób. Jednak i tu dawało się we znaki idiotyczne poczucie czystości, polegające na myciu podłóg dwa razy dziennie i to - z braku wody - śniegiem, który po prostu rozsypywano na podłogę i następnie zgarniano. W efekcie zwilżano jedynie pokrywające podłogi błoto, a temperatura powietrza gwałtownie się obniżała!

Kolejka do kąpieli przypadła

już w nocy. Stosunkowo nieduża bania obsługiwana była przez dwie kobiety, wyglądające jako kościotrupy, skazane - jak wynikało z ich opowiadania - na około 10 lat więzienia za spóźnienie i opuszczenie miejsca pracy.

Pozbyliśmy się wtedy nie tylko resztek wszy, jakie mogły uniknąć zniszczenia w czasie poprzedniej prażarki, lecz i bród, które nam nareszcie zgolono, z którymi, jak się przekonałem zerknąwszy uprzednio w lustro, wyglądaliśmy jak zawodowi przestępcy!

Jedzenie dostawaliśmy trzy razy dziennie w czystej stołowej na blaszanych emaliowanych miskach. Wchodziliśmy tam zwodami pod dowództwem swych zwodnych, samych ruskich; na komendę, której nigdy nie mogłem zrozumieć, brzmiącej jak "zdjąć głowy z obory" - zdejmowaliśmy czapki, poczym również na komendę zajmowaliśmy miejsce przy długich stołach, czekając na przyniesienie w wiadrach zupy, nalewanej każdemu do miski. Zupa była stosunkowo gęsta, przeważnie z nierozgotowanej pszenicy, omaszczonej rybą, to też trudno ją nasze osłabione żołądki trawiły, co widać było po pozostawionych w "obornej" ziarnach. W ciągu dnia to menu zresztą nie ulegało zmianie, a najwyżej co parę dni przeplatano pszenicę jęczmieniem. Do tego dostawaliśmy po 600 gr chleba w jednej porcji, poza tym kawałek smalcu, którego miało być ok. 30 gramów. Ponieważ jednak rozdzielali go zwodni już w baraku, nim dotarł on do konsumentów, roztopiał się on u zwodnych i ich kolegów, którzy też przecież chcieli żyć!

Odmarsz z jadalni również odby-

wał się pod komendą, to też trzeba było się spieszyć, by nie być zmuszonym do pozostawienia niezjedzonej zupy.

To jedzenie mimo niespornej poprawy ilościowo-jakościowej nam nie wystarczało i z zazdrością patrzyliśmy na zwodnych, obżerających się dolewkami. Czasami wprawdzie rozdzielano je i na poszczególne stoły, lecz nasz do nich nie należał. Gdy bowiem raz miała ona przypaść nam w udziale, posługujący zebrał czym prędzej nasze miski do umycia i gdy zwodny zjawił się z pełnym wiadrzem dolewki, nie mieliśmy w co jej nabrać, to też nam przepadała ku naszemu wielkiemu żalowi.

Na nowej sali zająłem prycę tuż przy piecu, z którego blask ognia padał na ścianę, to też wieczorami mogłem siedzieć przy nim i wpatrywać się w ogrające płomienie. Niestety po paru dniach odgrodzono piec od reszty sali deskami na jakiś warsztat, a jeszcze parę dni później przerzucono nas do innej sali.

Tam też zaszedł wypadek, który zraził mnie mocno do Ignaczewskiego. Mianowicie wychodząc z sali do ustępu dałem mu swój kawałek chleba do pilnowania. Gdy po kilku minutach wróciłem, do stałem z powrotem rzekomo mój kawałek, lecz już okrojony. Widząc me zdziwienie zaofiarował mi urażony swoją porcję, normalnej wielkości, lecz już nie taką ładną. Skorzystałem z tej oferty dla zadokumentowania mego przekonania, że odkroił z mej porcji kawałek. Trochę się potym na mnie dąsał, lecz wnet doszło znowu między nami do pozornej zresztą zgody.

Pędąc stale głodni, gdyż ta

pszenica nie mogła absolutnie uzupełnić poniesionych w czasie podróży ubytków, z zazdrością wciągaliśmy w siebie zapachy naleśników i ciastek, dolatujące do nas z kuchni szpitalnej w czasie zbiorów, niestety nie dla nas przeznaczonych. Raczyli się nimi, a raczej mieli się raczyć chorzy, którzy już wtedy zaczęli zaludniać szpital, a z powodu biegunki nie bardzo się mogli tymi smakołykami delektować. Po jakimś tygodniu był też już pierwszy nieboszczyk, jakiś kpt. Siedlaczek czy podobne nazwisko, a po nim dalszy Polak, który zresztą sam sobie był winien, gdyż wszystkie chleb zamieniał na tytoń.

Ja czułem się naogół dobrze, choć i mnie nie ominęła nagminnie panująca puchlina nóg, a jedynie nie miałem nic siły. Z trudnością też przychodziło mi wykonywać pracę w zonie, polegającą na kopaniu dołów w zmarzniętej ziemi czy wyrąbywaniu lodu. Inni zresztą też pod tym względem nie czuli się lepiej.

Nasz ataman tymczasem utrzymywał bardzo ożywione stosunki handlowe ze światem zewnętrznym, zbywając tam swoje i towarzyszy łupy i nie cofając się wcale przed dalszym ich uzupełnianiem. Kiedy pewnego razu zameldował mu o kradzieży mi swetra, nie mogąc czy też nie chcąc zrozumieć mej polszczyzny, machnął tylko ręką i poszedł dalej. Nie chciałem mówić do niego po niemiecku, choć ten język rozumiał, gdyż mógłby mnie jeszcze uznać za Niemca i odpowiednio potraktować. Widząc też bezskuteczność mych reklamacji, machnąłem ręką na swój swetr. I bez niego życie toczyło się dalej, a wiosna się zbliżała.

"Kto nie pracuje - ten nie je!"

Minęły w ten sposób dwa tygodnie aż wreszcie pewnego przedpołudnia wprowadzono nas znowu - nie wiem czy wszystkich, w każdym razie około 500 - do stojących o paręset od obozu otwartych węglarek i po odpowiednim wymarznieniu powieszono nas na szczęście niedaleko, bo jakichś 12 klm. Tam wglądowano nas koło jakiejś szachty, ozdobionej dużym murowanym 2-piętrowym budynkiem z wielkim napisem "Szachta 33 Kapiálnaja", położonej w Kospaszu. Zmarznięci na kość ruszyliśmy do stojących niedaleko drewnianych baraków, witani znowu charakterystycznymi wyżkami czyli bocianymi gniazdami strażniczymi i napisem nad bramą: "Priwet łuczym szeczachtiorom", poprzednio już kojarzącym się mi z innym.

Odbywszy przymusowe normalne zliczenie wchodzimy wreszcie na dziedzińiec, zabezpieczony przenoszonymi gdzieś indziej "grażdzańskimi", stanowiącymi dotychczasową obsadę tego obozu. Pakujemy się czymprędzej do baraków, by się ogrzać, niestety jednak i tutaj piece były zimne.

Baraki te w przeciwieństwie do poprzednich były tynkowane, podzielone na niewielkie stosunkowo pokoiki dla kilkunastu ludzi każdy.

Pierwszą naszą zdobyczą były "sztumle", zbierane przede wszystkim przez Ignaczewskiego, który posłużyły nam do skręcenia pierwszego pod długich dniach papierosa. Inni, mający jeszcze jakąś garderobę wdali się w handel zamienny ze stojącymi jeszcze grażdzańskimi, mającymi

jeszcze-w przeciwieństwie do nas-machorkę. Po ich odejściu zaczęto tworzyć kadrę obsługową obozu, wpytując o zawód. Naturalnie "nasi" zrobili się odrazu krawcami i kucharzami, jako że te funkcje były najatrakcyjniejsze z punktu widzenia ewentualnego profitu. Pozostałych podzielono na drużyny czyli brygady i skierowano do poszczególnych sal, by nazajutrz po komisji lekarskiej, kwalifikującej do pracy na zewnątrz względnie wewnętrznej, skierować zdrowych do szachty akurat w I. święto Wielkanocy, 1 kwietnia 1945.

Im mnie uznano za godnego tej pracy, choć z pewnym ograniczeniem, a mianowicie do pracy na powierzchni, jako zaliczonego do III kategorii.

Prócz tej komisji lekarskiej chodziła po salach jeszcze jedna, wybierająca specjalistów. Oczywiście nie przyznałem się do nie mającego tutaj żadnej wartości zawodu, a na pytanie, co umiem, odpowiedziałem, że pisać na maszynie, wyjaśniając to palcami. Oczywiście nie skorzystali z możliwości zatrudnienia tak wartościowego pracownika /mimo nieznajomości przez niego języka/ i ze śmiechem poszli dalej.

W trosce o nasze ciała przydzielono nam trochę ubrań dla najbardziej ich potrzebujących, a co najważniejsze-sienniki, tyle że bez słomy. Dla tego też pwnie już po kilku godzinach kazali nam je zwrócić rzekomo do prania i zobaczyliśmy je ponownie dopiero po kilku miesiącach. Dla pokrzepienia natomiast naszych dusz naczelnik obozu, zdaje się żyd, na pierwszej zaraz zbiórce oznajmił nam, że

jak tylko zaczniemy pracować "wsio budiet: wodka budiet, kuszenie, diengi budiet, wsio budiet!" Myśmy wtedy w to gadanie wierzyli, a byli nawet tacy, którzy cieszyli się, że jeszcze forszę zawiozą do kraju!

Przez parę dni praca naszej grupy polegała na przywożeniu do zony węgla na sankach, co w zasadzie nie wymagało wiele wysiłku, ale przy naszej "mocarności" i to nie przychodziła nam zbyt łatwo. Ze mnie nie wiele wtedy było pociechy, gdyż nogi mi spuchły i ledwo mogłem nadszyc za sankami, a cóż dopiero je pchać. Później wysłano do regularnej pracy przy robieniu wykopu pod kolejkę. I to nie było trudne, ale dawało nam się porządnie we znaki z uwagi na panujący jeszcze porządny mróz. Przez kilka dni jakos się trzymałem, w końcu jednak dyzenteria pozbawiła mnie reszty sił i posłała do szpitala.

W nim, jak wspominał na innym miejscu, towarzystwo było wybitnie niemieckie-Volksdeutsche wzgl. Ostpreussen. Śmiać mi się chciało z rzucanych przez nich na Hitlera przekleństw, choć tak niedawno jeszcze krzycaeli Heil! Jeden tylko, jak się okazało jakiś partyjnik, nie wtórował im, a nawet się popłakał, kiedy 9 maja dotarła do nas wiadomość o zakończeniu wojny i klęsce Niemiec. Być może ta wieść go dobiła, gdyż-choć był już prawie wyleczony, pewnego dnia znowu się położył i wkrótce wyciągnął nogi.

Nie był on zresztą ani pierwszym ani ostatnim umrzykiem: nie było tygodnia, żeby choć jeden nie zawędrował

z naszej tylko sali do V-iej roty, jak nazywano cmentarz pod olchami. W większości wypadkach samo oni byli temu winni wskutek nieprzestrzegania własnej diety. Na przykład taki Szymankiewicz około 60 letni Niemiec z Prus wschodnich, umiejący nawet trochę po polsku, którego brat był w Polsce. Sprzedawał on chleb, by móc nabyć za to czosnek i cebulę, zawierające zdaniem jego drogocenne mogące go wyleczyć witaminy, niezależnie jednak od tego nabywał i smalec, smarując nim grubo chleb, gdy tymczasem zniechęconą przez siebie jagłankę odstępował Klattowi. Nic też dziwnego, że żołądek nie mógł strawić nadmiaru tłuszczu i początkowa rekonwalescencja przeszła wnet w chorniczną dystrofię i w rezultacie i on się przęgechał!

Wogóle charakterystyczny był przy dyzenterii ten nawrót: sraczka się kończyła, pacjent niby wracał do zdrowia, lecz wystarczyło zjedzenie czegoś, by kończyło się katastrofą. Tak też było z młodym chłopakiem Fersterem. Przyszł on do szpitala w jednym mniej więcej czasie ze mną i już się wyleczył, gdy nieostrożnie zjedzona zupa rybna spowodowała nawrót sraczki i po kilku dniach stan jego już był beznadziejny.

Akurat pełniłem wtedy funkcje sanitariusza w zastępstwie chorego Klatta i byłem przy jego śmierci. Na kilka godzin przed nią lekarz dał mu zastrzyk kamfory, która, jak w innych podobnych wypadkach, pomogła mu jak przysłowiowe kadzidło. W nocy nagle się obudził, zawołał mnie, a gdy się nad nim pochylił, spytał się "Wo ist der, welcher rasiert?"

Domyśliłem się, że chodzi mu o naszego salowego fryzjera, po co jednak go chciał, skoro nic przecież ze względu na swą młodość nie miał do golenia, nie wiem. Nie zrozumiał już mej odpowiedzi, tylko szepnął "Mutter" i skończył.

Naogół jednak jemu podobni w ostatnich chwilach nie odzyskiwali przytomności.

Niektórzy z mych towarzyszy byli sympatycznie, byli jednak i tacy, którzy działali mi na nerwy. Jeden zwłaszcza z nich, jakiś Volksdeutsch z Łodzi, Weinbach czy coś podobnego, udawał bardzo mądrego, popisując się znajomością nierozumianych przez siebie wyrazów i do tego z wszystkimi się kłócił. I on w końcu popadł w dystrofię trzeciego stopnia, gdyż sprzedawał chleb, by kupić ryby lub poprostu ciułać pieniądze. Naszych rad, by jadł chleb a nie ryby, nie chciał nawet słuchać, aż dopiero gdy stał już jedną nogą w grobie, błagał nas o pomoc. Od początku z racji jego wyglądu nazywałem go judaszem i gdy był już w ostatnim stadium, upodobił się całkowicie do Mefista. I on skończył jak inni, poprostu wylewając ze siebie wnętrzności.

Powoli jednak rozmiar dyzenterii się zmniejszał: stary goście powoli wymierali, nowego narybku nie było i na dwóch salach "panośnicy" powoli zamieniali się w zwykłych "dystrofików", czyli jak popularnie ich nazywano, weneryków.

Ulubionym i właściwie jedynym tematem mych niemieckich kolegów były potrawy. Aż do znudzenia musiałem słuchać, jak to sobie przypominali różne smakołyki czy nawet plundze, obiecując sobie po powrocie tylko jeść, jeść i jeść. Zdaje się

Jednak niewielu z nich danym było zrealizowanie tych ówczesnych marzeń. Ja osobiście nie tylko nie brałem udziału w tych rozmowach, ale i unikałem ich, uważając, że tego rodzaju onania umysłowa niepotrzebnie tylko osłabia organizm, zwiększając wydzielanie soków żołądkowych.

Nie zżyłem się też z żadnym z nich poza moim bezpośrednim sąsiadem, Vogellem, tkaczem łódzkim, który w rozmowach ze mną objawiał chęć ucieczki w następnym roku, jeżeli do tego czasu nas nie puszczą. Co się z nim później stało, nie wiem.

Z innych szpitalników rozmawiałem czasem z pastorem, kulturalnym człowiekiem, który jednak wkrótce jako "wojenno-plenny" został przeniesiony do innego obozu.

Kiedym już się wyleczył z "panosu" i jedynie na naszych kartkach z przezorności zwiększałem ilość stolca do 3-4 w ciągu dnia /zamiast normalnego/, zacząłem się ruszać po szpitalu, by zasięgnąć jakichś wiadomości. Niestety były one bardzo skromne i nie bardzo przyczyniały się do wzrostu naszych nadziei wyjazdowych.

Brak pracy z jednej, a dolewki Kędzi, sprawującego funkcje felczera z drugiej strony sprawiły, że zacząłem porastać powoli w tłuszcz, co spowodowało w końcu przekwalifikowanie mnie do II. kategorii i wiadome tego konsekwencje.

Nim jednak to ostatnie nastąpiło, podobnie jak inni byliśmy przedmiotem oględzin różnych obcych komisji z udziałem kobiet, którym musieliśmy pokazywać swe tyłki jako dowód dobrego odżywienia.

Ich bowiem krągłość względnie zwisanie skóry świadczyło najlepiej o stopniu wychudzenia.

Głównym i w zasadzie jedynym naszym lekarstwem był nadmanganian potasu, rozcieńczony kwas solny i węgiel, które może uwalniały nad od biegunki, lecz nie tuczyły. Właściwe lekarstwo na dystrofię określił nowoprzybyły lekarz, gruzin, słowami: "Wam medykamentów nie nada, wam kuszać nada!" Niestety z tym właśnie lekarstwem było gorzej, gdyż pożywienie, choć zdrowe, otrzymywaliśmy w zbyt małej ilości, by można było wyrównać nasze braki.

Lekarzy mieliśmy w zasadzie trzech: Białkow, dość sympatyczny, energiczny, sprawujący funkcje naczelnika, Samojedow, zdaje się konował, i trzeci ten gruzin. Poza tym był jeszcze towarzysz niedoli, dr. Elmaszberg, zdaje się z Łodzi, doskonął zresztą chirurg, który jednak już w sierpniu miał szczęście nas opuścić.

Naczelnik był wobec mnie ustosunkowany jako tako, Samojedow jednak, gdy w okresie rekonwalescencji pełnił funkcje pomywacza, wziął się na mnie i wyrzucił mnie z "rozdatocznaj", uważając, że jako były "panośnik" nie mogę myć naczyni. Wskutek tego też urwały się otrzymywane przeze mnie do tego czasu dolewki. Przez pewien jeszcze czas korzystałem z prywatnych subwencji Kędzi, zachodząc do niego w okresie posiłków na salę O.K. /"Ozdrowieńskaja Kompania"/, w końcu jednak i jemu znudziły się me nieme prośby, gdyż przeniósł się ze swymi posiłkami do rozdatocznaj, gdzie już nie miałem wstępu.

Było to zresztą już pod koniec mego pobytu w szpitalu. Badanie stanu naszego zdrowia odbywało się nie tak jak w rotach, raz na miesiąc, lecz prawie co tydzień. I akurat 27. czerwca przedpołudniem badał mnie Samojedow, który stwierdził u mnie skorbut i opuchliznę nóg. Właśnie omawialiśmy realność pogłoski, że na skorbut mamy dostawać kartofle względnie dodatkową potrawę, gdy wrócił Samojedow już z naczelnikiem i ponownie mnie zbadali. Nie widziałem w tym dla siebie żadnego zagrożenia, gdym oto od magazyniera dowiedział się, że już jestem wypisany ze szpitala! Trafiała mnie ta nowina jak grom, gdyż przecież - mimo dobrego samopoczucia - nie miałem zupełnie siły, czego najlepszym obiektywnym dowodem było utrzymywanie się podtemperatury 35-35,4°C.

Ponieważ apelacji od tego roku nie było, już następnego dnia na swych opuchłych nogach poszedłem po raz pierwszy do szachty i wróciłem... z mogami jak baletnica! Tak mi pomogło całodzienne stanie w mokrym obuwiu! Mimo zlecenia Samojedowa, by mnie jako zaliczonego do III kategorii zatrudniono na powierzchni, w szachcie tak naczelnik "nasz", jak i brygadier Rykow gwizdali sobie na to zastrzeżenie, gdyż powierzchnia była już obsadzona przez ich ludzi, i zesłali mnie na dół. Nie zdołała mego losu zmienić moja interwencja u lekarza: był on w tym wypadku bezradny. Dopiero za drugim moim powrotem do szachty - po moim wypadku, o którym na innym miejscu - od czasu do czasu łaskawie zatrzymywano mnie czasami na powierzchni. Stąd też nigdy nie byłem pewny,

czy w danym dniu będę pracował w "niżu" czy "na wierchu". A było to istotne, gdyż jest poważna różnica między pracą w ciemności, w dusznym, przesyconym mimo wentylacji pyłem powietrzem i do tego w wilgoci, czy też w suszy i na świeżym powietrzu.

Stąd też mój wypadek był pewnego rodzaju szczęściem w nieszczęściu, gdyż zwolniony całkowicie od pracy mogłem całymi dniami wylegiwać się na słońcu, opalając zgodnie z poleceniem lekarza swe ramię, a przy tej okazji całe ciało. Z dnia na dzień też mogłem coraz sprawniej władać ręką, aż wreszcie skończyły się złote dni Aranjuetu, gdym już był opalony na murzyną.

Do szachty chodziliśmy na trzy zmiany. Która z nich była najlepsza, nie łatwo powiedzieć, gdyż każda z nich miała swe dobre i złe strony. Pierwsza, trwająca od 8-16, a faktycznie od 7-17, jako dzienna była najnaturalniejsza; dzięki drugiej od 15-22 unikało się powiererek i robót sezonowych, a częściowo i pluskiew, a przy ostatniej od 23-9 całkowicie.

I tak płynął dzień za dniem. Współżycie z towarzyszami było w zasadzie obojętne. Zawsze cokolwiek miałem takiego, z którym w danym okresie chociażby z tytułu wspólnej pracy więcej się stykałem: przez pewien czas był nim Iwanow, całkiem przyzwoity VD, potym Peliński, trochę gałgan, lecz w stosunku do mnie przyzwoity, ratujący mnie w kryzysie czy to skrętem czy też łyżką zupy. Łączność ze szpitalem była zerwana zupełnie, zresztą ustawiczne zmiany czasu pracy ją utrudniały.

Rozkład dnia wyglądał następująco: Gdzieś koło 5-ej rozlegał się głos dyżurnego "Podjom" lub "Pobudka", w zależności od tego, jakiej narodowości był tzw. "dniewodny", przezywany przez nas "niewolnym" i wtedy złąziło się z pryczy tak jak spaliśmy, tj. przeważnie w ubraniach, i bez mycia, bo po to trzeba było iść aż do bani, szło się na "zawtrak" tj. śniadanie. Po nim powrót do sali i już trzeba się było szykować do wyjścia do szachty. Po powrocie z niej jadło się obiad, a czasem bezpośrednio po nim i kolację, jeśli już była, po czym miało się już wolny czas, spędzany na pogawędkach o dniu zwolnienia i na wymigywaniu się od czyszczenia zony, przynoszenia węgla i tp. Mnie się to naogół udawało, gdyż jakoś ani brygadier ani dowódca roty się do mnie zbytnio nie przycepiali.

Największym złodziejem naszego wolnego czasu był dyżur-służba, którą najbardziej nienawidziłem. Polegała ona bowiem na zamiataniu podłogi szczotką, której zwykle nie można było znaleźć, na przyniesieniu wody w równie trudno osiągalnym wiadrze i umyciu podłogi do "białości". W praktyce ograniczało się to do zmożenia podłogi i zgarnięcia do jednej z licznych dziur w podłodze błota przy pomocy tzw. szwabru lub szrupy.

Był to rodzaj szczotki, która w miejsce szczeciny miała gruby płat gumy, którą szorowało się podłoga celem wybielenia i usunięcia błota. Zależnie od siły, talentu i ochoty podłoga była po takim szorowaniu pokryta mniejszą lub większą ilością smug, zawsze jednak

była mokra, a o to przedewszystkim chodziło! Jeśli była sucha, to tym samym "grażna".

I tak dzień w dzień na zmianę trzeba było czy zaraz po pobudce czy też po śniadaniu ją szorować i za każdym razem błoto spływało pod podłogę. Że nie zapadała się ona pod nogami i nawet nie bardzo śmierdziało zawdzięczać należało temu, że podłoga nie spoczywała na ziemi, lecz poprostu wisiła nad nią, tworząc jakby strop piwnicy, a dolnej pochłonać tyśiące, a nie tylko setki wiader wody i błota. Nie raz żartem mówiliśmy sobie, że to jest doskonały sposób mycia podłogi i po powrocie zrobimy to samo: wybijemy dziury w podłodze i będziemy ją szorować szwabrem. Coby na to nasze żony powiedziały?

Okropnie, jak wspomniałem, nie lubiłem tej pracy i nigdy nie nabyłem w niej należytej wprawy. Zresztą do tego, by podłoga była naprawdę biała, trzeba było dużej siły i poświęcenia, jak się miałem później przekonać w czasie następnego pobytu w szpitalu u Karaska.

A czasami należało oprócz własnej izby umyć jeszcze i korytarz, który powinien być czysty mimo ustawicznego kręcenia się po nim ludzi. Takiego małego fioła na punkcie higieny miało nasze naczalstwo!

Jeśli chodzi o "brudne" roboty, jak czyszczenie ustępów, to wykonywali je w zasadzie ci, którzy w jakiś sposób podpadli, a więc zwykle "karniacy". Ja na szczęście nigdy do ich grona nie zostałem zaliczony, czego bynajmniej nie żałowałem. Dopiero w Reżu była specjalna drużyna sanitarna, mająca zadanie oczyszczania ustępów, a właściwie ich opróżnia-

Rozkład dnia wyglądał następująco: Gdzieś koło 5-ej rozlegał się głos dyżurnego "Podjom" lub "Pobudka", w zależności od tego, jakiej narodowości był tzw. "dniewodny", przezywany przez nas "niewolnym" i wtedy złąziło się z pryczy tak jak spaliśmy, tj. przeważnie w ubraniach, i bez mycia, bo po to trzeba było iść aż do bani, szło się na "zawtrak" tj. śniadanie. Po nim powrót do sali i już trzeba się było szykować do wyjścia do szachty. Po powrocie z niej jadło się obiad, a czasem bezpośrednio po nim i kolację, jeśli już była, po czym miało się już wolny czas, spędzany na pogawędkach o dniu zwolnienia i na wymigywaniu się od czyszczenia zony, przy noszenia węgla i tp. Mnie się to naogół udawało, gdyż jakoś ani brygadier ani dowódca roty się do mnie zbytnio nie przy czepiali.

Największym złodziejem naszego wolnego czasu był dyżur-służba, którą najbardziej nienawidziłem. Polegała ona bowiem na zamiataniu podłogi szczotką, której zwykle nie można było znaleźć, na przyniesieniu wody w równie trudno osiągalnym wiadrze i umyciu podłogi do "białości". W praktyce ograniczało się to do zmożenia podłogi i zgarnięcia do jednej z licznych dziur w podłodze błota przy pomocy tzw. szwabru lub szrupy.

Był to rodzaj szczotki, która w miejsce szczeciny miała gruby płat gumy, którą szorowało się podłoga celem wybielenia i usunięcia błota. Zależnie od siły, talentu i ochoty podłoga była po takim szorowaniu pokryta mniejszą lub większą ilością smug, zawsze jednak

była mokra, a o to przedewszystkim chodziło! Jeśli była sucha, to tym samym "grażna".

I tak dzień w dzień na zmianę trzeba było czy zaraz po pobudce czy też po śniadaniu ją szorować i za każdym razem błoto spływało pod podłogę. Że nie zapadała się ona pod nogami i nawet nie bardzo śmierdziało zawdzięczać należało temu, że podłoga nie spoczywała na ziemi, lecz poprostu wisiała nad nią, tworząc jakby strop piwnicy, dolnej pochłonącej tyśiące, a nie tylko setki wiader wody i błota. Nie raz żartem mówiliśmy sobie, że to jest doskonały sposób mycia podłogi i po powrocie zrobimy to samo: wybijemy dziury w podłodze i będziemy ją szorować szwabrem. Coby na to nasze żony powiedziały?

Okropnie, jak wspominałem, nie lubiłem tej pracy i nigdy nie nabyłem w niej należytej wprawy. Zresztą do tego, by podłoga była naprawdę biała, trzeba było dużej siły i poświęcenia, jak się miałem później przekonać w czasie następnego pobytu w szpitalu u Karaska.

A czasami należało oprócz własnej izby umyć jeszcze i korytarz, który powinien być czysty mimo ustawicznego kręcenia się po nim ludzi. Takiego małego fioła na punkcie higieny miało nasze naczalstwo!

Jeśli chodzi o "brudne" roboty, jak czyszczenie ustępów, to wykonywali je w zasadzie ci, którzy w jakiś sposób podpadli, a więc zwykle "karniacy". Ja na szczęście nigdy do ich grona nie zostałem zaliczony, czego bynajmniej nie żałowałem. Dopiero w Reżu była specjalna drużyna sanitarna, mająca zadanie oczyszczenia ustępów, a właściwie ich opróżnia-

nia. Kandydatów do tej pracy nigdy nie brakło, gdyż była ona wynagradzana obfitymi dolewkami. W innych obozach zajmowali się wywozem odchodów specjalni "grażdżianscy", a jedynie w Samocwecie do mych obowiązków jako sanitariusza należało wynoszenie skrzyni nie tyle z głównem, ile z uryną, co ani nie było przyjemne ani łatwe z uwagi na jej ciężar, lecz co było robić?

Tak mijało lato ze swymi białymi nocami i cudownie kolorowymi zachodami słońca i jedynym urozmaiceniem monotonii było przybycie nowych gości, a to około 800 własowców. Przyjechali oni z pękatymi tobołami, zawierającymi zarówno zegarki, jak i maszynki do włosów itp, a przede wszystkim machorkę, to też nie dziwnego, że mimo, iż zostali odrutowani, rozpoczął się zaraz wielki "bazar", ograniczony zresztą w zasadzie do dwóch towarów: naszego chleba i ich tytoniu, przy którym obie strony były zadowolone. Wyobrażam sobie, jaki handel zaczął iść z chwilą, gdy zaczęli wychodzić za zonę!

Różne były wśród nich typy: kałmucy i tatarzy, którzy 400 gr cukru oddawali za tyleż chleba, albo i mniej, typowi rosjanie i wreszcie inteligenci o polskich nazwiskach i takimże pochodzeniu. Od nich też po raz pierwszy posłyszałem takie dotychczas nieznanne słowa, jak "rabiata, pożałustia, izwienitie" itp. Ludzie ci zresztą wiedzieli, jaki ich los czeka - /conajmniej 10 lat więzienia/, to też nie mając nic do stracenia, umieli w razie potrzeby postawić na swoim i gdy np. kiedyś nie dostali chleba, prostu nie poszli do szachty!

Z chwilą ich przybycia nasza rota została wycofana z pracy w kopalni do budowy drogi. Jedynie moja zmiana w liczbie koło 15 osób, będąca w tym czasie w pracy, jakoś została zapomniana i pozostała w szachcie. Roboty wprawdzie nie miałem wiele, gdyż tam, gdzie przed tym było kilka osób, teraz przypadało kilkunastu, to też można się było obijać, jednak nie należało do przyjemności uczucie zupełnego osamotnienia w gronie zupełnie sobie obcym, bez możliwości otwarcia do kogoś gęby. Muszę zresztą przyznać, że nie traktowali mnie jak kukułkę, wiedząc, że jestem na ich zmianie jedynym Polakiem.

Umieszczeni oni zostali w naszym i ruskim baraku /ruscy zostali w międzyczasie rozkonwojowani/, to też ścisk wśród nich był niesłychany, bo w jednej izbie spało ponad 30 ludzi na podłogach. Myśmy natomiast, tj. nasz stary kontyngent mieli dość miejsca w budynku szpitalnym, tym bardziej, że 21 szczęśliwców wyjechało do kraju. Prócz chirurga, żyda, był to element powiedziałbym o charakterze raczej kryminalnym, a w każdym razie VD-owskim, jak np. Taki Płocki z Koła. Tak, tych się wtedy puszczało z racji przynależności do klasy robotniczej!

Podczas gdy reszta roty pracowała na drodze, otrzymując prócz normalnego pożywienia jeszcze 400 gr chleba, łyżkę smalcu i dodatkowy obiad, myśmy musieli zadowalać się dotychczasowym przydziałem. Z jaką też zazdrością słuchaliśmy ich opowiadania, że czują się całkiem syci, gdy my tymczasem...!

Pora jesienna jednak powstrzymywała mnie od poczynienia starań o przeniesienie do nich, gdyż wolałem pracować

pod dachem, niż czasami moknąć na deszczu czy nawet śniegu. Już bowiem 11 września spadł pierwszy śnieżek, choć niedługo on się utrzymał, lecz w perspektywie leżały dalsze. Poza tym nie chciałem oddawać na pastwę fryzjera mej wcale porządnej czupryny, którą w ślad za innymi założyłem sobie w nadziei na rychły wyjazd, a lekarz uzależnił przeniesienie mnie na drogę od jej ścięcia.

Dopiero też drugi wypadek mój w szachcie definitywnie uwolnił mnie tak od niej, jak i od włosów, z którymi mnie do szpitala wpuścić nie chcieli.

Z chwilą znalezienia się w nim rozpoczęły się swego rodzaju złote dni, kiedy to nareszcie mogłem się znowu wyspać i wypocząć. Towarzystwo było już wtedy bardziej urozmaicone, złożone z wszystkich narodowości, skutych jedną dola, a tym zgodnie żyjących ze sobą. Dni przedzielane były wtedy nie robotą, lecz posiłkami. Ja ze swoją raną palca mogłem się poruszać swobodnie, to też korzystając z poparcia Hofmana, kierownika szpitala, który zamykał oczy na me niejednokrotne przenikanie do położonej po drugiej stronie baraku roty, nie bardzo się nudziłem.

I tak doczekaliśmy się dalszego śniegu i w końcu zimy i okna zakwitły lodowymi kwiatami, ja zaś wzrastałem w tkuszc i siły, gdyż Kędzia od czasu do czasu o mnie pamiętał, dając mi ukradkiem, gdyż mieszkał z lekarzem rosyjskim, jakąś miskę zupy czy kaszy. Dzięki temu też nie zazdrościłem już pracującym nadal na drodze ich posiłków, widząc ich zmoczonych i zziębniętych po powrocie

do zony, podczas gdy ja leżałem sobie wygodnie na sienniku.

Rana jednak moja szybko się goiła i zbliżało się widmo powrotu mego do roty. W międzyczasie jednak zaszło coś, co uwolniło mnie już definitywnie od kos-paskiej szachty. Mianowicie 4 listopada rozeszła się wiadomość, że szpital wyjeżdża do jakiejś Jajwy, skąd już mają nas odwieść do kraju! Naturalnie można sobie wyobrazić nasze podniecenie i radość, zwłaszcza gdy słowo ciąłem się stało i wieczorem nas wyczytano, wydano rzeczy z magazynu i przeniesiono do innej izby!

Naszej radości nie umniejszała okoliczność, że z uwagi na odebranie nam sienników /może się bali, że który z nas zabierze je ze sobą?/ musieliśmy spać na gołych deskach. Nadzieja rychłego zobaczenia swoich /wierzyliśmy wtedy w prawdziwość obu części nowiny!/ była dla nas najlepszym materacem.

VIII.

Następny etap-Jajwa.

Rychło rano wydano nam chleb na drogę i po misce mąki na kilku ludzi, poczym w liczbie około 120 ludzi wyprawiono przed bramę, przy czym inwalidów załadowano do dwóch samochodów, które miały nas zawieźć do Kiźla. Bez jakiegokolwiek żądłu rzuciłem wtedy po raz ostatni spojrzenie i na lagier i na "33 Kapitalnaja" i ruszyliśmy. Dzięki memu kożuszkowi było mi wcale ciepło, to też nie mając nic innego do roboty, zabrałem się zaraz do chleba i po kilku minutach pozbyłem się jego ciężaru, uzyskując w ten sposób zarówno równowagę ciała /gdyż ciężar ciała przeniósł się z boku do środka/, jak i spokój ducha wskutek uwolnienia się od ustawicznej pokusy i od obawy, że ktoś inny może się nim zaopiekować.

Dobre samopoczucie psuła mi tylko jedna sprawa, a mianowicie difinietywna tym razem starata mych okularów.

Kiedym bowiem po pierwszej ich utracie w bani odzyskał je kosztem 200 gr chleba, nie chcąc stracić uzyskanego dzięki ich straty stanowiska na powierzchni nie przyznałem się do ich odzyskania, a później dla bezpieczeństwa oddałem je Kędzi na przechowanie. Ten włożył je do szuflady stołu w rozdarczonej, w której sypiał z rosyjskim lekarzem i felczerem, przez jakiś czas do niej nie zaglądałem. Brak ich stwierdził dopiero wtedy, gdy w przedzień wyjazdu zwrócił się doń o ich zwrot, i nie mógł powiedzieć, kto mu je zabrał. Nie pozostało mi też

nic innego jak pogodzić się z tym faktem i odjechać z niczym. Trzeba mi było je trzymać tak, jak po pierwszej stracie-pod czapką!

Komiczne tylko było to, że parę dni wcześniej ktoś mi powiedział, że jakiś własowiec ma do sprzedania okulary podobne do moich, lecz ja naturalnie się tym nie zainteresowałem, będąc pewny, że moje leżą spokojnie w szufladzie. Czy to zresztą były moje, trudno powiedzieć!

Po kilkunastu kilometrach spokojnej jazdy nasze auto niestety się posuło. Czekanie na powrót drugiego okazało się daremne, to też po pewnym czasie powlekliśmy się wolno-bo wszyscy byliśmy inwalidami-w stronę Kiźla. Dopiero po kilku kilometrach takiego marszu raczył nadjechać inny samochód, który zawiózł nas na dworzec, wcale ładny, podobnie zresztą jak i samo miasto, robiące wrażenie dużego.

Czekając na idących pieszo zdrowych zajęliśmy miejsce w poczekalni wśród tłumu podróżnych i wtedy dopiero odczułem brak szkielek, gdyż nie mogłem żadnego napisu odczytać. Gdy w końcu reszta nadeszła tuż przed odjazdem pociągu, pod dozorem kilku konwojentów z włączymy do zwykłego pasażerskiego wagonu, lokując się możliwie wygodnie.

Wkrótce pociąg ruszył, unosząc nas do tej Jajwy, mającej być dla nas symbolem zwolnienia. Nie bardzo przyglądałem się mijanym po drodze fabrykom i kopalniom, myśląc o tych kilkudziesięciu, przeważnie z AK, którzy zostali w Kospaszu i żegnali nas prawie z płaczem, będąc również jak my pewni, że wkrótce po-

Jedziemy do kraju, a im nie wiadomo jak długo jeszcze przyjdzie tu siedzieć. Żał mi ich było, lecz radość z wydostania się była większa.

Wbrew naszym przypuszczeniom, że jazda potrwa dłużej, już koło 19-ej wywalili nas z ciepłych wagonów i po dokładnym przeliczeniu poprowadzono do odległego o jakieś 3 kilometry obozu z tym, że i tutaj inwalidów raczono przewieźć autem. Jeszcze przy blaskach słońca stanęliśmy pod przychodnią z nadzieją o jaknajszybszym dostaniu się do środka, co nas jednak zawiodło. Oficerowie bowiem po przeglądnięciu listy, co trwało dobre pół godziny, zdecydowali się wpuszczać nas według alfabetu, dokładnie sprawdzając według "spisków armaturnych", co kto ma z odzieży. Ja ze swą końcową literą musiałem uzbroidź się w cierpliwość, co nie przyszło łatwo, gdyż mroz z minuty na minutę się zwiększał, dochodząc w końcu do jakichś 25^o i dając się przede wszystkim we znaki naszym mizernie obutym nogom.

Wreszcie jednak nadeszła chwila przekroczenia bramy i wejścia do baraku, który niestety okazał się nie tylko pusty, ale i nieopalony. Nasi poprzednicy alfabetyczni naturalnie zdołali znaleźć już najlepsze miejsca, to też na mnie sprawdziło się popularne przysłowie i wszystkie miejsca na górze, tj. najcieplejsze zastałem już zajęte, a pozostały jedynie pod oknem, najzimniejsze. Kiedy próba przepędzenia nocy na stosunkowo ciepłym korytarzu spełzła na niczym, zdecydowałem się wraz z Kaniewskim ułożyć na wolnej pryczy i dzięki jego futru

i memu kożuszkowi noc spędziliśmy dość znośnie. Naturalnie jak zwykle przy tego rodzaju przeprowadzkach bywało, żywności jeszcze dla nas nie było, to też długo musieliśmy czekać, nim zdecydowano się wydać nam chleb i trochę cukru.

Następną noc spędziliśmy już w budynku szpitalnym, dokąd za staraniem Kędzi jako przedstawiciela szpitala lekarz kazał nas przenieść. Coprawda były w nim sienniki, lecz bez kocy, które były konieczne nie ze względu na temperaturę, która była nawet wysoka, lecz dla ochrony przed istną plagą pluskiew, dających nam się tak we znaki, że musieliśmy spać ubrani, by choć w ten sposób zmniejszyć powierzchnię ciała, narażoną na ich ustawiczne ataki.

Czekając na swą kolej w odbywającej się drugiego dnia komisowce byłem przekonany, że po niej wylecę do rotty, ponieważ mój palec prawie się zabił. Okazało się jednak, że była tam jeszcze kropelka ropy i to wystarczyło, by lekarz zdecydował "Ostajutsie!". Dzięki temu pozostałym jeszcze w ciepłym szpitalu zamiast marznąć w stosunkowo zimnej - jak się później miałem przekonać - rocie. Ulokowawszy się z Kaniewskim i Dubrzyńskim na górze urozmaicałem sobie okresy oczekiwania na posiłku słuchaniem opowiadań pierwszego z jego praktyki prokuratorskiej. Nikt nam w tym nie przeszkadzał, gdyż wychodzono z założenia, że najlenszym lekarzem jest czas. Dzięki temu ponad 30 leżących w tej izbie pacjentów musiało się troszczyć każdy o siebie.

Podział dnia był jak wszędzie:

Rano śniadanie, złożone z cieniutkiej zupy z kaszą, której zależnie od tego, z którego końca sali rozpoczęto nalewanie, było mniej lub więcej, przeważnie jednak mniej. Różnica była niekiedy kolosalna: od łyżeczki kaszy do 3/4 miarki. Czasem człowiekowi aż się płakać chciało, gdy kocioł kończył się tuż przede mną i dostawało się samą wodę z wierzchu drugiego!

Po pewnej przerwie przynoszono chleb, przeważnie jeden na czterech, to też trzeba było go dopiero odpowiednio dzielić z losowaniem, zgadywaniem, waznieniem poszczególnych części, oraz rybę o bardzo rozciągliwej skali: jednej na 42 do jednej na dwóch /co zresztą rzadko! Po zjedzeniu chleba czekało się na obiad, różniące się od śniadania tym tylko, że czasem dochodziły dwie łyżki tj. 100 gr kartofli, a właściwie papki z nich. Koło 17-18 dostawaliśmy kolację odpowiadającą śniadaniowi, po której człowiek zasypiał, marząc o jutrzejszych posiłkach.

Jedynym zdarzeniem, które przerwało monotonię tych dni i wniosło dużo emocji do naszego wegetowania, było wyczytanie pewnego wieczorukilku z naszej sali do nagłego wyjazdu. Szczęście to spotkało jedynie około 42 z całego obozu, w czym z Kospasza było około ośmiu. Trudno było zgadnąć, czy się kierowano przy ich wyborze, gdyż było tam sporo i z AK i z inteligencji: być może ktoś był przy ich desygnowaniu mocno pijany i wybierał na chybił trafił.

Faktem jest, że wyjechali oni wtedy zdaje się do Nagornej czy Połowin-

ki, a po jakimś miesiącu stamtąd do kraju, dokąd szczęśliwie dotarli. Korzystając wówczas z wyjazdu Górki, pochodzącego z Kutna czy Sochaczewa, dałem mu karteczkę z kilkoma słowami do Dziuni, nie mając zbyt wiele nadziei, by do niej ona dotarła. Nadmieniałem w niej o usłyszonej od Ignaczewskiego wiadomości, że nasz gabinet miał się znajdować w biurze SS-Ansiedlungsstab, bo tak mnie poinformował po opisanu mu go, co się jednak-jak się później okazało-nie polegało na prawdzie. Na dowód, jak silna była wtedy moja wiara w rychły powrót, może posłużyć dalsze w nim polecenie poprucia mego zimowego płaszcza, bym zaraz po powrocie mógł go używać. (An.nr. 1)

Wbrew przewidywaniom kartka ta dotarła do adresatki, choć z kilkumiesięcznym opóźnieniem, częściowo zartata, lecz mimo to przyjęta z ogromną łatwo zrozumiałą radością. Poprzednio bowiem jedynie wcześniej zwolnieni Lewandowscy mogli dać trochę wiadomości o mnie, dotyczących jednak przeszłości, jako że oni zostali w Baskaji. Coprawda jeszcze przed ich wyjazdem jeden z Kospasza omyłkowo dostał się do Jajwy, gdzie oni później przebywali, jednak czy powiedział im coś o mnie, nie wiem.

Pozostały po odejściu tej partii marazm przerywała raz na tydzień "bania", z której chętnie mimo mrozu korzystałem.

W ten sposób nadspodziewanie przesiedziałem w szpitalu do 1 grudnia, tj. do następnej komisówki. Choć wynik jej był dla mnie z góry wiadomy, byłem bardzo zdziwiony, gdy po niej wyczytano

do roty zarówno Dubrzyńskiego, jak i Kaniewskiego, a mnie pominięto. Już myślałem, że się przesyksałem, gdy lekarz wymieniał przy mnie II kategorię, gdy następnego dnia okazało się, że po prostu zwodny źle odczytał karteczkę. W każdym razie dzięki temu o jeden dzień później połączyłem się z powyższymi kolegami w II brygadzie. Warunki noclegowe były tam jednak marne i nawet mój kożuszek nie chronił mnie od zimna, to też rad byłem, gdy po kilku dniach przeniesiono mnie do V. brygady, gdzie jako towarzysza łoża dostałem młodego Juchniewicza.

Izba podzielona była na dwie części: niemiecką, złożoną z samych młodych Niemiaszków, i polską, przeważnie z Nagornej. Ponieważ górne prycze były już wszystkie zajęte, musieliśmy się zadowolić dolnymi, a właśnie nastąpiły potężne mrozy. Mój towarzysz jednak posiadał na szczęście jakąś makatkę, która trochę chroniła nas od wiejącego od podłogi mrozu, mym kożuskiem zaś chroniliśmy się od góry i tak jakoś przesyypialiśmy nocę, budząc się co chwilę, przytuleni do siebie jak bracia. Był to bardzo specyjalny chłopak, to też symbioza nasza trwała przez cały prawie czas naszego wspólnego tam pobytu. Dopiero pod koniec grudnia mnie zdradził, przenosząc się na górę na opróżnione miejsce, więc nie mogąc sam wytrzymać, musiałem go naśladować.

Tu z kolei było tak gorąco, że można było, a nawet trzeba było spać bez ubrania, co miało tę ujemną stronę, że ułatwiało pluskwom zaspokajanie naszym kosztem swych potrzeb życiowych.

Nastąpił wtedy okres silnych mrozów, dochodzących do 50° według termometru spirytusowego, to też o jakiegokolwiek stałej pracy poza obozem nie było mowy, a ograniczała się ona do wyjścia za zonę po wodę i drzewo. Służyły do tego specjalne wagoniki, pchane przez nas po torze, łączącym obóz z tartakiem. Z drzewem było jeszcze jako tako, ale za to z wodą! Samo nalewanie nie było jeszcze tak uciążliwe, gdyż był wodociąg przy tartaku, ale za to powrót z beczkowozami!

Jedna beczka o pojemności ca 2 metrów, a druga mniejsza umieszczone były na wagonikach, które trzeba było pchać po torze, bo zamrożone i pokryte lodem koła nie chciały się zupełnie obracać, to też mimo, że przy każdej z nich było po kilkunastu ludzi, na trasę jakich 500 m zużywaliśmy 2-3 godziny. Powtarzało się to codziennie z tym, że jedynie brygady się zmieniały.

Z uwagi na uciążliwość tej pracy wolałem już rznąć drzewo na podwórzu, gdyż tam można było od czasu do czasu wpaść do izby celem ogrzania się.

W samą wigilię, obchodzoną naturalnie jak zwykły dzień, naczalstwo zrobiło nam psikusa przez obudzenie nas o 23-ej i wysłanie do rżnięcia drzewa dla kuchni, jakby tego wcześniej nie mogli zrobić. Z przekleństwem też wywlekliśmy się na mroź, wściekli zarówno z powodu tej pracy, jak i zakłócenia nam przez nią marzeń o wigilii w domu rodzinnym.

Gdy mrozy trochę zelżały, wysyłano nas od czasu do czasu za zonę na oczyszczenie toru, co znakomicie zajmowało

wało nam czas i nie pozwalało na nudzenie się. W ten sposób nadszedł sylwester i znowu powiało po całym obozie nadzieją, gdyż przed południem kazano nam zostać w izbach i zaczęto spisywać posiadane rzeczy. Niestety okazało się, że to był zwykły spis armaturny, czyli doroczny remanent odzieży.

Koniec 1945 i początek 1946 r, minął nam spokojnie i rozpoczął się drugi rok naszej niewoli, nie różniący się narazie niczym od poprzedniego. Dopiero pod koniec I. dekady znowu rozeszła się pogłoska, że mają nas grupkami przerzucić do drugiego obozu i rzeczywiście prawie codziennie po 20 z nas ubywało.

Zdaje się 12 stycznia wieczorem, leżąc już na pryczy, usłyszałem cichą rozmowę mych sąsiadów, malarza Skrybca i Andrzejkowicza, z których drugi odezwał się: "Nie wiem, czy dobrze zrobiłem podając T. na listę do wyjazdu?" Zabiło mi serce, gdyż zdawałem sobie sprawę z tego, że jeśli podałem, to i pojedę, a nie wiedziałem, czy z tego powodu się cieszyć, czy smucić, nie wtrąciłem się jednak do ich rozmowy. Następnego dnia jednak pod pozorem "pohoczystwa" uprosiłem Andrzejkowicza o pozostawienie mnie w izbie, na co się zgodził, no i wtedy służbowy wyczytał i mnie do wyjazdu. Wtedy już ucieszyłem się, że wreszcie "alea iacta est", choć nie wiedziałem jeszcze, co mi ten wyjazd przyniesie. Nawet świadomość, że to jest właśnie 13 dzień, nie zdołała zmniejszyć mej pewnego rodzaju ulgi. Co ma być to będzie! - pocieszałem się filozoficznie.

IX.

Podróż przez Ural do Krutichy.

Szybko oporządziłem się jako tako, wytargowawszy uprzednio za parę guzików bańkę do jedzenia od pozostającego Juchniewicza i wieczorem już stanęliśmy pod bramą, gdzie po sprawdzeniu rzeczy każdy z nas zafasował bochenek chleba na 4 dni podróży, poczym ją przekroczyliśmy, zamykając tym samym jeden z etapów naszej wędrówki.

I ten obóz żegnałem bez jakiegokolwiek żalu, gdyż nic mnie z nim nie łączyło, tak samo jak i z jego obsadą, stanowiącą zbieraninę z kilku obozów. Byli tam bowiem nie tylko ludzie z naszego transportu, którzy dostali się doń czy to bezpośrednio czy też poprzez Baskaję, lecz i z innych, zarówno wcześniejszych, jak i późniejszych.

Różne były losy tych transportów: jedne jak niebo/naturalnie sowieckie/inne jak piekło /to ludzkie/, lecz o tym na innym miejscu, a narazie wracam do siebie idącego za innymi na stację. Właściwie nie szedłem, a ślizgałem się co krok na mych gumowych i do tego jeszcze wypukłych podszewkach, ledwo mogąc nadążyć - mimo poganiania przez konwojenta - za innymi. Wreszcie jednak mimo kilkunastu upadków dotarłem z innymi na dworzec, gdy pociąg właśnie nadszedł i zajęliśmy miejsce w osobowych wagonach, rozpoczynając w ten sposób pierwszy akt naszego dalszego etapu, który miał nas wieść do wolności, tak upragnionej, a tak jeszcze niestety dalekiej, jak się miało okazać!

Użyłem w tytule słowa "Ural" dla zaznaczenia geograficznego przesunięcia nas z gubernii Mołotowskiej do świerdłowskiej, a nie dla tego, że z podróżą tą łączyły się jakiegokolwiek godne uwagi wrażenia podróźnicze. Pyły one bowiem dzięki pokrywającej wszystko pokrywie śniegowej takie same, jak w czasie poprzedniej podróży, to jest nijakie.

Stosunkowo niewielką odległość od Jajwy do następnego obozu, bo wynoszącą około 500 klm, powinniśmy przebyć w ciągu doby, a tymczasem potrzebowaliśmy na to aż cztery! Była to już wina czy też polityka naszych konwojentów, którzy, mając następny pociąg np. za pół godziny, czekali całych 24 godziny na drugi. Czy taki mieli nakaz, czy też w ten sposób kombinowali uzyskanie wyższych diet, to już ich tajemnica!

W każdym razie dzięki tego rodzaju ich polityce już przed północą zatrzymaliśmy się na większej stacji, zdaje się "Czasowej", gdzie nasi starci zabrali się do dzielenia otrzymanego suchego prowiantu. Zaczęło się od chleba, którego jeszcze w Jajwie dostał każdy z nas po bochenku, a kilku ostatnich jeszcze 5 czy 6 do wspólnego podziału. Kiedy jednak do niego przyszło, okazało się, że parę bochenków jakimś trafem znikło. Gdyby rozdzielający zadali sobie trudu poszukania po walizkach, zwłaszcza wśród Ukraińców, to niewątpliwie odnaleziono by je, jednak woleli go nie podejmować, bo być może okazałby się on kompromitujący i niekorzystny dla nich samych. Dla tego też się

ograniczyli do podziału pozostałych 3 czy 4 bochenków. I tutaj podział był już dość dowolny, gdyż poza jedną porcją dla każdego pozostała jeszcze jedna na kilku, którymi jednak byli już tylko najbliżsi rozdającego. Ponieważ i ja się między nimi znalazłem, nie miałem powodu do niezadowolenia.

Ta sama historia powtórzyła się i przy śledziach, które w obozie powierzono dwom znanym złodziejom. Nic też dziwnego, że gdy pociąg ruszył, korzystając z ciemności dostały one nogi i znikły. Wprawdzie wobec nas ich dozorca nie usiłował w ten właśnie sposób tłumaczyć brak pewnej ich ilości, a powoływał się na pozostawienie ich przez "zapomnienie" na półkach, faktem jednak było, że przypadło im w konsekwencji po dwa na osobę. Jeszcze gorzej było z owsianką, gdyż ją całkowicie zapomniano zabrać z wagonu, za to kaszy jaglanej łącznie z mąką dostało się każdemu po pełnej podwójnej puszcze, choć i tutaj byli tacy, którzy dostali po dwa razy z uwagi na zbyt małą kontrolę. Najmniej było kłopotu z najlepiej pilnowanymi konserwami i ich przypadła jedna puszka na trzech.

Kiedy wreszcie ten podział, obserwowany przez wszystkich z największą uwagą się skończył, każdy mniej lub więcej zadowolony oddał się w spokoju konsumpcji przede wszystkim chleba i śledzi. Jeden Niemczak od razu pożarł cały chleb i śledzie, ubijając tym samym dwie pieczenie: najadł się i równocześnie zabezpieczył się przed ewentualną kradzieżą. I nawet nie zachorował po tej uczcie, a przynajmniej nie bardzo! Zato w ostat-

nim dniu, kiedy nawet nam żołądek grał marsza, jemu tym bardziej musiał głód dokuczać.

Umieściwszy w brzuchu pół chleba i śledzia poczułem się i ja syty i brakowało nam tylko papierosa. Nie umiałem, jak inni żebrać wśród innych pasażerów, czy co pół godziny iść do ustępów, gdzie można było nazbierać czy wyłudzić niedopałki, mimo to co pewien czas "dymka" od innych dostałem.

Przesiedzieliśmy tak zgromadzeni w kącie poczekalni całą dobę, wychodząc tylko od czasu do czasu pod opieką konwojentów do ustępu. Z braku warunków technicznych nie mogliśmy ugotować sobie zupy z wyśasowanej kaszy, zresztą nikomu jeszcze się nie chciało jeść.

Kiedy wreszcie mieliśmy wsiadać do następnego pociągu, przybyła następna grupa, która opuściła obóz w dobrą po nas. Dostała ona również prowiant na 4 doby, lecz już znacznie mniej od nas, zarówno kaszy jak i śledzi. Puszka konserw przypadła już na 5 czy 6. Trudno powiedzieć, co się na to obcięcie racji złożyło.

I tym razem nasza podróż kolejowa nie trwała długo, gdyż po paru godzinach musieliśmy opuścić dość wygodne miejsca na półkach, gdyż przybyliśmy do dużego miasta, zdaje się Niżny Tagir, gdzie znowu oczekiwał nas dobowy postój. Tutaj, korzystając już z istniejących pieców, mogliśmy sobie ugotować jagłankę, naturalnie nie tak rzadką, jak w obozie, to też, choć bez jakichkolwiek przypraw, smakowała nam ona znakomicie, poprawiając nasze samopoczucie.

Tam też przeżyłem wzruszający moment, gdy akurat o północy z głośnika radiowego popłynęła ku nam aria z Hałki "Szumią jodły.." jakby pozdrowienie dla nas wygnańców na Uralu z dalekiej ojczyzny! Nie wielu co prawda z nas poznało tę melodię, jednak ci nieliczni mieli prawie łzy w oczach.

I znowu po pełnej dobie ruszyliśmy dalej, by po kilku godzinach znowu wysiąść na jakiejś większej niepamiętanej mi już stacji i spędzić na niej dalszą dobę. Tam mieliśmy sposobność zobaczyć milicję sowiecką, prezentującą się doskonale w długich granatowych płaszczach, która robiła kontrolę cywilnych pasażerów dworcowych, a ja osobiście kazałem rozmawiania z jednym oficerem NKWD, który wypytywał się mnie o nasze losy. Rzecz prosta byłem bardzo ostrożny w moich wypowiedziach/zwłaszcza przy trudnościach językowych/. Choć był pod gazem, to jednak sprawiał wrażenie kogoś inteligentniejszego. Papierosa wprawdzie od niego nie dostałem, gdyż jakoś nie zdobyłem się na przymówienie się o niego, za to prawie całą porcję lodów, które pysznie smakowały.

Wreszcie ruszyliśmy znowu dalej, by tym razem nocować na jakiejś małej stacyjce, po której kręcili się Niemcy jeńcy wojenni bez jakiegokolwiek konwoju. Nad ramieniem wreszcie przybyliśmy do stacji Kruticha, gdzie w nieopalonej sali musieliśmy czekać na przyjazd małej kolejki, która miała nas zawieźć do miejsca przeznaczenia.

Byliśmy już wtedy porządnie zmęczeni, gdyż o spaniu w czasie postojów

nie było mowy, a jedynie w czasie samej jazdy, wciąż przerywanej. Na zimno zresztą w samej drodze nie mogliśmy narzekać, gdyż wagony były opalane, a ponadto spaliśmy na półkach czy ławkach we dwójkę, co miało jedynie tę niedogodność, że ułatwiało przenoszenie się wшы. Za to głód dawał się nam porządnie we znaki, gdyż wyfasowany prowiant starczył nam zaledwie na dwie i pół doby, a potem trzeba była zaciskać pasa. Poratowała mnie wprawdzie nasza jedyna towarzyszka nieznanego mi nazwiska, dając mi sporą ilość jaglanki, do której wmięszalem resztę konserw i okruchów chleba, co wyśmienicie smakowało, okraszone ponadto głodem. Ona o jedzenie nie potrzebowała się troszczyć, mając go dość od konwojentów, z którymi chodziła do kina i do miasta, prawdopodobnie przy tym się z nimi puszczając!

Po jakichś dwóch godzinach marznięcia zaprowadzono nas do kolejki wąskotorowej, złożonej z motowozu i 3 odkrytych platform do drzewa, na których usadowiliśmy się jak kury na grzędzie i wreszcie ruszyliśmy przy porządnym, bo jakimś 25^o mrozie. Ja w swym kożusku nie bardzo go odczuwałem w przeciwieństwie np. do Nienczaków, z których niektórzy nie mieli nawet płaszcza. Nic też dziwnego, że w czasie tych trzech-jeżeli nie więcej-godzin, potrzebnych na przejechanie 15 klm, tak oni zmarzli, że poprostu beczeli głośno. Zachodziła nawet obawa, że wskutek skostnienia spadnie który z wagonu, na szczęście było się bez tego.

Wreszcie jednak nadszedł kres

i tej jazdy, która dała się nam we znaki bardziej niż poprzednia czterodniowa, nie tylko ze względu na panujący mróz i przenikający wszystko wiatr, ale również z uwagi na beznadziejność mijanych brzoź i olch, stojących w głębokim śniegu-i nasz pociąg zatrzymał się o kilkadziesiąt metrów od bram nowego obozu, którym okazała się Kruticha.

X.

Kruticha.

Nazwę powyższą nosiło nasze nowe miejsce pobytu prawdopodobnie od naprawdę krętej drogi, dzielącej nas od reszty świata. Jak wszędzie-i tutaj nie spodziewano się naszego przybycia, to też nie zastaliśmy nic przygotowanego, bo przybyła przed nami drużyna służbowa nie zdołała jeszcze nic zrobić. Baraki były w zasadzie puste, gdyż byliśmy jedni z pierwszych, na szczęście dość ciepłe, zwłaszcza gdyśmy zrobili porządną ogień. Ten jednak dzień musieliśmy jeszcze przegłodować, a dopiero następnego dnia dostaliśmy swych 600 gramów chleba, śledzia i bardzo rzadką zupę.

W czasie drogi stowarzyszyłem się z Bachmanem, VD z Łodzi, dość porządnym człowiekiem, ratującym mnie często w kłopotach tytoniowych, w czym ja mogłem się mu obecnie zwanżować dzięki korzystnej transakcji zamiennej z oprawą od okularów słonecznych.

Roboty z początku nie było żadnej z wyjątkiem wewnątrzobozowej, mimo to jedną z pierwszych rzeczy kierownictwa było urządzenie komisówki, na której-o dziwo! dostałem I kategorię, choć ledwo mogłem chodzić. Dzięki obsadzeniu głównych funkcji prym rządzący Ukraincy; dzięki temu jednak, że zaraz z początku z jednym z nich, który później awansował na rotnego-Diduszcakiem-podzieliłem się odrobiną machorki, żyłem sobie spokojnie, nie mając z nimi żadnych przykrości.

Najgorszą rzeczą w tym obozie, najbardziej dającą się nam we znaki, było jedzenie, składające się-poza chlebem i czasem śledziem-z nadzwyczaj rzadkiej kartoflanki, w której ani kartofli, ani kaszy nie było widać. Na dobitkę z tego z początku dostawaliśmy zupę tylko raz dziennie z powodu zbyt małego kotła, to też z dnia na dzień ubywało nam sił, czym wcale się nie przejmował komendant lagru, który wolał konserwy i tłuszcz upychać na lewo. Nie wyszło mu to jednak na dobre, gdyż doigrał się w końcu procesu i zafasował podobno 10 lat. Nie bez wpływu na taki wyrok było uprawianie przez niego handlu i naszą garderobą, gdyż wszystkie nasze cywilne rzeczy spuścił ze swymi kompanami na lewo. Jak tam dokładnie z tą sprawą było, nie wiem, w każdym razie Smolik był świadkiem na tym procesie.

Główną naszą robotą było rżnięcie drzewa na opał, przywozonego co pewien czas przez traktory w postaci olbrzymich pni do 1 m średnicy, przy których kilka par traczy miała zatrudnienie na cały dzień. Poza tym kilka razy wychodziliśmy oczyszczać tor ze śniegu wzgl. niedaleko od obozu na "stakadę" tj. na układanie stosów drzewa. Pocieszało nas przy tej pracy, że za to dostaniemy dodatkowy chleb, lecz skończyło się na obietnicach.

W ten sam zresztą sposób wiedziono w pole kilku ochotników do robienia jakichś klocków do elektrowni. Nazywało się najpierw pięknie, że za nocną pracę dostaną po kilkaset gramów chleba, a skończyło się na tym, że mogli

najeść się do syta zorganizowanych przez siebie kartofli. Wnet też poznaliśmy się na ich metodach i w rezultacie trudno było znaleźć ochotników do jakiegokolwiek roboty, zwłaszcza gdyżjechała do nas reszta z Kospasza. Zwodni musieli prawie z płaczem prosić o wyjście na jakąkolwiek robotę, choćby w zonie. O stanie dyscypliny świadczył fakt, że wznoszony wówczas barak nie tylko że nie rósł, ale wprost malał, bo w nocy kradziono z niego drzewo na opał.

Mimo przykrego doświadczenia kiedyś jednak udało się rotnemu nabrać kilkunastu z nas. Mianowicie bardzo często zdarzało się, że dostawa chleba szwankowała wskutek zasypania śniegiem toru i wtedy nie było innej rady, jak wysyłać po chleb ludzi. Nie brakło na takie wyprawy amatorów, gdyż niekiedy udawało się im przy tej okazji coś zorganizować. Otóż raz też zostali wysłani po taki zatrzymany w drodze chleb, czekający na odbiór "o jakieś półtora kilometra". Ponieważ ja do nich nigdy nie należałem, miałem prawdziwą "Schadenfreude", gdy po kilku godzinach wrócili zmachani jak psy, bo nie chodziło wcale o chleb, a o odgarnięcie toru ze śniegu i to o jakie 4-5 klm od obozu. Drugi raz nie pozwolili się oni nabrać.

Przy pracach śniegowych mieliśmy paskudnego majstra, który również nas wciąż kiwał. Wyznaczał on nam bowiem niewielki odcinek do oczyszczenia, po której to pracy mieliśmy być wolni, po tym dodawał jeszcze kawałek, ot do słu-pa, do drzewa itd., aż robiło się jesz-

cze raz tyle. Kiedyśmy się kiedyś przeciwko temu zbuntowali, mieliśmy do czynienia z konwojentami, młodymi chłopakami, którzy byli do nas specjalnie nastawieni, uważając nas za polskich bandytów, by po pewnym czasie się przekonać, że jednak takimi nie jesteśmy!

W lżejszym razie naogół można się było w tym obozie objadać i gdyby tylko pożywienie było w nim lepsze, jakoś można by w nim wytrzymać.

W ten sposób przepędziliśmy równy miesiąc, gdy przyjechało do nas kilku cywilów. Oglądali oni nas właśnie wracających z pracy to też od razu się domyśliliśmy, że przyjechali po nowy dla siebie żywy towar. I rzeczywiście zaraz następnego dnia wywołano spośród nas ponad 100 "najsilniejszych" i po kolei wyprowadzono za bramę. Nie chcieliśmy się jednak ruszyć bez chleba i obiadu, to też naczalstwo chcąc nie chcąc musiało wstrzymać wysyłkę aż do ugotowania obiadu, który był wyjątkowo gęsty, i wydania chleba. Że przy tak szybkim rozdziale chleba zarobił kilka ładnych kilo, nie ulegało dla nas wątpliwości.

W rezultacie też dopiero po południu zdołano nas załadować do leśnych "pulmonów" i już przy mniejszym mrozie dowieziono nas na dworzec w Krutisze, skąd już w ciemnościach ruszyliśmy wzdłuż toru pieszo w śniegu. Po kilkunastu kilometrach takiego marszu mieliśmy już dosyć, gdy wreszcie zatrzymano nas przy jakiejś stacji na szosie, gdyż jak ktoś nas zapewniał, "wsie czas" miały po nas przybyć traktory. Jakoś przez godzinę nie zdołały one dojechać, wobec cze-

go zaprowadzono nas do jakiegoś stosunkowo ciepłej sali, gdzie zmachani rzuciliśmy się gdzie kto mógł na podłogę, by jakoś przedzemać na niej do rana. Mnie udało się znaleźć miejsce na ławce przy piecu, to też jako tako odpocząłem, inni jednak leżeli jeden na drugim.

Kiedy rano przyszło do nas k kilku ruskich wziąć nas do rąbania drzewa, oczywiście nikt się nie ruszył i w rezultacie doszło do wymiany ostrzejszych słów, gdyż oni chcieli roboty, a my chleba. Skończyła się na tym, że sami brygadierzy musieli rąbać drzewo. Jeden z żądających naszej pracy, podobno lekarz, obiecał dać się nam poznać, jakoś jednak nie miał do tego sposobności, gdyż nic z tego nie wyszło.

Ponieważ i rano obiecane traktory nie zdołały do nas dotrzeć, ruszyliśmy pieszo po zasypanej zupełnie śniegiem ścieżce, prowadzeni przez jeńca niemieckiego. Nazywało się to 4 kilometry, a było conajmniej jeszcze raz tyle. Jedyną rzeczą, która łagodziła zmęczenie, był las, przez który wiała się nasza droga. Wreszcie, kiedy już ledwo się wlekliśmy ze zmęczenia, wyszliśmy na dużą polanę, w środku której ukazały się baraki z wijącymi się z kominów dymami, zwiastującymi ciepło i grupkami ludzi, idącymi właśnie z menażkami po obiad. Widok ten naturalnie dodał nam sił i wkrótce stanęliśmy przed wrotami nowego, piątego już z kolei lagru o nazwie Kostokuchowa.

XI.

Jeszcze nie dorosli do wolności...!

Jakoś brama do niego nie kojarzyła mi się z dotychczasowym "Lasciate ogni speranza!", a raczej wydawało mi się, że widzę napis "Niechaj żywi nie tracą nadziei!", bo przecież nazywało się, że to znowu lager przejściowy, dalszy etap drogi do wolności, mimo, że zdawaliśmy sobie dobrze sprawę z tego, że nie przybывamy tu na odpoczynek, lecz na robotę, bo dla tego tylko wybrali niby nadszadowszych.

Po przejściu przez ucho igielne przechodni pierwszą rzeczą było wybranie sobie najlepszego miejsca, co nie przyszło trudno, gdyż lagier był prawie pusty, bo niedawno dopiero przybyło do niego kilkunastu celem jego zorganizowania. Wybrałem sobie miejsce na górnej pryczy jako cieplejszej, blisko pieca, zaopatrzonego w płytę tak, że blask ognia padał na mnie. Jako współlokatora wybrałem sobie tym razem Łęckiego, byłego porucznika z Poznania, który wydawał mi się możliwy do współżycia. Muszę przyznać, że przeszkadzać to mi zupełnie nie przeszkadzało, za to o jakimś zbliżeniu nie było mowy, gdyż jego myślą przewodnią i jedynym celem było jedzenie. Rzadko spotykałem typ takiego prawdziwego repeciarza, uznającego tylko jedną drogę - do kuchni. Był jednak o tyle wygodny, że nie potrzeba było z nim rozmawiać, a ponadto bliższa z nim styczność nie była do pogardzenia, gdyż zrobił się zaraz brygadierem. Żadnej

jednak korzyści z niego nie miałem.

Nie przypominam sobie, czy i tym razem była komisówka, czy też z góry uznano nas wszystkich za zdrowych i zaczęli posyłać na roboty do lasu. Po paru próbach dobrania sobie przy tej pracy "naparnika" zostałem przy Walczaku, prostym robotniku z Kutna, gdyż mi się z nim dobrze pracowało. Nie znaczy to, bym wymigiwał się od pracy i zwał ją na niego: na to by on nie pozwolił, widział jednak, że w miarę się staram się robić co mogę i tak przez dłuższy czas zostało.

Miejsce pracy leżało o przeszło 2 klm od obozu, lecz lećna wygodna droga pozwalała na przebycie tej przestrzeni bez większego wysiłku. Ponieważ pracowało się dwójkami, rozehodziliśmy się zaraz po lesie i upatrzwszy najbliższej drogi stojące drzewa zabieraliśmy się do ich ścięcia. Dla zrobienia przebisanej normy trzeba było ściąć co najmniej trzy drzewa, następnie porzucić je w głębokim pod śniegu na kawałki po 175 cm, a później - co najgorsze - pozostawić je na stos! Musiałem jednak pozostać przy tej robocie, do ciepli bowiem nie mogłem się dostać, bo tam trzeba było już coś umieć, gdyż chodziło o wyrobienie z naszych kawałków kolejowych progów pod mającą być latem budowaną kolejkę. Ponieważ tych "spak" trzeba było wyrobić około 20.000, mieliśmy zapewnioną pracę na długi okres czasu.

Muszę przyznać, że mi się tam dobrze pracowało, tym więcej, że i chleba

czasem było więcej i zupy gęstsze, a niekiedy były jeszcze i normy dodatkowe w postaci kaszy z makaronem i jajecznicą w proszku. Przy takim też wyżywieniu można było pracować. Szkoda tylko, że nie zawsze wyrabiało się normę, a to wskutek machinacji dziesiątnika. Praca ta choćby z tego względu była znośniejsza, że konwojenci zupełnie się do nas nie wtrącali, ograniczając się do grzania się przy ognisku.

Ponieważ, jak wspominałem, nie oszczędzałem się, wracałem do zony porządnie zmęczony, gdyż nie zawsze był czas nawet na ogrzanie się, a tym bardziej na dłuższy odpoczynek. Zresztą przy pracy było nam porządnie ciepło i nie odczuwaliśmy wogóle kilkunastostopniowego mrozu.

Przed rozpoczęciem pracy przy podkładach wysyłano nas kilka razy po drzewo na opak w przeciwną stronę od obozu, gdzie krój obraz był również bardzo uciążliwy, a zwózka saniami wcale nie uciążliwa.

Powoli legier zaczął się zaludniać, gdyż przybył zarówno szpital, jak i O.K. Powstałym nawet z czasem z tego powodu ścisłym naszym nieczalstwem zupełnie się nie interesowało, zajęte jedną tylko rzeczą: zrobieniem elektrowni z jakiejś starej lokomobili. Trzeba przyznać, że już pod koniec naszego tam pobytu wysiłkiem monterów z naszego grona zostały wreszcie uwieńczone skutkiem, gdyż wracając śarówki zaczęły się rumieć tak, że w nocy można było poznać, gdzie wiszą.

Paraki były ciepłe i co naj-

ważniejsze, całkowiec pozba-
 wiłone pluskiew, zamiast których jednak
 pojawiły się wszy. Przydomianam sobie kie-
 dyś komieczną scenę, jak czekając w kolej-
 ce na wydanie obiadu, zobaczyłem na pie-
 cach poprzednika kilka spacerujących
 sobie spokojnie, więc poprostu je zdją-
 łem, by je zabić nad trzymaną w ręce me-
 nazką. Zobaczyły to stojące obok kobie-
 ty, których było w obozie kilkanaście, i
 zaczęły się śmiać, na co tylko wzruszy-
 łem ramionami.

Ewentualnemu czytelnikowi na-
 pewno również wyda się moje ówczesne
 postępowanie, jeżeli nie obrzydliwe, to
 conajmniej cudaczne, ja jednak tak już
 się otrząsałem z tym wszystkim, że nie
 widziałem w tym nic komiecznego czy plu-
 gawego. Ot, chodzą wszy, to trzeba je za-
 bić!

Podczas gdy w Kospaszu mieli-
 śmy specjalną jadalnię, podobnie w Ja-
 wie, choć z powodu mrozów nie była ona
 używana, w Krutisze się ją dopiero wy-
 kończą, to tutaj była ona dopiero w
 projekcie, wobec czego trzeba było cho-
 dzić do kuchni po jedzenie. Jedynie
 chleb przyrządzono nam na sale, możli-
 wiąjąc nam spokojne rozkoszowanie się
 widokiem roddziatku i oczekiwanie na
 chwilę, kiedy dostanie się do ręki ka-
 watek. Prawem kaduka nie dawano tyle
 porcji, ile wypadako według normy, a przy-
 dzielano od 600 poprzez 720 aż do 920
 gramów, to też rzeczą brygadiera było
 odpowiednie rozdzielenie różnych por-
 cji. Rzecz prosta najprostszym i naj-
 bardziej sprawiedliwym był przydział
 mniejszych porcji według kolejności, do

czego konieczne było prowadze-
 nie specjalnej buchalterii i to na des-
 ce z braku papieru, by móc stwierdzić kto
 jaką porcję danego dnia ma otrzymać.

I tak jednostajnie plynęły
 znów tydzień po tygodniu, aż w pewną so-
 botę rozeszła się wieść, że nazajutrz
 mamy wyjść do innego obozu, a na nasze
 miejsce mają przyjechać jeńcy. Dopiero wie-
 dy też zrozumieliśmy, dlaczego tego dnia
 przyzeczpił się do nas dziesiętnik, który
 pod pozorem niesprężnięcia przez nas
 gąkzi nie uznał nam normy: poprostu
 chodziło o uratowanie w ten sposób kil-
 ku kilogramów chleba. To samo podkoże
 miata i sprawa tytoniu, który przydzie-
 lono po 50 gramów chorym ze szpitala,
 a odmówiono pracującym. Kiedyśmy się o
 niego upominali u oficerów, ci obiecywa-
 li i tę sprawę uregulować. Nazno wam-poku-
 czycie! - powtarzali. Owszem, pokuczyli,
 ale chyba oni, gdyż grali w jedne skrzyp-
 ce z komendantem.

Wiesz ta nie okazaka się zwyk-
 tą piotką i w istocie w niedzielę zda-
 je się 17 lutego 1946 od samego rana
 rozpoczają się ruch w obozie, gdyż wszy-
 scy bez wyjątku z niego wychodzą. Po-
 nieważ było nas już wtedy około 400,
 łatwo zrozumić, że filtrowanie tej ilości
 ci przez przychodnię trwało bardzo dłu-
 go, zwłaszcza, że jeden VD był bardzo
 gorliwy i odbierał każdemu bez wyjątku,
 co tylko przedstawiało jakąś wartość.
 Odrzucak nawet różnace, co spotkało się
 z wielkim oburzeniem pokrzywdzonych, któ-
 rzy czekając na ruszenie pochodu odgra-
 żali się, że już się z nim rozprawią.
 Skonczyło się jednak tylko na gadaniu,

gdz mimo spotkania sie z nim
później w Rezu, nikt go nie tknął palcem.

Po kilku godzinym czekaniu, gdy

już słonce miało się ku zachodowi, cały

obóz, wyciągnięty w długiego węża, ruszył

nieutartą drogą poprzez las w nieznaną

dale. Człkiem się całkowicie sły, gdyż nie

tylko udato mi się przed wyjściem z obo-

zu uzyskać świątę, lecz jeszcze kę-

ki poczęstować mnie ugotowaną dla niego

kaszą, której już nawet wazyłkiej zjedł

nie mogłem. Z nim też szedłem przez pu-

re łądzin, podpierając się kijkiem i sku-

chając jego pierwaszych wymiętrzeniach. W

końcu jednak i jego temat się wyczerpał

i zaczęto nas ogarniać zmęczenie, a tu

nie widąc krasu drogi. Orientujemy się

jedynie, że prowadzi ona znany już nam

szlakiem, którym szliśmy z Krutichy.

Zapada tymczasem noc, jednak

başność będącego w pełni księżycza po-

zwala na całkowicie swobodne poruszanie

się. Idąc ścieżką w odstępach kilku kro-

ków jeden od drugiego, rzucamy czarne cie-

nie na nieskażoną biel śniegu, które ry-

suje się ostro, tworzą jakby kłwiasze

fortepianu, na którymś los wygrywać może

jakąś pieśń skazanych czy symfonię nie-

wolników.

Mogła już być północ, gdy od

czeka dochodzi wieść, że już niedaleko.

Rzeczywiście zbaczamy z nad toru w las,

pokryty śniegobokim śniegiem, nie pozwaln-

jącym na wyczućcie drogi. Ten ostatni ki-

lometr okazuje się też z tego powodu

najgorszy, jednak i on w końcu ma swój

kręć i z poza drzew widzimy jakiegoś świa-

tełka, zwisającego bliskoc łagru. Jesz-

cze kilkadziesiąt kroków i wychodzimy

na szosę, biegnącą wśród dwóch

szeregow baraków, zamknięty bramą. Po-

dot godzinny musimy czekać na maru-

derów, nim wręczcie zaczynają nas wpusz-

czać przez przychoinię, przeszy bez

zwykłego sprawdzania "spisków", gdyż by-

liśmy zbyt zmęczeni. Nie oglądając znowt-

nie obozu, który pobit wrzenie bardzo

dużego, pobielimy prawie do wskazane-

go nam baraku, gdzie każdy ulokował się

jak mógł, tylko ciepłej i było przedzej

odpoczęć po tak długiej drodze.

Jak pamiętam, dostalem się

do jakiegoś pełnej izdełki, mającej te

zalegę, że w piecu tylko się kilka pa-

tyków, i skulikiem się przy piecu, czeka-

jąc ranka. I w ten sposób spędzikiem

pierwszą noc w obozie, który według ba-

dania ludzkiego miał być naszym ostat-

nim, bo już zbiorczym, w którym miałiby

jedynie dojść do pełnych sił i zdrowia

w oczekiwaniu na transport do kraju!

Niestety okazało się inaczej!

wtedy nastąpi już wiosna i zimno przestanie doskwierać, droga do pracy i z pracy była wcale przyjemna, czego przejawem był głośny śpiew, z jakim wracaliśmy z dalekiej przechadzki, ciesząc się perspektywą wspólnego obiadu i kolaniami, po których czkowiek z rozkoszą wyciągał się na twardą pryzę. Dzieki jedynak koczowi Drozda jej twardestwo było mniejsze, a noc wcale przyzwoite. Tyle zdolałem po 19 latach odtworzyć z pamięci w miejsce trzech zaginionych kartki / równoznacznej miłejwiecej trzem stronami /, opisującej pierwsze okres mego pobytu w Rezu. Strata niepowetowana, lecz mówi się trudno i wracać my do materiału istniejącego.

W pierwszych dniach maja, ledwośmy wrócili z normalnej roboty, wyśladaliśmy kartofli. Rzecz prosta byłismy wściekli, zwłaszcza że wobec braku kolanów nam tylko resztki rozcięzionej wody zupy obiadowej. Na szczęście zawiadomiono nas na dworzec autami i tam się okazało, że chodzi o zakadowanie kolanów i że wobec tego zamiaszt obiecanych kolanów jeszcze raz tak długo. I rzeczywiście mimo naszych starań, wzmożonych obietnic "kartoszek" i otrzymanym a konto po jednym na głowę ziemniakiem ugotowanym, dopiero około 2-jej w nocy udało się nam tę robotę zakończyć. Na szczęście obietnica stała się ciastem i za częściową zgodą dozorca obkadowaliśmy się ziemniakami do woli. Jedwo też mogłem iść, tak miastem wypchane nogawka / podobnie zresz-

Tak nazywano się nasze nowe miejsce pobytu. Był to dawniejszy obóz jeńców niemieckich, przez nich samych zbudowany, złożony, o ile pamiętam, z 9 dużych baraków, ustawionych w 3 rzędach. Budynki, choć z drzewa, były w środku tynkowane i miały nawet dość nobilny wygląd, zwłaszcza szpital, opatrzonej różnymi ozdóbkami. Ogładany z pobliskich wzniesień przypominał mi on ze swymi bocianimi gniazdami strażników jakies miasto ze St. Testamentu.

Jak się później okazało, leżał on niedaleko zalewu Kamy, spiętrzonej w samym mieście, którego drewniane domy położone były w zasadzie przy jednej szerokiej niebrukowanej, a jedynie szutrowanej ulicy. Do tego miasta, odległego o kilka kilometrów od obozu, wiódła nasza codzienna droga robocza, wyłożona poprostu balami, a to z uwagi na błotnistej teren. Biegła ona przez las obok dawniejszego kamieniołomu, wierałczego i różne ozdoby kamienne, z których później niektórzy robili kolarowe, wcale ładne cygarniczki, niestety zbyt drogie na nasze kieszenie. Poprzejściu lasu najpierw dostawaliśmy się do miejsc naszej pracy "Zawod 527" przez 160 zalewu, później zaś, gdy on stopniał, okrężną drogą.

Dostawiam się do zwołu Latawca, przeznaczonego do wszelkich prac porządkowych rozbudowanej fabryki, a więc w zasadzie nieuciągliwych. Ponieważ

4-ej do domu, zrobiliśmy awanturę w kuchni za niepozostawienie nam kolacji, lecz nie już nie dąto się zrobić i musieliśmy iść spać gdzieś. Rano za to upiekłem i najadłem się do syta kartofli, co przy pracach lekkiem rozwoleńniem, zjadłszy kilka na zimno w czasie powierki. Będem się bowiem, że przy rewizji mogę mi je odebrać, a żal mi było je oddać innym. Resztę mi potym ktoś ukradł, to też nawet kilku rubli sobie nie zarobiłem.

Po kilku dniach zrobił mi się wrzód na nodze, o czym wspominał na innym miejscu i powdrowałem-przyznam się nawet nie bardzo ciężnie-do szpitala, w którym pobyt zamiesz przewidywanych kilku dni, przeciągnął się prawie do 3 miesięcy. Dzięki temu doskonale odpoznęłem i nabrałem się do dalszej, jęć się niako okazać, jeszcze przeszło rocznej harówki. Lecz o tym później!

Jak zwykle w takich wypadkach bywają, pierwszych kilka dni przepałem jak borsuk na wygodnym sienniku pod kołcem, budząc się tylko w porach posiłku. Apetyt miałem porządny, to też, choć posiki w szpitalu nie były gorsze od tych-może tylko bardziej rozdrobnione, no i miałem chleba!-czukem się z poczęt-ku nie bardzo najedzony. Tomogł mi coś-prawda kilka razy kędzia, znowu markie-rujący w szpitali jako folcer, odstęp-jąc czy to swój, czy też lekarską zupę, lecz była to kropła na pustyni.

Kiedy się wreszcie wyapat za wszystkie czasy, zająłem się na gwalt literaturą, czytając jakie mi tylko w ręce wpadły broszurki niemieckie i ro-

syjaki, w którym to języku od czasów Kosparsu, kiedy to po raz pierwszy zacząłem sylabizować jakęś broszurę, poczytnie dość znaczne postępy. Naturalnie rozumiałem piąte przez dziesiąte i o akcencie naturalnie nie było mowy, ale coś nie cos wprawy w czytaniu i rozumieniu nabrałem.

Tak mijał jeden tydzień za drugim, rano się zabliźniata i zacząłem już liczyć na palcach dni, dzielące mnie od najbliższej komisówki i wylecenia do roty. I właśnie wtedy, kiedy dzięki przychylności niemieckiego sanitariusza odwielekany ten dzień miał nadejść, zaszła zdegradowany za coś ze stanowiska starszego szpitala Andrzejkowicz, a niejako jego żęć mgr. Krawczyk, który odrazu zwrócił się do mnie z propozycją objęcia funkcji sanitariusza. Naturalnie odrzuciłem to było zpodziłem, gdyż równoznaczne to było nie tylko z dalszym odpoznieniem, ale i z lepszym zarciem.

Nowo objęte stanowisko dzię-ki przychylności Krawczyka było dość-rodzawia posilków. Do pomocy bowiem otrzymałem jednego W., który wykonywał grupową robotę. Zrazu co prawda musiałem mu pomagać, po pewnym jednak czasie do-stałem drugiego pomocnika, to też wtedy nie fatygowałem się nawet wstawanie po, by sprządnąć, czy wymyli podłogę. Jednym słowem miałem wtedy pyszne życie: pracy mało, a jedzenia dużo!-stawała się nam dolewka, czasem nawet nie szpitalny, dbat o nas i zawsze do-

Kiem się do przelania jej za-
 wartosci do drugiej, to też w rezultacie
 miał nawet o kilka gramów mniej. Idiota,
 w domu napewno żart z brudniejszej!
 Inym razem, już pod sam ko-
 niec, była taka tragedia przy rozdawa-
 niu kosztu. Dawakem je bez żadnego wybie-
 rania tak, jak je przyniesiono z pralni,
 to też kilku dostały się dość podarte.
 Z braku innych nie mogłem ich wymienić,
 to też musiałem się nasłuchać preten-
 sji pod moim adresem, zwłaszcza ze stro-
 ny jednego VD, Lewińskiego, który zmie-
 szkał mnie wprost z błotem i dopiero go
 uspokoiła obietnica dania mu w mordę.
 Były to zresztą, jak już wspom-
 niałem, ostatnie złote dni Aranjuenu, bo
 dr. Demel, bardzo porządny chirurg, już
 nie mógł narządek się dłużej trzymaniem
 mnie w szpitalu. Już też od połowy lip-
 ca czekał się na mnie, by mnie wypisać,
 lecz zawsze udawało mi się to odwiec
 z jednej komisówki na drugą. Raz kędzia
 mnie uratował, raz magister, to znówu
 Przytylak pomógł z doktorem, to znówu
 w czasie komisówki mnie nie było w
 szpitalu i tak przetrwałem aż do 10
 sierpnia. Wtedy już, nie widząc sam moż-
 liwości dalszego utrzymania się na swym
 stanowisku, poszedłem na komisówkę z
 dumnie wzniezionym czokem. Kapitan spy-
 tał się tylko z usmiechem: "Już nie cho-
 cicie być w lazarecie?" - na co również
 z uśmiechem wzruszyłem ramionami i wy-
 szedłem do roty z drugą kategorią.
 Tym razem dostałem się nie
 do zwodu latwca, a zwodu Burdajewicza,
 gdzie nie zastałem nikogo z dawnych mych
 znajomych, gdyż część poszła do szpitala,

trzy razy dziennie, to też
 nie dziwnego, że brzuszek zaczął mi ros-
 nąć, zwłaszcza gdy objął dodatkowo wy-
 nagradzaną funkcję nosiwody. Wtedy za-
 cząłem już wyglądać - jak na stosunki
 obozowe - naprawdę nieprzyzwyczajenie i led-
 wo mogłem się schylać do zawierzania
 sznurówek. Nic też dziwnego, że moja
 zaokrąglająca się postać była belką
 w oku zawistnych chofych, uważających,
 że tuczę się ich krzywdą!
 Siście mówiąc moja praca by-
 najmniej nie była lekka, gdyż wymagała
 ustawicznego kręcenia się po szpitalu
 z uwagi na częstotliwość posłzków i ilość
 pacjentów na podległym mi oddziale chi-
 rurgicznym, stanowiących prawie połowę
 ogółu chorych. Trzy razy dziennie trze-
 ba było rozdać chleb, tyłek razy zupy,
 oraz drugie danie obiadowe, w międzyczasie
 się kisał, klopoty i co tam jeszcze cza-
 sem przypadało. Jednym słowem przy każ-
 dej pracy trzeba było być conajmniej
 Znając dobrze z własnego doś-
 wiadzenia psychologicznie, starałem
 się dogodzić wszystkim i w tym celu za-
 czynąłem rozdawanie posłzków na zmianę
 od jednego końca lub drugiego - by każdy
 był kolejno pierwszy. Trudno jednak by-
 musiałem się użerać z głupimi jedno-
 stkami, uważającymi się za pokrzywdzo-
 nych. Kiedyś np. jakiś chorony tym, że była
 zwrócił mi miszkę oburzony tym, że była
 zardzewiała. Istotnie tak było, lecz nie
 to było przyczyną zwrotu, a nadzieja, że
 może w drugiej będzie więcej zupy. Ra-
 chuby jednak go zawiodły, gdyż ograniczy-

roboty, jednak negoda była pyzarna, gdyż kochoz dawał nam za to dodatkowy chleb i obiad. Nie można było tego porównywać z sytuacją w fabryce nr. 523, gdzie niekiedy dawano nam wodnistą zupkę jarzynową, dla której nawet nie było warto zbierać z dworca do miasta. Tam już dawno się potrosze odleżała skutki suary na Ukrainie, gdyż niezapelnienie od rozwodnienia zupy obcięto nam chleb i zniesiono normy, na wsi jednak te niedostatki jeszcze się nie uwydatniały i gyciliśmy się kosztem kochozu, wracając do obozu zupełnie zyci. Zdarzyło się też co kiedyś indziej było nie do pomyslenia! - ze parę razy oddałem swą zupę obozową komuś innemu, nie mogąc już jej zjeść.

Nic w tym nie było dziwnego, skoro przez cały dzień piekło się kar-toszki "skolko ugodno", a w pokładnie nadjeżdżał wóz z kubkami i każdy dostawał normalnie pełną miskę bardzo gęstej grochówki i pół miski kaszy sonej grochówki i pół miski kaszy sonej. Lub jeszcze gęstszej grochówki, oraz 200-300 gramów chleba, a często była i repeta. Zwykle też przyznaliśmy do zony chleb i ziemniaki, których zawsze można było trochę przynieść mimo pewnej kontroli. Nie udawało się to tylko wtedy, gdy na przychodni mieli zbyt wielki apetyt na ziemniaki: wtedy kazano wszystkim oddawać, co w sumie pozwalato na zapelnienie dwóch worków.

Dzięki takim też okazjom mogłem sprzedać wtedy trochę ziemniaków, nie podchodząc jednak do tego tak mordercynie, jak inni, którzy niekiedy przyniesili w spodniach po 100 i więcej

a część wyjechała do Altonai do szuchty. W ten to sposób rozwinięto się dla nas sny o rychłym powrocie do domu i że to jest nasz ostatni obóz.

Więść o tym wyjeździe, który miał miejsce w okresie mego urzędowania w szpitalu, wzbudziła w nas prawie nie w szpitalu, wzbudziła w nas prawie rozpacz, gdyż oznaczato to nic na dłuższy czas z wyjazdu do domu.

Dzięki jednak memu nabraniu ciała mogłem przystąpić do pracy z nowymi siłami. Chodziło się teraz na nią na pobliskie "zawody" i do Rezu. Nasz zwodny był dość znośny: krzyczak tylko tyle, ile wypadało. Za to robota była idyotyczna, gdyż przez jakiś tydzień polegała na żażeniu po lesie i zbierniu wazylek i garzdek. Zamiaszt nich jednak większą zbierną grzyby, które jednak ze względu na sezon była masa-darzych ze względu na sezon była masa-darzych do nich się nie przyjął, wolać ich nie jeść i nie mieć kłopotu z ich przyrządzeniem.

Przez dalszy tydzień chodziłiśmy tuż pod zoną robie drogę z okraglaków, co nie było złą robotą, potem przygotowaliśmy pułki na sezon zimowy, co przyjmowaliśmy z radością, jako że dawno możliwości zdobyć cię buma-żel gazetowych, których w pustych izbach była masa. Szkoda tylko, że ta wspaniała praca przypadała na okres ładnej pogody - Z początkiem września przetruciono z kolei na wykopki. W pierwszej dziedzi- cono z kolei na wykopki. W pierwszej dziedzi- dążyć za innymi, przetrucikiem się na zbieranie. Krzyż wprawdzie bolak od tej

o ile je właśnie zbieraliśmy, po po owisie "niczego nietu"!

Śmiać nam się chciało, gdyśmy musieli ścinać wystające spod śniegu nieliczne kłosa. Czyż nie można było przewidzieć spadnięcia śniegu i zamiaszt nas używać do innych niepilnych prac, ściągnąć nas tu przedziej, choćby jeszcze wtedy, gdy był niedojrzały? Zawsze więc -

cej by z niego było, niż przy takich zmianach w śniegu. Pomniżm już to, że za pierwszym razem praca nasza okazała się przedwczesna, gdyż śnieg zaraz stopniał. Naprawdę jednak wtedy nikt nie pomyślał, by po-prawieć kobbę! Nic też dziwnego, że z całego dość dużego pola zebrałiśmy kilka niedźnych kulek. Zkaszczą będgęym wśród nas rolnikom nie mogło się pomieścić w głowie, że takie marnotrawstwo było możliwe. Jeśli gdzienindziej też była tak samo, nie dziwnego, że stosunki żywnościowe musiały się pogorszyć!

Te jazdy z uwagi na ogromne błoto nie zawsze były przyjemne, gdyż niewiadomym było, czy nie przyjdzie nam wracać pieszo albo przynajmniej zsiadać po drodze i popychać samochód. Szoferzy bowiem musieli dokazywać cudów zręczności, by na szerszej od autostrady wybois-tej polnej drodze znaleźć takie miejsce, ty w nim nie ugrzędć. Nic też dziwnego, że nie kwapiłi się do odwożenia nas i kiedyś, przyjechawszy późnym wieczorem do Reza, musieliśmy przesiąść godzinę czekając na zimnie na wyniki targów z szoferem, by ostatecznie wrócić pieszo po błocie do obozu.

Innym razem autą poprostu po nas na miejsce pracy nie wróciłi i mu-

sztuki
Po dwóch tygodniach jednak ta praca i związane z nią korzyści dobiegły kresu i nasza Brygada z Senko - z którym się wówczas bliżej poznałem - na czole zaczęła chodzić do Rezu do budowanej tam właśnie przez zwód ukraiński bani. Robota nie była w zasadzie zła, gdyż polegała na noszeniu szlaki na I. piętro, gdzie pracowali cięśle, co pozwa- lato na dużo markieracji, ale za to była głupia i nudna. Choć nie przejmowaliśmy się wcale naszą pracą, nie mogliśmy pod tym względem dorównać ukraińcom, którzy mieli znacznie lepszą pracę w Lenin- chowaniu. Poprzednio dostawali oni rów- nież obłady, które z chwilą naszego przy- bycia odpadły ze względu na kryzys.

Na tym też miejscu bez żadnych targ z fachowcami przeprowadziliśmy z niewielkimi przerwami, kiedy to zapycha- no nami inne dziury, do końca październi-ka 1946 r. To łatanie miało miejsce w okresie zimy, tj. kiedy spadły pierwsze śniegi, nie długo zresztą się utrzymują- ce. Wówczas to pakowano nas na autą, a raz nawet do pudła autentycznego niemiec-kiego autobusu, pozbewionego szyb, i wy-wożono o kilkanaście kilometrów za mia- sto, to do wykopków, to do sprzątania owsa.

Jaka ogromna różnica była między tamtym kochozem, a poprzednim! Już same kartofle: tam jak pięści, tu jak orzeszki! Albo wyżwienie: tutaj za całego dzienną pracę w błocie dostawaliśmy zu- pę z listki kapucیانych i po kilka go- towanych w łupinach brudnych kartofli,

sielismy pieszko wrascac do obozu, od którego dzieliło nas jakichś 18 kilometrów drogą kółkową. Okazało się jednak wtedy, że nie jest tak źle, gdyż nasz dziesiętnik poprowadził nas nie normalną drogą, a przez pola nad jezioro czy zalew i po przeprowadzeniu się przez nie kładną dzielił nas od obozu zaledwie parukilometrowy ęśaty las. Popratus nasz oboz znajdował się na wysokości jeziora i w prostej linii od miejsca pracy nie wiem czy było z 8 kilometrów.

Ładną wtedy mieliśmy przechadzke, gdyż droga prowadziła przez pola, obsadzone burakami, na które bractwo rzuciło się jak szalone. Ja byłem tak zmęczony, że poprostu nie chciało mi się po niego schylać, jednak dzięki hojności twarzysza Zawadzkiego dostało mi się trochę rzeczy, a już nad jeziorem, trochę marchwi. Niezależnie od tego droga była i romanetyczna, bo przez rozlaną wodę, nad której drugim brzegiem płonęło ognisko, rozpalone przez najpierw przewidzianą partię, a widoczka ciemnym jak piwnica lasem, w którym zubiłem całą zalówkę i prawie bozo doszedłem do obozu.

Pod koniec października znowu rozszka się wieść, że mają nas rozesłać do innych obozów. Tym razem okazało się to zgodne z prawdą, gdyż popołudniu zrobiono komisówkę i wszystkich mogących się jeszcze ruszać przeznaczono do mającego nastąpić następnego dnia wyajtki. Z tego też powodu nie wyskano nas już na całodzienną pracę, gdyż był za duży młotlik z powodu narkywu w międzyczasie przyszedł z innych obozów, Inwalidów.

Naczelnictwo jednak nie mogło się pogodzić z myślą, byśmy za darmo jedli ich chleb, to też przedpołudniem wyskano nas do lasu po drzewo i to trzykrotnie. Dopiero kiedy wskutek panującego ślizgawicy jeden ztracił sobie rękę, a mgr Krwawczyk zdaje się obojętnie, a ponieważ doznał wstrząsu mózgu, dał nam wreszcie spokój. Dzięki temu też wypadkowi uwolnił się on od wyajtki i został podobno później wysłany na Krym, skąd miał wczesniej wrócić do Polski.

Popołudniu zjawixy się po nas auta i powstaka kalgca kwestia, dokąd jedziemy. Jedna bowiem grupa miała jechać do Altonai czy też Jegorszjan, a druga do Samocwietu, o którym słuchy chodzily, że jest najgorszym obozem, jaki może istnieć. Obie grupy liczyły po około 100 osób. Kiedy wreszcie po skontrolowaniu w bani, czy ktoś nie ma za dużo odzieży, wywołano nas przed bramę, okazało się, że nieestety właśnie ta, do której ja trafiłem, przeznaczona jest do drugiego obozu.

Nie mogąc w niczym tego zmienić, wpakowaliśmy się za innymi na jedno z kilku aut i już o zmroku ruszyliśmy w nieznaną. Noc była mroźna, około 15, jednak nie odczuwaliśmy zima, opatulony w szynel i zająwszy miejsce w środku wozu, i tylko obserwowałem rozgładzanie nieiebo-dechaliśmy tak kilka godzin, gdyż podobno dzielilo nas od celu około 80 km, a wreszcie wyrzucano nas w jakiejś wsi, bo podobno zabrakło benzyny. Byliśmy jednak przekonani, że z tym praksem to zwykła lipa, a poprostu postanowili ją spytać na wódkę, bo czyż

nie wiedzieli, ile im trzeba paliwa i nie mogli go nabyć w Rezur

Wprowadzono nas do jakiegoś

remizy, gdzieśmy oczekiwali tanka, uło-

kowawszy się na podłodze jak śledzie.

Z uwagi na panującą w niej dość względną

temperaturę było nam dość ciepło,

kłopot jedynie był z wychodzeniem na

dwór. Konwojentowi bowiem sprzykrzyło

się szybko wychodzenie z każdym poje-

dyńczo na dwór, a tymczasem wędrowka

zamiaszt się zmniejszać, zwiększając, to

też najpierw palną nam kazań, że po-

winiśmy się powstrzymać, a gdy to nie

pomogło, przetrzymać nas za karę kilka-

nascie minut na dworze. Rzecz prosta

nie włączyć to bynajmniej odstrasza-

jąco, gdyż każdy z nas musiał po kilka

razy wychodzić ze swą potrzebą.

Kiedy wreszcie zaświtał ran-

nek, ruszyliśmy dalej jakąś polną dro-

gą ku obozowi, który miał być oddalony

o kilka kilometrów, z czego, jak zwykle,

zrobiło się kilkanaście i dopiero ko-

ło pokądnie, gdyśmy już byli porządnie

zmezczeni, ujrzelismy na horyzoncie kil-

ka szybów, a po nich i bocianie gniazda,

strzegące gosićnie otwartej na nasze

przybycie bramy Samocwietu.

Za dobre wywieziliby wspomnienia!

I tutaj nad otwierającą się przed nami bramą Samocwietu zobaczyłem w rzeczywistości nieistniejący napis "Łasciate ogni speranza... , który jednak nie mógł przeskoczyć przekroczeniu przeze mnie tych wrót piekielnych, które miały się przed nami otworzyć dopiero po upływie prawie roku, na szczęście już na zawsze!

Zaraz na wstępie okazało się,

że słusznie malowano nam ten obóz jako

najgorzszy, gdyż na nasze spotkanie wy-

szły jakiejś postacie zupełnie niepodob-

ne do ludzi, tak brudne, jakby dopiero co

wyszły z szachty. Kilku dawnych znajo-

mych z kospassu, który mieli nieścześ-

cie popaść tu przed nami, wyprowadziko

nas z błędnego przekonania, że chodzi

tu o zmianę, która dopiero co wróciła

z szachty. Nie, poprostu mato kto się z

mył z braku wody i mydła!

Naszym głównym marzeniem by-

ło narazie ogrzać się i coś zjeść. To

pierwsze pragnienie mogłimy zaspokoić,

gdyż w barakach było dość ciepło, nato-

miast o spełnieniu drugiego nie mogło

być mowy, gdyż jak zwykle o nas nie nie

wiedziano i obiad nam przeszedł koto

nosa.

Jak się tam rozpoczęło nasze

normalne życie, już nie pamiętam, jedynie

przypominam sobie wrażenie, jakie wywarł

na nas widok czarnych, lepiących się od

brudu stołów, zawalonych ościami rybą,

brudne miski, podawane przez jeszcze brud-

niejszych szuchciorów, no i wodnisty ka-

puźniak z liści oraz szare

zmarznięte kartotki. I takie pozytywne
ciągnęko się całym tygodniem! (dzie
się podziwiał) należne nam produkty, po-

zostało tajemnicę naczelnym!
Dopiero po Nowym Roku nastę-
ka-jeśli chodzi o czystość-zmiana na
lepsze, gdyż zabrano się do szorowania

stoków, które nabrały przysłowitego wyglą-
du, jakby to mogło wpłynąć na poprawę i
tresci spoczywających na nich misiek z

panem naszego życia i smier-
ci tj. prowiantowym był major, który nie
wiadomo jakim sposobem dochrapał się

tego stopnia, gdyż mentalność jego nie
przekraczała mentalności typowego kap-
rała. Znajdował on jakby prawdziwą przy-

jemność w karmieniu nas zbieranym po
polu liściemi kapusty, a później-już la-
tem w zatrudnianiu nas przy jej okopy-

waniu, przy czym robił nam nadzieję, że
i ja jeszcze będziemy jedli!

Nic też dzwonego, że przy ta-
kim wikcie nikt nie mógł długo wytrzy-
mac w rocie roboczej i rychę O.K. za-

czeka w zastraszającym tempie powiek-
stać swój stan ilościowy. Deszczę gdy
się pracowało na powietrzu, było jako

tako, po przejsciu jednak do prac w le-
sie, wymagających dużego wysiłku w celu
wykonania normy, nasza przygoda zaczęła
się szybko wykruśzać. Moi "naprawnicy"
zmięliali się jeden po drugim, czw to
dalego, że umieli lepiej markierować,
czy też istotnie byli mniej wytrzymałi,
a ja dzień w dzień sześciem de laun. Nie
stosowakem bowiem takich brodków, jak
ci, co jedli sól kyzkami, było tylko

• dostac onuchilany, stnowi-

cej. przepiankę do kompanii ozdowien-
ców, nie tylko z rozsadku, ale i dla te-
ro, że praca, choć wyczerpująca, była naj-

zdrowsza i najszlachetniej przy niej czas
płynął. Nie umiałem wrzucić markiero-
wać przy niej i dawałem ze siebie wszy-

atko, to też po pracy czułem ledwo wlok-
łem się do domu. Raz jedynie, kiedy przy-
gadzie zbył naganiat mnie do roboty,

zrobiłem całą komedię, że jestem już
zarnięty, i potoczyłem się na kupie gu-
kęzi, niby kłając i kłapiąc powietrze, i

dopiero wtedy pozwolił mi nieco odpo-
cząć.

Choć z dnia na dzień czułem
się skabszy, nie ujmawiało się to jesz-
cze w obwisłych pódupkach, to też na

komisówce jeszcze nie dojrzałem do O.
K. i nadal musiałem pozostać przy pracy
w lesie. Dopiero po miesiącu zdokatałem

się zakwalifikować do O.K., gdzie nawet
przyznano mi dodatek dystrykcyjny, bym
wczesniej wrócił do sił. Był on marze-

niam wszystkich, gdyż skądąto się na
niego 20 gr maska, buteczka, ryż i kawa-
tek kiełbasy. Pracując wtedy w kuchni,
nie bardzo ko już potrzebowałem, zawsze

jednak z przyjemnością zjadałem swój
kawalek chleba z masłem i kiełbasą
jak największy przysmak. Dawali go tyl-
ko na 10 dni, jednak dzięki Sence, któ-
ry wręcił mi kartkę na odpowiednie
miejsce, otrzymałem go i na dalszą de-
kadę. Za trzecim razem już mi się nie
udało, gdyż choć mi go przyznano, narad-
czak już mi go nie wydat.

Później dostatem się już na
santurucza i na tym stanowisku znowu
zaczęto się dla mnie wspaniale, jak na

warunki obozowe życie. Nie pa-
 miętam, czy ono trwało jeden czy dwa mie-
 siące, w każdym razie nabrałem nowych sił
 dzięki zarłoceniu st. sanitariusza Karas-
 ka, który w swoim własnym interesie dbał
 o nas i o dolewki, zwłaszcza kaszy, oraz
 ograniczeniu się mej ówczesnej pracy do
 pielęgnowania i obskugiwania chorych. Od
 szorowania podłóg zostałem zwolniony, bo
 od samego początku przekonał się, że się
 do tej szlachetnej pracy nie nadaje; na-
 turalnie mnie zależało raczej na utwier-
 dzeniu go w tej ujemnej o mnie opinii.
 Starak się on cobywa na każdym kroku
 okazywał mi swą wyzłość, zykannując po-
 prostu, lecz ja we własnym interesie
 przyjmowałem wszystko ze stoickim spo-
 kojem. Z przyjęnością też zgodziłem się
 na nocną zmianę, kiedy to jedyne me za-
 danie ograniczało się do wylęwania "ka-
 czek" i utrzymywania ognia w piecu. Nie
 zajmowało mi to wiele czasu, to też rez-
 tę poświęcałem na czytanie wszelkiego mi-
 rodzaju książek. Przy tym noc szybko mi-
 jąka; rankiem odwalałem jak nąszybkiej
 pozostały przy mnie obowiązek zmycia
 podłogi w izolatorium i do eniadanin
 jedynie pomagałem w drobniejszych po-
 rzadkach, poczym byłem wolny aż do wie-
 czora.

Wtedy też dopiero zżyłem się
 z Senkiem, który będąc starszym szpitala
 właśnie zatrzymał mnie na tej funkcji,
 oraz dr. Głagiem, jęcem wojennym, który
 u nas właśnie odbywał swój staż jęniec-
 ki i był marzycielem i trochę artystą
 w precyziwności do prynsaka dr. Schowa.
 Ten kiedyś mnie mocno objechał za to, że

przłożyłem watę do odkryte-
 go wzdodu zamiast gazy, co zrobiłem po-
 prostu dla tego, że wata była czysta w
 precyziwności do gazy.

W czasie jednego z dyżurów
 przyniesiono jednego butgara czy rumu-
 na w stanie prawie beznadziejnym z ob-
 jawami zatrucia. Mimo tkumaczenia mu, by
 się przyznał, co zjadł, gdyż to może go
 utrzymać przy życiu, nie chciał się przy-
 znać, choć mogło to naprawdę kosztować
 życie. Podobno miał narząd się wygrzeba-
 nego z podłogi spichrza ziarna. W nocy
 był już prawie w agonii. Na szczęście w
 porę sprostrem ustawanie pulsu, obu-
 dzikiem Schowa, który dał mu zastrzyk i
 chłopak jakos się wykurował.

Po pewnym czasie zżyłem się
 i z Schowem, choć stosunki były z nim
 oficjalne, podczas gdy z Głagiem prowa-
 dzikiem, zwłaszcza później, bardzo częste
 rozmowy, szczególnie o wioszech, wrząc-
 niemi z których się dziełki, interesując
 się różnymi urzymkami wierszy czy to
 wioskich czy też kacińskich, które wy-
 przebywałem z pamięci. Ratował on też
 mnie często w opresji tytoniowej, czego
 zresztą nie nadużywałem, rewanżując mu
 się przy sposobności.

Największą zdaje się radość
 jemu /i sobie/ sprawiałem, kiedy gdzieś
 we wrzesniu dostalem od jednej rosjen-
 ki na szachcie ukradkiem pół litra mie-
 ka. Nie widząc zbyt wiele wartości w tym
 xdarze, bez trudu rozstałem się z nim i
 podzieliłem po połowie między Senkę i
 doktora, czym ich bardzo ucęłem. Był to
 zresztą drobny tyko rewanż za jego
 znaczenie poważniejsze dary w postaci:

chleba. Przypominam sobie, że pierwszy raz dał mi porcję przez Senke. Nie chciałem jej przyjąć, lecz Senko mnie przekonał, że i tak wszystkiego chleba on nie je, a rozda je niemiernie. Kiedy po pewnym czasie sam doktor wspaniał mi drugą porcję do kieszeni, zacierwienieniem się jak bu- rak i również wzdręciem się przed przy- jęciami, lecz również mnie uspokoił, że nie robi tego ze szkoda dla siebie. Takich wypadków powtórzyło się jeszcze kilka. Kiedy już miał nastąpić nasz wyjazd, wpadłem do niego celem pożegna- nia się. Nie bardzo był przytomny, gdyż akurat zachorował na zapalenie okostnej czy coś podobnego i miał wysoką gorącz- kę. Złoczył mi szczególnie drogi i na po- żegnanie dał mi porcję białego chleba. Wzruszony nie tylko tym darem, lecz i sa- mym rozstaniem ucałowałem go, życząc mu również szybkiego powrotu do ojczyzny, wyrażając przy tym nadzieję, że może się jeszcze raz zobaczymy w życiu. Była tyl- ko w innych warunkach w Schafwede!//, gdzie zdaje się mieszkał. Może mógłbym mu wtedy odwdziżyć się nie tylko za ten chleb, ale i za zupy, których prawie zupełnie nie jadł i czego zostawił dla mnie. Nie raz też wychodziłem z am- bulatorium opity jak bąk, zwałszcza że i Senko dla mnie prawie codziennie dla mnie coś zostawiał.

Lecz wracam jeszcze do okre- su O.K. Po gniedaniu tj. około 1/2 do 9 mogłem już iść spać, mając dość śpieni- ków do wyboru, gdyż tylko funkcyjni spa- li po nocnej pracy, zresztą miśkiem wie- dy już swój własny. O porządku jedne-

nie nie mogło być mowy, gdyż nie wszyscy chodzili na roboty, to też na sali było zawsze gwarno. W każdym ra- zie teoretycznie mogłem spać gdzieś do 13-14-ej. Potym trzeba już było uważać na nadejście pory obiadowej, przy której pomagałem roznosić miski, poczym znów wra- całem do siebie, by jeszcze podzemać do kolacji, po której już stawałem na swym posterunku. W nocy spać nie było można, bo gdy raz pokrzyłem się na wolnej przy- czy, choroby zaczęli się skarżyć, że śpię. Wolałem też nie ryzykować i najwyżej po- drzemałem sobie kilka minut, oparkszy głowę na rykach.

W ten sposób przetrzymałem do następnej komisówki, kiedy to już żadna siła nie mogła mnie uchronić od wylace- nia do roty, zwałszcza że zaotrzyl się kurs, gdyż szachta na gwałt potrzebowała ludzi. Przyjechał nawet specjalnie jakiś kapitan, który wieksość do niej kwali- fikował. Kiedyś, czując co mi trozi, pro- bował oponować, tłumacząc się, że si- widzę, on ze smiechem: "Niczewo! Foro- botasz w szachtu, pokuczysz dzień i po- kupisz oczka!"

miśkiem robotę, musiałem tym razem zjechać w szachtę, a właściwie w nią zjechać. Los oddał mnie na następny Ro- manowskię, którego jedynym celem było utrzymanie się jak najdłużej na stano- wiisku brygadiera, to też o ludzi mało dbał, pozwalając się prowadzić przez dziecinista. Sika rzeczy jako czarno- roboczy nadawałem się tylko do roboty, nie wymaganajcych żadnych kwalifikacji, a taki była praca perekliczka, o czym na innym miejscu.

Pierwsze dni, kiedy pracowałem z Sabłem, nie były jeszcze takie złe, gdyż w obszernej "pieczce" można było swobodnie operować łopatą przy przerzucaniu węgla, wnet jednak praca się tam skończyła i zaczęto mnie przepychać z jednej dziury w drogę, gdzie musiałem się rozbijać po różnych arkach, przesiadkach i t.p. Kiedyś krocząc po takiej przesiecy straciłem nagłe grunt pod nogami, przy czym lampka mi zgasła, zdołakłem jednak jeszcze usiąść na ziemi z nogami już w próżni nad piecem niewiadomo jak głębokim. Poprostu brzeg ścieżki, biegnącej między ścianą a brzegiem piecu, był wykruszony i bardzo łatwo można było zjechać dobrych 7-10 metrów w dół!

Już z tego też powodu praca zaczęła mi się po tygodniu bardzo nie podobać, to też począłem polować na naczelniczkę, by zmusić ją za wszelką cenę do wycofania mnie z szachty. O dziwo, mój bragałny i przekonujący głos, stając się wykaszać jej, że jeśli dłużej popracuję na dotychczasowej posadzce, to stanie się nieszcześnie, widocznie ją wzruszył, gdyż przeniosła mnie na powierzenie, gdzie praca wprawdzie była bardzo ciężka, lecz nie tak niebezpieczna.

Jednym może mankamentem było to, że nie korzystać już z możliwości ci przebierania się w bani w drugie ubranie, w którym wracaliśmy do zony, pozostawiając pierwsze w kazi. Z tym jednak można się było pogodzić, bo po pracy i tak korzystaliśmy z bani, gdzie można się było jako tako, mimo pospiechu, myć. Tak znacznie poprawiły się już stosunki w

porównaniu ze stanem początkowym!

I tak miały dzień po dniu, tydzień po tygodniu w znoju, trudzie i chłodzie, przepłatane nadzieją, że wreszcie musi nadejść dzień powrotu do ojczyzny. Nadzieja ta zamięta się w pewność z chwilą, gdy poczęto wysyłać z obozu najpierw Ukraińców i inne mniejszości narodowe, czy to pojedynczo, czy też grupkami. Ponieważ i na horyzoncie politycznym jakoś chmurzy się przecierały, byliśmy pewni, że i na nas Polaków przyjdzie następna kolej.

I rzeczywiście w pokójce października ta tak bardzo upragniona chwila nadeszła. I przed nią przesyłaliśmy namo generujących chwil, kiedy to najpierw nadeszła wiadomość o przybyciu wagonów na stację, o wystaniu do nich cieleńi celem zbudowania przyczyn, następnie o wystaniu dziedzińskich wagonów, co na szczęście okazało się nieprawdziwe. Potym okazało się, że spis mających wyjechać nie obejmuje wszystkich Polaków, to też z łiciem serca czekaliśmy na chwilę, kiedy zehrano nas na placu i wyczytywano poszczególne nazwiska. Z jaką ulgą i radością usłyszaliśmy wtedy i swe nazwisko! Wśród paru pomniejszych był i Senko, który urodzony w Rosji znalazł się w Polsce po pierwszej wojnie. Widocznie uznali za właściwe pozyskać go z powrotem dla Związku Radzieckiego! Naturalnie chłop płakał jak bór, lecz cóż mogliśmy mu pomóc?

A przedziew wyjazdu poszliśmy już bez konwoju do kazi garnizonowej, potozonej niedaleko obozu, gdzie wydano

nam w miejsce dotychczasowych ubrań roboczych, nowe niebieskie drelichy z białą opaską na rękawie, bęzące napewno jakąś zdobyczą wojenną. W nich wróciliśmy już sami z pieśnią na ustach do obozu, by spędzić w nim ostatnią noc. A było tych szczęśliwców wówczas o ile pamiętam, ko-
żo dwustu.

Koko się zamyka.

Jakże inaczej wyglądała ta droga powrotna od poprzedniej! Już przede wszystkim sama pora barażowej nawadzał się do podróży: panował jedynie chłody, a nie mrozy, to też utrzymywany przez cały czas ogień w dwóch piecykach w wagonie całkowicie nas chronił. Niezależnie od tego posiadanie wygodnych a przyc, a przede wszystkim świadomość ce-
lów podróży i otwarte drzwi wagonu czy-
nikły tę podróż prawie przyjemną, że i
pozywienie było nie tylko regularne, ale i w miarę dostajnie.
Szczegółów tej podróży już sobie nie przypominam po tak długim okre-
sie czasu, w każdym razie była ona pra-
wie ekspersem, gdyż zaczęła z paradno-
wym postojem w Szwajcarsku, gdzieśmy
czekali na skompletowanie transportu,
trwała ona zaledwie dwa tygodnie.
Przypominam sobie tylko jedno-
po zdarzenie, gdy pocją nasz mijają sta-
cyjną z napisem Katalin. Gdy wspominał
wtedy głośno, że tu zginęło kilku tysię-
cy oficerów polskich, żaden z nich współ-
towarzysz na to nie zareagował.
Gdzieś na przelocie padzie-
nika i listopada wykładaliśmy wreszcie
z wagonów podzieliśmy przez miasto do
baraków. Naszą radość zmęcił widok umun-
durowanych wojskowych z A.K., stojących
za drutami, a zwłaszcza ich odpowiedź, że
niektórzy są tu już od wiosny. Na szcze-
cie horoskopy kilku pesymistów, że nas

tez cos podobnego czeka, sie nie sprawdzily i po jedno czy dwudniowym pobycie, poswieconym na prazarke i faszowanie uzupelnien garderoby, stanalismy na ostatnim apelu. Trwal on dosc dlugo, bo okazalo sie, ze niektorzy zdazyli juz spkwalc swe sorty mundurowe, nawet kacz- nie ze spodniami. Widzqc kilku takich handlowców w koszulach olicerowie zaczę- li kręcić głowę, że w takim stanie nie mogą ich puścić i będą musieli pozostać w obozie. Dopiero gdy ci kupcy zapewnili, że wszystkie wreszcie zpowrotem na dworzec, a za nami dwa auta ciężarowe, w których podobno miał się znajdować drugi komp- let biletów dla nas. Dziwnym jednak tra- fem do chwili naszego odjazdu transport ten nie zdołał dojechać na stację. Ale ktoś się przy tym obłowili!

Późnym wieczorem w dniu 1 li- stopada 1947 r. pociege zaterkotał na mo- cie granicznym i po kilkunastu kilomet- rach zatrzymał się weszcie w Biłej Podlaskiej, gdzie znowu wyładowalismy w barakach, lecz już polskich. Nadzieja szybkiego wydoszenia się stamtąd szyb- ko się rozwiała, gdyż okazało się, że trzeba nas zewidencjonować, stotografować, wystawieć odpowiednie zaświadczenia i wyprawić odpowiednie zaopatrzonech do stron rodzinnych. Nie miałej ważną rzeczq i tutaj było odpowiednie przesianie ele- mentów podejrzanych. Kilku też "naszych", którzy podobno odznaczili się w Getcie Łódzkim, pozostało na czas nieokreślony w rękach władzy. Zdaje się, że wśród nich był i Podolak, w którym podejrzewalismy konfidenta Gestapo.

nie umiem określić ile osób liczył nasz transport, przypuszczam jed- nak, że conajmniej 2 tysiące, to też za- równo spisywanie, jak i fotografowanie każdego z osobna oczywiście się prze- ciągają. Kiedym złożonej z młodych typów komisji spisowej podał swój poprzedni zawód, jeden z nich wyraził się, że skusz- nie mnie wzgłędzi czy cos podobnego, na co tylko wzruszyłem ramionami. Inna rzecz, że gdyby zobaczył zrobione mi wówczas zdjęcie do zaświadczenia repatriacyjne- go, na którym wyszedłem jak jaki "Sexual- verbrecher", to może nawet wahali by się mnie dalej puścić. (Am. nr. 6).

I kto wie, jak długo byśmy tam jeszcze siedzieli - gdyż w pierwszym rzę- dzie puszczali osoby starsze - gdyby nie inicjatywa i pomysłowość Smolika, który pod pozorem pomocy w przenoszeniu pa- czek do budynku, gdzie działająca komisja rozsykała, wręcił się wraz ze mną do środka. Znalazłszy się już w korytarzu, wręcił mi się między czekających na zaktwienie formalności. Ponieważ oka- zało się, że wypisują zbioreczki biletu, co mi nie odpowiadało, wróciłem się do niezajętej w tej chwili pani z próbq o indywidualny, tłumaczqc, że muszę się zatrzymać w Warszawie, by zgłosić się w Ministerstwie Sprawiedliwości. Takos staniem się posiadaczem zaświadczenia, że jadę do Poznania. To bowiem miasto na wszelki wypadek podałem jako docelo- we, nie wiedząc, co się dzieje w Kole. Podobnie udało się i Smoliko- wi, który jechał do siostry do Bytomia. Oprócz biletu i zaświadczenia zaśasowa-

listy i paczki z UNIKU na dwóch orsz po 1.000 zł, z realnej war- tości, których nie zdawaliśmy sobie wów- czas rady, i wreszcie już całkowicie wol- ni i gotowi do dalszej już samodzielnej podróży z tymi daremi wróciliśmy na noc do naszego baraku.

Z dziecięcej wprost radością przystąpiliśmy tam do zbadania zawarto- ci naszej paczki, odgadywania, co zawie- rają poszczególne paczki czy paczuski, i naszego sprawdliwego podziatu, bynajmniej nie łatwego z uwagi na nie- ekwiwalentność poszczególnych puszek. Oczywiście zawartości niektórych, zwłasz- cza niepodzielnych, nie omieszkałismy zaraz spojrzeć. Byłem jednak ostrożny, bo nie wiedząc w jakiej sytuacji są moi najbliżsi, przynajmniej jak najwięcej dla nich zachować, a ponadto wolałem nie ob- ciągać zółdka zbyt obfitym pożywieniem. Tego też miu oszczędnościowe- go nie przeszczerzałem jedynie przy pa- pierosach, które smakowatym nam lepiej, niż dotychczasowa mechorka.

Oczywiście odchodzącego rano poczęgu nie przepasowaliśmy i wreszcie znaleźliśmy się obaj w pustym przedzia- le, pozostawiając bez najmniejszych sku- pów tych, którzy byli mniej od nas ob- rotni. Nie mieliśmy najmniejszego poję- cia, jak to teraz jest w Polsce, to też trochę nas pocieszyło dość bezwzględne spędzenie z kawki śpiącego na niej sok- data przez jakiegoś kapruja i kolejarza, jako dowód nie traktowania go jako pana życia i śmierci!

Pociąg dowiózł nas wreszcie do Warszawy, a właściwie Pragi, to też w

dalszą podróż musieliśmy się udać piezo przez całe miasto. Smolik w- szynęła wosyjskim, ja zaś w zimowym kub- raku niemieckim, jakie otrzymałismy na drogę, budziłismy powszechne zaciekawe- nie nieprzechońców, którzy nie skąpili nam chleba, odmawiając przyjęcia za niego pieniądze, gdy dowiedzieli się, skąd je- śmiemy. Przyznac muszę, że Smolik lepiej się w swym mitromie przedstawiał, to też miał większe powodzenie.

Ponieważ on udawał się do By- tomia, a więc w kierunku południowo-za- chodnim, ja zaś na zachód, zostaliśmy się serdecznie żąje się na Warszawie zachodniej, wymieniwszy prawdopodobne adresy, i wsiadłem w pociąg zdążający w stronę Poznania, naturalnie bez wykupie- nia biletu, jako że posiadane zaświadcze- nie uprawniało do bezpłatnego przejazdu. W przedziale, zapełnionym normalną pub- licznością, postanowiłem budzić pewne zaciekawienie, to też niektórzy zaczęli pytać się skąd jadę. Kiedy i siedzący pod oknem podporucznik zaczął miłe wy- nitywać o bliższe szczegóły, siedzący koło niego sierżant mruknął do mnie, bym za dużo nie gadał, do czego się też na- turalnie zastosowałem.

W miarę zblizania się do Kola ogarnięta mnie coraz większa niepewność, czy w ogóle tam kogos zastanę. Przes co- ry bowiem okres ont teoretycznie, ja zaś tektycznie nie mieliśmy o sobie żadnej wiadomości. Planowatem sobie sąść pokry- jom na Toruniu, przynuszczać, że tam podcina się przeprowadzka na dawne mieszkanie, i zeglądnięciem do ośma wzgl- zasiegnięciem wywiadu u sąsiadów dowie- dziecie się, co się w międzyczasie storo.

dzielnego pokoju, by tam na-
reszcie jej ramionach spocząc na praw-
dziwym łóżku, a ścisłej mówiąc na naszym
starym matzekskim tapczanie po trwającej
równo dwa lata, dziewięć miesięcy i dzie-
sięć dni rozłające.
Porównując później ten powrót
z poprzednim, jaki miał miejsce w paź-
dzierniku 1939, gdy z Powiercia dojechał
do domu dorozką, wyrazem przekonania,
że mój trzeci powrót, którego lepiej ze-
by nie było, powinien nastąpić już sa-
molotem!
I na tym kończą się szczęśli-
wie dzieje mojej tak długiej nieobecnoś-
ci, równoznacznej z wykreśleniem z mego
życia prawie trzyletniego nieproduktyw-
nie spędzonego okresu.
Ponieważ niewiadomo, czy było,
gdymy tego okresu nie było, należy zgo-
dzić się z tym, że wszystko dobre, co się
dobrze kończy!

Później jeszcze nastąpił dwu-
tygodniowy okres adaptacji do życia, wy-
jazd w połowie listopada do Poznania,
gdzie nastąpiło spotkanie z najbliższą
rodziną, następnie zgłoszenie się do
Prezesa S.A. i wybranie stanowiska w Sku-
picach, proponowanego mi obok stanowiska
prokuratora do spraw V/D w Międzycho-
dzie. Pod koniec miesiąca objąłem tę wy-
braną placówkę, z której po latach do-
tarłem do obecnego stanowiska, stanowią-
cego szczyt mej kariery, na którym nie-
wiadomo, czy doczekam emerytury.

Leżąc to wszystko to dzieje, już
nie należące do opisanego na tych kart-
kach fragmentu mego życia, przedstawio-
nego dotychczas w sposób chronologiczny.

Juz w zupełnych ciemnościach
pociąg zatrzymuje się w Kole. Nie spie-
sząc się, z zarzucenym na głowę kapturem
kubraka i trzymaną czule drogocenną pacz-
ką zbliżam się do stojącego w drzwiach
biletera, gdy nagłe słyszę: "Test, jest!"
i ku memu ogromnemu zdumieniu widzę Dziu-
nię, rzucającą mi się na szyję i stojącą
przy niej Baszką. Oszołomionego tym całko-
wicie niespodziewanym przywitaniem ciągnę-
ną mnie prawie przed dworzec, gdzie moje
zdumienie jeszcze się powiększa na wi-
dok czekającego na nas samochodu. "Skąd
wiedzieliście, że przyjadę? Czy jesteś
jakim komisarzem? Czy wszyscy żyją?"
to pierwsze pytania, które im zadaję,
siedząc już między nimi w samochodzie.
Okazało się, że były soltyś
zdaje się z Grzegorzewą, zwolniony prze-
de mną z Biatek ze względu na wiek, jesz-
cze w nocy zadzwonił na miejscową mili-
cję, by zawiadomili o tym Dziunię, i obie-
juz od rana przychodzili na stację na
wszystkie pociągi. Komisarzem nie zosta-
łem, a jedynie otrzymałem samochód do swej
dyspozycji od Olskiewicza, który jako
starosta był jej przekożonym. Również
na trzecie pytanie uzyskalem wiadomość
pomysłną, gdyż jakos los okazał się łas-
kawym dla całej naszej rodziny.
Wchodzimy wreszcie do dawnego
mieszkania mamy na Foruskiej, gdzie zno-
wu wita nas ogólny płacz kobiet, tym ra-
zem jednak radości.
Po pospiesznej kąpielii w zwyk-
łej wannie i ostróżnym, a więc lekkim po-
silkku, które to czynności nie przerywały
wspólnej rozmowy, idę wreszcie z Dziunią
do zajmowanego przez nią w pobliżu od-

By obraz jego był możliwie
pełny, konieczne jest z kolei przedsta-
wienie poszczególnych zagadnień czy
nazwijmy to kwestii, jakie nasunęły mi się
w związku z tym przymusowym exodusem
z kraju, przedstawiających w sposób bar-
dziej szczegółowy sposób spędzenia tych
trzech lat.
Tym zagadnieniem podwójcam
dalejsze strony.

Praca uszlachetnia czkowieka:
zarówno w kopalni.....

Ktokolwiek tylko ze mną roz-
mawiał na temat mego urejskiego epizo-
du, nie omieszkał zadać mi pytania: "A
coś tam robił? Gdzie pracował? Co to
jest szacht?" i t.p. Tym wszystkim cie-
kawym poświęcałem tę kwestię, choć jej czy-
telnikom nie będę podpowiadał i na-
stępny tytułem postaram się opisać mo-
ją funkcję czarnoroboczego tak w kopal-
ni w charakterze "perekłiczka", "odkat-
czyka", jak i na powierzeni w rok i dwa-
la, kamieniarza, robotnika rolnego, "na-
gruzczyka lub rozgruzczyka" itp.
Naturalnie zaczął trzecha od
szachty, jako że wątpię, by którykolwiek
z mych znajomych spotkał się w prakty-
ce osobiste z tym rodzajem roboty, pod-
czas gdy z drugim-na powierzeni-wiek-
szość zetknęła się już choćby w okresie
okupacji, a ponadto dla tego, że z tą
właśnie pracą zetknąłem się jako zasad-
niczą najpierw.
Wspomniałem już poprzednio,
jak to o kilkadziesiąt metrów od nasze-
go obozu w Kospaszu wznosił się dwupięt-
rowy murowany budynek. Prawie 10 tygod-
ni był on dla mnie wyjątknie widowiskiem,
wreszcie jednak naszedł dzień, kiedy mu-
siąłem się w nim zagłębić. A jak do tego
doszło, opowiem!

Godzina 6,45. Od "przychodnoj"
rozlega się głos gongu, a za nim krzyk
"niewolnego": "Szubita stroje się!" Wy-
kazamy nie spiesząc się pod bramę, gdzie

po pewnym czasie zaczynają
nas wywoływać po nazwisku. "I. Antonowicz"
-pada me nazwisko. "Jest, tak lub da" pada
odpowiedź w zaleznosci od nastroju i
przechodzę za bramę poprzez łapy konwo-
jentów, rewidujących nas, czy czasami nie
i dokącają do mych poprzedników. Wresz-
cie są wszyscy, brama zamyka się za nami
i obejmuję nas konwój. Przeliczysz, jesz-
cze raz, wytkasza pouczenie o porządku
z sakramentalnym zakonowaniem: "Szag w
lewo ili prawo a budu strielat bez upru-
diznienija" czy coś podobnego. Tyle razy
styszałem tę litanię, a jednak nie mog-
łem jej zapamiętać, choć już po kilku
dniach ją w całości rozumiałem.
Przechodzimy następnie dro-
gę i wchodzimy do tzw. kombinatu, gdzie
układamy się na podkocie, by wykorzystac
ostatnie chwile odroczytku w oczekiw-
aniu na lampki. Jest bowiem zaledwie po
7-ej, a praca zaczyna się o 8-ej.
Po kilkunastu minutach kilku
z nas przynosi stos lamppek czyli szach-
ciorek. Nie wiem, czy je brać czy nie, do
przecież według decyzji lekarza mam
pracować na powierzeni, na polocene
jednak brygadiera biorę jedną, ogląda-
jąc z ciekawością, co to takiego. Dla
tych, którzy nie widzieli takiej szach-
ciorki urejskiej w oryginalnej, postaram
się ją opisać.
Otoż u góry jest wielki hak
z mniejszą lub większą ostrzawą, stu-
żącym, jak się później przekonatem, do
whicia go w drzewo celem zawieszania.
Na dole wiszący się wkręcany łasienik na
nacie /czasem może być ropa, a czasem i

można i zapomnieć nalać do niego paliwa/ z wytłającym knotem czy to z konopi, waty z tufajki czy też po prostu sznurka, czasem odpowiedniej długości, lecz przeważnie ledwo wytrzymać cym z tufajki. Ten hasenik przykręcało się do osady lampy, złożonej z 5 czy 6 prętów. Do tego urządzenia należały jeszcze szkiełko i nad nim siatka z drutu. Szkiełko jednak zwykle miało tylko wybrani, a siatka z uwagi na brak luzów była zbyt cienka i tylko zaciemniała światło, to też zwykle się ją wyrzucało. Zaopatrzeni w te akcesoria przechodziliśmy po ponowym zliczeniu do drugiego budynku z "klatką" czyli winną, po strumyach schodach dostajemy się na II piętro i stajemy przed wejściem do windy, obserwując, jak co chwila minęły jedna wyjeżdża czy to z wózkiem czy z ludźmi, a druga zjeżdża. Ponieważ akwarium poprzednia zmiana wyjeżdża, musimy czekać dobre pół godziny, nim wrócicie na nas przychodzi kolej. Nie bardzo mi się podobał widok wyjeżdżających szachisto-rów, czarnych i mokrych, to też z lekką dojazną i zarazem ciekawostką stał się z jedenasotnia innymi na platformie, kiedy już okazało się, że muszę zejść na dół, bo na górze nie ma dla mnie pobytu. Widać, że z pozabawionej dachu klatki windy leci ciekawym woda, staram się stać z boku, by ochrone się od zamoczenia, jednak trochę jest tak, że sychają mię wnet pod ocierającą wodą, stając, której staram się nie dotykać, by już przy zejściu nie zamoczyć się od razu. Czasem udawato mi się wyjść jako tako suchym, czasem jednak nie jedny.

Woda woda pocutem na żywi. Ledwo omlańi wszedł, zamyka się bariera, postać się dzwonek i winna z szybkozestę około 8 m/s zaczyna zjeżdżać na dół. Pierwsze wrażenie jest bardzo słupie, gdyż jakby grunt się uswał pod nogami, lecz na saden uszk w solidku nie może się skrzyżać. Obok nas prze-suwał się betonowe ściany szyn, zrazu odwołone jeszcze światłem dziennym, które po kilkunastu metrach znika i pozostają jedynie wrażenia słuchowe. Składają się na nie szereg pojedynczych krop-ki deszczu, przybierających z każdym metrem na sile, by wrzecie znaleźć się na ulicy jak z rygnię, obejmującej nie tylko ściany, ale i nasze bledne głowy. Nie bez dziwnego, że kiedy po przebyciu około 270 metrów w dół stajemy na dole, sturamy się jedynym skokiem wydosłać się spod tej rygnię. Porzez zastone z leżącej wody widac jakiego światelko, trzy kinki i stojmy w suchej stozunkowo stolni. Sam skok jednak nie bardzo był bezpieczny, bo przez wody z góry czyhała jeszcze na nas woda na dole w postaci dużych kałuż i trzela było uważać, by przy pierwszym kroku nie zamoczyć obuwia. Ja nieestety zły długi tyłem w swoje wytasowane kalosze gumowe, gdyż zlekceważona przese mnie mata w nich dziurka przeduszczała wodę jak bubała, to też już do pierwszym kroku pocutem w nich wodę. Do wazystkiego jednak można się przyczyczyc, a tym więcej do wody. W korbatazu jakiego wózki, to z wiatrem, to puste, trzeci uważać na zwrot-ki. Z góry wprwadzie dwieci lampy elektryczne, w środku nasze kopce szach-

dostać jeszcze korytko i jak
najszybciej się umyć i stać się podobnym
do ludzi. W zależności od rodzaju roboty
myciu podlegało całe ciało względnie je-
go górna część. Ubrawczy się następnie w
te same ubrania robocze przechodzimy do
stółkowej na dobre zastrużony obiad i po
nim odpocznęk.

Po kilku miesiącach nastąpiła
poprawa o tyle, że urządzono wreszcie su-
szarkę, gdzie można było zdać mokre rze-
czy celem wysuszenia i przebrać się w
drugi komplet, o ile taki po poprzedniej
zmianie pozostał. Była to inowacja bar-
dzo dla nas pożyteczna, gdyż nie trzeba
było chodzić w brudnej i do tego mokrej
futajce.

Tak to wyglądał pierwszy mój
dzień w szachcie i należy go uważać za
typowy, gdyż późniejsze nie wiele różni-
ły się od niego. Zmieniła się jedynie ro-
dziej pracy w miarę, jak stawiałem się ni-
by bardziej kwalifikowany.

Po paru już bowiem dniach do-
szli do przekonania, że jestem gdzieniu-
dziej bardziej potrzebny, to też przesu-
nięto mnie w głąb sztolni do podsuwania
wózków narzuczykowi. W tym celu musia-
łem iść za innymi w zupełnie prawie ciem-
ności, gdyż lampy sięgały tylko jakiegoś
40 m w głąb, a szachtorzy wskutek prze-
ciągu gaski, po jakimś torze pod młotem
szym lub większym deszczem na odległość
jakichś 200 m, aż wreszcie ukazało się
znowne światło. Tam stały na torze poprzed-
nie moje wózki, przyciągnięte przez loko-
motywę i czekały, aż zechcę je podsunąć
czajkowskimi, sprawnymi funkcjami na-
radowcy. W ścianie znajdowało się jakby

ciorki, lecz to za mało, by
rozproszyć panujące ciemności.

Staje wreszcie na możliwie
suchym miejscu, czekając ze stoickim spo-
kojem, aż rano mi przydzielą jakąś pra-
cę i wreszcie brygadier przydziela mnie
jako nowicjusza do podtaczania od windy
"późniaków" tj. pustych wózków, spuszcza-
nych z góry. Skoro tylko pracujący pod
"kietlą" wypchnie je z klatki na kilka-
nastie metrów poza zwrotnice, trzeba pio-
runem je zabierać i pchać dalej kilka-
dziesiąt kroków, by stamtąd cały ich sze-
reg mógł zabrać ja elektrowóz. Praca
sama w sobie nieciężka, to też mimo opuch-
niętych jeszcze nóg zabieram się do niej
z ochotą, tym więcej, że narazie ruch jest
niewielki. Mam czas i na wypalenie papier-
osa i na nucenie sobie: "Nie dbam jaka
spadnie kara...". W miarę jednak upływu
godzin ruch rośnie, wagoniki coraz częś-
niej trzeba odciągać, a tu tor jakby ro-
bił się strąmszy, wagony cięższe...!

Wszystko jednak ma swój kres,
to też wreszcie ukazują się w głąbi ko-
rytara światła schodzących z pracy i
zabieramy się do wyjścia na górę, drwiąc
już sobie z lecącą wodą, bo i tak nasze
ubrania są całkiem mokre.

Z taką samą szybkością, lecz
już mniejsze robując wrażenie wydobywa-
my się na wierzch, coraz bardziej w szybie,
nie szum deszczu, coraz jaśnieją w szybie,
aż wreszcie stop i widzimy po drugiej
stronie klatki następną zmianę. Gdy wszyscy
scy już znaleźli się na górze, oddajemy
lampki i po przeliczeniu idziemy do
Jagru, którego wrota gościnnie otwiera-
ją się na nasze przyjeście.

Pionerem pedzimy do bani, by

koryto, zasuwane deską, po któ-
rej otwarciu wylęwał się strumień węg-
la do podstawionego wózka. Po jego napeł-
nieniu kłapę się zasuwako, ja zaś dawa-
łem wózek następny. Gdyby nie to, że po
wózki w miarę ich ubywania trzeba było
chodzić coraz dalej pod lejącym się z
pułapu deszczem, i ta robota nie byłaby
najgorsza. Niestety w wólnych chwilkach,
gdy np. nie było węgla lub wózków, dzie-
łałem sobie przeczekać wodę, porzebam w niej
kopać i natrafiały na jakieś kłody,
stankiem w zdumienie, z czego wstąpić
mam tę wodę oczyszczać. Wreszcie jednak
domyśliłem się, że leżącego na dnie mu-
ku węgla, to też porzebam trochę
ponownie kopać i tak przetrzymać
kilka godzin, nim dziesiętnik nie raczył
sobie o mnie przypomnieć, zgodzić za zwy-
czajem objechać, że nie nie zrobiłem i
zagnac mnie z powrotem do próżniaków.
Po paru dniach ponownie wstan-
sowatem, gdyż postano miłe zkolęć na tzw.
"skat". Niestety zimą w kopalni nie mia-
ło to-pozza nazwą-nie wspólnego, jak się
zazwyczaj mówi, że idąc za tym prze-
wodnikiem Górka, który już od dawna tam
pracował. Mianowicie przez ledwo widocz-
ną w scianie szczelinę dostaliśmy się
po drabnie do wykutego strumienia chodni-
ka i do jego dawniejszych schodkach, za-
wałonych obecnie węgłem, dostaliśmy się
do pokłonej o kładzie, gdzie widać wy-
sz wykopany się węgla na poziomie w
dół bliższym korytu, którymi dostawa-

sie natraf do ujścia. Również
w zależności od nachylenia korytara
miały różny spadek, to też miającami wę-
giel walił jak stado dzikich koni, więc-
scami zaś trzeba mu było podążać w posu-
wantu się na dół. Zależało to zarówno od
rodzaju węgla /krupny lub miast/, jak i
od stanu składowych rynnien, których naj-
więcejże zapicicie powodowało zatory, któ-
re trzeba było odrzucać usuwając łopaty.
Moje nowe zadanie polegało
właśnie na "przełknięciu", tj. na przesypany-
niu zatrzymanego się węgla. Na całej
kilkudziesięciometrowej trasie było nas
3-4, mających pod sobą pieczę-w zale-
ności od stopnia spadku-kilka czy kilka-
nastometrych odcinków.
Skąd ten węgla i w jaki spo-
sób dostawał się na skat, na szczęście
nie miałem okazji się przekonać. Jedynie
z opowiadań innych mógłem sobie wy-
obrazić, że z pokłonej wzej "ławy",
gdzie wydobywano go za pomocą świdrow-
czy też wybuchów, leciał on jakby "weron-
ka" czyli prawdopodobnie pionowym szty-
bem na "transportor", z którego wpadał
kolejnie do "ławy", wychodzącej na nasz
skat.
Wolny z początku bieg urobku
stawał się w miarę spadku coraz szybszy,
by u dołu pędzić jak pocisk, aż się scian-
ny trzęsły, gdy łoczyły się większe try-
ły. Na zagłębieniach rynnien tryskał on jak
kaskada, wylatując poza niaki płotek aż
na schody-dak niebezpiecznie było znaj-
dować się wtedy pod gradem takiego węg-
la, moim przekonaniem się na własnej skó-
rze zwrac przy pierwszym zetknięciu się
z tą pracą. I później jeszcze niejedno-
krotnie przotko mi coś podobnego, zwłasz-

cza, gdy nie mając doświadczenia, jeszcze przy spidującym się węglu chciałem odrazu usunąć. Szybko jednak zmądrzałem i kiedy tylko z góry rozlegał się tętent, usuwaniem się czymś przedziej w piec czyli boczną komorę, wyrażąc ze swego schowanka dopiero po przepłynięciu głównego taju, by usunąć ewentualnie powstały zator.

Na tym skacie przeprowadzając najdłuższy, prawdziwie na początkowym miejscu na gorze, lecz niżej, właśnie koło tego pieca, gdzie ze względu na duży spadek zatory powstawały jedynie przy większych bryłach, zatrzymujących się o mające zmniejszyć szybkość spadku drewniane przepusty. Wystarczyło jednak kopnąć ruszyć jedną bryłę, by odrazu kilkana ton zjechało niżej. Po drugiej stronie tej grodzi było inne stanowisko, może jeszcze mniej męczące, ale zato bardziej wilgotne.

Znacznie lepsze czasy nastąpiły dla mnie po przybyciu wiosnowców, gdyż w miejscu dotychczasowej piędziesiątki zjeżdżało na jedną zmianę około 200. Nic też dziwnego, że w miejsce dotąd pracującej na skacie trójki było nas ponad 12 i w rezultacie nie mieliśmy wiele do roboty. Wtedy ja już byłem między nimi najstarszy, to też wybrałem sobie takie miejsce, gdzie godzinami mogłem patrzeć na przepływający węgiel bez potrzeby ruszenia kopatą. Wnet jednak poznano się na mej markieracji i postawiono w gorszym miejscu, gdzie dla odmiany musiałem całym godzinami przesuwac mozołnie węgiel, tym bardziej, że akurat wtedy szedł sam miat, a ponadto niemięprawiane rymy tak się pogięły, że

ustawicznie trzeba było zbiegać na dół, by usunąć tworzący się co kilka metrów zator. Rykoby jeszcze jako tako, gdybyśmy mieli odpowiednie oświetlenie; nasze lampki oświetlały jednak tylko niewielką przestrzeń, to też nie można było odrazu stwierdzić, czy faktycznie i gdzie powstał zator, czy po prostu zabrakło węgla. Dopiero gdy z dołu rozlegał się okrzyk: "Dawaj ugiel", wiadomo było, że sąsiad poniżej niema nic do roboty i wtedy albo się odpo-wiadało "Ugiel nietu", albo też szukano się miejsca zatrzymania.

Nic też dziwnego, że po takiej depradacji praca ta mi się sprzykrzyła, to też z prawdziwym zadowoleniem przyjąłem przesilenie mnie na skutek dopowierzchnię, gdzie już poprzednio do-ryczno w następstwie kogoś innego miałem sposobność popracować. W myśli zasy-ły, że nie ma takiego ztego... o tym wyjdzie z piekła zadecydowała ułtata okularów.

Na nowym miejscu byli w zasadzie dwa stanowiska, jedno czysto fizyczne, drugie wymagające już trochę pomysłunku.

Mianowicie wagoniki z węglem dostawiały się windą na powierznnię, skąd trzeba je było po obniżającym się torze dopchnąć do bębna. Gdy wagonik w nim stanął, zamykano się barierę, masy- niasta włączając motor i bęben powoli się obracał, wysypując węgiel w lejkiowaty otwór. Wtedy trzeba było kilkakrotnie cisnąć kółkiem stuknąć w ścianę, by usunąć ewentualne resztki, poczym bęben wracał do poprzedniej pozycji i następny wagon wypychał dotychczasowy. Ten do-

stawkę się złożył na zgrup
 pas bez końca, który windował to wzwyż,
 skąd znowu spuszczało się go z powrotem
 do windy, zamknięte tym samym całym obrot
 da wolątem doprowadzić pust
 ki do windy, gdyż łatwiej je było utrzym
 ać. I tam zresztą też trzeba było usta
 wić, by przelozyc odpowiednią zwrotnicę
 w zależności od tego, do której klatki
 wagonik miał się dostać. Poza tym na
 szczytce zbiętało się zwykłe kilka wa
 gonów, które trzeba było blokować kawał
 kami desek, by przy падzeniu wszystkie nie
 ruszyły i nie wpadły do windy. Kóre przy
 zdawczyło mi się, że mimo nahażowania one
 ruszyły i o mało nie przy падacim tego
 urata ręki, gdyż cieżka je zatrzymać.
 Na całej klatki zbiegłomost
 rowej trzeba pracować dwóch przy пад-
 nych wózkach, jeden przy hębnie, jeden
 na szczytce także, jeden przy dorow
 dzaniu pustaków do windy i ostatni przy
 wychaniu ich do windy i jej zamknięciu.
 Najwięcej wypadków było w szczytce przy
 łamie, gdyż tam niejednokrotnie wózek
 spadał z szyn i trzeba było je wpał-
 nym siłkami podnosić.
 O losie wpałującego do tego
 węgle możemy się dopiero później dowie
 dzieć, narazie wiadziatem jedynie, że i
 tam ktoś pracuje, gdyż kierujący będnem
 Tarem, utrzymując z podzi, kazał mi w pew-
 nym momencie krzyknąć przez szpary i
 podkładać: "Garzanow, wkluczaj lampy".
 Dla mnie pierwszą raz słyszane słowa
 brzmiały jak hebrajszczyzna, to też
 krzyknąłem coś podobnego i natychmiast
 żadnej reakcji nie było.
 Popiero później, gdy ilod

atawio kontyneru zmieścić
 tu się do zdaje się trzymać, a reszte
 zastąpił własowy, zostaliem dopuszczony
 na miejsce wykoma-no jako porównow
 nu-do tej tużemniczej dla mnie "Lent",
 i dopiero wtedy zasnęł się dla mnie
 całkowicie cykl obrotu węgla. Wówczas
 widziały poprzednio jedynie z tego, że
 konczył się u dołu jeszcze mniejszym
 przez który wózek wazywał się na pu-
 gzałej się ruszła z niego na porusz
 jęcy się pas gumowy bez końca, który win-
 dowat go do bunkra, skąd już wypat się
 bezporadnie do wagonów kolejowych.
 Żadanie moje poleżało na tam,
 by z "pitaleta" /tak się nazwał pierw-
 szy lej/ wychodził wózek równomiernie
 i nie w zbyt wielkich prędkach, które
 mogłyby zatakować lejki, kierujący go na
 takim wypadku należało szybko
 doskoczyć do wyłaznika motorn i go
 zatrzymać, bezym stawać się byłe czy
 to obrócić, czy też odwrócić.
 Nie sam jednak wózek wędził wzdłuż
 wano z dołu, gdyż czasami wychodził
 "poroda" czyli kamienie, że trzeba było
 za pomocą odpowiedniej dźwigni skiere-
 wać z pitaleta na boczną koryto, któ-
 rym wydobawata się na zewnątrz ludyn-
 ku. Takie przedstawienie odlywato się na
 krzyk bębnisty: "Dawaj na porodu!" wtedy
 też waliły się z góry ogromne głazy, wa-
 rł czasem kilkunastosięciu kilo. Nieste-
 ry one czasami znajdowały się i w węg-
 lu i wtedy trzeba było dokładnie usta-
 wić, by taki kusoczek nie wpadł w dziu-
 wypadku należało zatrzymać lampę i sta-
 ruc się przez wydobyć. Nie zawsze udawa-
 ło się to samemu i wtedy musiałem wołać

do pomocy dziesiętnika, który niejednokrotnie kładł mi ręce na głowę z tego powodu.

I właśnie po jednej z takich

klątew zdarzył mi się drugi wypadek z

rozcięciem palca, co zakończyło narazie

mój karierę jako szachisty.

Mówiłem wyżej o 8-godzinnym

dniu pracy, co nie oznacza, by trwała ona

cały ten czas. Zdarzały się czasem kil-

kugodzinne przerwy, wywołane czy to bra-

kciem węgla w kawię, czy też jakim defek-

tem na dole czy w maszynie.

Miałem kiedyś sposobność og-

lądnia jej z bliska z okazji zmiany-

nia kilkotonowego motoru. Prócz kilku

dynamomaszyn /n.b. niemieckich z 1940 r./

były tam dwa duże bębny z kołami, na

które nawijały się szerokie pasy z ple-

cionych stalowych drutów, które wciąga-

ły względnie spuszczały windy.

Przed każdą zmianą specjal-

ny mechanik obstukiwał młotkiem wszy-

stkie szruby windy, by stwierdzić, czy któ-

ra nie pękła i ta czynność dodawała nam

otuchy, że tak dbają o nasze życie. Trze-

ba zresztą przyznać, że powoli starano

się polepszyć warunki pracy. I tak po-

nas chronić w windzie przed deszczem,

zastąpiono blachą, które już lepiej nas

oskaniąta. Później i na dole polepszo-

no oświetlenie i pewnego razu ze zdu-

mieniem ujrzelismy obok dotychczasow-

wych trzech czy czterech lamp-coś ko-

to dwudziestu, zawieszonych co parę met-

rów. Jak jednak monter bezmyślnie wyko-

nywał "prikaz", świadczący to, że o jakiejś

20 cm od dotychczasowej lampy umieścił

nową, bo tak akurat wymagała

symetria!

Te jednak stopniowe ulepsze-

nia nie objęły skatu, który psuł się co-

raz bardziej i pod koniec zamiatano na

tychczasowych kilku ludzi musiało na-

nim pracować około 10. Co prawda od cza-

su do czasu wymieniłi jakąś rympę, lecz

nie wiele to pomogło. Również i stan

schodów był coraz gorszy i ledwo można

było wskutek zwalów na nich węgla po-

nich chodzić. Również i wózki coraz

częściej wylaływały z szyn, a zamiaszt

je naprawiać, wokno wciąż "Bolszej ugla" i

żaden spadły z szyn na górze przez dob-

re trzy tygodnie leżał kocio windy, nim

wreszcie zdecydowano się go usunąć.

Na zakończenie tego opisu

trzeba jeszcze wspomnieć o sposobie

sygnalizacji. Otóż dla obrotu windy by-

ła przewidzianych aż pięć sygnałów: de-

den dzwonek-to jazda, dwa-stop, 3-z pow-

rotem, 4-poroda, a 5-człowiek. Tak zwany

"prilomaszczyk" czy przijomszczycia los-

ci wydobytých wózków z węglem oznacza-

li na taflicy za pomocą odpowiednich

patyków, podobnie robili i wpychający

wózki.

Z braku zefarków orientowa-

liśmy się w czasie czy to po wybuchach,

które następowały około 7-ej, względnie

po dwukrotnej w czasie zmiany wentylja-

cji, a pod koniec pracy po przybyciu

nowej zmiany, co dopiero pozwaляło nam

na odejście ze stanowisk. Orientacja na

powierzchni była znacznie dokładniejsza,

gdz o 12-ej, a następnie co godzina

na do 4-ej rozlegały się gwizdki tak

naszej, jak i sąsiadnich kopalni.

Zepsucie windy nie wplywalo

W zasadzie na pracę w kopalni, gdyż wtedy dostęp do niej zapewniała tzw. "bojka". Była to pochylona sztolnia, wychodząca na powierzchnię o jakikilometr od windy. Ja miałem "szczegółowe" schodzenie tylko raz nią i miałem tego dosyć. Schodzenie bowiem po oślizgłych i miejscami brakujących ni to schodkach ni to drabinach, w przeważnej części bez poręczy, już było niebezpieczne, a coś dopiero wchodzenie z głębokości takich 270 metrów /bo tyle miała mieć nasza kopalnia/ przez okres około godzin.

Nie wspominałem jeszcze o naszych entorackich stróżach, czuwających nad tym, by który z nas nie uciekł. Otóż w dole nie było żadnego, a jedynie tak przybojce, jak i przy zejściu z windy, oraz przy "pitatieju", co wprawiało mnie w wielką dumę, że jestem taki ważny. Do naszej roboty zupełnie się nie wtrącałi, zajmując się jedynie spaniem czy też gadaniem. Niektórzy jednak byli bardzo bojawliwi i śmiać mi się naprawdę chciało, kiedy w czasie zamiatania kociołch stolika, przechodzili mnie z daleka, by zachować regulaminową odległość trzech kroków.

Kiedy drugi wypadek wyzwolił mnie z szachty, nie wiedziałem, że to oznacza definitywne pozegnanie się z szachty "33 Kapitana". Może z większą radością zegnabym wtedy jej ściany. Odśzedłem jednak bez żalów...

A jak z kolei wyglądała druga kopalnia w Samocwiecie, z którą miałem sposobność zapoznania się po upływie kilkunastu miesięcy?

W przeciwieństwie do pierwszej

była ona kochanowa, a nie państwowa, obliczona na jakimś większym wydatności jak najmiejszym kosztem, to też stan jej był optykany i nie wiem, czy bezpieczniejsze nie były dawniejsze błędy - szczyt!

Poznakem jej najpierw od góry. Składają się na nią aż trzy szczyty, a mianowicie II, IV i V. Pierwszy, eksploatawny podobno najpierw przez Amerykanów, był już dawno nieczynny, a drugi był dopiero przygotowywany do eksploatacji.

Z zewnątrz wyglądały one jednakowo: zwykła wieża zwężająca się ku górze z przybudówką obok zwaną "lebidką", gdzie znajdował się motor ciągnący linę stalową z windą. Były to kopalnie prawie powierzone, gdyż II szczyt miał głębokość około 36 metrów, pozostałe dwa razy więcej. Od tych wież biegiły pod kątem prostym do siebie dwie hałdy, jedna na węgiel, druga na porode, z utworzonymi na nich szynami, po których pchało się wózki celem wysypania ich zawartości.

Podczas kiedy V szczyt miał dwie windy /jedna zresztą była rzadko używana i właściwie służyła jako przeciwna/, to pozostałe po jednej i to różniące się od siebie. Z jednej wychodziło się wózek z węglem, jakie wepchnięto niej na dół, natomiast w II szczybie do wydobycia węgla służyła tzw. "ba-dzia", która lub duży czajnik, miska, wieszaczka w sobie cały wózek półtonowy, gdy druga była o połowę mniejsza.

Sama procedura transportu była następująca:

Kiedy w dole przywieźli bałomaszczycę dawata odpowiedni sygnał do dzie pod kłot, zhańczano ją do liny, prz-

1000 wózków przechodząca na zmianie przez nasze ręce, była rozmaita: od 20-30 do 501 W okresie zimowym było nas trzech, to też co kilka wózków jeden sobie odpooczywał, grzejąc się przy piecu. Najgorzej było z porodą, bo jej wysycisko leżało najdalej, a ponadto była prawie jeszcze raz tak ciężka, jak węgiel. Na szczęście wychodziło jej z do-ku znacznie mniej, a z II szytu prawie wcale.

lecz dość powierzchni i jej zimna, zjedźmy na dół, i to w doskownym tego słowa znaczeniu. Nie wiem zresztą z jakiego powodu, czy ze względu na nasze zabezpieczenie, czy też z powodu małej objętości windy, o zjedźdżaniu nie było mowy i trzeba było schodzić specjalnym sztybem po drabinach, poprzedzielanych drewnianą podłogą na piętrach. Na IV szymbie było ich zdaje się 14,

na II już nie pamiętam ile, chyba więcej. Schodzenie po oślizgłych szczeblach w zupełnej ciemności - gdyż trudno było postąpić się przy tym kopając pod nosem lampką - już wystarczało, by serce podchodziło do gardła, a coż dopiero! Cate szczerbie, ze mustatem je przemierzać tylko dwa tygodnie!

Kiedy wreszcie stanęło się na dole przy kletki w błocie, dziesiąt przesięki, arki jako "katala" czy "leso-gona lub" zbójczyka wzgl. perelkicy. Nam opiszę, co który z nich robił, może podwieść panu zdan topografii kopalni.

otóż spod windy biegnę w obie

lebiokki, gdzie uruchomiano ry-a już po pracy motoru poznawaliśmy jąka idzie-prilomszczycia podnosiła zamykające otwór kłapy, zatrzymwała motor, opuszczając nieco badzie, która przetrzymała się na kłapie i wysypywała zamychająca się na kłapie, który wartość do podstawionego wózka, który następnie odwoziliśmy na haldę, udległ. Toś przewozu była różna w zależności od szymbu i od tego, czy chodziło o węgiel czy porodę. Na IV i V szymbie wynosiła do 100 metrów, to też przy leżącem szniegu trzeba się było dobrze napocić, nim dotarło się do niej, gdzie można było wózek wysypać. Gdy tor był swieżo przedkuszony, wystarczało tylko uchylić boczną kłapy wózka, by go opróżnić w dół. Gdy jednak dół był już zapełniony, trzeba było jeszcze możolnie odrzucać wysypany węgiel od toru, co przy dużym mrozie nie należało do przyjemności.

Najlepiej pod tym względem było przy II szymbie. Tam okresami, gdy odwozono węgiel na koleją, już po trzech metrach można było węgiel wysypać z wiszących prawie w powietrzu torów, bez potrzeby ich oczyszczania.

Samo opróżnianie wózków było wszędzie jednakowe: wpychało się wózek wzdłuż, po dotarciu na wysypisko jeden wzdłuż, po dotarciu na wysypisko jeden stawiał na końcu i podnosił kłapy, drugi podpierał je patykami i wspólnie ko-patami wygarniako się resztki. Czasem trzeba było być akrobatą, gdy wózek wi-siał prawie w powietrzu, a z nim i czło-wiek. Po opróżnieniu jeden odchodził wózek do windy, a drugi oczyszczał tor, i do kilkunastu minut.

10-15 cm i kilkunastu desek-
wskrabac się aż na drugą przysiękę tj.
o jakichś 20 metrów wyżej i potym wciąż-
gac pojedyncze sztuki do góry, przywią-
zane przez tamtego do linki. Już po pa-
ru pierwszych deskach miakim dosyć i
pewnie był mu pozostałe belki zrzucić
na głowę, gdyby mi zabójscy nie po-
mogli.

Zabójczykiem na szczesie
nigdy nie byłem, podobnie jak i katalam,
do którego należało dostarczanie pet-
nych wózków spod piecy do windy. Wymaga-
ło to również nie tylko dużej wprawy i
siły, ale i ostrożności jak i samozapar-
cia się. Pchanie bowiem ciężkich wózków
w błocie po nierównych deskach i ewen-
tualne podnoszenie ich w razie wypad-
nięcia kół z szyn nie należało do łat-
wych rzeczy. Mimo to kandydatów do tej
pracy nie brakło, gdyż najłatwiej było
przy niej wyrobić normę.

Ja sięk rzeczy nadawatam się
jedynie do jednej, najkorszej zresztą
pracy, a mianowicie do "perekitki". Jak
już wspominałem, polegała ona na odzru-
ceniu węzła z mijsen wyrębu do picca.
Ostatek był różny, dochodząca do 5
metrów, to też czasami trzeba była dany
porcję przetrucie kilkakrotnie, nim do-
tarka ona do picca. Ból bledy, gdy było
dużo mijsen i można było operować z
zwaszchem szutlą, znaczenie gorzej jednak
sprawa przedstawiała się w przysiekach,
gdzie można było pracować jedynie kłie-
cąc, przetrucając węzła między nogą-
mi kłótki kopalną. W takich warunkach
wyrobienie normy, wynoszącej co około
20 ton, było niezwykłą niemożliwością!

strony wąski korytarz. Jedną
jego część, zdaje się już nieczynną, sku-
żyła jedynie do dostania się do V. szach-
ty, łączącej na nieco wyższym poziomie. W
związku z tym trzeba było przez dziurę
w ścianie tego korytarza przejść do
równoległego z nim korytarza, który pro-
wadził już do tej szachty.

Druga część korytarza rozdzi-
lała się znowu na kilka korytarzy, któ-
rych boki wzmocnione były stojkami, zaś
w pułapie co kilka metrów umieszczone
były jakby drewniane lejki, które miały
głębokość się do podstawionych wózków.
Z tak zwanych "piecy". Były to krótkie
szłyby, które miały można było po przy-
bitych mijsenami drabinach czy też po-
prastu po sztrachach dostać się na
wyższy poziom czyli przysiękę, gdzie wy-
dobywano węzła. Były to wązkie ko-
rytarzyki, łączące jeden piec z drugim.
Układ warstw węglowych był zdaje się
różnej pionowy, to też trzeba było dra-
żyć w górę, tworząc właśnie te picce.
W zależności od grubości warstw węzła
albo spadał wprost do picca na dół, al-
bo też na korytarz, skąd trzeba było
przeznąć go na dół, i to właśnie było
zastaniem perekitczyka. Do zabójczyka
należało należało wykonywanie węzła i
"krepienie" tj. wzmocnianie warstwy
ny, ty się nie osunęła. Krepik on czyli
stemplował materjałem, dostarczonym mu
od windy przez "tasogona".

Raz tylko miakim sposobem
pęknięcie ostatniej funkcji i przekona-
łem się, że jest to najcięższa praca.
Mianowicie z drugim markiem miakim ma-
stałem do podwieżenienu part o średnicy

Nic też dziwnego, że moje ówczesne procenty należały do najniższych, choć nieraz cały się przy pracy spociłem. Zresztą sam idiota dyktator sam dopuszczał do obrzymania mnie, pozwalając na przerwanie mnie w czasie pracy z miejsca na mijając, nie zaliczając mi przy tym już wykonanych prac. Jako czegoś wiek lubiący spokój nie kłóciłem się z nim, powtarzając sobie: "nie podochne mi mo 600 gr chleba" - no i nie zdechłem!

W końcu jednak zarówno ta praca, jak i ustawiczne igranie z kalecstwem, czy nawet smiercią - o czym na innym miejscu - mi się sprzykrzyły i pod pretekstem zakupnej ślepoty udało mi się wydestakować z szachty i powrócić na powierzchnię.

Późniejsze zapamiętałem się transformatora i zalanie wkutek tego szachty przerwało w niej pracę na około półtora miesiąca, to też już nie groziło mi niebezpieczeństwo powrotu do niej!

Skoro też w ten sposób rozstałem się z nią już na zawsze, przejdźmy z kolei do innej pracy, już pod powierzchniami słońca.

...jak i na powierzchni!

Jako jego czciciel - zawsze znacznie lepiej czułem się na powierzchni, bez względu na to, czy był mróz czy upał i jaką właśnie pracę musiałem wykonać. A prace te były wieloletnie i tym samym urozmaicone!

A więc najpierw odgarnianie śniegu, wcale nie męczące, a jedynie przykre z uwagi na mróz i wiatr. Czasami nawet można ją było lubić, zwłaszcza gdy odbywała się ona w lesie, jak w dawnej czy Kruciszce, i to przy ładnej pogodzie. Inna rzecz, że zwykle trzeba było na mijając prace kilka kilometrów i to po nierównych podkładach, zmuszających do ciągłego zmieniania kroku. Jeżeli jednak do tego już ubity, szło się całkiem dobrze i można było tę pracę traktować po prostu jako rozrywkę. A na brak okazji do tej właśnie pracy w zimie nie mogłszy narzekać. W Samocwicie np. co parę dni musimy oczyścić ze śniegu niewielką stosunkowo trasę 2 kilometrów. Czasami był taki wiatr, że po oczyszczeniu kilku metrów toru już poczętek był zasypany. Kiedyś - pamiętam - musimy pracować do wieczora, by umożliwić uwiecznienie śniegu lokomotywe dostanie się do przystanku. Porządnie się wtedy nakrzyżowały i nakłóły, nim wreszcie przejechała ostatnich 100 metrów, i to jedynie dzięki koni, a nie dzięki wysiłkowi kłikmasu takich jak ja chortaków, udających, że ja.

Najbardziej nie lubiłem wazeli-
kiej pracy z kopartą, a było jej sporo: to
przy podpywaniu foru, to przy jego wy-
równywaniu itp. Wolalem już cięższą pra-
cę kajakowa czyli kilka /?/. Zależa tych
wszystkich robot było to, że można było
markierować, to z uwagi na rozciąganie i
luz w terenie ani dziesięć kilometrów i
konwojenci nie mogli nam upełnowładzać
tawiec, choć dużo krzyczeli, nie był tym
chłopek. Praca ta była jeszcze dobra ja-
cym przy zonie, gdy nie trzeba było iść
kilka kilometrów.

Zatrudnienie to nie ogranicza-
ło się zresztą tylko do drogi żelaznej,
dzięki naszej pracy i zwykłe drogi na-
brały lepszego wyglądu.
Z pracy na tym odcinku znikną-
łem się po raz pierwszy w Hozu, kiedy to
na 1 maja 1946, kiedy musiałem opu-
ścić główną ulicę miasta, zlaną miedzią-
mi błotem po kolana. Z ulicami zresztą
magistral nie miał wiele kłopotu: wysła-
czyło nasypać na nie ziemi i trochę ka-
mienią, a w ciągu lata to wszystko samo
się ułożyło.

Ogólnie zresztą była sama
droga z obrotu do miasta na przestroni
o 1-1,5 km: wykopana okrągłymi, powięza-
nymi drutem, chroniącymi idących po niej
przed utopieniem się w bagnistym gruncie.
Z podobną zresztą spotkali się już
w Koszaszu, kiedyśmy raz zostali wyciani
do lasu po witaniny w postaci czubków
młotych zwierzków: tam jednak była ona w
znacznym porządku. Tępną natomiast
była ona w całym dołku: jedna stania i w ok-
resie odwilży stanowiąca jedyną drogę do
nie ze światem, gdyż reszta drogi była tak
porażkowana, że żaden człowiek nie

chają.

Imię związane z transportem

praca było naprawianie względnie wymie-
na toru, a reszty szyn. Zetknęliśmy się z
nią w Samowicie i gdyż nie zima, była
by to całkiem dobra praca. Cała przygoda
podzielenia była na grupy, z których jed-
na rozkręcała stare szyny, a balaze od-
nosiły, przynoszący cięższe, układały i
wreszcie kładły. Ja wybrałem sobie kry-
canie i po pewnym czasie nabrałem przy-
najmniej w konsekwencji nawet po-
lubie, mimo że wymagała ona pewnego
samozaparcia zwłaszcza przy większym
mrozie, kiedy to trzeba było klęczeć i
brać całą ręką klucz czy też grubą prze-
de wszystkie nie wymagała ona dużego wy-
silków fizycznego i nikt się do mnie nie
przywiązywał, a ponadto szynki miały
przynajmniej czas. Robota ta była znacząco
łatwiejsza, gdyż grubą jedynką
i do tego odpowiednie klucze. Niestety,
choć miałem ich do swej dyspozycji, coś
z czy b, prawie żaden nie był odpowied-
ni i trzeba było dopiero kombinować z
różnymi podkładkami czy gabrami, by móc
coś zrobić: zwłaszcza, że i grubą była roz-
maitaj Gruboset, co wcale nie ułatwiło
roboty. Mimo to wcale nie widać postać
pochwałę od meistrów /zda się jedyną
raz na Uraniu/, że jestem "najlepszy ro-
botnik", co mnie bardzo w dumę i
różną prostą, ożoniko do jeszcze wyda-
niejszej pracy dla naszych gospodarzy;
Ima rzecz, że łatwiej jako
dyskwalifikacji nie rozumiał tej pochwały i
z przyzwyczajenia i ostrożności "pry-
nają na mnie, by mnie skłonił do wyda-
niejszej pracy!

mogły dostać się z miasta do
Jagru.

Do najznoczniejszych prac na-
leżać jakiekolwiek oczyszczenie tere-
nu, stosowane bardzo często zwłazcza w
Rezu. To trzeba było w fabryce układać
dniesiątki tysięcy klepek od skrzynek
amunicyjnych, to znowu zbierać różne ze-
lastwo czy drzewo wzgl. chodzić po lesie
i zbierać różne patyki. Wielu wykazywały-
wako te przedzadzki na zbieranie grzybów,
przynosząc je workami do obozu. Ja nieste-
ty z uwagi na brak okularów nie mogłem
o nich marzyć mimo, że nie tylko w lesie,
ale i na terenie fabryk w Rezu była ich
masa.

Tam też poznałem różne roboty
ziemne, jak niwelowanie terenu, gdzie moż-
na było zdecydować się czy to na nakła-
danie ziemi na taczki czy też na jej wo-
zenie. Był to zresztą już wyższy stopień
mechanizacji, gdyż w Samocwicie jedynym
środkiem przenoszenia ziemi czy węgla
były noszki. Poza tym były w Rezu i ro-
boty kanalizacyjne, to jest mozolne wydku-
bywanie w kamienistej ziemi rowów, czy
też górnicze, polegające na rozwalaniu
skał celem rozszerzenia wykopu kolejki,
grozącej spadnięciem w nurty rzeki.
W ostatnim obozie doszły jesz-
cze roboty w kamieniołomach, polegające
zresztą na wydobywaniu w drobnych ilości-
ściach wapienka i żwiru na naprawę drogi.
Już właściwym kamieniołomem był stok ko-
ło mostu, skąd przez pewien czas wydoby-
bywaliśmy kamienie na obciążenie filia-
rów mostu, gdy wzbierająca woda groziła
jego zwaleniem. Rzecz prosta moja rola
ograniczała się przy tym do noszenia

kamieni przy pomocy nosisek,
od czego nie jeden pchacz zrobił mi się
na rękach.

Innego rodzaju była praca przy
drzewie. Po raz pierwszy zetknęliśmy się
z nią w dajwie na tzw. "stakatach". Były
to olbrzymie stosy drzewa, wysokości kil-
ku piéter, zwalonych w postaci drągów i
kąd bezładnie na siebie, które trzeba
było umieścić na spucie na dół i zanieść
do wagonów. Była to bardzo niebezpieczna
praca, gdyż wmagata wielkiej ostrożnoś-
ci przy poruszaniu się na śliskich, usu-
wających się spod nóg belkach ze strony
znajdujących się na górze /do których
ja zresztą nigdy nie należałem/ oraz
uwagi ze strony znajdujących się na do-
le, by lecące z góry belki przypadkiem
nie zawadziły o czkowieka.

Już nic tak niebezpieczna, ale
za to cięższa była podobna praca w kru-
tisze, gdzie trzeba było dowożone przez
traktory ciężkie kłose układać na zwąły.
Szczególnie utrudniał tę robotę śnieg,
sięgający czasami poza kolana. Wmagata
ona zresztą raczej umiejętności, aniżeli
siły, gdyż umiędne podamniecie drążka
czasami działo wiecej, niż wysiłek kil-
ku ludzi.
Szlachetniejsza już była pra-
ca przy pile, z którą spotkałem się rów-
nież w dajwie, gdzie trzeba było codziennie
rznąć drzewo na opał. Wtedy to przekona-
łem się, że pilowanie nie jest wcale tak
łatwe, a wymaga pewnej wprawy. To wygina-
łem pilę, to znowu złył ją naciskaniem i
musiałem się nastuchać dużo przykrych
słów ze strony partnerów, nim wreszcie
jako tako pojawiłem tę trudną sztukę. Za-

uwazyłem przy tym, że im part-
ner był lepszy, tym lepiej mi szło i tym
mniej na mnie narzekał, najgorzej zaś był
to z takim, jak ja partaczami, mającymi
jednak o sobie duże mniemanie.
Również i w Kuitzse pilarka
nasza ograniczała się w zasadzie do co-
dziennego rządnienia grubych pni, przycię-
ganych przez traktory na podwórzu obozu.
Niektóre z nich miały średnicę 60 cm, to
też nie łatwo było je przeciąć, zwłaszcza
że w końcowym etapie trzeba już było
klęzczyć na śniegu.
Z pracą w lesie w charakterze
drwala spotykałem się też najpierw w tym
obozie, kiedy to raz wygnali nas z pięćmi
i siekierami. Wtedy jednak ograniczyłem
się do asystowania przez pewien czas
dwom Niemcom, czyniącym drzewo, doczym
poszedłem wraz z przy ognisku.
Pasowanie na drwala dostatek
dopiero w Kostołuchowej, gdzie nie odbywał
się na szerokiej skale wyręb lasu na spa-
ły czyli progi pod koleje. Norma dzienna
wynosiła tam około 25 spali drzewa 1,5
metra, które trzeba było wyciągnąć i ułożyć
w stos. Gdy te normy wypełnić, trzeba był-
o spuścić 3-4 kilkunasturowe koony,
pociąć je na odpowiednie kawałki i na-
stępnie schłęgnąć na jedno miejsce. I to
ostatnie zadanie sprawiło największą
trudność z uwagi na gęboką śnieg, w któ-
rym drzewo przęzło.
Ja miałem wówczas za towarzyszy-
sza starego robotnika kuitnowskiego Wal-
czaka, który był i silniejszy i doświad-
czniejszy ode mnie, to też zwykle udawało
nam się normę wyrobić, jednak po wyłamaniu
dużo potu, zwłaszcza że i długi były nocy.

małże, choć w stosunku do
samowolniczych były poprostu trylwami.
To jakimś tygrodniu okazało
się, że do wyrobienia normy trzeba jeździ-
cze dostarczyć wyrobione drzewo nad dro-
gę, co już przekraczało nasze możliwości.
Ci z uwagi na to, że nie znajcie tego wy-
mogu ścinającym drzewa o kilkadziesiąt
metrów od niej.
Dak już wspominałem, z Wal-
czakiem ciężko mi się dość dobrze i ja-
dynie raz przez tych parę tygodni wzdol-
nej pracy pokłóciliśmy się o coś, zresz-
tą na krótko. Od niego też nauczyłem się
się dość dużo, np. cięgnięcia ciężkich
pni po śniegu. Kiedyś stanął nad pierw-
szym takim kawałkiem, wydawało mi się
rzecz niemożliwą unieść go, a coś do-
piero przentęć. On jednak dał sobie z
nim radę: albo wziął w przed siekierę al-
bo obwiązał drutem i podniósł, ja z ty-
łu nopychałem i tak jakos stos się zbie-
rak.
W Resnu nie wiem z jakiego po-
vodu naszej fryzury kawatca do tego ro-
dzaju prac nie brano, to też wiele ona
omijała. A robota była tam pasadna choć-
by z tego względu, że była tam masa mu-
szek, to też nie je niekrotnie ludzie wra-
całi z tej pracy całi popuchnięci.
Dopiero też w Samowolcie zno-
wu przypadała mi w udziale ta szlachetna
praca drwala. I choć byłem najstarszy ze
wszystkich, wytrwałem najdłużej to od po-
towy stycznia do połowy marca. Imi stop-
niowe odpadali i tylko ja jeden wspólnie
zdaje się z trzako pozostał jako sta-
ra obanda. Jego podbitkiem tę pracę mi-
mo jej trudności, porzeczony ze znaczną,

do "naparnika". Nie znalazł się na pikach, wziałem pierwszą, jaką wpadła mi w rękę, która okazała się najgorzszą i późniejszą trzeba było z nią męczyć. Również i partnerów miałem najgorzszych, bo albo leniuchów albo stabeuszów, jeszcze gorzszych ode mnie. Nic też dziwnego, że mimo najlepszych chęci ledwo udawało mi się ustawić tych 1,5 metra. O tym, że nie tylko dobre chęci wkładałem w tę pracę, ale i siły, wiadaczy fakt, że dwa mieszące takiej pracy spowodowało dojrzenie przeze mnie do O.K.

Jednej rzeczy się jako tako nauczyłem, a mianowicie rąbania drzewa na szczapy. Kiedyś pierwszy raz stanął przed metrowej długości i o potowę mniejszej grubości kłosem, uważałem pró- bę rozrąbania go za szczytową pracę i prawdziwym zdumieniem patrzyłem, jak in- ni dwoma uderzeniami siekiery go roz- rąbawali. Okazało się późniejszą, że to wca- le nie wielka sztuka i po pewnym czasie sam jej dokonywałem. Prostu drzewo zמרnigte rozłupywało się bardzo łat- wo, gdy uderzało się raz w brzeg, a na- stępnie w przedłużeniu cięcia na dru- gim brzegu kłoca. Jeżeli drzewo jeszcze nie pękło, to trzeci uderzenie w środek musiało swój cel osiągnąć, chyba że drzewo było sękatę. W takim jednak wypad- ku wystarczyło uważać, by ciosy padaly między sęki.

Za lekką pracę uchodziło zbie- ranie w lesie cyszek, to też kiedyś się na nią zdecydowałem, lecz po jednym dniu już miałem jej dosyć i woląłem wrócić do drzewa. Trzeba było bowiem porządnie się nachodzić, by zebrać okwiżzkowych

do wynosząc około 6 kln odległością miejsca wyrębu od obozu. Wielką zaletą tej pracy było to, że czas przy niej piorunem mijal. Nim czło- wiek spuścił swych 4-5 sosem, już stonc- stało wysoko i trzeba było piorunem za- bierać się do ich cięcia i układania, by zrobić swoich conajmniej 1,5 metra. Tutaj nie można było markierować, gdyż nad każdym wisiała perspektywa karc- wego chleba tj. 400 gramów, a to się ni- komu nie uśmiechało. A diabolicznie ciężko było wyrobienie choć potowy normy, zwkaszczą, że do niej należało i uko- nie na kupie obcietych gatęzi. Oczywiście- cie kombinowało się tak, by drzewa pa- dały jedno na drugie, co zmniejszało ko- nieczność większego ich przenoszenia, ale i tak trzeba było ciężkie sztuki po 2, 20 m ciągnąć, pchać czy kulać na odległość kilkunastu metrów, a to wszę- stko w gębokim łożu, w którym każdej chwili można było się potknąć i upaść z ciężkim piłem na ramieniu! To nosze- nie też najbardziej mnie zabijało i wo- labym więcej drzew pociąć, niż nosić. Zresztą i samo spuszczenie było niebezpieczne, gdyż takie padające przy tym bardzo uważać, a przede wszy- stkim pracować z głową, by wiedzieć, z której strony podciąć więcej, by upadło w odpowiednią stronę względnie, gdy się miało pecha i padając oparło się na in- nym, w jaki sposób spuścić następne, by osiągnęło pierwsze za sobą.

Niestety przy tej pracy mia- łem pecha zarówno co do pily, jak i co

tego dnia kilka z nich zna-
leliśmy przy ładowaniu, zwrócił mi się
dziesiątnikowi. Ten zaraz wszczął wielkie
dochodzenie, skąd się one u nas znalazły
i domagał się wydania reszty, gdyż, że-
śmy je umyślnie roztrąbili i nie chcąc
wierzyć, że otrzymał prawdziwie podobne roz-
tilli sami przydziałacy.

"Samowolnie ładowanie ogre-
niezako się do węgla i polegało na no-
szeniu go w ilości do kilkanaście kilo-
gramów na noskach do stojących w odleg-
kości kilkunastu metrów 60 tonowych
wagonów. Naturalnie było to zadanie zu-
pełnie beznadziejne, bo ile mogło kilku-
dziesiąciu nawet ludzi przemieścić w ten
sposób ze jednym nawotem 300-400 ki-
logramów, a tu czasem było kilka takich
wagonów! W rezultacie też trzeba było
przez cały dzień wlec się od haldy do
wagonu i z powrotem, by wreszcie majster
raczył uznać, że wagon jest pełny.

Dużo znacznie przyjemniejsza,
o ile tak można się wyrazić o pracy li-
czynnej, była tzw. "nagruzka" czy "rozgru-
zka". Przy pierwszej należało zakładać wa-
gony ca 5 tonowe wagoniki, które do-
piero później zostały zastąpione przez
samochody, bezpodobieństwo z haldy. Kilka
dni tej pracy zupełnie mi wystarczyły,
by ją oprzytyć, bo trzeba było ciężką
szypą podznosić węgiel na wysokie wa-
goniki. Wolałem też przejechać do "rozgru-
zki", polecającej na wyrzucaniu tego węg-
lu na dworcach z samochodów. Przy niej na-
leżało w jak największym czasie rozka-
dować w trójce trzylonowy samochód,
wznosić około 20 ton na każdego, pod-
czas gdy przy nagruzce 14 ton na cze-

ośmiem czy więcej wiadów dró-
nych gyzsek. A ponieważ nie można było
trzeba je było co chwila zdejmować, by
wygrzebać gyzsek ze wnętrza, przyjaciel-
szem to lekkim odrożeniem sobie kółców
palców.

Latem, kiedyśmy na ławie wygod-
nie wędzili do lasu, było już przyjemnie,
bardzo we znaki.

Inny był rodzaj pracy w tzw.
rozkadowaniu na kotel. W tej dziedzinie
pracowaliśmy najwięcej w Rezu, przenosząc
z wielkiej kupy szmelcu do wagonów po-
czekane kuski czy pierścienie od po-
czekane artylerystycznych i różne krążki.
Było to beznadziejnie nudna i ogólna ja-
ca praca, to też po paru godzinach wazy-
scy kaziłi jak w kondukcie porzeczowym,
biorąc tylko dla pozorów po kawalku żło-
mu, byle tylko widać było ruch.

Kiedyś miałem znowu trzebia by-
ko wywalać z wagonów ciężkie, bo wazące
po ca 20 kg "nagruzki" tj. tryki Janego
żelaza lub też przeność z jednego
miejsca na drugie paki kłapak do strzy-
nek amunicyjnych czy ładować je pełne
na wagony.

Przy jednym takim ładowaniu
dokonał mi ciekawego odkrycia. Miano-
wicie między opakowaniami z okuciem
drzewnym znajdowały się podobne paczki
nieco cięższe. Jedną z nich ulęga roz-
piciu, niewiadomo umyślnie czy przez po-
kow. I wtedy okazało się, że kawiera ona
powłutek granaty jaskowe, naturalnie
nie nas one nie obchodziły i gdy następ-

zech, bo trudniej było pod-
rzucac węgiel do łóży.
Aczkolwiek w swoim dzien-
niku prawniczej przy rozkładowaniu
grupy wynosiło około 20 aut, zawsze by-
ło kilka minut odpoczynku między jednym
autem a drugim, a to już dużo znaczyło.
Czasem śmiało mi się chciało,
gdz poszczególnie grupy kładły się i
prawie były o prawo do tego czy innego
auta, jakby była w nim cześć, a nie
węgiel. Chodziło przy tym nie tylko o
wyrobienie normy i chwili odpoczynku,
ile o to, że niektórzy kierownicy, pracu-
jący również na normę, dla uzyskania
szybszego rozładunku dawali trochę prze-
pły czy innej zieleńiny. Nasza trójka
nie pchała się do lauru pierwszeństwa,
gdz zwykle tak się składało, że przo-
downicy w tej pracy musieli w końcu
rozładować dodatkowo ostatnie auto.
Nie byliśmy jednak nigdy i ostatni, ot
tak w środku, co również się rozkladowa-
niu 18-20 samochodów dziennie.

Dla uzyskania większej wydaj-
ności i przedłużenia czasu pracy dowo-
żono nas do pracy samochodami. Z uwagi
na wyboistość nieutwardzonej drogi wo-
lelibyśmy czasami już chodzić, niż je-
chać. Ponieważ praca trwała prawie 12
godzin, wracaliśmy do lauru dopiero ko-
ło 18-ej tj. po wyładowaniu ostatniego
auta i dzięki temu zwykle jedliśmy
obiad razem z kolegą.

Praca ta zresztą czasami się
komplikowała, gdy adł, do którego wyspy-
waliliśmy węgiel, był już pełen i samo-
chód nie mógł podejść do samego je-
ździe; wtedy trzeba było dodatkowo
poczyszczać boki, co skracało czas wypo-

czynku. Zwykle jednak, gdy ba-
ł się, jedzący na linie po dnie rowu i
zgarbiający węgiel w górę do bunkra, był
w ruchu, ta przyktra konieczność odpadaka.
Choć praca ta była wyczerpu-
jąca z uwagi na konieczność bardzo du-
żego wysiłku w ciągu kilku zaledwie mi-
nut, polubiłem ją, gdyż czas przy niej
mijał bardzo szybko. Zzerata nas jednak
ona paskudnie, to też z dnia na dzień
czułem, jak mi siły uciekają, to też rów-
nież z przyjemnością uciekłem z niej
wreszcie na "odkarkę".

Próba zatrudnienia mnie przy
typowej cieszelskiej, czy to przy budowie
III szachty, czy też przy naprawie mostu,
się nie udało z uwagi na mój dyktantyzm
w tej dziedzinie, to też prawdziwi cieśle
mnie z niej spawili, przeciecko czemu
zresztą nie oponowałem.

Trzecim wreszcie rodzajem pra-
cy, której zasmakowania nam nie odmówio-
no, była praca w polu.

Zaczątko się od wykopków kar-
toli w lesie. Praca ta polegała albo na
ich kopaniu albo też na ich zbieraniu,
co jak wiadomo nie wymaga wysiłku umy-
słowego, a jedynie odpowiednio wyrobio-
nego krzyża. Ponieważ tego mi właśnie
brakowało, a i naskórnek na rękach był
zbyt delikatny, przerzuciłem się na wy-
bieranie, wymagające mniej wprawę i przy-
nim już ostatem.

Praca nasza była zresztą so-
wiele przez kółchoz wyznaczonego do lat-
kowym obładem w postaci miski zupy, pół
miski kaszy i 300 gr chleba, nie licząc
samych kartoli, których mogliśmy piec
de wita. Dla tego też warto było chodzić
co dzień tych 8-9 km w jedną stronę!

Godzienna droga.

Niezależnie od obozu rozpoczy-

naka się ona od długiego postępu pod kramą w oczekiwaniu na spóźniających się i na gotowość konwojentów do przejścia nad nami opieki. Wreszcie brama się otwiera i ruszaliśmy przez nią czworakami, raka i ruszaliśmy się za ręce dla łatwiejszego zliczenia. Za nią znowu postój celem ponownego przeliczenia przez konwojentów, starszy wypowiada sakramentalną formułę o porządku i użyciu broni, kończąc ją słowami: "Jasno!", na co niektórzy odpowiadają tym samym słowem, innymi zaś mruczą pod jego adresem różne przekleństwa, i wreszcie pada komenda: "Szaga marsz!" i rozpoczyna się codzienna wędrówka, kiedy to czas pracować za

nas.

W zależności od obozu i od miejsca pracy każda droga była inna, to krótsza do dłuższa, to nukienniejsza, to

bardziej urozmaicona.

Najkrótsza była w Kospaszu,

bo szachta leżała tuż przy obozie, już

znacznie dłuższa, bo czasem i kilka kilometrów-w Jajwie. Chodziło się tu wzdłuż

Lagru, którego widok być może ze względu

na "wyżki" kofarzył mi się z "derozolimą

wyzwoloną", gdyż robił wrazenie twierdzy.

Pokryta gnieźmiem dalsza piaszczysta nie

czym nie bawiła oka, najwyżej kilka podobli-
skich zabudowań z tarbakiem byłby god-

ne rzucenia na nie okiem.

Już Kruticha ze względu na bliskość lasu była bardziej malownicza,

choć tam droga nasza ograni-

czona była linią kolejki. Za to w Kosto-

łuchowej, położonej na polanie leśnej,

biegła przez stary las w terenie pagór-

kowatym ku dolinie.

Malomiast w Rezu, gdzieśmy wi-

tali wiosnę, mieliśmy wrazenie pobytu na

leśnisku ze względu na okolicę. Po przeje-

sciu paraset kroków wzdłuż przylegają-

cych do Lagru baraków cywilnych, zresztą

za naszymi czasów pustych wychodziło

się na drogę z okrągłaków, prowadzącą

do miasta. Ponieważ częściowo zachowały

się na niej deski, szło się po niej cał-

ktem wygodnie, jeśli się do tego-tak jak

ja-wybięrało skrajne rzędy. Po dalszych

kilkuset metrach wyrastata struma ścia-

na wzgórze, mieniła się różnymi kolora-

mi, przeważnie jednak zielonym od tkwią-

cych w niej malachitów. Po jej minięciu

droga opadała w dół do mostku na rzecz-

ce, by znowu wspinać się do góry. Po minię-

ciu takiego lasu stawaliśmy znowu nad

strumym spadkiem, w którego głąbi leża-

ło jak na dłoni miasteczko i sztuczne

jezioro. Wypływała z niego wcale duża

rzeka wita się u podnóża strumych wzgórz,

ozdobionych na szczycie bardzo ładną

cerkiewką z bityszczykami w stoncu kopu-

łami.

W zimie po takiej zamarznięte-

go jeziora, na wiosnę zaś już jego prze-

jęciem-co znacznie przedkładało drogę-do-

stawaliśmy się do miasteczka, różniące-

go się od wsi jedynie ilością domów, ty-

powo wiejskich. Te same wystające belki,

malutkie okienka ozdobione kwiatami i

niewielkie ogrodyki, robiące zresztą bar-

dzo schladne wrazenie. Jedynie przy glownej ulicy bylo kilka murowanych domow.

Tamtejszy magistrat nie mial

zadnego ktopotu z ulicami, bo przez wieksza czesc roku byly one pod sniegiem,

a z tym bruk byl niepotrzebny, a przez pozostaly czas albo bylo sucho, a z tym bruk byl niepotrzebny, a wystarczajaca

zwykla ziemia, albo tez pokryte siega-jacymi do kolan kapiuzami, co przyjmowa-

ko sie jako dopust bozy i czekako na pogodę. Jedynie tez starania ograniczaly

sie do glownej ulicy, ktorej naprawa polegala poprostu na zszpywaniu na naj-

gletsze dziury drobnych kamieni. Nie ta-

tygowano sie walcowaniem, gdyz po co byly przujzdajace samochody? Spelnia-

ly one te same role bez najmniejszych wydatkow!

W tym tez lagrze mielismy

okazje kilka razy zrolic prawdziwe wy-

ciezki w dalsze okolice, a mienowicie z okazji pracy w kokchozach. Wyjezdzi-

sie na nie autami, a raz nawet prawdzi-

wym poniemieckim autobusem, z ktorego zreszta pozostalo jedynie podwozie i

karoseria, pozostawiona zreszta siedzen-

i szyl. Wracajac nigdy z takiej wyciez-

ki poznyim wieczorem, musieliśmy sie ko-

dzic przeprowadze przez jezioro, co o ma-

ko nie skonczylo sie katastrofą w posta-

ci wyeypania sie w niej. Na szczescie miato to miejsce juz przy samym przegu

na praktycznej wodzie. Miato sie wtedy na-

prawde wrazenie wyliczki, wzruszenia ze zamiaszt komwojentow towarzyszacy nam przy tej przejazdze jakies brzdazian-

ki, ktodysmy tak jechali ku przodczemu

na drugim brzegu ognisku, po-

tem zas utykali po jakichs leznym ciele-

zynkach. Przypatrzalem zreszta te wyprawę

utrata na jakims korzeniu calej zelwki.

W przeciegną stronie drogi prze-

wadzila ku "zwolom". To obiektu obzaru

wychodzilo sie na stozunkowo szeroki

lezný dute, wlasny sie falowato przez

tas, z ktorej wychodzilo sie na szose.

Na wstepie wiaty nas dwunietrowe domy

uruwane, ceblim nowe, i wcale ladne

drewniane domki robotnicze ze zwyklymi

balikonikami i ozdobami, poczým droga do-

prowadzala nas do bramy "zawodow" tj.

fabryk wojskowych i roznych manufaktur.

Stanowily one wksaciwie jeden okrodo-

ny lagier, podzieleny drogami na poszczo-

lone fabryki. Wieksość z nich w. i. pa-

piernia, nie byla juz czynna w przel-

wiatwie do czynnej w samym Rezu fab-

ryki granatów i równocześnie huty. Nawo-

one nie mialy, a jedynie numery.

Parazo urzadzalona i zaradem

daleka, to wynosząca od 5 do 7 km z ha-

ktym byla droga do pracy w Samowolcie.

Najdluzsza z nich prowadzila na dworzec.

Najpierw szlo sie jak i kilometr równy,

do ktorej zimy hulat wicher, syplilo drob-

nym sniegiem w oczy czy plicy, poczým do-

chodzilo sie do drewnianego mostu koto-

"wodokaszki", gdzie kolejka zapatrzywala

sie w wode. Nastepnie po nierównych pro-

tech docieralo sie do drugiego sie wyso-

ko lasu i do drogi, prowadzacej juz ku

stacji i skladajacej sie na niej z obu-

lowani z punktem na wstiel i hadkami.

Najczarna wprost w zimie byla

nie kolorow bielec sniegu i lezowych

wprost barw nieba w miare wstawania ston-

ca i juz sam ten widok wywaral na wy-

Naogół jednak nastroj nie za-
 chęcał do rozmowy i wtedy woląłem snuć
 sobie bajkę o tym, co bym zrobił, gdybym
 tak np. dostał więcej pieniędzy, to jakie
 jedzenie bym sobie wtedy za nie kupił i
 t.p. marzenia głodnego. Księżki o domu też
 przyczytniały się do skrócenia drogi: pro-
 bowaniem sobie wtedy wyobrazić chwilę me-
 go powrotu do domu, kogo tam zastanie i
 jakie będzie przywitanie?
 Zwykle zresztą byliśmy rozmow-
 niejsi w drodze powrotnej, poprzedzonej
 hasłem: "Huc narzędzia, bierz kępotę, p...
 majstra i robotę"! Perspektywa bowiem
 dwóch posilków naraz - obiadu i kolacji -
 pozwałała zapomnieć o zmęczeniu i doda-
 wała siłę i ochotę do rozmowy. Zwykle też
 dopiero przy powrocie spiewaliśmy /co
 zresztą miało miejsce tylko w reżu/bo
 tam byliśmy względnie niegłodni/prze-
 ważnie należącą do żelaznego repertua-
 ru "Marsz, marsz Polonia...!"
 Kiedy nie mogłem iść w pierw-
 szych szeregach, woląłem więc się na sa-
 mym końcu, gdzie miałem możność wybiera-
 nia sobie najlepszej drogi i gdzie nie
 słyszało się ogłupiających rozmów o je-
 dzeniu.
 Tak to w ogólnych zarysach,
 odarta z poetyckiego piękna, przedstawia-
 jąca się naszą codzienną drogą, która nie-
 jednokrotnie, zależnie od pogody, stawa-
 ła się drogą piękną, kończącą się
 przy bramie z napisem: "Lasciate ogni
 speranza...". Ci jednak, którzy uwierzyli
 w ten napis i porzucili wszelką nadzie-
 ję, nie znaleźli się już na tej ostat-
 niej, wiodącej do ojezyny!

nika, jęcy z odległości uciąż-
 liwość tej drogi. Latem natomiast szło
 się wolno wzdłuż łanów zboża, obok masy
 niespodziewanych u nas kwiatów polnych i
 leśnych, w samym zaś lesie, obok poziomek,
 na które mimo zekazu konwojentów nie
 brakowało amatorów.
 Prócz tej była jeszcze i dru-
 ga droga, już przez kępkę, znaczną
 dłuższą, to też przetywalimy ją samocho-
 dami, dowożącymi nas na "rozgruzkę". Cze-
 kamy nas one przed bramą, każdy sadownik
 się jak mógł najwygodniej na czarnych
 od węgla deskach podkoci i ruszaliśmy.
 W czasie jazdy po wyboistej drodze wszy-
 stkie nogi się ze sobą mieszały, siedze-
 nie zaś zbiłako się na kwaśne jabłko.
 Po minieciu kępkich przejeżdżaliśmy
 drugi most, już kłokowy, dostając się w
 las, gdzie droga była już możliwsza.
 Choćby jednak nasza droga by-
 ła najładniejsza, niegodna była ogląda-
 nia jej przez wygodnie, a nawet mięsią-
 ce, to też szybko nam ona przydła.
 A co robiła głowa, gdy nogi nas
 niosły? To zależało od nastroju, ten zaś
 znów od jakości zawartego w zokładku
 posilku. Gdy był on jaki taki, to była i
 ochota do rozmowy z towarzyszami. Wybie-
 ratem już sobie zwykle odpowiednie to-
 warzystwo, by móc rozmawiać nie tylko na
 poważecznie obowiązujący temat o jedze-
 niu, lecz i na inne, a w szczególności
 na drugi po nim najważniejszy - o domu.
 Czasem w zależności od poziomu wykształ-
 cenia sąsiadów w marszu poruszało się
 i inne. Kiedyś na przykład z kilkoma in-
 teligentami prowadziliśmy dyskurs o li-
 teraturze.

hasze "nazajstwe".

Zawsze byli, czy będą przetrzący i poddani; każda grupa społeczna musi mieć kierujące nią jednostki czy to wychozące niej drogą wyboru przez jej członków względnie nominacji, czy też narzucone z zewnątrz. Rzecz prosta i w naszym kraju społeczeństwo, nastawionym z 1871 na jeden cel narządny - państwo - stałi być przewodem, kierującym nim ku temu właśnie celowi. Nieestety jednak nie mogło być u nas mowy o demokratycznym ich wyborze przez nas samych, a jedynie o narzuceniu nam przez dwóddstwo oligarchii - klucze, ubezpieczającej się sama w sobie. O jej też rzędach słów kilka.

W jaki sposób wypadł na czoło naszej grupy w Przychłku jej komendant Zielinski - czy drogą wyboru czy też nominacji - nie mogę powiedzieć, jako że to władzę sprawował on już przed naszym przytyciem. Jako były aspirant policyjny nadawał się on zresztą do swej skromnej roli, polegającej na rozdawaniu sucharów i przestrzeganiu ogólnego porządku wśród niepodlegających jeszcze obowiązkom pracy "zakłuczonych". Ograniczał się on zresztą przy wykonywaniu swej funkcji do przecznego "proszę panów" i nikomu z tego skowa nie powiedział. W tej funkcji pomagałi mu druzynowi, mający pod sobą kilkunastu ludzi każdy. Były to funkcje nie wymagalące żadnego wysiłku i może dla tego nie podjęzone / przynajmniej ofi - cjalnie / z jakimikolwiek korzyściami dolewkowymi.

Duż więcej korzyści przynosiła tamta starym wozom w czasie trwania. Sprawy samej jej nie mogłi z nami walczyć, co dla nas wcale nie było niebezpiecznym. Właśnie dlatego nie zresztą trzeba przyznać, że był to czkowiek na właściwym miejscu, nie nadający się do funkcji swej władzy, traktujący wszystkich równo bez względu na narodowość.

Pod koniec naszej podróży o mało sam nie zostałem podstarość. Kiedy bowiem kaził w motokowie znaleźć się w wielkim wagonie towarowym w ilości ca 90 osób, zaszła konieczność podziału na trzy grupy, zresztą nie ze względu na ukatwienie kontroli przy łasowaniu żywności, lecz - jak się okazało - celem umożliwienia kombinacji przez zorganizowaną mniejszość. Mianowicie wyznaczony przez konwojentów żyd Kotevski Fiszos podzielił nas na trzy grupy według narodowości. Do pierwszej należeli Reichsdeutsche, do drugiej Polacy i Volksdeutsche, a do ostatniej Roggenie i Zydzzi. Nie bawił się on wcale przy tym w wyznakiwanie kierowników tych grup, a poprostu brał pierwszego z każdej grupy. Dałi rat po odliczeniu byłem pierwszym, kiedy jednak mnie zobaczył, widocznie zwłpił w me zdolności kierownicze, bo machnął ręką i wyznaczył następnego, przeciekocemu zresztą nie nie miatem.

W XVII-ym obozie znowu nastąpił podział nas na rotę i zwody, przy czym kierownikami ich byli wyłącznie rosjanie, którzy też umieli swe stanowiska odpowiednio nazwym kosztem wykorzystania.

bożeństwo mi się podobają.
Po przybyciu do kospasza po-
dzielono nas na trzy rotę narodowościowe:
pierwsza składała się z samych rosjan,
druga z polaków, trzecia z Niemców. Poza
tym czwartą rotę stanowił szpital, a piątą-
tę nieboszczycy.

Kto stał przy poczekalni na czelę
naszej - już nie pamiętam, po nim zaś, już
niejaki sznic, VD, który niejednemu dał
się porządnie we znaki. Rota kolei dzie-
liła się na trzy rotę. Pierwszym rotę
dierem był niejaki Górski /czy o podob-
nym nazwisku/, były dyrektor więzienia, zy-
jący wspomnieniami o swej dawnej władzy
i traktujący nas właściwie jak swych
dawnych pupilów, i młodo niesympatyczny.

Przydomkiem sobie, jak kiedyś na robocie,
usłyszawszy gwizdatki fabryk, głoszące 12.
godzinę, powiedziałem to głośno, na co on:
"Chyba wam w głowie gwizdaje!" Nie zdoka-
łem już mu się odciąć, gdyż ponowny gwizd-
fabryki spowodował ogólną ucieczkę wszy-
stkich do ogniska. Tak samo gdy odchodzili
do szpitala, skorzyszał z okazji i pod
pozorem mego spóźnienia się na kolację,
odmówił dania mi zupy, na co wzgardliwie
machnąłem ręką. Co się z nim później sta-
ło, nie wiem, zdaje się w jesienni został
wywieziony z innymi więźniakami do in-
nego obozu. Był on typowym zawodowym kry-
gaderem ze swym ordynarnym obchodzeniem
sie z nami i kapeczywością na dolewki!

Do powrocie mym ze szpitala do
roty co chwila zmieniałem trygardy i do-
pięro do pewnym czasie ma sytuacja się
ustabilizowała i dostatek się pod opie-
kę Siemiaszki, zdaje się b. policjanta, z

stać. Trzeba zresztą przyznać,
że sam Piszos doskonałe nadawał się na
szefa, tak z wyglądu, jak i z zachowania.
Miał w swej twarzy wyraz człowieka zde-
cydowanego na wszystko, pewnego siebie i
wygląd prawdziwego twardziela. I miał nami
rzędzić: nie ławił się w jakieś próby
czy przekonania, tylko odrazu był w
mord. Otoczony kilkoma podobnymi do sie-
bie opryszkami przez dwa tygodnie trzęsł
obozem, obławiając się cudzymi rzeczami.
W jaki sposób wypląnął on na to stanowi-
sko, już mówić w części pierwszej, w kaz-
dym razie swą nominację na nią okupił

Samo jego zachowanie się bu-
dziło w nas podejrzenie, że musi on mieć
jakieś tory i władzy i że może jest sam
szpiclem, późniejsze jednak jego losy ra-
czej przemawiały przeciwko temu ostat-
niemu przypuszczeniu. Już bowiem w kos-
paszu był zdaje się przez pewien czas
rotnym, później jednak spadł na czaromor-
boczego, ty znowu awansował na przygadia-
ra. W dawnie już przeważnie siedział w
karcu, bo nie chciał chodzić na roboty,
a żałił po całym obozie, nic sobie z wkładz
nie robiąc i smarując sobie buty tawowa-
nym smalcem. Skończyło się też na tym, że
głazieś go wywiezili i podobno dostał 10
lat. Opowiadał o sobie, że był sierżantem
w SS mimo swej aż nadto rzucającej się
w oczy fizjonomii żydowskiej. Człoby
niemcy byli aż tak głupci!

Spojalnie opisałem go szerzej
ze względu na to, że to za jego rządów w
wagonie zostaliśmy obrabowani z mego ubro-
ru. Nie czułem zresztą do niego z tego
powodu urazy, a nawet jego zachowanie i

zawodu murarza. Przecież nie po-
nie obchodzi, chodzi jak w domu, nie
szwajca, ale siłom do człowieka, dła
ze wyrazem, należą do ogólnego
słownika murarskiego. Przeto nie jest
beztrosnie przynajmniej, że na jedzenie nie
leciał, mając go dość dzięki swym stożom-
kom z roszkami i śliwki nie są jego (bur-
rowe), nie były jeszcze naproszy-
najlepszym trybalerem w tym
czasie okazał się Michałski, kierujący
naszą małą przyładą szachownicą. Miał on
duże powołanie w kuchni, to też nieraz
dostawał delecty, które dzielił między
nas, poza tym i przy pracy dół o nas i
nikomu z tego słowa nie powiedział. W Kos-
paszu jeszcze się nie słyzało o normie,
to też rola trybaliere nie polegała tam,
jak w dalszych obozach, na napędzaniu
do roboty.

W dajcie po przyjeździe do roboty
dostatem się pod władzę Andrzejskiego.
Był to wtedy okazały mężczyzna z długą
jakby asyryjską brodą, bardzo dobrze ub-
rany, pewny siebie, poprostu istny he-man.
Funkcja jego przejawiała się
w małej delecty o ludzi i w ustawie-
nym podkładaniu do kuchni ordynansu po do-
lewki. Kiedy wobec paru innych w tym obo-
zie warunków mógł nas niejednokrotnie
nie warunków mógł nas niejednokrotnie
nie nam jedzenia. Przeciwie, kiedy mu
raz jako dłużnemu pozostało prawie pół
baka zupy, wolał ją zamieść do innego
zawodu, zamieszkiwał w pod nas, to
rzekomo w czasie pozdawania był niepo-

rzędko, to jest dlatego, że wtedy,
ze żył nigdy (choć to nie znamy), ty-
czę mu równocześnie, by kiedyś zjadł
nie w małej przyładzie. Nie przynajmniej
nie w kuchni, że jest niedługo, może
nie szejn i szejn do roli najwik-
szego dzieła obowego. Lecz o tym kie-
dyndziej!
W Kutiżach znów zmienili
zwodnego, którym został Winniczuk, kole-
jarz, nie mający wówczas jeszcze tego
temperamentu, jaki zaczął okazywać w Sa-
mowicie, to też nie z tego o nim nie mo-
gę z tego okiesu powiedzieć. Sześciu
mie nie przyswilięgowal, ale i nie
szkodzik.
Natomiast starszy zony, Pucko
nastawiony był do mnie naogół zyczliwie,
choć właściwie miał powód do wykładowa-
nia na mnie otybutów swej wtaży. Na-
nowicie kiedyś, wyziedzisz nocą do uste-
pu, zgodnie z przyjął w obozie ogólny
praktyk odlatem się po drodze i zawro-
ciłem, gdy właśnie on wychodził z usie-
pu. Mimo jego wołania nie zatrzymałem
się, tylko wbiegasz do baraku, po kilku
krokach zrobikiem w tył zwrot, niby wy-
chodząc do ustępu. Nie zobaczysz ni-
kogo innego na korytarzu domyślił się
czego podobnie, jakoś jednak nie naradził
mi gładnie. Byłem jednak przekonany, że
następnego dnia o mnie nie zapomni i
weźmie mnie do roboty. Rzeczywiście tak
zrobił, jednak wobec innych niezym się
nie zdradził. Za to, gdy innego dnia pro-
ciłem go o zwolnienie od pracy, przew-
ażnie na to, jednak zamiar wyznać mi
na przyłóżku, to też moje pole w tym

W tym obozie odrzucał się grupą brygadierów z Drodowskim jako rolnym na czele, kompletująca swe zwody. Za radą Dobrołubowa zapisał się do nazwie mi nieznanego latwca, zawodowego chorążego. I mimo że okazał się on czło- wiekiem mającym najniższe kwalifikacje na takie stanowisko, jako czkowiek okazał się lepszy od innych, to też swego wybo- ru nie zakwestionował.

Przed wszystkim odrzucał zaczął- liśmy się, tykać, bo taki już miał zwyczaj. Wiedząc kim jestem/a wlaściwie, kim byłem- liczył się on trochę ze mną, co nie prze- szkadzało mu od czasu do czasu miłe ob- rucyć, w czym zresztą nie byłam mu dłużny. Był on strasznie techniczny wobec dziesiąt- ników, to też niejednokrotnie z tego po- wodn cierpieliśmy, gdyż nie miał im się przeciwstawić, a słuchać tego, co mu ka- zali robić. Nieraz też słyszał od nas z tego powodu cierpkie uwagi, którymi jed- nak się nie przejmował. Próż bojaźni był również i niezdecydowany. "Chociaż, to nie masz co robić!" "Co? Przecież ja tu nie mogę sam sobie dać rady!" - odpowiadałem w takim wyładku. "To dobrze, zostań, a n- niech to jeszcze przyjdzie X do pomocy!" "Albo nie, idźcie obaj w tamto miejsce!" To jedyny, zresztą wcale nie jaskrawszy przykład jego niezdecydowania. Poza tym krzyczał on na wszystkich, poganiając do roboty, czego zresztą nie brałismy mu za złe, widać dobrze, że tak musi robić, by utrzymać się na swym stołku. Jedno, co mi się najbardziej u niego nie podobało, to faworyzowanie niektórych. Tył np. wśród nas niejaki Ekaszczukiewicz, chłop jak dąb, którego

dnia ograniczyła się do pil- nowania brygady. Zaraz po przybyciu do Łost- kuchowej nastąpił podział na zwody, przy czym można było je sobie wybrać. Zgłosi- łem się do Leńskiego, uważając go za czło- wieka porządnego, rycho jednak przeko- nam się, że poprzednia służba wojskowa wycisnęła jednak na nim swe piętno. Jed- nym jego celem były dolewki, naturalnie dla siebie. Jeżeli nawet odstąpił mi kie- dykolwiek trochę zupy, to po dokładnym wykowieniu z niej ostatniego ziarenka czy makaronu. Egotizm jego posunął się do tego stopnia, że kiedy raz zapropono- wałem mu, byśmy wspólnie przykryli się jego koczchem - na moim od początku leze- liśmy razem - to nie chciał się na to zgo- dzić, wobec czego poprostu wyciągnąłem mu swój spod dupy. Jako brygadier zupeł- nie nie rozumiał się na robocie i wska- tek tego przez parę tygodni nie mogli- śmy wyrobić normy, bo poprostu nie poin- formował nas o jej warunkach. Sobie jed- nak nie omieszkał wybrać takiej pracy, gdzie zawsze miał normę, a co za nią szło, i dodatkową kaszę. Dopiero gdyśmy sami zrozumieli, w czym leży sedno rzeczy, uzy- skaliśmy tę tak uprawnioną nie tyle nor- mę ile kaszę. Zawsze ponadto starał się on przydzielić jaknajwiększą porcję chleba i dopiero na nasz energiczny protest wprowadził kolejność. Choć przez cały prawie miesiąc spaliliśmy na jednej przychy, do bliźszego zżycia między nami nie doszło i dopiero w drodze do Reza trochę szerzej ze sobą pogadałismy.

ty. Latwiec starał się go wy-
tkmasczyć, że nie było w tym jego winy,
i kiedy Ozimek mi sam wyjaśnił, że chcia-
ł ten uszczuplony przydział / też dziwna
logika! / dla świętego spokoju zdecydow-
wałem się go przeprosić. Krótko później
do szpitala uchroniło mnie od dalszych
z jego strony szkan.
Zgodnie z moim przewidywaniem,
jego gorliwość w pracy zmściła się na
nim i gdy go ponownie zobaczył już w
Prześciu, pozostał zaledwie cieni z niego;
w międzyczasie zresztą dostał się do
szpitala w Altonai.

W szpitalu przez kilka dni by-
łem znowu w zasięgu władzy Andrzejkie-
wicza, który znowu pokazywał swoje ja i
przy próbach nawet hakasie dawał innym
dolewki / zresztą rzadkie /, opuszczając
nasz kpt. Wkrótce jednak z nieznanego mi
powodu został zdegradowany do roli i za-
stąpił go mój Krwaczek, Farmaceuta.
Był to bezwzględnie wściekły
człowiek na własciwym miejscu, nie tylko
ze względu na swą fachowość, lecz i jako
człowiek. Bardzo kulturalny, opanowany,
zawsze prawie uśmiechnięty nadawał się
na kierownika szpitala. Nigdy nikomu zke-
go nie powiedział słowa i nieraz wolał
sam wykonać jakiś rotolę, jak powtarza-
łyśmy drugiemu polecenie. I tak sam raz
widziałem, jak sam napychał siemięki, bo
mający to zrobić sanitariusz tego nie
zrobił. Inym razem sam kopał odpływ od
ustępu, by nie trudzić innych. Naturalnie
w obu wypadkach nie omieszkałem go wy-
ręczyć, by w ten choćby sposób sprząść
swoją drugą wdzierczność wobec niego, gdyż

Jednak wyraźnie oszczędzał
jako swego tylko dowódce kompanii. Ma-
nował to też swoim zasępca, dzięki cze-
mu ten nie potrzebował nie robić, co nie
przeszkodziło mu - o ironio! - znaleźć się
na drugim miejscu wśród stacjonarowców.
Bezpośrednim moim przyjacielem
był w tym czasie Dobroslubow, porządnym
chłop, o którym nie złego nie można było
powiedzieć. Nieistety niedługo on z poro-
du choroby rzucił naszą brygadę i za-
stąpił go niejaki Ozimek, który koniecz-
nie chciał zdobyć krzyż na Uralu i o
mako go nie zdobył, zresztą nie w upras-
nionej formie. Typ pseudointeligenta, bo
podobno miał maturę, prawdziwą przyjęm-
ność odczuwał w dokuczaniu mnie i Broz-
dowi. Objawiało się to zarówno w usta-
wicznym poganianiu nas do roboty, jak i
w urzywiłajowaniu naszym kosztem
swych znajomych. Zależnie bowiem od uko-
zenia piétek na tablicie rozdawał je raz
wzduż jednego fokcu, to znowu zygżakiem,
był tylko tam dąć gródek. Miał jeszcze
przy tym bezczelność twierdzić, że umyślnie
nie tak robi, by jedni nie dostawali więcej
piétki!

Tak samo przy zdarzających
się wówczas podcjach nieformalnych sta-
rał się je nam wcisnąć, uważając za gor-
szych robotników. Kiedy raz dwutrojn-
przypadki nam miały się porcję, nie wylaz-
makem i spytałem: "za co ja mam mieć ją?
porcję?" "Bosicie w sobotę zle pracowali!"
"Zapominasz, że w ten dzień właśnie z
wami pracowałem?" Zgrywał na to, a ja:
"To jest zwinstwo z waszej strony!" Coś
tam odburknął, lecz widząc, że i Brozd mi
sekunduje, umilkł. Później copywda Piotr

to jemu właśnie miatem do
zawdzięczenia tak korzystną funkcję sa-
nitarisza w szpitalu.

Może właśnie dla tego, że był
tak przyzwolny, i jego spotkanie zwykły los
brigadierów i w końcu popadł do roty,
gdzie jednak Latwiec całkiem słuszenie
go oszczędzał.

Kiedyś ja wrócił do roty, że-

stajem już w niej wielkie zmiany. Zamiaszt

również zdegradowanego w międzyczasie

Dziedowskiego rotnym został - już nie pa-

miełam nazwiska - w każdym razie chłop do-

syć możliwy, a funkcję brigadiera pełnił

Senko, bynajmniej nie przejmujący się swą

rolą i nie neganijący nas do roboty, to

tez w ogóle się go nie odczuwano.

Jeżeli chodzi o resztę naszej

starszyny w Rezu, to odpowiedział ona swym

sobowtorem z innych obozów. Starszym zony

był pastuch rumuński Iwanow, którego sam

widok wywoływał w nas postach, a cóż do-

piero jego wystąpienia! Znalazł się co-
prawda jeden wśród nas, Nowak, który otrzy-
mawszy od niego w twarz, odpowiedział mu
tym samym, że ten się prawie przewrócił,
lecz odpokutował to zdaje się parodnio-
wym karcem i wyskaniem do szachły przy
najbliższej sposobności.

W ogóle zasada "bicie nie bicia!"
obowiązywała tylko w teorii i to tylko
poza zoną; co się w niej działo, naczal-
stwa nie nie obchodziło. I kiedy np. w
Kospaszu umieszczenie w areszcie nastę-
powato jedynie z rozkazu naczelnika, to
w pozostałych obozach należało to już
do kompetencji starszego zony.

Również inne stanowiska, jak w
kuchni czy karniej rocie czy też w chle-

horzece zajęte były przez ru-
mundów względnie żydów węgierskich. Dopiero
na hubstawce ta kilka troche przycicha.
Funkcje, które wymagały już pew-
nych umiejętności czy choćby pracy, jak
bania i magazyn, dostępane już były dla
zwykłych amierleńników, nie należących
do grona wybranych.

Ciekawą rzeczą była obserwowa-

nie, jakie metamorfozy dokonywały się u

tego, kto miał okazję dostania się na ja-

kąś funkcję. Z taką chwilą dotychczasowy

powiedzmy możliwy kolega stawał się od-

razu zrozumiately, prawdziwy "dominus vi-

tae et necis", który już przestał znać

swych dotychczasowych szarych kolegów.

Stawali się takimi nie ci zwykli, ale i

ci, po których można się było spodziewać

pewnej trzeźwości. Ja zawsze mówiłem:

"Chcesz poznać człowieka - daj mu jakąś

funkcję!" i o prawdziwości tego powie-

dzienia przekonaniem się parokrotnie. I p.
kiedy s. Dubrzyński został magazynierem,
to nie mówię od niego niczego otrzywać,
nawet głupiego piaszcza nie chciał mi
wymienić, tłumacząc się ich brakiem, choć
wiedział, że ja posiadam. Podobnie było z Di-
duszczakiem. W Kospaszu był w stosunku
do mnie koleżeński, kiedy jednak w Rezu
został starszym stolarzem, już nie tylko,
że nie dawał mi żadnych okrucich z pan-
skiego stołu, o które go zresztą nie pro-
siłem! - lecz nawet kiedyś potraktował
mnie całkiem z gory, jakby mnie zupełnie
nie znał. Inna rzecz, że zbyt długo był
pod panowaniem sowieckim zrobił z nie-

Ło pod koniec przedziwnego hajdamaka.
Starszym aktywnu był pocztytkowo

niejaki Prawdzi, typ bardzo podjęzany, jeśli nie współpracownik Gestapo, to NKWD. Przy pominięciu go, jak raz w czasie jakiegoś pogadanki ustawa- miającej, z której wynikało, że narodowy socjalizm nie był ani narodowy ani so- cjalistyczny, ktoś zadał mu jakiego pyta- nie, na co on zaraz: "A jak się kolega nazywa?" Naturalnie takie pytanie odro- zu stornodowało jakakolwiek dyskusję czy choćby dalsze pytania.

Następcą jego był ppt, Koskał, który jednak nie długi siedział na tym stołku, gdyż prawdopodobnie jego powie- dzenie, że "my nie chcemy zrobić z was komunistów" nie bardzo przekomarło po- litrunka o jego "bragodarności". Zmienił to niejaki Okon, zając się byłki sekretarz gminny, prawdziwa ptotka, który swą gorliwość się wyrażał frazą: "Intelligen-

deszcze przed wyjazdem do Samowietu dochodziły nas wieści o tam- tejszym starzym zony niejakiemu Smoro- niu, który widk tam pełnić rzędy praw- dziwego kacyka. Te pogłoski bynajmniej nie okazały się przesadzone i wnet na własnej skórze przekonał się, jaki to z niego kagatek. Prowadził on rzędy absolutne, wsadzając na łada przewinie- nie do karcza, kopiąc i bijąc biednych delikwentów, nie mówiąc już o ofitym sypaniu przekleństwami, jak "k... twoja mać" i inne. Biada tylko temu, co miał nie szczęś- cie wpaść mu w oczy np. przy łaniu pod barakiem! A pod tym względem był napraw- de wartym. Zamiasł bowiem wyśledzić ja- kis sposób zaradczy, byśmy w mrozy nie potrzebowali przebiegać przez szko 100 m

z drugiego baraku do ustępu, szedł, ze drakońskim postępowaniem od- uczy nas dotychczasowego postępowania! Da na szczęście mu nie poladłem, jedy- nie raz zobaczył, jakim wyliwał wodę w miejscu rzekomo nieodpowiednim i zaci- eak mnie sobie na powierce, jakos jed- nak uszło mi to na sucho.

Gzut on się dla tego taki mocny, bo otaczali go godni jego kompa- ni, bliżcy mu, jeżeli nie pochodzeniem z tej samej okolicy, to charakterem. I tak starszym obozu był Gielak, rzekomo nau- czyciel, kucharzem zaś Zitelnik, obaj krajani z Galicji, starym aktyw jakim nauczył z Wilna, jak sam opowiadał, dezerters z armii polskiej we Francji. Klika ta trzymata się zawsze razem, nie dopuszczając na swe miejsce nikogo z poza siebie.

Również i trygadierami byli przeważnie Galileusze, to też dźwigi się ze Ławcowi, pochodzącemu z dąbki i z Lubelskiego, u którego się jednak wstrę- do ich grupy i pozostac na tym stano- wisku aż do końca. Wystawia to Ławco- dobre świadectwo jego umiejscotocion- ławrowania. W czasie pracy na powierz- chni znalazłem się znowu w jego dygła- dzie i stosunki nasze były tak samo spo- kojne, jak w Resu. Bopiero pod koniec na- szego polity zaczęł popadać w stan prze- denierowania, objawiający się wybuchami gniewu. Jakoś nigdy u niego nie miałem racji i zdanie: "Ty zawsze musisz się sprzeciwiać" lub "Nigdy nie możesz spo- kojnie pracować" były dla mnie już co- dziennej obrzydliwym się "mieszem". Dla

Lasu, popadłem pod władzę Macki, ciesili i plutonowego w jednej osobie, naturalnie także galiileusza. Najedzony i pełnym sił nie chciałem na czy nie mógł zrobić nic, że nie wszystkim może być praca tak skądnie jak jemu w czasie krytycznych pokazów i dla tego uważałem mnie i mego ówczesnego towarzysza za markierantów, czy nawet sabotажystów. W konsekwencji też aż dwa razy podał mi do karnego raportu za małą wydajność.

Pierwszy z nich ograniczył się do oprze strony naradczą Moszkowicza i Matuzka, starszego aktywu, drugi zaś odbył się już przed inspektorem.

Tego dnia Macko dał mi i przytylakowi drzewo do ścięcia o średnicy dobrych 45 cm, to też nasza marna pika ledwo po jakichś dwóch godzinach wyłożonej pracy zdolała je zwałić, a przez pozostały czas ledwo potowę zdążyliśmy pociąć na drzewo opatowe i w rezultacie wieczorem służbowy zawołał nas do kancelarii. Tam Macko przedstawił inżynierowi, jakoby chodziło o drzewo najwyższej 30 cm średnicy. Mego tłumacza nie chciałem słuchać, a gdy ponadto tłumaczko wspominała o mym zawoździe, odezwąłem się: "Sudziat! Zaraz to po nim widać!"

Naturalnie tylko przytryżłem wartę, bo co mi takim takim idiotom tłumaczył i słuchałem jego gadania i pogrówkę, na których na szczęście się skończyło. Od tego jednak czasu nie mogłem patrzeć na te swoloczce tj. Macko i Matuzko, którzy dla przygodnie się nie wahałi się demuncjować starych robotników. Później już nie miałem okazji

Świętego spokoju później go przeprosiłem, lecz pozostawiałem tego, gdyż zamiast uznać i swoją winę, jeszcze mi przygadał.

Komiczne było u niego lawirowanie przy poręczach młoczących. Jero codzienną groźbą było: "Czekaj, dostaniesz 500 gramów, zety się potym nie dziwił!" aż nikt już tego nie brał na serio, tym więcej, że wprowadził kolejność w rozdiale.

Kiedy w grudniu 1946 pracowałem na "okatace", żywnościowo podlegającym I brygadzie, lecz kłacie jako brygadierowi i brygadzie, lecz roboty zupełnie się nie mieszały. Już wtedy dał się on poznać jako zarozumiały, nie dbający zupełnie o brygadę chłopa, potrzebny, jak Smoron, orsypanie każdego wywiszkami. Kiedy znowu się u niego znalazł już latem, przekonaniem się, że wcale nie zmieniła się jego umiejscowienie bez względu na to, czy mają rację. Za jego rządów musieliśmy zawsze czekać, aż raczy kaskawie przyjsz do jadalni celem pobrania jedzenia. Bida było temu, który odważał się wypowiedzieć z tego tytułu choć słowo krytyki! Ten już naprawdę nie tak przedko dostał pićkę. mi-mo wszystko trzeba mu oddać sprawiedliwość, że przy rozdziale chleba nikogo nie "meh-cechem"-nie gaworyzował, a szkolił nie mogliśmy go zmusić do wprowadzenia kolejności w rozdziale piętek, jaka była wyczerpaniem w szachciorskich brygadach.

Gdyśmy z chwilą zakończenia pracy przy szachcie zaczęli chodzić do

złi do dalszego zykamowania
mie, to wykonany męcząc pracą w le-
sie przeszedłem do O.K., a po donowum
dostaniu się do jego trygony nie miał
już podławy to narzekania na mnie, to
imi byli jeszcze mniejsi wydajni.
Kiedym w czerwcu 1947 ponow-
nie musiał iść do szpitali, dostatem się
do II. trygony Romanowskiego, znalazłem
z Kostuchowej. Jako człowiekowi nie
można mu było wiele zarzucić, jako try-
gader jednak był zupełnie d.d. nie
miał on bowiem zupełnie starac się o
swych ludzi i jezu to przede wszystkim
miałem do zarządzenia, że przeszedł
mnie natwicznie z pracy do pracy, za-
liczając mi ją tylko częściowo, to też
przez cały czas męgo dwutygodniowego
dobytu w szpitalu mitem jest nie
chleb karcowy tj. 400 gramów, to po 600
gramów jako jedyny z całej trygony. On
sam abak tylko o dołki dla siebie, do-
zostawiając troskę o wykorzystanie tryg-
ny swym "oddziałeniowym". Kto też byłem,
gdym wreszcie wydosnął się spod jego
opieki.

Potym już co chwila przecho-
dziłem z jednej trygony do drugiej, do-
przez Czechowicza i Jakiego ukrańca,
do Ławca. Z nich pierwszą, choć wylity
chłopak z miast, pod względem charak-
teru stał znacznie wyżej od swych in-
nych koleżów funkcyjnych.

Przede wszystkim miał on

krócić się z dziesiętnikami, a stał on
ku do nas, choć energiczny, jakos nie por-
ku do nas, choć energiczny, jakos nie por-
ku do nas, choć energiczny, jakos nie por-

mi, a do tego nawykwał do roboty tylko
wtedy, gdy nadchodził dziesiętnik. Do mnie

ustosunkował się bardzo przy-
chylnie i nieraz wiodłem z nim długie
rozmowy na temat jego poprzedniego ży-
cia. Miał bowiem przed wojną pecha i o-
mako nie wybił żadnego przy jakiejś awan-
turze okazy, za co dostał doktorat rolny, z
czego czegoś odliczał. Jako chłopak bar-
dzo ambitny toln nad swym praktem wy-
kształcenia i z tego względu nie dobrane
się czuł w łowiszystwie innych. O mej
pracy jako jedyny może z trygaderów
miał dobre wyobrażenia, gdyż kiedyś wi-
dząc, że paląc papierosa nie przeważałem
pracy, odzwalał się do mych partnerów: "E,
nie ma tyle siły co wy, ale za to pilność-
cia znacznie was przewyższają". Za to uwa-
nie byłem mu wdzięczny, to też staraniem
się nie zepsuć swęj u niego opini.

Wspominany ukrańiec wciąż za-
to na nas krzyżował, jakby od tego zależa-
ło, jako zwolnienie z obozu. Zdaje się
jednak, że nie ma to nie pomocy, tylko wy-
jechał razem z innymi ziomkami i co się
z nim dalej stało, nie wiem.

Do tym powrócił we wrześniu
do odlatki, podległym trygaderowi. W-
ko pod względem żywnościowym, to też z
uwagi na uregulowany tryb wyławiania żyw-
ności zupełnie ta kategoria nie dawała
się w praktyce odzwalać.

A teraz o innych naszych kole-
żach. Tak już wspominałem, starzym bar-
ku był kompan Ławca, chociaż nity
nauzycał, a może właśnie dla tego, wy-
różniał się nadzwyczaj niską mentalno-
ścią. Kiedym raz w zimie, widząc, że w umy-
wałni nima wody, którą służbowi obficie
ziewali korytarz, zwrócił się raz do nie-
go z odpowiednią reklamacją, odpowiedział:

żecie się myć śniegami!" Tak, najważniejsze, by "poły" były mokre, ludzie mogą chodzić brudni!

Rola wspomnianego już Matuszki wnet sprzykrzyła się również władzom, które przesyłały go do innego obozu, wzmianka za S. /7/, który okazał się bardzo przyzwolity i usłużny, co wyraziło się tym, że jedynie dzięki niemu dostatem przeszedł I on zresztą szybko się wykończył na tym stanowisku i wrócił do poprzedniego obozu.

Również przyszła kryzyska i na Smoronia. Zaczęło się od tego, że pojechał do Reza na dwa tygodnie rzekomo na urlop, a jakżeśmy się później dowiedzieli - faktycznie celem odhycia aresztu, za co następnie został zdegradowany do zwykłego dygnitarza i jedynie wyjazd uwołał go od konieczności wykonywania tej funkcji. Pokrzywdzeni przez niego nie zapamiętali jednak doznanych od niego przykrości i w Brześciu nie omisszali uwiedomić o jego wyczynach obozowych znajdujących się tam oficerów AK. Ku ogólnemu naszemu zadowoleniu zakatowali się z nim w krótkiej drodze, wciągając go prosto za banie, gdzie sprawił mu "manto". Jedynie interwencja konwojenta przyczyniła się do skrócenia tej egzekucji. Być może, obawa przed "zestawieniem" dalej idącą była powodem, że nie wyjechał on razem z nami z Brześcia, podobnie zresztą, jak i kilku jego poleczników. Oby jak najdłużej tam pozostał! Zasnaszyc zresztą należy, że już w czasie transportu prawie nie wychodził i z wagonów i jakby ich nie było!

Jego niomek Żelezniak, starszy kucharz, utrzymywał się na swym stanowisku przez cały czas, dzięki czemu wyglądał tak, jak naprawdę nie wyglądał przed znalezieniem się w obozie. Od czego zresztą, było tylko jego tajemnicą, bo nie tylko ja w czasie mej krótkiej pracy w kuchni, ale też moi poprzednicy, jak i następcy nigdy nie widzieliśmy go jedzącego. Prawdopodobnie wolał od naszych potraw znacznie trzeźwsze i lepsze smakołyki, przechowane w spizarni, będącej pod jego kontrolą.

Nadzwyczaj ordynarny miał na wszystkich bystre oko i nie cofał się przed zagładaniem pod beczi, czy tam czasem ktoś czegoś nie ukrył. Sam wstąpił wie poza dzieleniem ważniejszych przedmiotów i czasem kaszy nie robił. Nałożył jednak bezstronnie przyznać, że dawak ucziwie porcję, nie tak jak inni je- go pomocnicy, zresztą pewnie tylko dla tego, zety zdobył nasze uznanie. W stosunku do mnie był naogół obojętny, raz tylko spłynęła na mnie odrobina jego łaski w postaci miszki kaszy z próby obiadowej. Co mu wtedy strzeliło do głowy, nie wiem, w każdym razie byłem mu za to wdzięczny. Ponieważ dość długi okres czasu spędziłem w szpitalu, gdzie funkcje dygnitarzów pełnił sanitariusz, trzeba i im poświęcić kilka słów.

Najporządniejszy z nich był jeszcze w Kospaszu Klatt, officer A.K., naucejtel, inteligentny i zrównoważony, z którym z czasem zawarłem bliższą znajomość. Nigdy nie dał on nikomu powodu do skargi czy krytyki.

Podobny do niego był Przybylak w Rezu, który zieleł się swymi zapami

malnym emierielnikiem, z którym późnej nawet byłem na ty.

A na zakończenie: jaki ja byłem w roku starszego iżyt Trudno mi wydawać się o samym sobie, jednak wydaje się, że nie wiele miałem ni coś do zarzucenia, chyba ci, którzy zawsze i wszędzie byli z waszskiego niezadowoleni. Starłem się zawsze być sprawiedliwy i usłuszny. Niekiedy umieli to ocenić, w oczach jednak większości, widzącej tylko to, że się na swojej funkcji poprawiam na ciele, byłem tylko jednym z "objadaczy chorych".

pokojei z chorymi, bez względu na ich nerodowość, aczkolwiek i przy tym favoryzował on tych, którzy mogli mu się kiedyś przydać. Z czego on właściwie czerpał siły, również nie mogę powiedzieć, gdyż naogół zadawał się samą kaszą. Na nim można się było przekozać, że otrzymana przez nas w szpitalu pożyczka nie była wystarczająca dla ludzi nie pracujących fizycznie.

Zupełnie inny był w Samowicie cie Karasok, o którego wyczynach w stosunku do mnie już wspominałem. Odrazu ustosunkował się on do mnie nieprzychylnie, zwracał się do mnie jak do nieumiejętnej podkogi. Widząc we mnie inteligenta, starał się na każdym kroku mi dokuczyć, zmuszając mnie do ustawicznego krzątania się po salach i zamiatania podkogi. Świadomość, że sobie z niego kpię, jeszcze bardziej doprowadzała go do złości i nawet do skarczenia się na mnie wobec doktora. A z drugiej strony był tak bezczelny, że nawet wyznosił jego "kaczki", bo mu się nie udało wychodzić w noc do ustępu.

Wreszcie jednak, mając już dosyć jego dogadywania, wdąłem się z nim w awanturę i wtedy ulżył się moich pogroźek wyjawienia jego dzikostej na terenie szpitala w zakresie dietetyki, o której trochę się uspokoił. W dalszym jednak ciągu nie omieszkał dawać nam wskazówek dostawaliśmy tak liczne do datki żywnościowe.

Kiedy stosunek mej zależność ci od niego się skończył, okazał się por-

raszo, idite!" i czkowiek wy-

chodził z odpowiednią kategorią, decydująca o jego losach na dalszy miesiąc. Późnikowo było ich cztery,

później ograniczone je do trzech. Pierwszą otrzymywali ci, których widok nie

nie wzbudzał żadnej wstąpiłości co do tego, że są dobrze odżywieni i w otrom-

nej wiktazodci otrzymywali ją funkcyjnie, o ile przypadkowo nie byli inwalidami. Wikszosć jako tako zdrowych otrzy-

mywała drugą kategorię, która predysponowała już do pracy w szachcie, o ile

nowata już do pracy w szachcie, o ile nowata już do pracy w szachcie, o ile

nie, w praktyce jednak nie różniła się od drugiej. Wreszcie osobną grupę tworzyła O.K.-Ozdrowieniowska kompania",

czyli wraki z tył zdrowe do szpitala, a niezdolne do ciężkiej pracy, no i wreszcie szpital.

Poza tym była jeszcze jedna grupa, z której jednak nie było już powrotu, tzw. pigta rota, która coraz bardziej wzrastała w ilość, jednak ta do tej kwe-

stii nie należała.

Ponieważ chodziło o uzyskanie jak najwyższej siły do pracy, więc prosta

kategoria te były przez komisję zawsze naciągane i conajmniej o jedną grupę

powinny być obniżone. W takim jednak wypadku trudno by znaleźć kogokolwiek do pracy.

Jedynie wtedy, gdy ktoś już

Darmozjadów nam nie potrzeba!

na się domyślać, że o wyborze miejsca

pracy nie decydował żaden z nas, a "sita

wyższa", zmaterializowana zresztą w osobie lekarza, który miał czuwać, by wazy-

scy choć trochę zdążyli do roboty przy-

czyniali się do pokrycia kosztów nasze-

go utrzymania i zwiększenia potencjalu

ekonomicznego naszych gospodarzy.

Do tego właśnie służyły tzw.

"komisówki". Nazwa ta tylko była

związku z komisariatem, że od jej wyni-

ku zależała zwykle jego ilość. Komisjowa

bowiem decydowała, czy czowiek zostanie

uznany za zdolnego do szachty czy na

"powierchność", czy też do O.K. a może

nawet do szpitala, innymi słowy, czy bę-

dział potrzeb w pocie czoła zdobywać swój

chleb codzienny, czy też sam będzie on

wpadał do głębi. To też ogół na wiadomość

o jej odbywaniu się drzał ze strachu, że

pryjdzie wrócić do roboty, inni zaś znów

mieli nadzieję, że wyjdą z niej do O.K.

W rocie odbywały się one na

ogół raz na miesiąc, w szpitalu natomiast

czasem nawet dwa razy w tygodniu, zreszt-

czas, gdy było w nim przepelnienie.

Polęgaty one na tym, że każdy

musiał stangć-czasem nago, czasem w spod-

niach-przed komisją, złożoną z naszejni-

ke "senczastrii", którym np. w Samocwicie

była kobieta, i innych lekarzy. Normalnie

cała procedura ograniczała się do ste-

reotypowego pytania: "Czto bilit", schwy-

centa za półdupki i jeżeli nie za tar-

dzo one zwisały, padako niezmiennie: "Cha-

specjalnie narzekal, lekarz
 do troche badal, co zreszta przako wply-
 walo na los badanego. Tak natym czyta-
 wzrokowe przeslanki-mnicj lub wiecej
 pulchne podladki-kierowaty naszym lo-
 sem.

Ja poza przejscioną trzecia
 kategorią otrzymywaną bezpodrodnie po-
 wyjsciu ze szpitala, miakem naogół dru-
 ga i to przewaznie powierzchnie. Jedynie
 przy ostrzejszym kursie dostatem juz w
 1947 r. przejscionow szachte mimo zwraca-
 nia uwagi, ze "plocho wizui" "Niczewo, po-
 robotasz w szachtu, ponocz dzien i
 pokupiasz oczci"-odpowiedzial na to
 przyblyki specjalnie na te komitowke ka-
 pitan.

Swoja droga trzeba przyznac,
 ze jestl istotnie ktos z samego wygla-
 du byl niezdatny do roboty, to mogl li-
 czyc na dostanie sie do O.K. niektorzy
 zreszta, zwlaszcza Niemcy, specjalnie
 starali sie dostac do niego, bojte sie
 panicznie rotly. Nie cofali sie tez nawet
 od zjedania masy soli, bylo tylko napuch-
 nate i w ten sposob dostac sie czy tez
 pozostac w O.K. Inni znomu pilli wywar z
 machorki w tym samym celu. Ja wradznie
 nie bytem tego gwiedzkicem, lecz ogloszony
 nam na "powierce" wyrok sadu, skazujacy
 za polobny czyn w niemieckim chozie po-
 informowa nas o takiej mozliwosci.

Radko kto utrzymywal sie przez
 dluzszy okres w tej samej kategorii: na
 ogol byl ustawiczny ruch: z drugiej do
 trzeciej, a stamtad do O.K. b "obratno" i
 Naogol wyrobilo sie wsród lu-
 dzi przekonanie, ze lekarze niemiecky,
 ktorzy rowniez brali udzial w komisji,

wzblinie tworzyly swych po-
 dakow. Jak sie jednak sam mozem przeko-
 nac w spowietcie, fakt pozlad nie byl
 zasadny, gdz stosunek procentowy ni-
 cow w nocie i w G.K. byl mniejszy, ta-
 ki sam. A to juz nie byla wina lekarzy,
 ze Niemcy byli elementem fizycznie slab-
 szym, gdz bylo ward nich duz drwila
 dzieciakow. Nawet zreszta, jestl byly ja-
 kie wyradki laworyzowania Niemcow, to
 nie mozna sie temu dziwid.

W kazdym razie trzeba bylo
 miec duzo szczelca lub tez sprytu, by
 dostac sie na rekonwalescencje do tej
 kompanii. Ja sam zahodzilam w flowe, w
 jaki sposob dostali sie do niej chlopzy,
 jak tury, kilitkownie silniejsi ode mnie,
 podczas gdy ja ze swymi muszami sikami
 musiatem harowac! Iecz to juz bylo ich
 tajemnica.

I w ten sposob co miesiqc sie
 zmienial sklad rotly: jedni szli na zastu-
 zony odpoczynek, inni zas z nowymi sika-
 mi wracali na ich miejsce, choc taktycz-
 nie wszystkie powinnimy siedziec w lag-
 rze i nigdzie nie pracowac!

Na to jednak "Sojuz" nie mohl
 sobie pozwolic, bo przecie kto nie pra-
 cuje-ten nie jest

W XVII obiecie ta codzienna pro-
mierka była szczególnie uciążliwa ze

nie.
bliwość, na szczescie wcale nie bole-
wą przyjemność padł ofiarą tej zar-
drzewa przez pięć. I ja miałem wptli-
zarobkowie liczy uderzeniem kawałkiem
stosno, od czasu do czasu akcentując
nas po jednemu na drugą stronę licząc
jedną ścianą jak ślezie, przepuszczali
adnu stornu!"; poczym ściskających pod
kilku konwojentów z krzykiem: "Wście na
krotnie też woado do naszego wagonu
wydosłata z tej kasy pancernej. Kilka-
tak zamknijcie, że nawet mysz ty się nie
nawet w czasie transportu, choć byłismy
Zliczania nie dawali nam

byłi
skowo "emyma" tj. baczność. Moze i tak
rzeczywiście w ten sposób przekręcano
mi, że albo się przestyszałem, albo też
Dopiero zdaje się wtr krwaczyk wyjął
trumeczył jako faktycznego znaczenia.
czesnych lingwistów nie potrafili mi wy-
wiednika "baczność" i jakos nikt z ów-
wó "Chyry", w którym domyślałem się odpo-
Na początku dziwiło mnie sto-
zliczeniu nie nie stało na przeszkodzie.
się wstępować do dalszych szeregów i
Po kilku jednak dniach Niemcy nauczyli
cokrajowca, następował nieomylnie zator.
Gdyż skoro polskie liczby doszły do ob-
ciowy uniemożliwiał dokładne zliczenie,
stęły zhyt wielki konglomerat narodowoś-
wprowadzaliśmy jego rozkaz w czyn. Nie-
myślając się, że chodzi mu o odliczenie,
do lewego po adnemu poszczytają się! "Do-
rozlewał się okrzyk: "Chyry! Od prawego
z maruderów stęną w szeregu,

je officer kontrolny. Gdy wreszcie osłabli
się z nimi od pierwszego dnia, zwoływał
W Przyląku, gdzie spotkaliśmy
i dokuczliwosci.
nie zarówno pod względem czpłoci, jak
powszyszy szablon powierki ulęgar zma-
W zależności jednak od obozu
nia.
myst wygłoszenia jeszcze jakiegoś kaza-
musz ze starszych nie wpałi do głowy po-
pozwalano nam się rozjeżdżo, ile które-
ro po stwierdzeniu, że nikt nie "uszol",
ku zliczyć chorých i funkcyjnych. Dopie-
konwojenci chodzili od baraku do bara-
czano stojących, podczas gdy służbowy i
stawała w kilku szeregach, poczym zli-
czy kilkunastu minutach cała zakofa
gody jak i stopnia karności po kilku
wychodzą!"; W zależności zarówno od po-
wokanie służbowego: "Powierka, wszyscy
zu-rozlewał się od przychodni głon i
o różnych porach dnia-zależnie od obo-
Apelę te polegaly na tym, że
ków odnosnie czystości, karności itp.
tym zakatwienie z nami różnych porachim-
nie zaparęną większej wolności, a poza
tem było przekonanie się, czy ktos z nas
codziennych apelach, których głównym ce-
oczywiście musiarno nas liczyć, lecz o
związaniu nas z obozu do obozu, do pbyz tym
tualnej ucieczki. Nie myślę tu o przeka-
nie była dostateczną przeszkodą do ewen-
jakiy już sama odległość od ojezyny
by nie pilnowano nas na każdym kroku,
Zbyt ważnymi byliśmy osobami,

Czy jeszcze nie uciekili?

Względnie na pierwszy rzut oka, jak i trudność sztywnego zliczenia kilku set porzucenych po całym obozie ludzi, przetrwających w szpitalu, kachnia itp. Przy tych okazjach zresztą odrywano się czy to spisywane personalnie, czy też w cięganie do innych obozów, to też niezasługo i Gozling materialny przy tym marząc. W kosmosu sprawa była już uproszczona, gdyż zbiórki te odbywały się pod wieczór, kiedy dwie zmiany były jeszcze w szachcie, to też do zliczenia było mniej ludzi. Jednak i tutaj ze względu na liczebność szpitalników materialny stał po kilkunastu minut. Rzecz prosta w czasie powierzył nie wolno było przechodzić z jedną zby do drugiej, by tym nie wprowadzać w błąd zliczającego. Mimo to jednak kilka razy takie omylki miały miejsce, co oczywiście zmuszało do powtórzenia całego rachunku.

Jak już wspominałem, dla pracujących te powierki nie były straszne, gdyż odbywały się zwykle po naszym północnym do pracy. Najlepsze pod tym względem dem stosunki panowały w dawnej, kurtazie i Kostołuchowej, gdzie jakos nie miało obawy, byśmy zwiali. W rezultacie sztywności odrywaliśmy się raczej sporadycznie, raz lub dwa razy na tydzień i to zwykle na korytarzu, gdzie mroz nie dawał się nam we znaki. Rzecz jasną, że stójki one do przetrwania nam takich widomości. Raz jedynak w tym ostatnim obozie przetrzymano nas przeszło 1,5 godziny, gdyż oficerowie nas dołczyli ku naszej ławo zrozumieliśmy, że wszelkie...

od tej zimy woli, gdyż w niektórych miejscach było nie zliczenie nas, a oboznicami z postawianych rzeczy. Było kilka takich wypadków, kiedy pod porosem pozabawieni nas nieobrotliwych narzędzi, jak noży, przyprowadzano rewizję osobistą. Iamie one nie dotyczyły, bo nie miałem, niekiedy jednak kłóli, gdy odbierano im względnie musieli wyrzucić w kłoto naprawdę ładnie noże. Parę razy również robiono takie operacje, by móc w tym czasie przeszkadzać w poszukiwaniu "zbędnych" rzeczy. W tych wypadkach nawet lekarze nie byli on miejscu i niejednym z nich musiał pomóc stawać przed naszelnikiem z proszą o tym lub inne zabrane im przedmioty umiarnie. W Samocwiccie panował porządek, to też w rezultacie powierki, czyli jak je nazwałimy "ponteierki" odbywały się codziennie. Ież i tu dotyczyły one jedynie tych, którzy w tym czasie mieli nieszczerze być w ławie w zonie, tj. O.K. i odpoczywających po szachcie. Odrywali się one regularnie między 8 a 9, 30 tj. po wyjściu innych roboczych z zony. Wówczas to rozległ się umieszczony na dworku placu GONG i tor-malny krzyk sztuczowego, nawołującego do wyjścia. Swobodnie już pilnował, by wychodzić nie odrywając się w należytym tempie i by jak najmniej było uchybiających się od zbiórki. W rezultacie też nawet przy-łączy, które w nocy wróciły z szachty, nie były wolne od tego obowiązku, co nie-turbinie znacznie skracało czas ich odpoczynku.

Najmilszą jedynką była dla nas ta od dawna wycekiwana powierka, kiedy wyczytano odjeżdżających do domu, oraz ta ostatnia, kiedyśmy się zebrałi celem wyjścia za bramę! Łatwo sobie wyobrazić naszą ówczesną radość: ostatnia powierka w Rosji! Już później bowiem nas nie licono, a jedynie wywoływano po nazwisku i każda taka zbiórka przybliżała nas do kraju. I choć od momentu wyjścia z obozu w Przedsiedu do chwili wkroczenia do wagonów wywoływano nas może z czterech razy, już nas to najmniej nie denerwowało i poddawaliśmy się cierpliwie temu ostatniemu "matium necessarium"!

Ja naogół nie wiele sobie z powierek tych robiłem i korzystaniem z każdego sposobu, by uchylić się od wyjścia. Najlepszym z nich była znajomość ze służbowym, który wtedy zamykał oko i po prostu meldował, że się jest po służbie, co zresztą zwykle odpowiadało prawdzie. Udawano się to szczególnie pod koniec, gdy Smoronowi odebrano berło władzy i w związku z tym dyscyplina się rozluźniła.

W dni deszczowe jakos Litwa- no się nad nimi i Łaskawie urządzano te powierki w barakach, przy czym albo pozostawiliśmy w salach, bądź też zbiera- liśmy się na korytarzu. Smoron uważał je zresztą za meetingi, pozwalając mu po- pisać się na nich swą elokwencją, pole- gającą na wplataniu co drugie słowo wy- rażenia "k...twoja mat!", co oczywiście w- dójnasób przedrzuzako zetrąnie. Poza tym i starszy aktyw wykorzystywał je na za- poznanie z ważniejszymi wiadomościami ze świata, przeciętko czemu, o ile była po- goda, nie mieliśmy. Mniej już nas in- teresowały wiadomości o jakichś wyrokach za kradzież czy "cielowredittielstwo", wy- mierzonych członkom innych obozów, prze- ważnie zresztą Niemców lub Rumunów, czy o nagrodach pieniężnych za wydajną pra- cę.

Tak i takie nagrody były. Ten też, któryby twierdził, że nam było źle, nie miałby racji: dano o nas i za dobrych pracę dawano nagrody w wysokości aż do 80 rubli! Tak Sojuz dbał o swych dotrych pracowników! A że tylko jeden taki wypa- dek zaistniał, to już była nasza winę, że nie pracowaliśmy dobrze!

Podiel zawira vychodnoj ?

Dla wszystkich, którzy na włas-
nej skórze odczuwali skutki przedruge-
nia teoretycznego 8 Godzinnego czasu pra-
cy do 10-11 godzinnej nieobecnosci w zo-
nie, zbliżanie się niedzieli podobno na-
dzieję na dobre zasłużony odpoczynek.
Niestety warunki szachty, a w szczególności
ci nieprzerwana w niej praca no i bez-
cze czas wojenny nie pozwalają na regu-
larny niedzielny odpoczynek. Dla tego
tez zamiaszt "wskreszczenia" niedzielny in-
ny formie wypoczynku, a mianowicie "wcho-
dne", będące zresztą jej odpowiednikiem.
Polegają one na tym, że co 7 dni, nieko-
niecznie w niedzielę, mielibyśmy wolne. Po-
nieważ w przypadku każdy miał innego dnia
taki wolny dzień, praca nie dozwalała
żadnych przerw, gdyż tylko 1/7 zakogi w
dany dzień nie pracowała.

Co prawda, o ile mnie pamięć
nie zawodzi, gdzieś do pokowy sierpnia
jakoś nam nie bardzo się wychodnie przynio-
wano rzekomo z uwagi na konieczność wy-
dobywania "bardziej nębia". Poprostu ogła-
szano, że "wychodnoj niewodnia nielun" i
trzeba było wychodzić do roboty.

Dopiero gdy po przyjęciu wła-
sowców ludzi do pracy było trochę, mogli-
śmy w pełni korzystać z naszego ustawa-
wego przywileju i wtedy, gdy jeszcze do
tego przestano nas notować, oddziałem so-
bie zaległość, rotując sobie przez legni-
nego wychodnego, jeszcze jedną dodatkową.
W dajcie brak stałej pracy po-
wodować, że kwestia odpoczynku nie była

tak pełna, a stała się nią w
Rezu, gdzie praca już była uregulowana.
Tutaj wychodnie zbiegają się naogół z
woskreszczeniem tj. niedzielą, stanowito
dla nas oczekiwany przez cały tydzień
przyjemność. Wprawdzie i tu czasem je
anulowano, zwłaszcza gdy na dno niedzieli
przynadają w danym mieście, lecz już nie
tak często, jak w poprzednim okresie. W
praktyce zresztą wolne znaczyło się
dla nas dopiero od południa, gdyż rano
zawsze coś dla nas wymyślano: to banki,
to jakaś powierka, to w końcu noszenie
drzewa, a jeśli już jego było dosyć, to
jakiś roboty porządkowe.

Najważniejszą pytaniem za-
dawany przez nas do powrocie z pracy
w sobotę, było zawsze, jak tam z wychod-
miew 2 jakiej rotującą człowiek chciał się
na spoczynek do otrzymaniu odpowiedzi
negatywny, kiedy zamiesz odpoczynku
czekata nas znowu praca następnego dnia!
Kiedyś-pamiętam-przez trzy niedzieli z
rzędu nam to wychodnie odpadało. Przeklen-
stwa jednak nie tu nie pomagały!
Niekiedy już na rotocie dowia-
dywaliśmy się, czy to od grażdztanachich
czy też od komwojentów, co nas następnego
dnia czeka: jeśli bowiem oni nie mie-
li wychodnego, to my również nie.

W Samowiecie natomiast naogół
niedziela mielibyśmy wolne, co zresztą przy
tamtejszej strawie było dla nas jedynym
ratunkiem. Zresztą i tutaj przedpodnie
zawsze starano nam się zająć, byśmy się
za bardzo nie nudzili, czy to myciem pod-
łóg, skrobaniem przyz czy podobnymi za-
kładałymi robotami.

Nadprogramowymi dniami wolnymi

były dni niepokody. Co za ra-
dosc wywoływac padający już od rana i
nie zdradający tendencji zanikowych

deszcz! Dla szachty nie stanowił on zad-
nej przeszkody, ale dla nas, pracujących

na powierzchni, był prawdziwym zbawicie-
lem! Wprawdzie w takim wypadku odbijałi

sobie ten wolny dzień w niedzielę, ale
kiedys i to im się nie udało, gdyż rów-

nież w ten dzień padło. Cieszyliśmy się
wtedy, że "ekonom kazak, a pan wstrzymak!"

Ten wolny dzień w naszym wa-
runkach powinien się właściwie nazywać

"niewychodnym", bo właśnie cała jego
przyjemność polegała na niewychodzeniu

z pracy. Kiedy bowiem dla gładziarskich
stwarzał on właśnie możliwość wyjścia

gdzieindziej, a nie do pracy, dla nas był
on równoznaczny z izolacją od świata

zewnętrznego, przeciwko czemu zresztą
wcale się nie burzyliśmy. Zresztą i dla

gładziarskich nie było to równoznaczne
i oni znajdowali się w zone z tą tylko

różnicą, że obejmowała ona kilkadziesiąt
kilometrów kwadratów, gdy nasza kilka

tyściecy metrów!
Wychodne miało zresztą istot-

ne znaczenie tylko dla dygnad robotnych,
bo tak szpital jak i O.K. korzystał z

niego stale i właśnie to działo na
nich tak zabójczo, sprzyjając onanii umy-

skowej. Nam przy pracy czas biegnął tak
szybko, że nie mieliśmy okazji do tęsko-

to właśnie było u niepracujących.
I to była może najistotniej-
sza korzyść, jaką dawała nam praca!

Nie szata zdobi czkowieka....!

Szkoda, że żadna fotografia

nie uwieczniła mego ówczesnego wyglądu:
nie wielu zresztą zidentyfikowałyby mnie

czy to w rosyjskiej tufajce, czy też w
sądeckiej białej bluzie, zgraniłym lot-

niczym niemieckim mundurku, długim ko-
żuchem czy też wreszcie w podartej mary-

narce. Zależnie od poru roku i obozu
zmieniłem swą zewnętrzną powłokę jak

kameleon lub raczej jak przestępca, ukry-
wający się przed policją.

Spróbujmy też choć słownie od-
tworzyć mój ówczesny wygląd w różnych

okresach.
W przyrętku byłem jeszcze-podob-

nie zresztą jak i inni towarzysze niedo-
li-w całym tego słowa znaczeniu cywilem

we własnym jeszcze stroju. Wprawdzie jed-
nostki, które zostały wzięte w samą tył-

ko marynarcę / i tacy byli wśród nas! /,
wytasowały podarte szyniele czy bluzy,

lecz nie potrafilili oni jeszcze nadać
naszemu zbiiorowiisku charakteru niecywil-

nego. Dopiero w czasie transportu zaczę-
ła się wprawka różnych części garderero-

by od umartwych do żywych, przerwana w
Mototowie, gdzie z kolei tiska ona od ży-

wych do również żywych, lecz bardziej
przedsiębiorczych. Nie znaczy to, by i ci

pierwsi nie korzystali z szerokiich moż-
liwości "bazaru"; osobiste jednak świad-
kiem takich transakcji nie byłem. W rezul-
tacie jednak tych "transferów" w chwili
przybycia do obozu wielu z nas pozawio-
nych było najważniejszych części odzie-
nia. Zaradziły temu władze, wydzielając

nabardziej pociągłym odpo-
wiednie "wiesz".

Ja przede wszystkim wymieni-
łem sobie buty, które wskutek zbyt inten-
sywnego suszenia przy pięciu ulatki spa-
leniu, a poza tym wyfasowaniem możliwym
"fufajkę i watne bruki", którym przesyła
nie tylko mi one potrzebne. To opuszczenie
bowiem "koze boleści" chodzeniem w swych
tych szaserach i bluzie, otzzymanej w
początku wzmianki za zabraną mi marynarkę.
Bluza ta po wypraniu okazała się prawie
biała, to też wyjątkiem w niej nawet mo-
żliwie. Tęż jej przesyła niedługo cieszę się
me oko: pierwszy dzień w szachcie przy-
wrócić jej towar dawny szary barwę. Tu-
fajkę miłem całkiem zgrabną i w możli-
wym stanie, tak samo i spodnie, choć bez
kieszerek.

Z niewiadomych mi już powodów
nie zdołałem tego kompletnie zabrać do du-
ży, to też po przejeździe tam do roty po-
rządnie matkiem w swych cienkich jak pa-
jęczyna spodniach. Pewnego dnia zarwiałam
że wprawdzie nadzieję, że sytuacja się
poprawi, gdyż oficjownie na apeln zlituj-
li, co komu przeszkadza. Lecz nie ponadto dla
nas nie zrobił, choć codziennie przed wyj-
ściem na roboty oglądał nas przed bramy
ze wszystkich stron. Kiedyś raz korzysta-
jąc wstąpił z takich oględzin w szeregach
naszej kompanii na me cienie spodnie, ten
naszej kompanii odpowiedział: "U mnie nie ma
patrzyłem z pewnym powściągnięciem na wy-
stępującą spod jego kocaucha rękę sukienne
spodnie i nie dając za wystraszony, ciągnę-
"Ale przez moje przewlecenie ciało!" "Ni-
czemu, wiatru nie tu!" O tyle miał rację,

że istotnie w tym właśnie
miejscu nie dawał się on we znaki. Kiedy-
indziej na nasze zale dostawaliśmy ste-
reotypowy odpowiedź: "Robotę nadaj!"

Popiero po kilkunastu dniach
Andrzejkowicz postawił mi się o wcale
porządnie "bruki", przesyła tylko dla tego,
że miał nadzieję, że spławił me spodnie po-
za obozem. To było zresztą nie doświ-
adliwie błędem, że okazało się, iż są mi
zupetnie niezdatne i nie znalazł się na
nie smator. W każdym razie osobiste by-
łem z tego zadowolony, bo przy ówczesnym
prawie 50° mrozie bez wyfasowania spod-
ni nie można było nie cierpieć.

Cożej już było z obuwiem, gdyż
w całym obozie było tylko kilkanaście
par walców, już porażonych między
wczesnej przytyłych. Nie kwapiłem się
zresztą do ich posiadania, gdyż pochowa-
łem one za sobą koniecznie wyjątkowo.
na stację po prowianty i to w najwik-
sze mrozy. Myśmy wyfasowali zwykłe dyko-
we kapcie, doskonałe może na lato, lecz
nie na głęboką zimę. Co prawda dostałi-
śmy jeszcze do nich wstawiane podszewki,
bardzo ciepłe, lecz o tyle niepraktyczne,
że zbyt szybko przemarzały, gdyż niegdy
przechodził przez otwory w kapciach i
skrupiatł się pod podszewką. W każdym ra-
zie były one lepsze od dotychczasowych
futów skórzanych, które zwiększa w okre-
sach zimny dawały nam się porządnie wo-
zaki. Miały one bez wyjątku gumowe po-
deszwy, które powodowały ustawiczne sli-
zanie się po nich, a ponieważ i nogi
nie bardzo były sprawnie, ciągle czwórek
dadał. Praca w nich była naprawdę bardzo
niebezpieczna, szczególnie na stakadach,
ty. przy kodowaniu drzewa na wagon, kiedy

chłodniejsza dni zmusiły mnie do postarania się o jakikolwiek piasecz. Jak zwykle nie miałem zbyt wielkiego powodzenia przy jego łasowaniu, gdyż dostał mi się o długosci kurtki. Nie pomogły mi próby do dubrzyńskiego, mającego pod sobą mazażyn, o zamianie i długo trwającego, nim wreszcie przez rotnego udało mi się go wymienić na dłuższy. Pod tym względem Senko miał większe szczęście, gdyż dostał bardzo porządny piasecz niemiecki nawet na podszewce, w którym wyglądał jak praw-dziwy sierżant sztabowy.

Z futami też było podobnie. Co-raz większe błoto wymagało jak najniej-przeciekającego obuwia, a tymczasem jak Lewy but miałem stosunkowo dobry, to pra-wy był do niczego i odwrotnie. Nie było też tygodnia, bym nie próbował szczęścia w drodze zamiany i w końcu udało mi się dostać możliwe, aczkolwiek nie do pary, na co jednak już nie zwracałem uwagi.

Rzecz oczywista, że gdy oddawa- no nas Samowietowi, postarano się o jak najwięk sze rozetanie nas i wzięciu wtedy utraciło posiadane duplikaty. Mnie to nie groziło jako że nie miałem niczego zbęd- nego poza tym, co na cieple. Po przybyciu znowu nas przyodżiano z uwagą na wzras- tające mrozy. Mnie dostała się nawet nie- brzydka szuba, zdaje się kobieca, tylko przykrótka, to też wiatr często mi pod- wiewał. Z futami było tam niewiele lepiej, kilkadziesiąt par walonek, które częścio- wo między nas rozdzielono. Ja w drodze zamiany z Szewczenko dostatem bardzo zgrabne, lecz nieestety tak mate, że do ich zdjęcia musiałem korzystać z pomocy in-nych. Wymienilem je wnet na nieco większe,

to trzeba było chodzić po ob-Łodzonych drągach z drzewem na barkach. Konsekwencje upadku wtedy mogły być bar- dzo niebezpieczne!

Przedśmak tego miałem już na sam koniec, kiedy to w czasie podróży już na dworzec celem dalszego transport- tu, z powodu śliskiej drogi tak się poty- kał, że nie mogłem za innymi zdążyć i do- szedłem prawie na czworakach.

W Krutisze po odebraniu nam cywilnych ubrań przyodżiano nas w praw- dziwie ruskie "szuty" i walonek. Osoblicie na tym złe nie wyszedłem, choć kózuch nie miał kieszeni, to też mogłem sobie dowieść tak z mrozu, jak i ze zniechę. Stun- żyły mi one wiernie aż do Rezu, kiedy to wobec zlizującej się wiosny ubiór ten okazał się zbędny, a nawet niewygodny. Coraz bowiem częstsze odwile powodowały szybkie przenikanie wody przez filc do środka, a wysuszyć w zasadzie nie było gdzie. Byliśmy też nawet radzi, kiedy nam te rzeczy odebrano, a wydano w miarę potrzeby bluzy sukienne. Ja dostatem wca- ce nie złą po jakimś zandarmie, buty zaś, z którymi naogół było gorzej, też sobie z czasem skompletowałem. Pod koniec mego pobytu w szpitalu Grozita mi ich utra- ta, gdyż ze względu na braki w rotach- przeschoczkowano dokładnie całą gardero- bię chorzych, konfiskując wszystko, co się dało, nie tylko z magazynów, lecz i z pod- sienników. Magazynier wówczas chciał mi zdjąć z nog moje trzewiki, dając wzamian za nie trepy, uratował mnie jednak magis- ter, wyjąłnając, że noszę "piszczu" i mu- szę mieć lepsze obuwie.

Po powrocie do roty corah

i wtedy znalazły się dla mnie walonki, prawdziwie nie nowe, ale były. Później już sprawa jakoś poszła w niepamięć i dzięki temu uszko mi nas sucho zniszczenie "kazionnych wieści", mogące być nawet uznane za drobny satofazi!

Skąd inni brali różne dodatkowe części garderoby, było dla mnie tajemnicę. Po każdym jednak z urzędzanych co pewien czas czyszczeń pozostawała przed magazynem kupa szmat, myśmy wracali do sal tylko w tym, co mieliśmy na sobie, a mimo to następna zbiorca znowu była ob-
Tita.

Na początku maja 1947 w związku ku z "rychłym" wyjazdem do kraju zwrócono większą uwagę na nasze powłoki cielesne, co wyraziło się przemundurowaniem nas od stóp do głów, przy czym - jeżeli

chodzi o szachciortów - to naprawde przyzwolcie. Dostali oni mianowicie zupełnie nową bieliznę, drugie nowe spodnie i niemieckie kubraki, zresztą jako ubiór wyjściowy, gdyż do pracy mieli nadal swe stare futajkowe bruki. Odtąd też oni byli

w rzeczywistości do poprzedniego stanu najczystszyimi ludźmi w obozie. Dla powierzchni, a tym bardziej dla O.K. już tych szat nie starczyło, nie miał jed-
nak i nam się coś nie coś z tego dosta-
to. Troška o szachciortów doprowadziła

nawet do wydatnia im kocy, będących dotychczas przywilejem O.K. i szpitala. Kiedyś ja musiał wrócić do szachty i moje ciasto drogą przymusowej zamiany z poprzednikiem oblał jego strój, wcale porządny. Po dwóch tygodniach

z kolei ja musiałem go odstąpić innemu, na czym wyszedłem jak Zabitochi na mydle,

gdzie uzyskałem od rannuna podobną marynarkę, chyła najgorszą w całym obozie, a ponadto i wszy. Wychodziąc z założenia, że nie szata zdobi człowieka, gdy próba jej wymiana spetzka na niczym, choć dziłem w niej bez szerególnego wstępu, to też z czasem wyglądałem naprawde jak oberwaniec. Wreszcie jednak udało mi się ją oddać do krawca, który ku memu wielkiemu zdumieniu zdołał ją przywrócić do "noszalnego" stanu.

I dopiero pod koniec wrzesnia, kiedyśmy istoinie mieli już niedługo wyjechać, w ciągu jednej doby cały obóz jak pod dołknieciem różgi czarodziej-
skiej zmienił swój wygląd. Znikiły podarte koszuie i gacie, zastąpione przez niebieskie lub białe tubaszki i białe kalesony, znikiły różne futajki i bluzy wojskowe wszystkiech panstw, a w ich miejsce weszły jednolite niebieskie drelichy z białym pasem na lewym ramieniu, znikiły

wreszcie rozmatatego kasztanu obuwia, zamienione na nowe pariano-gumowe pantofle. a po kilku dniach na drugie buty.

Dzięki temu nie wyglądaliśmy już jak aresztanci, a raczej jak zatoka jakiejś fabryki albo jak żołnierze. Dalsza część naszego umundurowania, a mianowicie płaszcz, nie wyglądał już tak jednolicie, gdyż roszyjskie szyniele, niemieckie płaszczki miały się z kubra-

kami. Ja - jak zwykle - tym razem miałem pecha, otrzymując płaszcz drugi, lecz oterwany i bez kieszeni, i dopiero tuż przed wyjazdem udało mi się go zamienić na niemiecki spadochroniarski kubaek,

z jednej strony zielony, z drugiej biały, wcale ciepły, choć przykrótki.

Wprawdzie w te szaty godowe

niech, ale nawet i ciemnej-
szego odzienia. Szczególnie uwieczniło
się to w drodze powrotnej, kiedy to per-
spektywa ryckiego znalezienia się na
konie rodziny i coraz większe błędnie-
cie widma wozów uralskich pozwałała
na tego rodzaju bądź lekkomyśl-
ne czyny!

ubrano nas nieco za wczesnie
i do czasu ostatecznego wyjazdu zdoła-
ły się one pobrudzić, mimo to jednak nie
bardzo musiała się nasza polska ziemia
watydzic po powrocie swych synów z wy-
gnania!

Jeżeli jeszcze dodam, że w tym
samym mniemającej czasie zdobyłem jesz-
cze porządny koc oraz czyści szienik,
to można sobie wyobrazić, że czułem się
jak w pierwszorzędnym hotelu. Mimo to
jednak muszę przyznać, że w domowych pie-
leszczach poczułem się odrazu "nieco"
lepiej!

Powyższe bogate, jak na tamtej-

sze stosunki komfortowe wyposażenie oso-
biste miało wzrosnąć w Brześciu o jesz-
cze jeden komplet pielizny. Wprawdzie na-
sze ówczesne władze miały zamiar dopok-
nie tego, gdyż nasz samochód, wiozący za-
nam ten ekwipunek, dojechał na dworzec,
jednak szofer widocznie uznał, że szkó-
da jest rzucić takie perły wśród wiep-
rze", to też poprostu zakręcił na ram-
pie i pojechał - prawdopodobnie odrazu
na bazar.

Na zakończenie wspomnieć na-
leży jeszcze o tzw. "spiszkach armatur-
nych", w których zapisywano całą naszą
garderobę. Przybycie i odjazd z każdego
ochozu zaczynał się od ich sprawdzenia,
co nie przeszkadzało, że już po krótkim
czasie nie odzwierciedlały one prawdzi-
wego stanu rzeczy, a to z uwagi na bar-
dzo rozwinięty u ogółu zmysł handlowy.
Zwiększała w czasie samych przejazdów
ustawiczne bazary dawaki obzerne moż-
liwość takich transakcji, w wyniku któ-
rych niektórzy pozbywali się nie tylko

"Panem nostrum cotidianum...!"

"O chlebie! Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił" - tak mogłaby sparafrazować Michiewicza, w naszych stosunkach, gdy ojczyzna była daleka, a chleb bliski, a nie mniej ważny. Nawet w okresie okupacji, gdy nie było go wiele na kartki, umiędachatem się, uważając to za przesadę, gdy Dziunia starym zyczajem odwracała położony przeze mnie niedłgie chleb "do góry nogami". Dopiero później zrozumiałem przyczynę takiego kultu chleba, jako podstawy naszego pokarmu, przy czym zrozumienie tego nie nastąpiło przez umysł, lecz przez żołądek. Tym bowiem, co utrzymywało nas przy życiu, był wyjątkownie chleb. Gdyby on wypadł z naszego codziennego menu - nie wielu z nas wróciłoby pod rodzinną strzechy!

Ja codziennie otrzymywałem paczkę chleba stanowiącą pod względem odżywczym - w zależności od obrotu - od 50 do 90% naszych kalorii i w zasadzie nigdy nie zawodziła jako ustawowo przyznana część "naukomskiego pacjoku". W wypadku nieotrzymania jej uprawnieni byłimy natomiast do odmowy pójścia na roboty. Tej powet do odmowy "zawieduszczyli" nie mógł nam zamienić na listę kapuciane czy ostatniego gatunku kaszę lub otręby, a tym bardziej rozumnić: mógł jedynie w pewnych wypadkach zmniejszyć jego wymiar do 400 gramów.

Jeżeli normalna ilość wynosiła 750 gramów, przy czym w kosposu w czasie

się pracy w szachcie dochodził dodatek 150 gramów, co w sumie dawało 1000, wystarczającą w zasadzie na zaspo-kojenie głodu. Mimo to jednak, kiedy raz wyrównano nam jednorazowo jakieś poprzednie "niedopłaty" i otrzyaliśmy prawie po dalszym bochenku chleba - przez normalnego przydziału dziennego - większą z niego korzystającą z jakichś dolówek, zjadła go jeszcze tej samej nocy. Do nich i ja należałem, dzięki czemu uniknąłem konieczności dzielenia się nim ze szczerem, jak to przydarzyło się zdaje się Przytyłakowi.

Gdzieś od jesieni 1946 r., już po Reżu, wskutek ówczesnej suszy na Ukrainie obniżono jego podstawową normę do 600 gramów, co odczułimy jako poważne pokrzywdzenie. Nie wytrabiałym normę i tę skromną ilość otrzymano niekiedy do 400 gramów, a nieestety i mnie kilka razy do dotknięto. A to już był poważny uszczerbek!

Nie też dziwnego w takich warunkach, że chwila otrzymania go do ręki była najuroczyszą chwilą całego dnia; była dla nas prawdziwym świętem i wszelkie nieregularności w jego wydawaniu dotykały nas bardziej, niż jakikolwiek inne zmiany w jadłospisie.

Trzy były rodzaje chleba: suchary, zwykły i biały, przy czym drugi stanowił zasadniczy pokarm. Pierwszy natomiast otrzymywaliśmy tylko wyjątkowo, gdy z jakichkolwiek powodów nie było drugiego, np. w czasie podróży: trzeci był przywilejem jedynie chorych.

Od rodzaju przydziałowego chleba zależna też była jego waga. Sucha-

Z omawianym "darem niebion"
 spotkaliśmy się po raz pierwszy w 190-
 dawie, zresztą w najgorzej jego postaci -
 albo krótko, albo długo, odczono go, choć
 nie jeden wiotki i surowy klin, choć nie
 sta, której nie odważym się mieć i je-
 dzenie przydatny stanowił już wówczas.
 przyniesione w korbach, których sprowadzi-
 liśmy podziat narodził na świecie, a z
 powodu braku woli. Trzeba też było przy-
 dzielić najpierw coś kawałek, potem po-
 łówki, a z kornu odtrątki. Już wtedy stało
 się, że on tak łatwy był, że przetrwał do 19-
 to piliśmy, gdy w czasie najniebezpiecz-
 niejszych dobiegali się do wody etc. etc.

W tym czasie ogromnie podrażniono
 czasną postać, przetrwał do 1907, to całe
 "botanika" już nie było. Lecz było to
 groźne, widać, że z suchymi - a prze-
 ważnie było to w nocy - rozpaliliśmy, pozost-
 ki o niska zachowanie na ten cel, prze-
 wem i przy wiatle, podajemy z "kory"
 rozpodzielano na ziemi jedyny, choć po-
 czym specjalna komisja utradziła, choć
 18-50 kłopot, zaczęło być, czy wazę, które
 są równe. (Widnie zpromadzenie wydecha-
 to się nastąpiło co do siusznoci, nie-
 działku, no czym każdy po kolei podchodził
 i brał swój porcję w czarnek lub w kieszce-
 nie.

Chrupanie tych twardech już
 kamienie sucharów zajmowało nam do dwóch
 godzin, aż wreszcie tylko szukała
 w kierunku i nie znalazła "otuszy",
 choć czegoś słowicki kładł się spać, by
 mieć o następnym przyszedzie.

ry przeliczono w stosunku 1:2,
 a więc prawdopodobnie prawdziwe, wprost-
 wo jednak ten stosunek był niekorzystny.
 Z kolei ilości białego były wagowo rów-
 nież mniejsze, za to wprostowo stosunek wy-
 nosił jak 1:1,5, czyli porcja białego był-
 ta o połowę większa od czarnej, a to wsku-
 tek lepszego jego wypieczenia i mniejszej
 zawartości wody.

Jżeli chodzi o zwykły chleb
 razowy, to spotykaliśmy się zawsze nie z
 naszym pieczonym, lecz z jakby tanim, ni-
 howiem ciasto wiewano do odpowiednich
 form. O ile mi wiadomo, normalny dopuszc-
 czalny użytek chleba wynosił do 145%, tam
 jednak dochodził on do 170%, kiedy to po-
 prostu przewiecała w nim woda. Mimo to
 zawsze on nam smakował podzwyczajnie,
 przy czym nie wiem, czy tylko gdy nada-
 wał mu taki wyborowy smek! Nie raz mówi-
 bykali to już przesada. Nie wszędzie zresz-
 tą smak jego był jednakowy, podobnie jak
 i jego konsystencja. Pierwszy zależał od
 rodzaju maki - żytniej czy kuryżnianej -
 druga natomiast już od mącznicy, która
 rza, którego woda nie nie kosztowała, a
 każdy jej kulek pozwał mu na używanie
 nadwyżek, mogących być spylone na jawo.
 Zresztą nie tylko jej używano
 dla zwiększenia wagi: w niektórych oto-
 zach wyrażnie można było wyznac w nim
 różne nie analizowane zresztą bliżej
 przez nas ingrediencje, jak np. kartofle,
 które zresztą znakomicie polepszają je-
 go smak. Bez względu jednak na to, jaki
 on był, zawsze nam smakował, potwierdzając
 prawdziwość przysłówka, że "łód jest naj-"

no do nich konserw mięsnych

rykańskich, które znakomicie poprawiały smak nie zawsze na miękko ugotowanych ziółen oszencij czy też innego zioła,

jakie nam czasami serwowano. Naogół jed-

nak była to jagłanka lub owsianka. W in-

nych obozach również te dwa podaje zup-

dominowały, czasami uzupełniana je gro-

chówka czy kartoflanka. Przy tym kolej-

ność pobierania przez poszczególne zwo-

dy posittków miała istotne znaczenie:

pierwsi zwykłe po spoczywających na dnie

misiki kilku czy kilkunastu ziarnkach

kaszy czy grochu mogli określić, z cze-

go zupa jest zrobiona, ostaini dostawa-

li już bardziej treściwą, a najszczęs-

liwsi już więcej grochu czy kaszy, niż

wody.

Największej metamorfozie ule-

gata owsianka. Ite to razy skłszeliamy

od zmieniającej nas w szachcie zakogi,

ze kasza jest gsta "az żyłka stoi",

by po przytyciu do obozu się przekonac,

iz pozostata dla nas wodnista zupa. Ite

wiem, czy wynikato to z wkatciwosci tej

kaszy, że w miarę upływu czasu rozply-

wata się ona, czy też poprosu dolewano

do niej wody, iy wyrównac uytiki, wymo-

lene dodatkami dla innych.

Naturalnie o miesie jako ta-

kim moglitmy tylko marzyć; nie stanowi-

to ono nigdy samodzielnej potrawy, a

najwyzej dodawano go trochę do zupy w

formie bardzo rozdrobnionej. Już lepiej

pod tym względem było z rybami, które

niekiedy rozgotowane dodawano do zupy

i jezeli ktos miał szęścić, mógł do-

stad i wihazy kawatek.

już na Uralu pobieralimy

chleb w stółce porozkładany na stole

w odpowiednich porcjach, podobnie i w

Kospaszu, gdzie jednak brygadier przyno-

sik go z "chleborozki" i rozdawal przy

stole.

Największą wartość miały pięt-

ki jako dobre wypieczone, a tym samym

lejsze i większe, to też sprawiedliwy

ich rozdział leżał w interesie ogółu i

przy nim powstawały często kłótnie, kwe-

stionujące sposób podziału. Dla tego też

weszło w zwyczaj zaczynanie rozdawania

nie od tego samego, lecz od różnych kon-

ców stołu.

W zaleznosci od uzcziwosci

chleboraza i stopnia jego kontroli co-

dzienny przydzial skladal się z jednej

partji, a czasem z kilkunastu kawatek,

to też trudno się było wtedy zoriento-

wac, czy porcja odpowiadał wazze.

Biakly chleb, jak juz wspomnial-

em, otrzymywalimy w szpitalu i to zresz-

ta nie zawsze. Był on pszenny, a czasem

z kukurydzianym, zktociasty i bardzoj syptki.

Opócz tego podstawowego po-

zywienia, na nasze codzienne menu skla-

dako się jeszcze ciepłe strawy, wydawane

trzy razy dziennie: na "zwitrac, obied i

uzyn". Przy tym tylko obied różnil się

od pozostalkych tym, że skladal się z

dwoch dan, z ktorych drugie różniko się

od zupy tylko gęstoscią skladnika. Nazy-

wako się to kaszą, choćby było grochem

czy też kapustą.

A jak wygladaly te posittki?

To zalezalo od obozu. Jedynie zdaje się

w Kospaszu zawieraly one więcej ingre-

diencji tłuszczowych, gdyż czasami używa-

Najgorzej pod względem wyży-
wienia było w Samocwicie, gdyż pod-
stawowym składnikiem zupy były liście
kapucjane. Zupa z kapusty tj. wywar z
niej rano i wieczorem oraz na obiad ta
sama zupa z "kaszą", skrozoną z młota-
nych liści - i tak całym tygodniem. Dla
okrasz jedynie dodawano do tego ostry-
koleju, którego miasto było zdaje się 15
gramów, a nie wiem, czy było 5 gramów. Nie
tez dzimnego, że przy takim wyżywieniu
pracujący szybko przechodzili do O.K.
Znaczenie lepsze pożywienie
było w szpitalu. Tutaj poza takim chle-
bem dawano czasem naleśniki, pierogi czy
tłumy rodzaj ciasta, a poza tym i zupy by-
ły jakby bardziej treściwe. Może pod
względem kalorycznym było ono wyśta-
czające dla niepracujących, jednak nie
wyrównywało braków, niedostatków w ca-
stej reboty. Dla tego też i w tej części
obozu głównym i w zasadzie jedynym te-
matem rozmów, podobnie jak w pozostałych,
było jedzenie, jedzenie i jeszcze raz
jedzenie!

Na zekolejzanie "uralski" przepis
kulinarny: "Kartoszki" - niekoniecznie oczysz-
zone, mogą być i zmarzniałe - kładzie się
do puszki od konserw, zemykając ją drugą
podobną, następnie wkłada się w ognisko
pieca. To dowolnie długim czasie wydobywa
się rozpaloną do czerwoności puszkę, ostu-
dza i zajeżdża uparzone ziemniaki. Można
przekładeć - jeśli się go ma - warteżkami
niepostrzeżenie!

Parado ważne: Uważaj, by nie zwę-
gził! Nie jeść ziemnych!

Inteligentna przywłażna pomaga w gęzyc-
tencji!

(Chęć polepszenia sobie opinii-
nych trudnych warunków życiowych zmusza-
ła nas wyjechać do ogólniejszego
podatkowego zaobcym, zwracając się do
nie pieniężnej, a w naturalnych do
uciekali się przy tym do środków tar-
dziej lub mniej nielegalnych, jak kradzie-
że czy handel, drudzy postępowali się do-
cainymi środkami, jak własny prac, pozna-
jącej na uzyskanie dodatkowej zupy.
Niestety zbyt wielu było handlarzów,
miko wybranych: zbyt duża była konkurencja
obrotowych, a nielegalnych, bezzał-
niejszych, leniej znających język lub też
mających większe pieniądze, by taki pieniek,
jak ja, mógł mieć jakieś szanse w póź-
nym wyjeździe do posilnej narodzi, w póź-
niej zresztą postaci, zależnie od miejsca
pracy.

Duż w trytyku mogliśmy się
przekonać, jak to pryncypal z kuchnią zje-
dali pełno miarki polewki. Nie zjadł
tłumy im: reszty tego, widząc, jak ciężko
muszą pracować. Nie wziętem się jednor-
raz skorzystał z okazji zapobiegania do-
datkowej zupy przy zniżeniu drzewa, choć
raczej konieczność pewnej zaprawy. Dzięcz-
nej skoniła miłe do tego, a nie fakom-
stwo.

W czasie transportu nie mieli-
śmy niestety żadnej okazji do zaostrku,
czyt. pracowników do kuchni. Lano z in-
nych powodów; ja zresztą ze zwykłym koma-
ndowym składem zupełnie się do tego nie
nadawałem!

Dopiero w kospekcie szpita-
lu dzięki Kędzi zostatem dobry funkcyj
"rozdatocznym", a to zwykłego domywarza,
co nie wymagało dużej pracy, a przynosiło
pokaźne zyski: za paru godziną pracę przy
mleku miska w czasie rozdawania posiłków
miałem conajmniej jedną miskę zupy, a cza-
sami nawet i kilka. Niestety zbyt wielka
drażliwość lekarza rosyjskiego na punkt-
cie profilaktyki, nie pozwalająca mu na
pozostawieniu "panosznika" w kuchni, i do-
tego już przybierał się na wadze, spowo-
dowała sztykie me wyrzucenie do roty.
Tutaj już żadnej okazji zarob-
ków nie miałem, gdyż po produkty jedzili-
li stali goście, zazwyczajnie strzegący
swego monopolu. Nie dźwiży się im wcale,
gdz z każdej tytności w magazynie po-
trebali oni mimo czystej kontroli cos
wynieść. W kuchni również pracowali tył-
ko wybrancy. Praca tam zresztą wymagała
naprawdę siły, o czym się sam przekonau-
łem, gdyż raz ze namięną Popińskiego za-
raz po pobude poszedł z nim do kuchni
mój "pół". Przekonawszy się sztyko, że
nie mam absolutnie żadnego talentu do
mleka podłogi-co mnie zresztą wcale nie
zasmucilo!-zrezygnowatem z ocekującej
w perspektywie miski zupy i ty nie prze-
szkadam, poszedłem sobie, tym bardziej,
że już czas był na wyjście do roboty.

Jeden z mych ówczesnych part-
nerów wolał nawet z niej zrezygnować, bo
sam wybrał sobie bardzo wartościowy ek-
wivalent w postaci puszki konserw. Natu-
ralnie by nie stracił jej przez konti-
nua, skonsurował ją całą z mięsca. Rzecz
się jednak wydata i poszedł na noc do
aresztu. Napewno rano musiał go gruntow-
nie wyczyścić, bo łatwo sobie wyobrazić,
jak go samego musiała ta tusta konser-
wa "czyścić" przez całą noc!

W krutisze też tylko raz uze-
stniczyłem w wyprawie po kartofle i to
dzięki Szubertowi, której owocem było na-
jedzenie się do syta i ich i zupy. Nasła-
dując innych, nie wahajem się wtedy przed
napętnieniem nogawek spodni "kartoszkami",
licząc na to, że ewentualna rewizja przy-
najmniej części ich mi zostawi. Nie zawiod-
łem się wtedy, gdyż wprawdzie Szubert ob-
macał mnie, jednak udat, że na nic nie na-
trafił; w stosunku do innych jednak nie
był taki tolerancyjny.

Poza tą grąką zaraz po naszym
przybycia zabwitaka mi nadzieja na podob-
ną, gdy razem z dwoma Niemczakami wydele-
rowano mnie do garnizonu na rżnięcie
drzewa. Po tej robocie, skuszony obietni-
cą dobrego "pokazania" zabrałem się z
zapatem do mycia podłogi. Niestety obie-
canki zamieniły się w zwykłą figę, a je-
dynie jeden z mych towarzyszy, zaszewany
przez kucharza do pracy w kuchni, dostal
za tę pracę kawatek śledzia.

W Rezu konkurencja była tak
wielka, że poza przyniesieniem z przymu-
sowej delegacji za zone po kapuście kil-
ku szyszonych rybek, nie miałem absolut-
nie żadnych szans na jakikolwiek dodatki.

czasem jednorazowy ładunek do-
choził do 100 kg, to też konieczne były
przy tym siły.
Nie posiadając ich, zdecydowa-
łem się pod koniec mej pracy w charakter-
ze "odkateczyka" skoryzystać ze zdolności
umysłowych, co okazało się najlepszym po-
sunięciem, nie wymagałoby żadnego wysiłku
mięśni. Miąnowicie korzystając z przeka-
zanych mi przez czerwińskiego kilku pod-
stawowych wiadomości z dziedziny chiro-
mancji, postawiłem sobie stwarzanie z nich
w życiu codziennym w stosunku do przy-
chodzących na szachtę przedziwnych i
"aniołów stróż". Nie wielkie były te mo-
je wiadomości i zbyt mało fantazji, bym
mógł je odpowiednio uargumentować, mimo to jed-
nak moje "przepowiednie" cieszyły się du-
żym powodzeniem wśród odwiedzających nas
w czasie pracy. Organizowały się one zresz-
tą do kilku stereotypowych danyh odcyf-
rowanych sposobu składenia koinków, odnośnie
długoci życia i ilości dzieci. O prze-
działach moich danyh co do długości ży-
cia oczywiście nie możemy się sam prze-
konać, natomiast o daniach pozostałe dani-
mości były zrodzone z prawdy, przy najmniej
o dzieci już posiadane. Był to mój żal-
ny reperuar, w którym czułem się jako
tako pewny; ponieważ jednak on nie wy-
starczał do zaspokojenia ciekawości moich
klientów, chcąc nie chcąc musiałem imać
dostęp i bujać o dobrym ożenku, w których
późniejszych im. Konwojanci zwracają ko-
niecznie chcieli wiedzieć, kiedy zostaną
zwołani do gwintu, to też nie wahalem
się ich zapewniać, że już za kilka miesie-
cy ta uroczystość chwila nadejdzie. Mogłem

Oczywiście nie mówię tu o
szpitalu, gdzie sprawowana funkcja sanit-
tariusza tak dalece wplynęła na popraw-
wę mego wyglądu, iż miałem już trudności
w zawiązywaniu sznurówek przy butach;
Potym długo, długo było nie i
dopiero w samowiecie znowu nadarzyła
się okazja dodatkowego zarobku, kiedy
zawadowa kuchnia /zdała się Koleszke,
-Balten-czy Volkshaus z Kotar/ potrze-
bowali ludzi do przywiezienia węgla. Pierw-
szy odprawił mnie z kwitkiem, za drugim
jednak razem zdołałem się wkręcić do tej
wyprawy. Niestety jednak odrazu na pod-
padłem, gdyż przy wzbieraniu węgla z po-
rody robikiem to zbyt wolno /z braku oku-
larów/. Nie bardzo też liczyłem na jakieś
wynagrodzenie za moją pracę, mimo to otrzy-
małem ją na równi z innymi.
Poza tym jeszcze raz tylko do
mnie uśmiechnęło się szczęście, kiedy ja-
tem w czasie pracy na moście podszkła
do nas jakąś kobieta z prośbą o pomoc
przy wycięgnięciu jej krwi z tkota. Wybra-
łem się tam z dzieśiętnikiem i paru in-
nymi i choć pomoc moja okazała się
tylko do niesienia liny, otrzymanem po-
dobnie jak imi do 1/4 litra mleka pro-
sto od krowy. Było to poza szpitalem je-
dyne mleko, które na Uralsu.

nie żył. U Zdunka natomiast, będącego w tym wieku, określiłem jego życie na około 40 lat, a więc tyle, ile ja sam przyznał następnie--wymrzyła mu jaś cygancka. Naturalnie o mej prognozie mu nie powiedziałem. Sądząc po drugości mej linii życia, Czerwikki-a niezależnie od niego niejaki Kupalik/czy jak się on tam nazywał/--wymrzył mi minimum 75 lat. Chwatit!

Leż wracam do tematu. Jak wiadac, nie wielkie były moje nadzwyczajne apanaże, a to dzięki prakowi właścicielki i nicjąławy, siły i szczęścia. Zdarzali się jednak wśród nas prawdziwi szczęściarze. Taki Pikuca, pracując w sztabie, prawie codziennie rznął drzewo do piekarni, otrzy mując ponad 1/2 kila chleba dziennie. Inny, leszczynski portalik w ciągu jednej nocy, zgłosiszyszy się ochotniczo do przekądowania prowarptów, zwędzic kilkanaście ryb, które później po wysokiej cenie sprzedawał w zonie. Przy nim zresztą i ja trochę zarobiłem, gdyż przeniosłem mu wtedy trzy ryby, otrzymane za to połowe jednej. A to już dużo znaczyło!

Z jaką też zadowolęciwoscia czasem słuchał opowiadań takich "bohaterów" o ich sukcesach magazynowych czy zarobkach, osiągniętych z pracy u gredziastych, kiedy to niejednokrotnie objędali się rzeczami, których napewno w Polsce nie jedli! Tak, "nie każdy ma szczęście"!

Śmiało ich łubac, będąc pewien, że w tym czasie już mnie tu nie będzie! Wszystkie te wróżby urawiałem w zasadzie bezinteresownie, nie żądając żadnej zapłaty, a jedynie po wykonaniu usługi delikatnie zamawiając się "co kas-ka" o trochę machorki czy kawatek rzepy lub innego warzywa. Paru konwojentów poczuto się do dania mi po kilka skretów, naogół jednak traktowali to jako wypłatę nianie przeze mnie obowiązkun służbowego i niczym się nie odwdzięczali. Kobiety natomiast bardziej rozumiały się na rzeczy i od nich tą drogą uzyskałem kilka rzep czy kartofli. Jedna data mi iscie królewskie honorarium, bo dwa kartofle, cztery marchewki, jedną rzepę i aż pięć gówek czosnku, co w mej sytuacji było najbardziej pożądany darem! Wtedy też dopiero się przekonałem, że nienawidzonny dotychczas przeze mnie czosnek jest wcale smaczny, a poza tym jest doskonałym środkiem na wszy!

Zakończenie mej pracy poświęciłem do siebie automatycznie i koniec mej kariery chitromanty, z uwagi na utratę wypracowanej klienteli, a tym samym utratę mego najpoptatniejszego i najliczniejszego stosunku do kolegów nie bawilem się w takie rzeczy.

Na marginesie mej chitromancji muszę wspomnieć, że jeżeli chodzi o drugość życia-miałem parę razy sposobność przekonania się, iż podana mi przez Czerwikskiego wskazówka była trafna. Miano-wicie u Kocackowskiego, zmarłego w maju 1947, linia życia wskazywała na ca 35 lat, czyli o kilka lat dłużej, niż faktycz-

ki świadczyło o niżej pod-
mie piśmiennictwa w Rosji, będącego wi-
docznie jeszcze na etapie falliczki i
rytyka; coż jednak było robić, skoro i
tak nie było mojej i na nie mi się przy-
jęć z braku straszenia nie mogło, a więc
nie od paru tygodni już nie wchodzący,
to też zgodziłem się na tę cenę i po-
chwili małecka poczka tytoniu, uszczup-
lona o kilka akcyzów dla porządku, zna-
laska się w mych rękach. Wreszcie po du-
żej abstinencji mogłem się z Ireną sw-
skim rozkoszować wonnym, jak wonnym, ale
dynamicznie z posiadanej przez niego fajki.
Nie pamiętam już, czy zapas ten starczył
mi na dłuższy niż dwa dni, bo przecież mu-
sieliśmy się nim jeszcze dzielić z kil-
koma towarzyszami podróżny, którzy nieśli-
ngli mnie na kilka skrajów.
Drua transakcja skończyła
całkowitym fiaskiem, bo utratę przedmio-
tu transakcji, a to dzięki skutecznemu po-
średniczeniu w niej Szawcenki.
Mianowicie kiedy najbardziej się
w XVII. obiecywałem i wobec zbliżających
się do zjedzenia, sprzedać się we mnie
zamian spieniężenia jednego posiadane-
go jeszcze przedmiot, a mianowicie ob-
rączki. Noż bardzo poważne skrupuły prze-
do handlu tego rodzaju świadczył, prze-
tyma świadomość, że przedaj czy później
albo mi ją odbiorą, albo też zrują. Już
raz bowiem w podobnym wypadku mi ona z
kieszonki w anodach i jedynie dzięki
temu, że nikt tego nie zauważył, odzyska-
łem ją z powrotem. Dla tego też zdecyd-
wałem się uzyskać z niej jakiś profit
zanim ją utracę. Ponieważ "opylecie" na

Z Merkury na Ty!
Jak już wspominałem, jednym z
warunków niezbitejzego zycia w okresie
było posiadanie odpowiednich zdolności
merkantylizacyjnych: one decydowały o
tym, czy ktoś się zaliczył do grona arys-
tokracji obywateli, czy też do grona per-
riadów, skazanych wyłącznie na kaszane
normy żywotowe i czarną robotę. Nie
też drwinę, że każdy z nas, widząc przed
sobą możliwość zdobycia drugiej zupy, a
tym samym dodatkowych kalorii, czy też
stanie mchorki, starał się niezależnie
od wykorzystania innych szans-handlować,
osiągając na tym polu większe lub mniejsze
powodzenie.
Ja nie udało i pod tym względem
zbyt podobny byłam do ojca, tym mógł na
polu handlowym osiągnąć jakies większe
rezultaty. Nicwzględnie targowania się,
zbyt mała uczciwość i pewnego rodzaju
niechęć do zaktawiania takich spraw spra-
wiła, że przeważnie wychodziłem jak Za-
łocki na mydle.
Pierwszy transakcję handlową
zawartem jeszcze w czasie transportu na
Ural, składając na podstawie zresztą
udzielenego mi uprzednio pełnomocnictwa
Cichockiego-jęgo pióro wieczne. Kola moja
zresztą ograniczyła się jedynie do wje-
czenia jedemu z Wolgedeutschów, który w
czasie podróży na jakiejś stacji partak-
towaś oświadczył z reflektentem. Ofiaro-
wane przez jednego z reflektantów samosz-
nie niskiej zapłaty, bo 25 gramów machora-

Lepszy wynik osiągnęłam przy
mojej następnej transakcji. Mianowicie pod
koniec mego pobytu w szpitalu zgłosił
się amator na moją dzienną koszulę, ofia-
rowując za nią 1,5 stekena machorki. Po-
niemaz miałem drugą zimną, moim się bez
niej obyło, to też po wyreperowaniu jej
przez Vogla, sprawiłem ją ze wspomnianą
ceng. Najwcześniej tym razem się omylił
i dał mi jeszcze 18 rubli, rychoło jednak
się zorientował i musiałem mu tę kwotę
zwrocić. Naturalnie Vogelowi musiałem od-
stać pięć pół stekena za naprawę, z początku
jednak udało mi się wcale to nie wchodzić
w rachubę i układałem się w duchu na wi-
dot jego wszechkroci, wywołanej zawodem.
Na tej transakcji wyzerpały
się moje możliwości handlowe, gdyż już
nie więcej nie miałem do sprzedania.
Ile sprytu i przedsiębiorczości
ci wykazywali pod tym względem niektórzy
z mych towarzyszy! Nie mówię tu już o
wykradaniu rzeczy z magazynu i hurtowej
ich sprzedaży, lecz o detalicznej. Zwłaszcza
w Krutiszce handel bieżący, futajka-
mi czy nawet szubami kwitną na szeroką
skalię. Ja pod tym względem byłem bezna-
dzieżny i nie mogłem zdecydować się na
poprostu na protest energiczniejszy przy
zależeniu mi kuzuska. Tak samo w Rezu
zamiaszt poprostu ją schować i sprawić.
Jak wielki był ten obrót wy-
nika z faktu, że gdy na początku naszego
przyjścia było w magazynie 1.200 par
bieleziny i co tydzień dostawiliśmy dwie-
żę, to pod koniec zostało tylko 400 par,
a o wymiarach było bardzo trudno. Nic też

Ślepo nie było możliwe, datem
obraczkę Szawrance, nakazując jednak
ostrożność i przestrzegając przed odla-
niem dalszemu pośrednikowi. Ekwiwalentem
za nią miał być smalec, konserwy i tytoń.
Następnego dnia oświadczył mi, że obrącz-
kę wręczył Mazurkiewiczowi, już wtedy zna-
nemu oszustowi, który ma ją sprzedać rus-
kiemu. Naturalnie odrazu przyszedłem do
przekonania, że zostanę wykiwny i prze-
czywiście, w tym przedmiocie okazałem na-
się prawdziwym prorokiem. Gdy bowiem na-
stępnego dnia zwrócił się do Mazurkie-
wicza, ten powoływał się na nieotrzyma-
nie jeszcze od kontrahenta równowartości.
ci. Tak zwozdzik mnie przez kilka dni, aż
wreszcie zostaliśmy wyśtani z tego obo-
zu do Kospasza i choć znaleźliśmy się
tam wszyscy trzej, ani o zwrocie obrącz-
ki ani otrzymanych za nią produktów nie
było już mowy. W ten sposób zostałem ukra-
pany za trymarzenie rzeczy wycofaną z
oblegu! Skorzystał na tym jedynie Mazur-
kiewicz, który niewątpliwie otrzymał za
nią odpowiedni ekwiwalent. W Kospaszu
kontynuował on swą oszukańczą i złodziej-
ską działalność, aż wreszcie istniejący
na jedną ze sal "sąd koleżeński" dał mu
kilka razy porządne łanie, troszeczkę go
poprawiając.
Z początku, dotknęły stratę
oblicywałem sobie, że po powrocie do kra-
ju, który przecież miał nastąpić szybko,
złożę na niego zameldowanie, później jed-
nak machnąłem na niego ręką, tym więcej,
że w którymś z obozów znikł mi z oczu,
dokądś wywieziony. Ryć może pozostał tam
dłużej od swych ofiar!

Przeznaczając w tym handlu, uzyskuje się od czasu do czasu przed wyjściem na pobyt rewizję osobistą. Nie na długo jednak po- mogło zamknięcie kilku handlarzy w kur- cu: możliwość zdobycia pieniędzy na machor- kę czy jedzenie była silniejsza od opa- wy przed karą. Wyroznia się pod tym względem jeden z AD: potrafił on już na na drugą dzień po otrzymaniu z magazynu "złotego" jeden z AD: potrafił on już na wyprzedzić karą. Wyroznia się pod tym względem jeden z AD: potrafił on już na wyprzedzić karą. Wyroznia się pod tym względem jeden z AD: potrafił on już na wyprzedzić karą.

Przeznaczając w tym handlu, uzyskuje się od czasu do czasu przed wyjściem na pobyt rewizję osobistą. Nie na długo jednak po- mogło zamknięcie kilku handlarzy w kur- cu: możliwość zdobycia pieniędzy na machor- kę czy jedzenie była silniejsza od opa- wy przed karą. Wyroznia się pod tym względem jeden z AD: potrafił on już na na drugą dzień po otrzymaniu z magazynu "złotego" jeden z AD: potrafił on już na wyprzedzić karą. Wyroznia się pod tym względem jeden z AD: potrafił on już na wyprzedzić karą.

ruanów. Tam oczywiście nie
miałem poco wiazić, to też zameldowałem
starszemu zony o kradzieży bluzy, ten
jednak nie bardzo chciał mi wierzyć. Pro-
bowąłem tego niesolidnego kontrahenta za-
trzymać wieczorem, gdy wracał z kolarzją,
on wtedy jednak schwycił mnie niespodzie-
wanie za gardło, że ledwo mogłem oddychać
i tym samym pozbawił mnie możliwości ob-
rony. Dopiero nadejście Maciąga, który go
ode mnie oderwał, przywróciło mi oddech,
lecz niestety już nie bluzę.
Tek to jedyna próba zarobienia
na "kazonnej wiedzy" również okazała się
bezskuteczna!

w Samocwecie.
Dopiero w tym obozie marne wy-
żwienie zmusiło mnie do ujrzenia w han-
dlu większej możliwości jako ubezpieczie-
nia, nie idąc zresztą w ślady tych, co i
tulej sprzedawali na szeroki skalę swe
odzienię. Zaczęłem od sprzedaży kartofli,
uzyskiwanych czy to z pola, czy też z wy-
praw Maciągi do magazynu. Dzięki nim przez
cały grudzień i część stycznia miałem
dość do palenia. Później w czasie pracy
w kuchni czy szpitalu uzyskaniem za chleb
i dodatki dystrybucyjne kilkanaście rub-
li, do których pod koniec doszło jeszcze
kilka rubli za rzeźbę. Opuszczając też w
rezultacie obóz z ogromnym kapitałem
14 rubli, które trzymałem na czarną go-
dzinę, mając poza tym dostateczną ilość
machorki. Dopiero za Moskwą zdecydowałem
się na ich pozbycie, co przyszło mi w ca-
le nie trudno: za 5 rubli kupiłem piero-
żek z kartoflami, za tydzień 7 dużych kar-
tofli, a po kilku dniach resztę wydałem
na kupno prawie pełnej miski zupy ryzo-
wej na konserwie. W ten sposób pozbyłem
się odrazu tak kłopotów z mamogą, jak i
pokus.

Żeby jednak nie narazić się
na zarzut, że stałem się już doskonałym
kupcem, muszę wspomnieć o jeszcze jed-
nej transakcji. Mianowicie kiedy aktual-
na stała się repatriacja rumanów, jeden
z nich zaproponował mi odkupienie ode mnie
zdaję się za 40 rubli i inną mego zgrab-
nego mundurka krotkiego. Zgodziłem się
na to, lecz poza znaczną gorszą bluzą
nic więcej nie dostałem, kiedy się zas
domagał reszty, poprostu uciekł na salę

Pod egidą Hermesa.

Nie wiem, czy znalazłby się

wąrd nas choć jeden, któryby przez czas

swego pobytu na Uralsie nie wszedł w kol-

zję z prawem czy choćby z ogólnymi za-

sadami moralności. Jeśli by taki istniał,

to można by znaleźć jedynie wśród

tych, którzy mieli pod dostatkiem zarówno

jedzenia, jak i paleniska. Wszelkich innych

przedzej czy później uczucie ustawnego

głodu spowodowało z drogi cnoty. Zjawisko

to było tak powszechne, że nagość nie

spotykała się z potępieniem ze strony

wąrditowarzy, zgodnie zresztą z przy-

śłowiem, że kruk krąkowi oka nie wykolei;

Wprost nawet przeciwnie, chwalcenie się

swymi czynami na polu niecnoty należało

do rzeczy godziwych, a niekorzystanie

z okazji uchodzącego dowód głupoty czy

niedokształta. Odwrotnie zresztą przy tym

należało, kto był pokrzywdzony: jeden z

towarzystwy, czy "naczelnik". W pierwszym

wypadku podnosił się jeszcze czasem

głosy potępiające; w drugim były to gło-

sy zażaleni, że samemu nie nadarzyła

się taka okazja.

Pierwsze moje zbroczenie z pro-

stej drogi miało miejsce wkrótce po za-

ładowaniu do wagonu, kiedy to mój towa-

rzysz zuchocił zachorować, prawdopodob-

nie na rypnięcie, i nie mógł jeść sucha-

rdw. Korzystał więc wówczas z jego nieuwa-

gi, kilka razy wziąłem mu po parę okrę-

chów. Co prawda nie bardzo mi one pomogły,

ale i jemu ich utrata nie zaszkodzi-

ła.

czy natomiast natrzymanie so-

bie jego kurtki można by nazwać przestęp-

stwem, czy też korzystaniem z prawa wyl-

szej konieczności, bykoby rzeczą kwestyj-

ną. Kiedy bowiem zabierano go do wagonu

szpitalnego w związku z rozwijającym się

prawdopodobnie zapaleniem otrzewnej, nie

oddatem mu danej mi uprzednio do używa-

nia marynarki z kamizelką, które mu zo-

staka po zmarłym ojcu, jak również i do-

datkowej kurtki. Rozumowatek wtedy nastę-

pująco: Stan jego jest tak poważny, że o

wydzrowieniu nie ma mowy. Albo go też zo-

stawia gdzie w szpitalu, a tam mu kurt-

ka nie będzie potrzebna, albo też się

wytonczy, a wówczas rzeczy te zabiorą

imi. Dla czego więc ja nie miałem sko-

rzystać, skoro umożliwić mi one przetrwa-

nie? I rzeczwiście omyliłem jego musiata

wkrótce nastąpić, bo więcej o nim nie

styszałem, mimo że to rzeczy utracone

ły życie, bo nie wiem, jakby mi się udało

przetrzywać warunki transportu w miej-

scienkiej jaskini; tak zaś w jakim mia-

ten na czym siedzieć, w nocy zaś wzie-

wąłem kurtkę na płaszcz i moim sobie

drwić z zimna!

Wigcej zresztą korzystał z tych

rzeczy nie miałem, gdyż nie udało mi się

ich sprowadzić, bo jeszcze przed dotarciem

do pierwszego obozu straciłem je bez

jakiegokolwiek ekwiwalentu. Marynarkę z

kamizelką straciłono mi bowiem w moim

towarzystwie, kurtkę zaś musiałem kilka

godzin później oddać innemu, bo operacji

ca w wagonie miała chwata mi być ze-

zrostu, lecz naturalnie, kiedy po stracie

chwila później własnego płaszcza zaczął

datem jej zwrotu, posiadacz katagorijez-

nie odmówił, powołując się na
 rzekomo utraczony przy jej obronie za-
 wady też przekonaniem się, jaki to jest
 numer z tego Pastora, który napewno nie
 omisszkał przy najłżejszej sposobności
 tej kartki sprzedać i to za dobry cenę!
 Kiedy w Kospaszu pełnił fun-
 kcje sanitariusza i w zastępstwie cho-
 rego Klata pobierał chleb, kilka razy
 z łaskawości, a nie z gróu- gdyż dzięki
 Kędzi dostawał wiecej do jedzenia -
 świątecznym z tacy kilku trawemwy dołatek
 z poszczególnych kawarków chleba. Skon-
 czyło się to jednakomal nie pastując
 kompromitacją. Kiedy bowiem raz, niósąc
 chleb do sali, jeszcze na korytarzu te-
 ri kawark włożył do ust, zauważył
 to kilku stojących za mną Niemców i
 głośno wyrażili swe oburzenie. Wpadłem
 do sali czerwoną jak turak, starając
 się ukryć we zmieszaniu i znaleźć ja-
 kąś wymówkę, otalając zerknięcie prze-
 zy. Mogłem się tłumaczyć tym, że wziąłem
 kawark ze swej porcji lub też, że nie
 wziąłem nic, a jedynie strzebnym po-
 rę bliży, leżącym na chlebie, czułem jed-
 nak, że napewno by mi nie uwierzone,
 choć i udowodnić tego kłamstwa by nie
 można, jako że nikt nie widział mnie z
 przodu. Na szczęście jednak sprawa nie
 nabiera dalszego rozgłosu i konsekwen-
 cji, powoli jednak dowiedzieli się o
 tym inni Niemcy i przez kilka dni nie
 smiałem nikomu spojrzeć w oczy.
 Podobny zresztą wypadek,
 świadczący o pewnego rodzaju stepieniu
 świadomości, co wypada, a co nie wypada,
 zdarzył się, nie omiatając już, przed czy-
 też po wsomniamy wyrażeniu.

Mianowicie w jakim popołud-
 nie siedziałam sobie przy szafce, w któ-
 rej chorzy składowali swój chleb, oznaco-
 ny poszczególnymi numerami i, nie mając
 już własnego kawarka, ukrociłem miły ka-
 wark z ciuliego. Odmielony tym, że wszy-
 scy śpią i nikt tego nie zauważył, do-
 chwili zrobiłem to samo przy innym ka-
 warku. Nie zauważyłem jednak, że numerek
 był zwrócony w stronę leżącego obok Hei-
 demanna, właśnie posiadacza tego kawarka.
 Nie miałem też przez prostą liczbę zaszo-
 czony pytaniam nity śpiącego: "Was ma-
 chen Sie da mit meinem Brot?" Powoła-
 łem się na omylek i odłożyłem wzięty
 kawark. Nie omisszkał on naturalnie po-
 informować o tym pozostałych kolegów,
 co spowodowało, że gdy późniejsi Vogelwi-
 zlingi kawark chleba, on mnie o to oska-
 rżył, choć naprawdę w tym nie maczałem
 palców. Od tego jednak czasu trzymam
 się już w cuglach i wiecej już podob-
 nych czynów się nie dopuściłem. Kto wie
 jednak, czy któryś z Niemców nie toniósł
 o tym lekarzom rosyjskim i czy to wsta-
 nie nie było powodem rychełtego mego wy-
 pchania do szafki. Jeszcze po kilku mie-
 siącach ktoś mówił w mej obecności o
 jakichś kredzieżach chleba, ale prawdo-
 podobnie miał na myśli kogoś innego, bo
 tak wynikato z pojawiających okoliczności.
 Kiedy już znalazł do szafki
 tw, nie miałem wyrzutów sumienia przy-
 sciąganiu memu towarzyszowi Peplin-
 skiemu paru skrzytów, gdyż miał on dzie-
 cię podostatkim, a tym samym i tytoniu.
 Tym na tyle bezczelny, że pozostawiając
 z nim, gdy się właśnie ułierał, rozmoczo-

nie też najmniejszej śmiały
 wzięciem kilka szczyt z tegoż za mną
 na śmiecie otwartego jego pulcika. Usłotem
 też zupełnie niewinątko, gdy on, natiera-
 jąc je, zauważył: "Pojatnow, już też nicze-
 go nie można zostawić!" Przydoko mi się
 późnie! tych parę papierosów w czasie
 roboty!

Dalszy czyn trudno namę za-
 przestępstwo, a to z uwagi na brak po-
 krywdzonego, a raczej za usmiechu Josu,
 choć obliczynie wyzerpmył on znamio-
 ne przewlekleszenia. Kiedyś mianowicie przy-
 obiedzie przyjadł Sieraszko potoczył
 olok mnie szóstą porcję chleba, choć
 siedziatę przy stole tylko pięć osób.
 Zrazu przyunaczazakom, że ktoś jeszcze
 nędejdzie, kiedy jednak do końca obiadu
 nikt się nie zjawia, przysunątkiem tych
 400 gramów bliżej siebie jako niży dla
 mnie przeznaczoną. Mój sąsiad - WD - cęprw-
 da zauważył mę manipulację, zamierzając
 widocznie samemu skoryzwać z okazji,
 powiedziałem mu jednak krótko, że to na-
 leży do kogoś innego i zerkaniem się do
 baraku. Z ostrożności nie zjadłem jej
 odrazu, licząc, że ktoś się do niej zsko-
 si, kiedy jednak w ciągu kilku godzin
 to nie nastąpiło, z wielkim apetytem,
 nie tkumionem przez jakikolwiek wyzru-
 ty sumienia, bo zjadłem. Nikt z kolegów
 nie został przy tym pokrzywdzony, a je-
 żeli chłobozacz przyjadł, to już jego winą!

Dalszy mój postępek również
 podpadł pod art. 262 § 2 KK, a mianowicie
 mieszając 16.9.45. w czasie pracy przy len-
 cie z rykowem znalazłem na łoku jego
 zapalniczkę i uważając to za dar miłe,

schowałem ją, przyrzekając so-
 bie w duchu, że mu ją oddam, gdy mnie po-
 czętuje papierosem, a szaloznam, jeżeli
 mi nie da zapalić. W ten sposób pozwoili-
 łem mu samemu decydować o odzyskaniu ze-
 palniczki. No i kiedy jest kowalem swego
 Josu! Nie poczęstował mnie machorką, to
 też nie oddał mi zuby, a jedynie ostru-
 niczyłem się do pomocy - zresztą gorliwej -
 przy jej poszukiwaniu, naturalnie nada-
 remy. Po kilku tygodniach, już w dawnie,
 sprzedanem jej kędzi za 10 czy 12 pułt,
 które zużyłem na kupno machorki.
 W tym obozie dość długo trzy-
 makem się solidnie, aż kiedyś znowu potni-
 ła mnie nadada i w czasie nieolechności
 kędzi sięgnąłem do jego woreczka i ukroi-
 łem kawatek chleba. Nie zdążyłem jeszcze
 dobrze zawiązać woreczka, gdy wszedł na
 salę. Zdążyłem jeszcze odłożyć worek na
 półkę, lecz najprawdopodobniej zauważył
 mój krok, choć nie mi nie powiedział.
 W czasie jazdy do Krużychy je-
 dynym mým niewłaściwym / z punktu widze-
 nia obywatelskiego / postępkem było przy-
 jęcie z ręk rozdawanego kawatek chle-
 ba, który mi się już nie należał, bo po-
 przednio już swój dodatk dostatek. Z te-
 go samego zresztą uśmiechu Josy skorzy-
 stało kilku innych, to też można to było
 uznać za umyślnie wyróżnienie, a nie za
 wykorzystywanie omyłki.
 W Krużychy również sprawowałem
 się wzorowo, ograniczając swą działalności
 contra lenem do jednorazowego zorganizo-
 wania kartofli z okazji przeladowywania
 ich z wagonu na sanie dla kuchni. Dyżur-
 nym był wtedy Saubert, który, gdyśmy skoń-
 czyli kłóczenie, szepnął mi, że już nie
 wrócimy. Wobec tego natychmiastem sobie

rzękanie w tym obozie jed-
 nej okazji do zdobycia pozyczenia. Mia-
 nowicie kiedyś magazynier wziął nas w
 czwórke do wykładowania produktów, m.in.
 ryb suszonych. Organizykiem się wtedy do-
 schowania kilku podjętych z ziemniakach
 rybek suszonych, nie odważając się na za-
 branie dużych czerwonnych z rozłitej
 skrzyni, jak to robili moi sąsiadkowie.
 sze. Tymczasem, jak się zresztą można by-
 to spodziewać, rewizji przy bramie nie
 było i można by wówczas przynieść pół
 ewini, a nie tylko rybę. Na swe usprawied-
 liwienie muszę dodać, że byłem wówczas
 jedynie w lutym, to też ukryty pod nią
 przedmiot byłby zbyt widoczny.
 Jak też był dowodem, że czo-
 wiek jako tako sity wolny jest od pokus,
 a przynajmniej od niechęci, tak Sa-
 mocwiał potwierdzał też, że nie tylko
 okazała, ale i potrzeba czyni człowieka
 przestępcą. Ja jednak, mimo panującego
 tam trybu trybunału się dobrze z punk-
 tu widzenia prawa /poza paru wypadkami
 "pozycentra" szarpów/, a jedynymi były
 czytami przeciw temu prawu, zgodnym
 jednak ze zwyczajami obozowymi, było or-
 ganizowanie brońców żywności na szkodę
 naczelstwa. Dopiero też w tym obozie na-
 uczyłem się trochę "organizować", nie wy-
 chodząc zresztą poza ramy terminatorstwa.
 Czyż bowiem mogłem się równać
 z takimi "mistrzami organizacji", którzy
 potrafili na jeden raz wynieść z maga-
 zynu kilkadziesiąt sztuk, kilka dużych
 ryb czy 120 kartofli albo skomunować
 na miesiąc zwrócenia uwagi magazyn-
 niera pół kila masła, 300 gramów cukru
 i parę szklarek do tego bez jakichkolwiek
 wiek ujemnych skutków dla organizator-

pełne kieszenie ziemniakami,
 szepnawszy uprzednio memu towarzyszowi,
 by zrobił to samo. Zapomniałem jednak, że
 jest on głuchy na lewe ucho, w które mu
 właśnie szepotałem, to też dziwiłem się
 zrazu, że mnie nie nasładował. Dopiero
 później wyjątkowo się przyczyna jego
 ówczesnej bierności: poprostu mnie nie
 zrozumiał, a sądził, że jeszcze raz wró-
 ciłmy i tak już wspomniatem w innym miej-
 scu Szubert postąpił wtedy wobec mnie
 bardzo przyzwolnie, gdyż udał tylko, że
 mnie rewiduje. Dzięki niemu też obje-
 daliśmy się wówczas pieczonymi na blasze
 kartoflami, zresztą uprzednio zmikarznię-
 tymi. Mnie na szczęście nie po nich nie
 było, mój towarzysz jednak dostał takiej
 spraczki, że go musieli z roboty przypro-
 wadzić.
 Najlepszym dowodem tego, jak
 bardzo musiłem się wtedy naszczoć/obok
 zdobytych kartofli dostaliśmy jeszcze
 z kuchni po pełnej puszcze stosunkowo
 gęstej zupy/, jest sam fakt zapamiętania
 daty tego ważnego dnia - 13 July 1946
 W Rezu pędziłem żywot napraw-
 de świątobliwy, gdyż nie pamiętam, bym
 tam cośkolwiek przeskrobał. Przeciwnie,
 sam padłem kilkakrotnie ofiarą czyjejs
 przedsięwzięcia, tracąc czy to chleb,
 czy też kartofle, a co najważniejsze,
 resztę mych pamiętników, o czym później.
 Tych parę skrótków, które wyciągnąłem
 Drodzowi czy też Brodzakowi z danej mi
 przez tegoż do przezechowania machorki
 nie warto zupełnie liczyć!
 Do przestępstwa, lecz nie prze-
 ciwko prawu, a przeciwko zdrowemu rozsąd-
 kowi muszę natomiast zaliczyć niewyko-

da-powtarzam-byłem w tych
sprawach jeszcze pierwszoklasistę, niez-
cym się dopiero borykania się z życiem
w tak ciężkim okresie. I tak nie wykazy-
w stąłem pierwszym okazem "organizowania"
kartofli w czasie ich obierania w kuch-
ni. Choć przy pierwszym tego rodzaju oka-
zji byłem niby starszym i z tego tytułu
miałem możność swobodnego wychodzenia
bez obawy rewizji, faktycznie pojecha am-
tacja i uszawość nie pozwałała mi nad-
używać takiego zausznia ze słonym tłuszcz-
em i nie wziętem wówczas ani jednego
ziemniaka. Dopiero za drugą razą w-
jecha, jak imi odpowiada się "gubkami"
uralskimi", zdecydowanie się pojecha
ślalem i udało mi się w rękawach wynieść
około 34 ziemniaków. W późniejszej wy-
paddach nie miałem już żadnych skrpu-
tów i jakob szczęśliwie nie dostawałem
przy rewizji po mordzie, jak to się im-
nym zdarzało, choć raz kucharz musiał u
jednak uznać mnie jedynie za detalistę,
a nie za hurtownika, to też nie wyjecha-
łem w otosumku do mnie żadnych konse-
kwencji.

Ja-powtarzam-byłem w tych
sprawach jeszcze pierwszoklasistę, niez-
cym się dopiero borykania się z życiem
w tak ciężkim okresie. I tak nie wykazy-
w stąłem pierwszym okazem "organizowania"
kartofli w czasie ich obierania w kuch-
ni. Choć przy pierwszym tego rodzaju oka-
zji byłem niby starszym i z tego tytułu
miałem możność swobodnego wychodzenia
bez obawy rewizji, faktycznie pojecha am-
tacja i uszawość nie pozwałała mi nad-
używać takiego zausznia ze słonym tłuszcz-
em i nie wziętem wówczas ani jednego
ziemniaka. Dopiero za drugą razą w-
jecha, jak imi odpowiada się "gubkami"
uralskimi", zdecydowanie się pojecha
ślalem i udało mi się w rękawach wynieść
około 34 ziemniaków. W późniejszej wy-
paddach nie miałem już żadnych skrpu-
tów i jakob szczęśliwie nie dostawałem
przy rewizji po mordzie, jak to się im-
nym zdarzało, choć raz kucharz musiał u
jednak uznać mnie jedynie za detalistę,
a nie za hurtownika, to też nie wyjecha-
łem w otosumku do mnie żadnych konse-
kwencji.

uznając go widocznie po stro-
ju za cywila. Wreszcie jednak odechciało
mu się nastawić wyjącznie swą głowę i
przez kilka dni pozabawił byłymy tak
ważnego dodatku żywociowego. W końcu
jednak wrócił do nakłaniania Wasza, by
poszedł w jego ślady i wreszcie - o dzi-
wo! - ten uległ, zastrzeższy sobie jednak,
że mi nie da. Naturalnie nie miałem
mu tego zupełnie za złe i byłem bardzo
zdziwiony, gdy po szczśliwym powrocie
i mnie przyjął do uczciwego podziaku.
Z kolei ja powinienem iść na
podobną wyprawę, z góry skazaną na nie-
powodzenie, gdyż będąc głępy, poczyta-
łem drzewo za niepprzyjaciela, a tegoż
za drzewo, a poza tym, gdyby mi się nawet
udało dojść do magazynu, nie wiele bym
przy mych siłach z niego potrafił przy-
nieść. Odwlekakłem też jak mogłem my-
prawę i z chęcią zgodziłem się na ich
propozycję pójścia w dzień o paraset
metrów od szachty na pole, gdzie pod
zniegiem miały być kartofle. W wyniku
tej wyprawy przyniosłem z 2 kg maledkich
jak orzeszki ziemniaków, na które pogar-
dliwie machnął ręką, pozostawiając je
całkowicie do mej dyspozycji.

Mającą potem jeszcze raz wy-
ruszył do magazynu po łup, lecz mając
dziurawy worek, potowę kartofli zgubił
do drodze ku wielkiej radości ziemnej
zmienny, bógostawiającej rzekomy samochód,
roniący tak obficie te jabłka uralskie.
Przejdąc na dzienną zmianę uwołniło
mnie wreszcie od konieczności wyprawy,
w międzyczasie zaś przychycono dwóch
z nocnej zmiany na takiej wyloczce i
zlikwidowano naszą pracę na powierzech-

owej części, kiedy jednak po-
partem Maciąga, że jako ryzykującym du-
żą stawkę należy mu się lepsza część,
kaskawie zgodził się przyjąć przypada-
jącą na niego dółę.

Na następną wyprawę przypada-
ła kolej na niego, jednak nie chciał on
ryzykować i wypychał mnie. Da jednak ka-
tegorycznie odmówiłem, powołując się na
stary wzrok i obiecaniem pójść po nim,
wiedząc z góry, że jest zbyt wielkim
technozem, by się na taką wyprawę odważyć.
Maciąg widząc, że jesteśmy gotowi jedynie
do uczestniczenia w zyskach, a nie chce-
my dzielić ryzyka, machnął na nas ręką
i po paru dniach znowu sam poszedł na
ponowną wyprawę. Tym razem jednak o ma-
ły by wpadł! Jak nam bowiem po bardzo
dłużym powrocie powiedział, w chwili, gdy
właśnie zajęty był zgarnywaniem kartof-
li do worka, weszło do magazynu dwóch
ruskich, z których jeden podobny był do
majora, będącego magazynierem. Tonlewał
zapalił zaparkę, odkryłi go i natural-
nie zaczęli rozpytywać, skąd on i pocóż
Nie mając innego wyjścia, zaczął kłamać,
że go puszczili przez przychodnię, by so-
bie natrak trochę kartofli i ci mu wiele-
rzyli. Okazało się, że to byli jego aktu-
alni koledzy po fachu i przyszli w tym
samym co on celu. Pomógł im natrzyć kar-
tofli w ich mieszki i kiedy sobie wresz-
cie poszli, buchnął w krzaki i szczęśli-
wie wrócił do nas. Również i tym razem
podzielił się z nami uczciwie.

Następnym razem również o ma-
ły nie wpadł, gdyż spotkał po drodze kon-
wojentów, prowadzących naszych do szachty,
jakos jednak nie zwrócili na niego uwagi,

ni, to też dodatkowe wyżywie-
nie się skonczyło definitywnie.
Choć w całej tej akcji jak wi-
dać mógł udział był wyjątkowo mały, to jed-
nak z punktu widzenia prawa karnego nie
był obojętny, gdyż stanowił poprawu nor-
malne paserstwo. Mimo zdawania sobie dob-
rze sprawy z tej kwalifikacji, nie miałem
żadnych wyrzutów sumienia ani poczucia
winy.

Tak samo nie miałem tych wy-
rzutów i z prawdziwą przyjemnością ko-

rzystałem ze zdobycy Maczagi w czasie

naszej wspólnej pracy w kuchni. Kiedyś

miłowicie przy opóźnianiu kota uda-

ło mi się odlać całą warzuchiew 5 czy

3 litrową grochówkę, z której po odlaeniu

wody pozostało z jakich 3 kg grochu. Ha-

jedliśmy się go wówczas po uszy i nawet

pozostała jeszcze pełna miska, którą ha-

ciąga pozostawił pod bezką. Popsuło to

jednak całą sprawę, gdyż kucharz Zelen-

nik w mocy ją odkrył i rano przeprowadza-

jąc dochodzenie celem wykrycia spraw-

cy, jednak naturalnie żadnego wyniku nie

osiągnął!

To, że mi się raz w tym czasie
udało ukraść przy myciu podłogi całą
garść krojonej kiełbasy, nie świadczy
bynajmniej o postępkach w edukacji zko-
dziejskiej. O jej niskim poziomie niech
świadczy np. fakt, że nie skorzystałem z
okazji zabrania przy podobnej okazji
brytki masła w czasie rozmowy z kucha-
rzem. Akurat kręcikiem papierosa i puete
pudełko od machorki leżało przede mną,
kiedy on na chwilę odszedł od wazonego
masła do kuchni. Tak mi tylko szkoda za-
walać pudełka i tak późno zorientowałem

się w sytuacji, że nie zdąży-
łem już nabrać tym pudełkiem ze stoją-
cej pod ręką miski i okazała mi się bez-
powrotnie ku memu wielkiemu żalowi.

Objęte funkcji sanitariusza

wyzwoliło mnie z tej krainy pokus i niezdy-

gajnej sposobu uzupełniania racji żyw-

nościowej, a tym samym utworowało mi dro-

gę do nieba. O wejściu mym na drogę cno-

ty niech świadczy fakt, że mogąc nabrać

mydła ile wlezie, opróżniłem się do

jednorazowego nabełnia 60 w pudełko,

choć śmiało można tę ilość podwoić,

przy czym wykastem karników, ile cho-

rzy zuzywałą mydła przy myciu. I tak już

byłem wtedy niedobrodziwym - prostuję!

Na mej drodze do nieba nawi-

nęł mi się niestety kotleczołowski i z

jego to powodu zbroczym na chwilę z

tej prostej ściągki. Kiedy bowiem jego

stan wydawał się już beznadziejny, wzię-

łem z jego szafki pudełko zepatek, po-

trzebnych mi bardzo w czasie nocnej

skubki, oraz kawałek mydła, ot tak po-

prostu profi...ktycznie, by nie zaburzać
li ich inni. Po paru jednak dniach, gdy
przyszedł nieco do przytomności, zauwa-
żył brak zepatek /do mydła nie zaglą-
dał/ i spytał się mnie, czy ich nie wi-
działem. Naturalnie przyrzeczeniem się, że
je mam w kieszeni i zaraz mu je oddałem,
nie uciekając się nawet do tłumaczenia,
że potrzebowałem ich do przygotowania mu
posiłków. Podobnie postąpiłem wkrótce
zupolekował mi się tymi rzeczami inni.
W międzyczasie popuściłem się
jeszcze jednego czynu, a właściwie wyrę-

czyłem w tym kogo innego.
 Odez gdy do szpitala dostał się niejaki Nawrot, pobity przez konwojenta za wydalanie się poza "zapretną zong" - z początku nie nie jadł. Wicczorem zagładnąwszy do jego szalki, stojącej między nim, a również nie jedzącym Pie szurem, zobaczyłem pełną miskę kaszy. Ponieważ poprzednio Pieszur mimo czegoś tomania go nie chciał jeść swojej porcji i wspominał mi, że mogę ją zjeść, będąc przekonany, że to jest istota jego, zjadłem ją z wielkim apetytem i czystym sumieniem. Następnego dnia drugi chory -dek-stwierdziwszy już zniknięcie, spytał się, gdzie się ona podzwała, a com spokojnie odpowiedział, że czegoś zjadł Pieszur, a resztą ja. Nie takim się, by ten mnie zdradził, gdyż był prawie nieprzytomny. Na to dek wyjaśnił, że to była kasza Nawrota i widac było, że był bardzo oburzony tym postępkiem, oczywicie nie dla tego, że potępił go z punktu widzenia moralności, lecz dla tego, że mu się taka grała wymianka. Wzruszyłem też ramionami nad jego oburzeniem, nie żąjąc wcale mego kroku i obaj przeszliśmy nad nim do porzątku dziennego.

Kiedy jak wspomniłem ustali w styczniu nasze wypawy po kartoszkach, apetyt na nie pozostał, a nie było okazy go zaspokoić. Zszedłszy też pewnego razu do Senki, będącego jeszcze wówczas w rocie, zastałem go czuwającego nad kartoskami, przyniesionymi z jakiejś wyprawy do produkcji przez jego kolegę. Korzystając z panującego mroku i zając się jego czynnym, wyciągnąłem mu spod siemnika kilka kartofli i po chwili pod

jakim pozorem zamiołem je do mej izby, poczym wróciłem i ponownie usiadłem koto niego, podjął je porządnie operację. Udało mi się znowu wyjąć nęć spod sie nika i schował w kieszeni dalszych 5 sztuk, gdy przyszedł jego warzyssz. Dacie na wiele poty uderzył, gdy Senko, potłódkszy siemnik zaczął przeliczać kartofle i obwierzniwszy trak, zawołał: "Co jest? Przecież przed chwilą było tu 14 sztuk, a teraz jest tylko 9!" Kto mógł je wziąć?" Idąc już na cakego, zaryzykowałem: "Przecież przed wiele nikogo tu nie było. Wystarczy wiele zrewidować, by stwierdzić, czy ja wchodziłem w rachunek!" "Ach gdzie tam! Przecież Tyś nie mógł wziąć. Gdyś tu stał, co leży obok i udaje, że spłi!" Był to zdaje się Mederski, który istotnie spał i nie słyszał zrzutu. Pomógł Sence wydzielić nad niezwykłość tego zniknięcia, siedząc jak na szpilkach, by przypadkiem jednak nie zdecydował się na zrewidowanie mnie, a nie morłem odejść, by nie zwiększyć podejrzania.

W międzyczasie Senko, wyszedłszy po coś na korytarz, znikł także, to też popadł w rozpacz zpowodu tego strat. Bardzo się jednak ucieszył, gdy do drzwi szym szukaniem już znalazł na korytarzu. Był to istotnie bardzo szczęśliwy traf, to przecież tylko tam już przechodziło i łatwo mogli na nią nadepnąć, a przyswiescałem sobie tylko patyczkiem i sprostreszem ją już w chwili jego przechodzenia. W ten sposób przyszedłem czysto zrewidować watek mu się choć cząstkowo za tę moją bezczelną i muszę przyznać bardzo lekko-myślną, a do tego nie wartą swieczki

innych miata rosne i rzeпа. Pewnego tez razu, korzystajac z tego, ze nasz konwojednt zajety byl z drugim rozmow, udarem sie wzduz ptou chytliem ne to pole, skąd udato mi sie nieopatrzenie wrócić z kilkoma cienkami jak palec miodymi rzepami. Choc byly one gorzkie jak piokun i zracę jak spirytus, zasmakowaly mi, to tez wycekiwalem okazji ponowie-
nia wyprawy.

Nastapilo to nastepnego dnia, to tez umowisz sie z Magaczem, ze w razie spotrzenia mej nieobecnosci przez konwojenta da mi znać biciem w szynę, udajem sie na to samo pole, tym razem juz nieco dalej. Natrafilem tam na kilka grubszych okazów i z całym ich naręczem zawróciłem zpowrotem i wtedy zakląłem, ujrzawszy na haidzie konwojenta, zwróconego w moją stronę. Alsem wpadł. pomyślam sobie i przyspieszyłem ku niemu kroku, on zaś podniósłszy karabin, oddał strzał w powietrze. Jak tak, to dobrze, pomyślam sobie, on zaś podbiega do mnie i wściekły: "dabym was zaraz na miejsce ubił, ale mi było was żakko!" - i powtarza to w kółko. Nie rób się taki ważny, rzekłem sobie w duchu, wiem dobrze, że tak bez niczego nie wolno wam użyć broni, a to, że nam wciąż nią grozicie, to jest dla gnuśnych. Żeby go jednak trochę udobruchać, w przewie między jednym a drugim, przekleństwem odezwalem się: "Izwienite, naczelnik, fakty ja nie był głodny, to bym tam nie poszedł!" A on znou swoje poróżki, że gdyby nie miał dobrego sera, to bym już nie wstał itd.

Czekalem tylko momentu, kiedy

Dotychczas nie przychodzi z

czasem, to tez nawet ja zacząłem robić postępy w ukatwianiu sobie życia. Kiedy Pikura obiecał stakan mchorki za młotek. Zrazu nie myślałem o skorzystaniu z tej oferty, kiedy jednak raz w czasie ogólnych porządków na sali ważnym przyniesiony przez łogosa młotek, po pewnym wahaniu go ukryłem, czeka-
jąc, jak się sytuacja rozwinie. Kiedy po kilku godzinach nikt się o niego nie upomniał, zaniosłem go Pikurze, zohowując naturalnie do zachowania tajemnicy. Tej wprawdzie dochował, jednak nie z obliczanego honorarium. Dostatem bowiem od niego zaraz pół stakana, a resztę miał mi dać później, po otrzymaniu od majstra. Zwoził mnie jednak dość dugo, wreszcie dał mi jeszcze cwierte stakana i na tym jego hajnocę się wyzer-
paka; co jednak miśtem, to miśtem!

Opis mej współpracy z Herme-
sem czy też pozostałymi pod jego wpływem nie byłby zupełny, gdybym nie opisał najważniejszego wypadku w moim życiu obozowym, najszaniejszego nie ze względu na przedmiot, czy osobę pokrzywdzonego, lecz ze względu na skutki, jaki mógł on dla mnie spowodować. Z góry mu-
szę zaznaczyć, że sprawy tej nie brałem tak poważnie, jak inni, którzy się o niej dowiedzieli i nie liczyłem się z możliwością zaistnienia prozniejszych dla mnie skutków.

Mianowicie zaraz w początkach mej pracy w charakterze okatczyka, na II szachcie wpadło mi w oko pokozone o jakies 150 metrów od szachty kartofliśko,

tylko każę mi iść na miejsce
pracy, gdyż liczyłem się z tym, że wtedy
właśnie będzie mi groziło niebezpieczeń-
stwo, oczywiście nie zastrzeżenia - to mi
ani na chwilę nie powstało w głowie! -
lecz uderzenia. Wreszcie padło słowo "Idi-
te!" i zwróciłem się ku windzie, czekając,
kiedy padnie pierwsze uderzenie. Nie ka-
zako ono długo na siebie czekać, gdyż
już po kilku krokach usłyszałem jego:
"Ja tobie dam repu!" - i uczułem pierwszy
cios korbą w plecy. Ze względu na mój
ówczesny ruch postępowy nie bardzo on
mi się dał we znaki, przyspieszyłem jed-
nak kroku, nie chcąc przed nim uciekać,
by mnie nie uważył za tchórza. Kiedy za
parę sekund padł drugi cios, uznałem, że
już dość okazałem odwagi i rzuciwszy -
dopiero wtedy! - trzymany dotychczasą pęk-
rzep, pobiegłem tych kilkanaście jeszcze
dzielących mnie od szachty kroków.
Naturalnie tam zarówno Miłacz
jak i cała powierzchnia wiedziała o mej
przygodzie i podobno już się za mnie
modlił. Dopiero kiedy wreszcie konwój
dał mi spokój, zapowiedziałwszy jeszcze,
że pójdę do karcu, dowiedziałem się, jak
doszło do nakrycia mnie. Okazuje się, że
miątkiem to do zawdzięczenia priomawiska
starej babie, która ze swego stanowiska
ujrzała mnie wymykającego się i czymprę-
dzej zameldowała o tym konwojentowi. Mi-
gacz sprostregłszy to, walił jak tylko
mógł w szynę, jednak z powodu przeciwno-
go wiatru to do mnie nie doszło, a ponad-
to i tak było już zapóźno.

Wkrótce po tym wypadku nadszedł
jakis mongol, kontrolny, któremu nasz kon-
wój zameldował o wypadku i me nazwisko

znalazło się w jego notesie,
co poznał to mnie natychmiast, bym zdołał
do końca zmienić przetrwać naszego
straznika i odstręczyć go od zameldo-
wania na przychodni. Dorymując: co bowiem
działaka na mnie nie mył o groźnym
mi karcu, a perspektywa drwin czy nawet
sztyderstw ze strony współtowarzyszy.
Następny konwój, dosyć inteligentny,
dowiedziałwszy się o mej wiektkiej zbrod-
ni, znowu zaczął mi przewić kazanie, że
nie powinno się kręcić, że w Polsce tak
napewno nie robią, co na to by wstał -
ciciele powiadzieli i tym podobne dupc-
relki. Cisnęły mi się na usta słowa, że
w Polsce ludzie nie chodzą tak gładko,
by musieli kręcić rzepę z pola, wolałem
zatrzymać za zębami, bo na pewno bym so-
bie mej sytuacji nie polepszył. Nie mog-
łem się jednak powstrzymać od rzucenia
złego spojrzenia na jakiegoś pustkiego,
złaje się właściciela tego pola, gdy
wtrącił: "Kata było ubit na miejscu".
Tak, w tym kraju można się wszakże -
go spóźniwać, nawet kuli za stąd!

Wreszcie jednak i to kazanie
się skończyło i ruszyliśmy w stronę
zony. Tak się spóźniwatem, kiedy officer
kontrolny nas przeliczył, konwój wywo-
łał mnie i zameldował, że "nata mnie po-
sadzic w karcę!" "Poczekaj!" "Po ja chodzą
bez rozróżnienia konwoja na repu!" - wyrg-
czyłem go w odpowiedzi. "Wtorej raz nie
przyprawdzajcie! Prawilno zaszatali!"
- usłyszałem ku memu wielkiemu zdumieniu.
Styszcie też jego dalsze "Idi w pidnu!"
czy coś podobnego, zaszatalowatem i czym

ren do III szachy, ty pomóc
 zdjęć młocęki z autu. Wówczas to ten sro-
 ter po dokonanej robocie złożył na po-
 le marchwiowe, pozwalając nam jej narwać
 "skotko urodno", za co byłimy mu bardzo
 wdzięczni.
 Dopiero kiedy znowu kennedj się
 zmienił, widząc dość wesołą jego twarz,
 zaryzykowałem próbę o pozwolenie na wy-
 prawę kolo III szachy. Rykiem narwardo-
 wardo zastoczonj, kiedy znalazł zapo-
 nować, powiedział: "Tam jest zbyt mało, na-
 innym polu jest charosza, idź tam!". Minu-
 rałnie myślałem zresztą, że żartuje, kiedy
 jednak zaczął mi opisywać, jak mam iść,
 przekonatem się, że mówi serio. Zapyta-
 szy też przeto z ostrożnością: "A nie ubi-
 jecie mnie, narwardnik?" - na jego podobne
 "Idź!" - ciekawem smutko udarem się na wsta-
 zanie mijając, odległe o jakieś 400 met-
 rów. Podchodząc tam, widziałem wprawdzie
 o kilkadziesiąt metrów jaśniejszą niernuchą wy-
 dawako mi się grupę, lecz uważałem ją
 raczej za stojące wozy, to też nie krępu-
 jąc się spokojnie zaczętem wytyczać co-
 kadniejszą rzepę. Miałem już kilka red-
 nych szluk, aby od tych szlaków wzdłu-
 żył się do mnie zawołał: "Chodź siuda!" Uwa-
 żając go za zwykłego cywila, spokojnie
 przewiałem z bliznami i zwróciłem się ku
 drodze, on jednak, podchodząc bliżej, wołał:
 "Chodź siuda, bo ludu strzelają!". Widząc, że
 istotnie zaczyna czymś potrzebować, jakby
 rewolwerem, choć odległość była zbyt du-
 za, by mógł mi nim coś zrobić, wolatem
 nie ryzykować i podszedłem do niego, do-
 znając wtedy dopiero w nim naszego cywil-
 nego konwoja, przinajmniej nie wozy, lecz

przedzielnym przeczodkiem przez ko-
 tarz przecedni do zony. Dopiero później
 imni wyjął mi, co on właściwie miał
 na myśli, gdyż po tym zniknięciu dostał:
 "Nada było ubić na miejscu, a nie przy-
 prowadzać do zony!" - nie wyjął jednak,
 za co: czy za pójście po rzepę, czy za o-
 dalenie się z miejsca pracy?
 W każdym razie ceka sprawa na-
 tym się skończyła bez jakichkolwiek dal-
 szych dla mnie konsekwencji i nawet w
 zony jakos nikt się do mnie nie przy-
 czeptał. Jedynie po jakimś czasie znalazł
 się taki mądry, który wyraził swe potę-
 pienie, jak mołem właśnie ja coś podob-
 nego zrobić, jednak zamknąłem mu gębę
 przypominaniem, że i on nie jest bez
 w każdym razie to szczególne
 zdarzenie było dla mnie prze-
 straszą, to też później już nie ryzykowa-
 łem podobnych wypraw, zwłaszcza ten sam
 konwoj pilnował nas przez dwa tygodnie,
 a szurował go ten "miasłowy", który oka-
 zał się całkiem porządny. Kiedyś bowiem
 zaszło do portowanej na niedaleko
 pokozony "konny dworz" rzepę i szam-
 tąd zabrakło za więcej lub mniej milcząc
 zgodę ruszyć po kilka rzep, już nie ta-
 kich jak palec, lecz jak stowy.
 Kiedy zmienił go wrzeszcze in-
 ny, nie znalazł mej przeczodki, próbowa-
 łem uzyskać pozwolenie na wyprawę do
 marchew lub rzepę, jednak jakos nie zgo-
 dził się na to, bojąc się, by nas strasz-
 nie zobaczył. Nie powiodła się przy tym
 obawa naszej ucieczki, co wykazał pewnej
 nocj, zezwalając nam iść z jakimś szofe-

właśnie zbierając się do odeszcia do zony grupy O.K. Mimo wyjasniania mu, że przyszedłem na pole za zgodą konwojenta i próby o puszczenie, nie słuchał mnie, a doprowadził do grupy. Ry- to mi wtedy bardzo głupie nie ze względu na jakieś konsekwencje ze strony wła- du na jakieś względy na to, że cała zona będzie się ze mnie śmiała, iż tak głupio wpadłem w pułapkę. Naturalnie zaraz oto- czyli mnie i zaczęli wyciągać z kiesze- ni wystającą rzepę, tkumacząc, że na przy- chodnej i tak mi wszystko zabiorą. Przy- znając im rację, sam nawet oddałem im kilka sztuk, zobaczył to jednak mój ka- pacz i kazał je mi oddać jako dowód że- przylemności szturchnięcia mnie w plecy, czowy, przy czym nie mógł odmówić sobie przylemności szturchnięcia mnie w plecy, aż się zatoczyłem. Kiedy wręszcie "postro- it" grupę, ruszyliśmy w stronę zony. Mod- liłem się w duchu, by nas doprowadził jako szachty, gdyż byłem pewien, że wtedy mój konwój się o mnie upomni w swym włas- nym interesie. Bardzo też się ucieszyłem, kiedy po minieciu konarskiego dworu zna- lezli się jako szachty. Tam czekał już nie mnie mój konwój, który podszedł do mego stróża i na jego pytanie "To twój człowiek?" - odpowiedział twierdząco i zamieniwszy z tamtym kilka słów, wrócił się do mnie: "Idź robotać" - co naturalnie z gorliwością spełniłem. Szachtem, że co- najmniej mnie opierdolił za mą głupotę, a tymczasem, gdy mnu później opowiedział, jak się dałem zrapać, śmiał się tylko i nawet nie przyjął żadnej z ocaltych szczegółów rzep.

Tak zatył i tym razem Hermes się mną opiekował jako nowicjuszem i na-

wet uchronił mnie od drwin w zonie, gdzie jakos rzecz się nie poznio- sta!

Na tym właściwie skończyła się moja kariera hermiosowskiego ucznia, jak widac bardzo niedouczonego. Później- szych bowiem zaborów rzepy z okazji pra- cy na konnym dworze nie można poczytywać za przesłępstwo, bo odbywały się one za wyrzniętą lub milczącą zgodą ruskich, uwa- żających, że należy nam się jakies wyna- grodzenie za pracę.

Tak samo nie można uznać za przesłępstwo późniejsza - już pod koniec mej pracy w szachcie - w nocy za zgodą konwo- jenta /którzy w międzyczasie widocznie uzyskali zezwolenie na ztagodzenie krę- pujących dotychczas rygorów/ po marchew pod III szachcie. I wówczas o mało bym nie wpadł, gdyż ledwo zdążyłem pokrzyż- sporą jej wiązkę jako porody i zbliżyć do lebiadki, podszedł tam właśnie i na- czelnik szachty, co sprawiło wrzenie, że mnie przytkapał. Konwojent też spoj- rzął na mnie zniepokojony, jednak umie- chem dałem mu znać, że wszystko w porząd- ku. Był to jeden z najlepszych chłopców, powiedziałabym nawet jakby nieśmiały w stosunku do nas, nie widzący w nas zad- nych przesłępców!

Opuszczenie obozu uchroniło mnie przed dalszym pograżaniem się w bagnie występku, a wahanie się, czy oddać Smoronowi dane mi dla niego przez Sen- kę 10 rubli, było jedynie próbą mego cha- rakteru, z której powsta moja wyszka zwy- cieszko. Inna rzecz, że później tego zako- watem, widząc, że i tak Smoron zupełnie o tym drugu zapomniat; względnie jednak na

listopada 1939 r., opisującego wyzwalanie Polosia spod jarzma panów, gdzie napotkalem na taki kwiatek propa- gandy: "Nasi krasnourmiejcy ze zbroz- skuchali opowiadania jednego wieśniaka, jak to za usiłowanie kradzieży drzewa z lasu na dyszel został skazany przez sąd polski na 15 lat więzienia!"

Nie oburzenie, a śmiech dusił ogarnął mnie po przeczytaniu tego kwiat- kai! Jak można w tak beczelny i nieudol- ny, a przede wszystkim kamliwy sposób oczernać przeciwnika i wprowadzać w

błąd własny naród! Przecież ten, widząc nakładane na siebie samego takie właśnie surowe kary, nie ma powodów do niewierze- nia tym publicznie głoszonym wiadomościom, a właśnie chodziło o odpowiednie nastawienie się ludu rosyjskiego do tych gniebicielei chłopca i robotnika!

Może zresztą istotnie ten po- leszuk dostał 15 lat, ale nie za kradzież a za szpiegostwo, opór władzy i zabójstwo razem wzięwszy.

"Kłamcie, kłamcie, zawsze z tego coś zostanie!"

skoczeni, bo nigdy się nie zdradzał, by obfitował w chleb i nawet specjalnie nie był bogaty w tytoń. Oso- bicie też uważam, że ilość chleba za przesadzoną i poprostu, jak się to mówi, "man hat ihm in die Schuhe geschoben" wszystkie braki, powstałe w ciągu roku czy to z winy chleboborców czy też nu- czalstwa.

Aby już zakończyć ten mało przyjemny temat, wspomnieć jeszcze wypa- da, jak do czasu celom odstraszania zbyt odważnych odzywano nam na pro- wierkach zawiadomienia o różnych wyro- kach, zapadłych przed sądem wojskowym w stosunku do rozmaitych złodziei i t.p. Zdarzały się tam takie kwiatki, jak dwa lata za kradzież kilku kilo chleba czy kilkumastu kilo kartofli i trzy lata, za "cielowrodzicielstwo" tj, szkodzenie so- bie na zdrowiu, a nawet pięć lat za umyśl- ne okaleczenie się, przylepione przeważ- nie niemcom lub rumunom.

Zwiększa od czasu, gdy kodeks karny sowiecki wprowadził zaoczerzenie kar, o takich karach nie tylko słyszeli- śmy, ale i czytaliśmy w gazetach. Jak ka- rać, to już porządnie, by odstraszyc in-nych! Czyż jednak nie dowodzą te wyroki, jakim mocno musiały się szerzyć w Rosji kradzieże, skoro państwo sięgnęło do ta- kich represji? I dalszy wniosek: jak du- za musiała być nagza czy gród, skoro mi- mo to osmielano się popełniać takie prze- stępstwa?

W związku z tymi ostatnimi wy- pokami przypomina mi się trochę czytane- go w Rezu artykułu w jakimś miesięczni- ku dla młodzieży, zdaje się "Rólanik" z

Człowiek nie jest z żelaza.

Moje proletariackie pochodzenie bardzo mi się przydało na mym wygnaniu, gdyż zapewniło mi niezbędną wytrzymałość w tamtejszych warunkach. Kto wie, czybym nie należał teraz do V. polity i nie spoczywał gdzieś pod przózkami, gdyby nie wkładliwe naszej rodzinie chłopskie źródło. Ono też, obok dużej dozy szczerego, dopomogło mi, czy to w uniknięciu wszy- stkich czyniących tam na mnie niebezpieczeństw, czy też ostatecznie w wyliźnaniu się z ich skutków.

Przede wszystkim dużo już od- porności wykazałem w czasie transportu, o którego warunkach pisałem poprzednio. Me dobre naogół po nim samopoczucie nie uzewnętrzniko się jednak w mym wyglądzie, to też już w XVII obozie przy pierwszym badaniu lekarzkim jakiś lekarz-czech czy niemiec - dał mi kategorię III D. Co ta złośliwa oznaczka, narazie było dla mnie tajemnicą, dopiero później wyjaśni- ło się, że oznacza to dystrofię. Ze wsty- dem wówczas skontaktowałem, że greka nie mi nie data, skoro nie znalem dotychczas znaczenia tego wyrazu, pierwszy zresztą raz skryzanego i byłem bardzo zdumiony, że jest to równoważnik naszego niedoży- wienia. W każdym razie ucieszyłem się z tej litery, gdyż zwalniają nas ona od cięższych robot. Inna rzecz, że i te, ja- kie tam wykonywałem, przekreczaka już moje siły, zwlaszcza, że już wtedy zaczę- ły mi puchnąć nogi, jako skutek zbyt wielkiego nagromadzenia się płynu w

organizmie. A przecież nie nad- używalem wcale wody: do wywołania takiej- go efektu wystarczała ta, którą otrzyma- wałem w zupach!

Ta puchlina jeszcze więcej da- wała mi się we znaki po przybyciu do Kopenhazy, kiedy to ledwo wlokłem się za saniami, którymi zwoziliśmy wógiel do zo- ny. To rozpoznałem już stałą pracę na powierzchni, również jako III kategoria, trzymakem się zrazu jako tako. Po kilku dniach, spóźniwszy się z jakiegoś powodu na kolację /zdaje się zastępowa- łem wówczas dyżurnego/ otrzymałem zupę rybną zimną. Już w trakcie jedzenia od- czułem pewien niesmak, który jednak nie pozwalał mi jej zostawić, co stało się pierwszym, ale na szczęście jedynym dla tego niewystarczającym gwoździem do szynki. Już nazajutrz zaczęło mnie ganić na stronę. Tręgnąc temu zaradzić i nie mając apetytu nawet na chleb, po- powrócie z pracy zacząłem sobie z nie- ło robić przy piecu suchary i jeść je z kawą, ograniczając się o ile możności z jedzenia zupy. Kuracja ta jednak nie wiele mi pomogła: coraz częściej musiałem się "odprawić" i coraz bardziej me siły topniały. Kiedyś po kilku dniach sprostregel już krew w mych wydzielinach, stwierdziłem, że "Hambal ante portas" i zdecydowałem się pójść do lekarza. Wyuczony przez żydka Hisa- na pytanie lekarza co mi jest, odpowiedziałem: "Panos z krowiu". Nie bardzo zrozumiałem uszczynę, jednak domyślił się, że mi wógiel drzewnego i zwołnienie, kaze- zgłosic się powtownie następnego dnia.

ko północy aspiryne, po której
już rano temperatura spada prawie o dwa
stopnie, a po trzech dniach byłem już "na
Fleku".

Gdyby nie utrzymująca się po
ustaniu dyzenteryi dystrofia, to już w
północie mija musiałbym iść do roty, bo
szkorbut, objawiający się zasinieniem
dziąsła i wysiękiem krwi, jak również i
mych 35,4°C temperatury były zbyt na-
gminnym zjawiskiem, by mogły usprawiedli-
wiać dalszy pobyt w szpitalu. Dziełki niej-
jednak dopiero pod koniec czerwca, gdy
jako tako wrócił do ciałka, wyleciałem
bardzo wprost do szachty.

Niedługo cieszyli się tam naj-
cenniejszą wprawdzie, gdyż już 4 lipca miał
miejsce wypadek, który o mało nie zawiódł
mnie definitywnie do V-ej roty!
Pracowałem wówczas na tzw. ska-
cie, której węgla szedł z ławy do woz-
ków. Wykonując polecenie Górki zeszedłem
na dół zobaczyć, czy nie powstał gdzieś
zator w korytach. W pewnym momencie usły-
sząłem tętent walącego z górą węgla. Za-
późno już było na uskokzenie do leżącej
zbyt daleko komory, to też mogłem jedy-
nie przypaść jak najbliżej do obuwia
koryt, ukrywając głowę za stojący słup
i... ocknąłem się nie wiem po jakim cze-
sie-może kilku, a może i kilkunastu minu-
tach. Leżąc na znak na stosie węgla, w-
zupiętych ciemnościach, bez okularów i
czepki, z dotkliwym bólem w prawym na-
mieniu i głowie. Domyśliwszy się, że by-
ła spadająca węgla wyrznięta mnie w
ramię, zacząłem wolać mych sąsiadów o
pomoc i po pewnym czasie nadeszedł ktoś

z dołu ze światłem. Dziełki
niemu szczególnie znalazłem na wstępnym
nieuszkodzone okulary, wiozącym je na
nos, a czepkę na pokrąwioną głowę i
powłokiem się do windy, gdzie moja krew-
tyła najlepszą lewitującą do szpikie-
go dostania się na Górnę. Również i kon-
wojent na mój widok zaczął mi czynić
dziej iść do obozu, nawet mnie nie od-
prowadzając. Lekarza nie było z powodu
wczesnej pory /około 5,30/ jeszcze nie
było, to też jakiś niezłomny VD-Harting-
pomógł mi obmyć nieco twarz i głowę,
a to z uwagi na niemożność prania i
mienia, choć zewsząd nie wykazywa-
ono obrzęku. Wreszcie zjawili się lekarz,
który zbadał me kontuzję. Na głowie mia-
łem dwie powierzone rany, powstające
w skutek upadku na węgla i chłupa stal-
ny prawy obójczyk, gdyż nie można za-
pamięć poruszać remieniem w bok, a tylko
do przodu i do tyłu.
W rezultacie przez dwa tygod-
nie cieszyłem się pełnym zwinieniem,
które wykorzystywałem się opalaniem się
na słońcu zupełnie nago poza barakami.
Dziełki i temu z dnia na dzień moim
coraz lepiej władzę remieniem i w koń-
cu 18 lipca mimo jeszcze pewnych w nim
bóli i niezupoknie odzyskanej swobody,
lekarz zyd zaczął mi znów wrócić
do szachty.
Po dłuższym niż poprzednio
okresie w niej pracy znów została ona
przerwana, resztę tylko na jeden dzień
wyndkiem, który znów mógłby się skoń-
czyć tragicznie dla mnie.
Hienowicie w czasie dostar-
czenia przez mnie "prodników" do "Kleci"

wyśnuta się deska spod kół pierwszego i kilka wagonów zaczęła pochylać w stronę windy. Zdążyłem do nich doskoczyć i próbowałem zatrzymać przez podkładanie pod koła kawałków drzewa, przy tym jednak ręka mi się obsunęła wskutek obrotu drzewa i dostała się na szczęście nie pod kóło, lecz między deskę i ziemię. W pierwszym momencie jednak myślałem, że jest zmiarszona i z ławo zrozumiałą obawą zdjąłem z niej rękawicę. Tym większa też była moja radość, gdyż skończyło się jedynie na zdarciu nakółka. Nie przerażałem też pracy, a jedynie po powrocie do łagru poszedłem do ambulatorium z nabrzmiałą dłońią, gdzie Seibert posmarował mi ją jodłą, a lekarz dał jeden dzień zwolnienia. Ponieważ miśka być właśnie zmiarszyci, napisał mi taką datę zwolnienia, że faktycznie miałem dwa dni zwolnienia, które wystarczyły na przywrócenie mi zdolności do pracy.

I znowu przez pewien czas musiałem pracować-najpierw nizu, a potem systemem pracować-dalszy wypadek na wierzchu, aż wreszcie dalszy wypadek doprowadził do tego, że już na zawsze porzekałem się z tą kopaliną i to w chwili, gdy po kłótni o coś z dziesięćmikiem miałem już jej powyżej uszu.

Otóż 24.9. zatrudniony byłem jak zwykle przy "pitajelu"-Leju, skąd wędziel wydośtawiał się na tasmoctaję, winidający go do bunkra. Przez przeczenie widocznie górna zmiana nie zawiadomiła mnie, że zamiasł węgla pódjzie poroda i oto nagłe w paszczęce bębna ukazały się obrzynie odłamy kamieni. Zdążyłem nerazie zatrzymać maszynę i pierwsze

usnąę, by mi nie zatkały Lejkę, po ponownym jednak puszczaniu motoru znowu zobaczyłem większy odłamek. Za półno już było na zatrzymanie maszyny i nie pozostało mi nic innego, jak próbować wyciągnąć tę porodę mimo jej wagi. Nożebym się to i powiedko bez wypadku, gdybym miał odpowiednie oparcie dla prawej nogi, a ponieważ go nie miałem, udało mi się jedynie wyrwać ją z otworu i unie możliwie wpadnięcie do Leja. Z powodu jednak zbyt wielkiego jej ciężaru-kłódnieszta kilo!-nie mogłem już jej unieść i całym ciężarem i do tego ostrym jej końcem spadała mi ona na prawą stopę. Poczujęm przenikliwy ból w palcach, nie przykładałem jednak do niego wagi, przynuszczałając, że jedynie stukłem sobie palec. To pewnym jednak czasie poczułem mokrą w bucie, co już świadczyło o zranieniu. Brakującej jeszcze do końca zmiany Godziny jakos przetrzymałem, poczyłem kulejąc wódektem do obozu. W ambulatorium lekarz stwierdził przecięcie ściuka pod paznokciem aż do kości, oraz stłuczenie sąsiedniego i zawyrokował zdające paznokcia.

Wie bardzo mi się ta perspektywa podobała, to też z zadowoleniem przyjąłem chwilowe otrzymanie tego zabiegu. Przez tydzień cieszyłem się zwojnieniem i nie przejmowałem się niewielkim ropieniem, gdyż ból się zmniejszał. To też nie mako byłem zdumiony, gdyż ostatniego dnia wrzesnia lekarz skierował mnie do szpitala. Tak mi było w rocie bez pracy dobre, że nie uśmiechała mi się zmiana stogunów, kiedy jednak lekarz na me pytanie, czy to konieczne, odpowiedział "obliwate!no"-musiałem się zastosować. To kilka

stać urlop. Nie można bo

za specjalny wypadek uznać stłucze-
nie sobie palca przy przesuwaniu kłód-
ki na nad jezioro, przy którym zresz-
tą mi nawet skóra na palcu, skoro
go zwolnienia to za sobą nie pozio-
ły. Tym razem zaczęło się o

dniowej srażki w początkach maja
dowanej zbyt wielką dawką zjedzon-
nych "pieczonek", która po dwóch dn-
niach zwolnienia znikła i zniknęła
cił do normy. W międzyczasie jednę
część mi się tworzyło na lewym udzie
spowodowany zabrudzeniem gliną cz-
ciem. Kiedy po paru dniach nie znik-
nęła zaczęła mi się coraz bardziej dawa-
ć znaki, poszedłem do lekarza i znowo

znowo bardzo zdumiony, usłyszawszy o
"do szpitala!" Z powodu skutecznego
dług I tym razem przyjęłem ten wy-
mieszany uczeniem, nie wiedząc, że
mieszany uczeniem, nie wiedząc, że
tym szpitalu będą warunki. Tak jak
ktem, że zboczenie z utartej drogi
wskazanie jako "malum necessarium": by-
łocie-niechętnie szedłem do szpi-
taliem w nim-niechętnie wychodził

niego!

Akurat 14 maja 1946, w
Kospaszu, dostatem się do III laz-
w leżu na oddział chirurgiczny. Tym
mnie pod swą opiekę doktor-austri-
zwiska już nie pamiętam /Dehring
ry po obejrzeniu mego "fununculus
rzakiego już do wielkości śliwki,
tyczkował się długo, tylko chwyci
życzki, włożył końce w ognisko wr-
Trochę zabzdąło, lecz się opanowa-

z usmiechem patrzakem na plynący
pół roku, nim wreszcie znowu miałem do-

dniach miała się odbyć ope-

racja zdjęcia paznokcia z wszelkimi z-
szykanami, jak naroką i saystencją, tym-
czasem zaś opatrywał mnie Hofman. Wresz-
cie przeszedł ten dzień i na polecenie
lekarza pokusztykalem o kulach, n. b. za-
wysokich, do ambulatorium, gdzie w ocze-
kivanju na swą kolejkę przypatrywałem
się wyciąganiu z tyłka uspijonego wia-
sowca tkwiącej tam szpilki. Już nie wiem

z jakiego powodu operacja moja w tym
dniu nie doszła do skutku, to też ura-
dowany wziąłem kruk w rękę i prawie
biegiem wróciłem do swego łóżka. W międz-
czasie Hofman przy opatrunku odwrnął
schodzący mi już paznokieć, to też ope-
racja w następnym dniu stała się zbęd-

na, a przygotowany do uspienia mnie eter
wrócił do apteczki.

Bez dalszych już komplikacji
przeleżałem sobie w szpitalu nadspodzie-
przeleżałem sobie w szpitalu nadspodzie-
wane długo, bo zamieszczę przedidwanych
dwóch tygodni-pokone dwa miesiące, z czę-
go miesiąc już w dajwie. Tam coprawda po-
naszym przybyciu odbyła się komisówka,
ponieważ jednak mój palec jeszcze tro-
chę ropiał, dostatem moratorium do na-
stępnej, tj. do 3 grudnia, kiedy to moje

wczasy się skoncowały.

O ile się nie mylę, to me do-
stanie się do szpitala mam do zawdzię-
czenia Kędzi, gdyż rozmawiał on z leka-
rzem i ten dla lepszego bezcenia nasde-
mna zdecydował się wziąć mnie pod swą
teżopodrednią opiekę, gdyż obawiał się za-
każenia, do którego na szczęście nie do-
szko, a ja sobie odpożakłem porządnie.

Od tego wypadku minęło prawie
pół roku, nim wreszcie znowu miałem do-

stać urlop. Nie można bowiem za specjalny wypadek uznać stłuczenia wa nad jeziorom, przy którym zresztą próżna mi nawet skóra na palcu, skoro żadnego zwołnienia to za sobą nie pociągnęło. Tym razem zaczęło się od parodniowej grzechki w początkach maja, spowodowanej zbyt wielką dawką zjedzonych zimnych "pieczonek", która po dwóch dniach dniach zwołnienia znikła i żółtek wróciła do normy. W międzyczasie jednak zaczęła mi się coraz bardziej dawać we znaki, poszedłem do lekarza i znowu byłam bardzo zdumiony, usłyszawszy słowa: "Do szpitala!" Z powodu gwałtownego wzrostu I tym razem przyjąłem ten wyrok z mieszanym uczuciem, nie wiedząc, jakie w tym szpitalu będą warunki. Tak już byłem, że zbroczenie z utartej drogi traktowaniem jako "malum necessarium": byłem wrocie-niechętnie szedłem do szpitala, byłem w nim-niechętnie wychodziłem z niego!

Akurat 14 maja 1946, w rok po Kospaszu, dostatem się do III lazaretu w Kezu na oddział chirurgiczny. Tam wziąłem pod swą opiekę doktor-austriak, nazwiska już nie pamiętam /Dehring/, który po obejrzeniu mego "Tumenculusa", dożyłczkował się długo, tylko chwyciwszy nożyczki, włożył konce w ognisko wrzodu i trochę zabzdątało, lecz się opanowałem i z uśmiechem patrzakem na plynący ropę

dniach miała się odbyć operacja zdjęcia paznokcia z wszelkimi zrykanami, jak naroką i asytencją, tymczasem zaś opatrywał mnie Hofman. Wreszcie przeszedł ten dzień i na polecenie lekarza pokusztykałem o kulach, n. b. za wysokich, do ambulatorium, gdzie w oczekiwaniu na swą kolejną przypatrywałem się wyciąganiu z tyłka uspionego wiosca tkwiacej tam szpilki. Już nie wiem z jakiego powodu operacja moja w tym dniu nie doszła do skutku, to też uradowany wziąłem kruk w rękę i prawie dowany wróciłem do swego koza. W międzyczasie Hofman przy opatrunku odwrzynał schodzący mi już paznokieć, to też operacja w następnym dniu stała się zbiegana, a przygotowany do uspienia mnie eter wrócił do apteczki.

Bez dalszych już komplikacji przeleżałem sobie w szpitalu niedługo, dwie tygodni-pięć dni miesiąc, z czego miesiąc już w dajwie. Tam coprawda po naszym przybyciu odbyła się komisówka, ponieważ jednak mój palec jeszcze trochę popadł, dostatem moratorium do następnego, tj. do 3 grudnia, kiedy to moje stanie się do szpitala mam do zawdzięczenia Kędzi, gdyż rozmawiał on z lekarzem i ten dla lepszego baczania nadał mi udecydował się wziąć mnie pod swą odpowiedzialną opiekę, gdyż obawiał się zażeniania, do którego na szczęście nie doszło, a ja sobie odpocząłem porządnie. Od tego wypadku minęło prawie pół roku, nim wreszcie znowu miałem do-

strony zbytku wielka ilość
spozywanej w naszym "tręściwych" zu-
pach wody, a ogólne przeziębienie i avi-
taminozę z drugiej. Dobrze jeszcze, gdy
organizm w czasie alarmował człowieka i
w czasie go budził; gorzej było, gdy sen
był tak silny, że alarm w postaci mni-
nia o sianianiu, był za słaby. Wtedy na-
stępowała katastrofa, której i ja kilka
razy nie uniknąłem. Ten objaw chorobowy
zniknął zresztą równocześnie ze zmianą
pokarmów.

Drużba anomalia szerząca się
również w pewnych okresach nagminnie,

to tzw. "kurza ślepoty". Panowała ona
gdzieś latem, w czerwcu i lipcu, a obja-
wiła się tym, że dotknęła nią o zmro-
ku nic nie widzieli i musieli być pro-
wadzeni przez kolegów. Az litoczyć braka

na widok posuwających się po omacku
ślepców, potykających się i wpadających
na każdą przeszkodę. "Wywołana ona była
brakiem witaminy "B" i nie ominęła nawet
latawca, który przecież jako przygadier
korzystał z lepszego niż my pozwywienia.

I ja kiedyś w nocy, wyszedłszy
do ustępu, z przerażeniem stwierdziłem,
że nie nie widzę, mimo że noc była jas-
na. Jedynie po odpowiednim pochyleniu

światła widziałem przez wąską szparkę do-
ży świat. Robiło to wrażenie, jak gdyby
siatkówka poczęta była na wzór Marsa

kanakami, jedynie wrzaliwymi na światło,
reszta zaś była nieczuła. W dzień i w
kopalni zupełnie to zjawisko nie wystę-
poweło i gdzieś po tygodniu znikło zu-
pełnie tak nagle, jak się pojawiło. Był

może przyczyniło się do tego uzupełnia-
nianie przez nas codziennego menu mio-

z krwią. Odrzucił mi użytko, to
też po operunku wdrapałem się z ulgą
na piętrową przycię. Po trzech tygodniach
rana się zablizniła, choć ślad po niej i
pozostał do dzisiaj. Tak samo zresztą i
po poprzednim wypadku mam jeszcze pa-
migtkę na palcu w postaci skręconego
smętego paznokcia, tego samego zresztą,
który kontuzjonowany już był w ostat-
nim dniu walki pod Zakroczymlnem. Drugi
paznokieć zgolił się również bardzo szyb-
ko, choć i on mi zszedł.

Do choroby sensu strictly, choć
nie wymagających leczenia szpitalnego
/bo wtedy wszyscy musieli by w nim le-

żeć/ należały choroby pęcherza i ku-
rza ślepoty.

Pierwsza panowała nagminnie
i chyba tylko ci, którzy ograniczali się
do jedzenia samej kasy, nie potrzebow-

dobę. Specjalnie użyłem słowa bieć, by
iść do ustępu kilka razy na
kilku kropel, zwykłe zaś trzeba było za-

zdążyć się dobiec bez uronienia choć
było normalnych 100 metrów, lecz kilka-
nastę, napór był tak silny, że z trudem

wypuklić, jak wielkie było parcie. Na-
wystarczyło się odwrócić, by sobie ul-
strój. W dzień jak w dzień, na robocie

zyc, w nocy jednak była prawdziwa trage-
dia, gdy co godzinę, a czasem nawet i
częściej trzeba się było zrywać z po-
skaniami i w kałesonach wybiegać na dwór.

Czasami tak się zdarzało, że człowiek
Ledwo się pokoczył po wysiustianiu, znowu
czuł parcie!

Ostatni wrzesień wypadł o mi-
 ko nie pozbał mi nie oka. Mianowicie gdzie
 w lipcu 1947 w czasie pracy w kamienioło-
 mach, stakem właśnie za rąbiącym skąd ki-
 losem Smolikiem, gdy w pewnym momencie od-
 prysk kamienia trafił mi nie wprost w oko.
 Na szczęście odłamek był dość duży tak,
 że oparł się na oczodole i tylko lekko
 zranił mi spojówkę. Zrazu jednak sądziłem,
 że w znikającym blasku wszystkich gwiazd
 rozpiękno się i oko, to też z łatwo zro-
 zumiałą ulgą odetchnąłem, gdyż przez ob-
 fityc lejące się kły zolaczył światło.
 Ból był dotkliwy i pokoczony z takim kza-
 wieniem, że ledwo odprowadzili mnie do
 obozu. Lekarz zrobił mi zaraz zastrzyk
 protargolem i dał mi zwolnienie na jeden
 czy dwa dni, po których już mi było dob-
 rze. Przyszedł mi się jednak, że bał się, by
 czasem nie wywiązało się zapalenie, bo
 wówczas mogłoby być po oku!

Tak zatył przedstawia się hi-
 storia moich chorób czy niedyspozycji.
 O wypadkach, które mogły się dla mnie ta-
 talnie skończyć, jednak szczerliwie skoni-
 czyły się tylko mniejszym lub większym
 strachem, już w następnym rozdziale.

dą pokrzywą czy też gatunka-
 mi sosen, dodawanymi na surowo do zup.
 Ostatnim wrzesień ogólnym ob-
 jawem chorobowym była spowodowana naszym
 odzywianiem się dystrofią. Ociążłość, nie-
 chęć do niczego i kompletna apatia obok
 ogólnej słabości, zwiększa w kolanach-
 to typowe jej objawy. Do pasa jeszcze
 człowiek czuł się jako tako, nogi zaś go
 ledwo niosły i mało się wrażeń, że
 stawy to niemaszerowne zawiasy. Do oska-
 bienie czasem pozwalało się do tego stop-
 nia, że np. w Krutisze musiałem sobie no-
 gi podnosić, by wejść na schody. Nic też
 dziwnego, że czasem zwykła nierówność
 gruntu już powodowała upadek. O jakich-
 kolwiek biegnach czy skokach nie było
 mowy i jedynie dłuższy pobyt w szpitalu
 przysparzał jakąś taką władzę w nogach.
 Słabosc ta zresztą objawiała się jedy-
 nie, że tak powiem, w kierunku pionowym;
 nie dawała się ona odczuwać w marszu,
 jeżeli tylko mało się wygodne obuwie.
 Ta dystrofia w marcu 1947 za-
 prowadziła mnie do O.K., skąd nawet gro-
 ziko mi już pójście do szpitala, a to z
 uwagi na opuchliznę, jakiej nabawiłem
 się w pracy w kuchni dzięki zalewaniu
 się zupami. Sam się porządnie przerazi-
 łem, zobaczywszy me organa płciowe na-
 brzmiałe do wielkości głowy niemowlęcia,
 co jednak po kilkakrotnym wysuszeniu
 się zniknęło. Kiedy jednak z tą opuch-
 lizną /zresztą już mniejszą/ pokazalem
 się na komisji, naczelniczka chciała po-
 arzać mnie do szpitala, jednak nazwanie
 się odmówiła. Zermanie mego kontraktu
 z kuchnią przywróciło mnie do normalne-
 go stanu.

Trudna była rola Anioła Stróża...!

Jeżeli znakomita wieksość z

z nas, którym udało się dotrzeć do Uralu,

miła szczęście zobaczyć ponownie swą

rodziną ziemię, to zawdzięczają to je-

dynie temu, że przydzielony do naszej

ochrony Anioł Stróż-oczywście nie pan-

stwowymi, który zastąpił nie dbającego

należycie o nas w czasie transportu po-

przednika, nie baczył na narodowość czy

też walory moralne swych podopiecznych,

a gorliwie wypękniał swe obowiązki, od-

geniając groźące nam niebezpieczeństwa.

Ze nie wszystkim udało mu się obronić

przed przemocą dla nich losem, to

już nie jego wina, a samego przeznacze-

nia!

W każdym razie choć w ten

sposób należy oddać hołd jego zasługom

nad zachowaniem czy to dla Polski Indo-

wej czy też dla innych państw ich synów

przez przypomnienie jego szczególnych

dowodów czujności, zarówno w stosunku do

mie, jak i do innych, nie pomijając

zresztą w imię pracy historycznej-wypad-

ków, kiedy nie udało mu się odwrócić

przeznaczenia.

Rzecz prosta szachta była tym

żywym grobem, który pochłoniął najwięcej

ofiar. Już pierwszy dzień mojej w niej

pracy mógłby być dla mnie i ostatnim i

do dziś nie wiem, dlaczego właśnie tak

nie było. Mianowicie przy podnoszeniu

spadłego z szyn wózka dotknąłem głową

drutu od sieci elektrycznej. Według

wszelkich praw przyrody powinien wtedy

przekładę przede mnie prąd

o napięciu ca 300 wolt, gdyż rękoma trzy-

wałem się żelaznego wózka, a czapka, któ-

ra miałem na głowie, była mokra. Widocznie

nie było wtedy w sieci prądu-może zresz-

ta tylko nad tym prawym torem, dość, że wy-

szedłem wtedy cato.

Nie udało się to niestety in-

nym. Mieliśmy wśród siebie włocha, Germa-

nińskiego, dyrektora Magli w Poznaniu. Był

to bardzo porządny chłop, który na wspom-

nienie swej żony i dziecka zaczynał pra-

wać; poza tym był silny jak tur i zdrowy.

Pracował on jako odkatczyk na powierz-

chni i pewnego rodzaju próbował on za-

trzymać stacjonując się po pochłanym to-

rze wózki z węglem. W tym celu zapark się

nożami, by nie dopuścić do wpadnięcia wóz-

ka w bęben. Niestety przelicyzył się z si-

łami, gdyż nastąpiło wpełchnięcie go na sto-

jący już w bębnie, powodując zgniecenie

klarki pierwsowej i zgon po kilku godzi-

nach mgki.

Trochę lepiej od niego wyszedł

Górecki, który tak jak ja, miał pecha do-

stać kawatkiem węgla, niestety nie w ra-

mie a w twarz. Dr. Eliaszbierz, dobry chi-

tura, uratował mu wprawdzie życie, nie

mogł jednak wobec przytłumionych warunków

szpitalnych przywrócić zgniecionego u

nasady nosa do pierwotnego kształtu i

chłopak wrócił do kraju okropnie zeszpe-

cony, ale w każdym razie żywy...!

Najszty smutny wypadek dotknął

Steina, wcale porządne go. W. deszczu po-

przedniego wieczoru z nim rozmawiałem po

zajściu, jakie miał w jadaniu, gdzie był

podjeżdżany o kradzież chleba i został

zdaże się przez prozowskiego spolicz-

Komany. Współczuliśmy mu, gdyż żag naszej oceny podejrzenie było nieskuszone. Tym większe wrazenie wywarła na nas nazajutrz wiadomość, że został on szachnicie zatity prądem. Jak jednak póź- niej stwierdzono, powodem śmierci był pa- raliz serca, gdy wkasnie siedział w elek- trowozie obok kierowcy. Być może poprzed- nie zdarzenie było pośrednim powodem je- tym bezpośredni związek przyczynowy.

Do ważniejszych wypadków za- liczyć należy i pokaleczenie dwóch wka- sowców przy wybuchu w kopalni, przy czym jeden nawet utracił wzrok, a do drobniej- szych potrzebaskanie palcy czy chwiloWE zatrucie gazami przy wybuchach. Jednym słowem dzięki szachnic i lekarze mieli zajęcie.

Taka głupia dajna, gdzie w za- sadzie się nie pracowało, również nie ty- ka dla wszystkich bezpieczna. Mnie osobis- cie tylko raz się zdarzyło, że przy nie- sieniu w dwóch dość dużego drąga mój partner się poslizgnął i zrucił swój koniec na ziemię, wskutek czego i ja upad-łem akurat na kość ogonową, przytkoczony do tego ciężarem drzewa. W konskwenencji wskutek stłuczenia tego organu przez pa- rę dni ledwo mogłem chodzić. Natomiast w podobnej sytuacji Stefanski wskutek poslizgnięcia się ztamał nogę.

W Rezu było również kilka wy- padków w Lesie, z których najpoważniej- szym było ztamanie nogi opadającym drze- wem u Jakięgosz Lénika, nazwiska już nie pamiętam. Biedak przeleżał kilka miesie- cy w szpitalu, nie mogąc się ruszyć z ko- za, zmuszony do tego znosił tyjające plu-

skiew, niedźdzących się pod zmienianym jedynie co kilka tygodni opa- trunkiem gipsowym.

Do mym przybyciu do tego szpi- tała zastatkem już jednego węgria, przesła- z innego obozu, porażonego w nieznanym mi okolicznościach przez samochód. Trzes- kilka dni nie dawał on nam spoc swym stę- kaniem, a ponadto amród z gnijących ran zatrwał powletrze w całym szpitalu, że ledwo można było wytrzymać. Śmierć jego uwołnika go od myk, a nas od tej doleg- liwości.

W cętkowicie innych okolicz- nościach doszło do wypadku rumuna, zwia- dowcy kuchni w dajwie czy Rezu. Znany on był ze swego sadyzmu w stosunku do prze- bywających w karcu, nad którym wspólnie z Iwanowem niejednokrotnie się znegac. Kiedyś do dostarczeniu do obozu kilku zbiegłych Niemców w dwóch obli ich ze- łażnymi sztabami.

Otóż w pewną niedzielę dał on polecenie naprawienia hurtawki obozowej, hurtac, nie zwazając na ostrzeżenia ziom- ków względnie ich drwiny, a nawet rozpo- czął ostarowywać im w spadku to buty, to bluzę i t.p. W toku tego testowania w pew- nym momencie wyleciał z hurtawki i upadł z kilkumetrowej wysokości, odnosząc zta- manie czaszki i w rezultacie po kilku godzinach kipnął. Niektórzy widzieli w jego śmierci palec boży i stusznosc przy- stowia "czym wojujesz...". i Chciał innym kocić kamać-potamał sobie sami

Wypadek ten miał dla nas tę dobrą stronę, że Iwanow, starszy zony, prze- stał być od tego czasu najdemekiem i pra-

sosna upadła w jedną stronę o

jakie trzy kroki ode mnie tak, że jej ga-
łęzie o mało mnie nie drasnęły. Naturalnie
spuszczający zaczęli na mnie klnąć, że
tam poleżek, gdzie mnie nie widzieli, ja
zas na nich, że wbrew obowiązkom nie
krzyknęli, gdy drzewo miało padać. Widzia-
łem bowiem, że je spuszczałem, nie przypus-
załem jednak, że tak prędko je zwinę i
do tego w moją stronę. Znacząco, że w le-
wolecie zawsze o kilka kroków dalej
odejść od padającego drzewa, niż o jeden
centymetr stąd za tliśko!

Feralnym dla kilku okazał się

koniec października 1946, kiedy to z oka-

zji wysylenia nowej obsady dla Altonai

i Samocwitu naczelstwo postanowiło za-

opatrzyć się na dłuższy czas w drzewo i

kazako nam je znośić z odległości około

600 kilometrów mimo panującej zimy.

Wtedy to jeden z kamratów

przebiegł, a mój krzewczyk - jak już wspominałem

doznał wskutek upadku złamania obojczy-

ka i wstrząsu mózgu, z którego jednak się

wylizał /choć niektórzy już go usmierci-

li/ i prawdopodobnie z kazenia wrócił

jeszcze przed nami do kraju. Dopiero też

ten wypadek skłonił kierownictwo obozu

do dania nam spokoju.

Postawienie o krok od nieszczęs-

liwego wypadku byłym na dworcu węglowym

w Samocwicie, jednak mój szczepiwy wia-

nie dzień-moje imię - uchronił mnie

od ztego. Starem bowiem o krok od ofiar

przyspywania miarą węglowym z opadającej

ściany hałdy i nawet kilka kilo miarą

upadło mi na nogi. A zdaje się parę se-

kund wczesniej albo starem tuż przy nich,

albo też miarą zamiatar do nich podjeżdżał

wie nie było go w Lagrze sły-

chać.

Szczęśliwie skończyła się dla

mnie przyrównowa kąpieli w Rezu. Akurat na

1. maja ściągnięto nas z roboty celem

bronienia tamy na rzecę, której wezbrane

wody groziły zalaniem fabryki. W tym ce-

lu musieliśmy nosić kamienie i umacniać

nimi podmywaną tamę. Za partnera wziąłem

sobie Szawczenkę do nosideł. Kiedyśmy po

raz drugi nadeszli z kilkoma kłazami nad

wyrwę, ja w przodzie, on w tyle, tak jak

poprzednim razem przechyliłem w prawą

stronę, by zrzucić kamienie w dół. Nieste-

ty mój "naparnik" zaniebdał mnie ostrzec,

że właśnie z tej strony nosiki mają

deskę, to też kamienie zamiaszt swobodnie

zsunąć się w dół, oparty się o nią i prze-

ważki nosiki, trzymane przeze mnie. W

rezultacie przekoziokowalem się i sto-

czyłem się po skarpie w dół ku pionię-

cej się wodzie. Na szczęście zsuwalem się

nogami tak, że zaurzyłem jedynie stopy

w wodzie i zaraz mnie wyciągnęli. Miarem

tylko przytomności, że puściłem nosiki,

by nie wciągnąć za sobą partnera, choć

zdawałem sobie sprawę z tego, że pozba-

wiam się tym samym punktu oparcia. W re-

Skonczyło się na zamknięciu kufców, to

też nie omieszkałem wykorzystać tej sy-

tuacji i pod pozorem ich suszenia godzi-

nie sobie odpocząłem. Gdybym nawet wpadł

wtedy cały do wody, w tym miejscu śiębo-

kiej, to i tak jakos bym się wykaraskał.

Również miarą szczęście raz

w Lesie. Poszedłem akurat na bok "praw-

lic się", wybierając na to miejsce do-
nie, gdy rozległ się krzyk drwali i jedna
ustronne. Właśnie watarem, by zapisać spod-

odrazu na rozstrelu, mimo to jednak jeszcze parę razy byłem blisko podobnego upadku. Nie tylko zresztą w piecach groziko mi niebezpieczeństwo. Na samą "strece" również nie można było czuć się bezpiecznym: gdy bowiem patrzek pod nogi-groziko mi uderzenie głową o pułap; gdy podnośtem głowę-potykałem się o deski. Jakos jednak udawało mi się uniknąć zarówna Scylli, jak i Charibdy! Podobnie zresztą mimo prymitywności tamtejszych warunków i innym udawało się uniknąć poważniejszych wypadków w samej szachcie. Poza nią jednak śmierć zdokąka kilku z nas osiągnęła. Tu należy wymienić wspomnianą już przyspanie miśkiem dwóch niemców na stacji. Ludowaliśmy wówczas węgiew na wagon z usypanej jeszcze latek pionowa ścian na się osunęła, przysypując, zresztą niezapamiętane dwóch niemców i jednego serba. Wyciągnęliśmy ich zaraz, jednak wyciągnięto to przydużenie, by po kilku dniach pierwał dwa na skutek wewnątrz obrażeni zmarli. Serbowi przyspano tylko nozę, lecz więcej skomlat, niż tamci i przez kilka dni markierował wielkie bóle, choć żadnych uszkodzeń nie doznał. Innych wypadków śmiertelnych przy pracy nie było w tym ostatnim obózcie, a jedynie z powodu choroby. Grozika ona jednak i poza pracą, o czym mógł się przekonać chociaż na własnej skórze. Mianowicie kiedyś zjadł on kilka zimnych pieczonych kartofli i po kilku godzinach dostał takich boleści, że już myślał, iż pozostanie z życiem. Jak później lekarz po daniu

A no tak: co ma wisieć....!
Gdy dostałem się w Samowiecie do szachty, z początku jakos, gdy byłem "perekitczykiem" w 16 czy 18-ym "piecu" jakos niebezpieczeństwo żadne mi nie groziło, zaczęło się ono dopiero wtedy, gdy przerucano mnie z IV szachty na V i z jednego pieca do drugiego. Najgorzej było w 10-ym piecu na drugiej przysięce. Już sama droga do niego wymagała wielkiej ostrożności, gdyż tylko częściowo prowadzili do niego drabiny i do tego tak głupio rozmieszczono, że nie można było na nie natrafić. W pewnym miejscu się one urwały i trzeba było pójść się po "nastrelach", osadzonych w nierównych wysokości, to też jedynie przy lampce droga była możliwa. Kiedyś jednak w czasie takiej wędrowki światło mi zgasło i w pewnym momencie zawisłem na ramionach, nie mogąc domacać się nogą nastrela, nie mogąc zapakki i przy ich świetle mogłem się rozjeździć w sytuacji i z niej wybrnąć. W tej samej przysięce groziko jeszcze dalsze niebezpieczeństwo. Odczł przed piecem ganek nagle się urwał wskutek oberwania się jego części przy krwawdzi pieca. Kiedyś po raz pierwszy wszedł za mój przewodnikiem w pewnym momencie ziemia jakby mi się usunęła spod nog i upadłem, przy czym lampka również mi zgasła. Zdażyłem się jakos uchwycić "rozstrela" i tylko dzięki temu, jak się mogłem po zapaleniu lampki przekonać, nie stoczyłem się w piec, głębokimi dobytek kilkanaście metrów. Później już wiedziałem, gdzie trzeba zrobić duży krok, by stanąć

mu zastrzyku powiedział, kil-
kanaście minut później nie dotoby się
go już uratować. Przyczyną tego zatrucia
była solanina, znajdująca się w surówkach
kartoflach. Jako jego najbliższy sąsiad
trochę się tym wypadkiem przejąłem i
ucieszyłem się bardzo, gdy następnego
dnia już wrócił na nasze legowisko.
Innego rodzaju "wypadkowi" uległ
jeden ruman. Odtąd gdzieś latem tak mu się
sprzykrzyła niewola, że zwiat z obozu. Na-
turalnie garnizon został puszczony w je-
go ślady. Upłynęło jednak kilkanaście
dni, nim wreszcie dostarczono go z powro-
tem do obozu na samkach, naturalnie nie-
żywego. Jak mi później dr. Glage mówił,
miał on kilkanaście kul w plecach!
Nie sposób wyliczyć na tych
paru stronach wszystkich niebezpieczeństw,
na jakie byliśmy narazeni głównie na sku-
tek nieodpowiednich warunków pracy. Nie-
wątpliwie część wypadków spowodowana by-
ła pewną winą poszkodowanych, jednak od-
powiednia organizacja pracy wielu urato-
wałaby od śmierci czy kalectwa. Na to się
jednak nie zważało: tanie było życie, niż
jakieś urządzenie ochronne czy lepage
oświetlenie!

Zostawcie pokurcie, towariszczu!

"Tabak, machorka, kryszka..."

oto potoczna nazwa rzeczy, będącej w obo-
zie, obok jedzenia, najważniejszym proble-
mem dla większości, a nawet można powie-
dzieć dla wszystkich. Nie liczn! bowiem nie-
palące z taką samą niecierpliwością cze-
kali na przydział tego produktu, jak i po-
zostali. Dla nich bowiem było to źródło
wcale pokazywanych przychodów, umożliwiają-
cych poprawę losu drogą wymiany. Dla pa-
laczy namiętnych tyton był jednym z gwoź-
dzi do trumny nie tylko w przenośnym, ale
i w dosłownym tego słowa znaczeniu, można
powiedzieć zagadnienie grobowe. Nie mam
tu na myśli bezpośrednich szkodziwych
skutków tego nalogu, bo te nie dawały się
nam we znaki- mimo dystroficznych naszych
organizmów- z uwagi na nikły zakres zaspo-
kojenia, a skutki, jakie ta namiętność po-
ciągała za sobą pośrednio, poprzez koniecz-
ność odejmania sobie pokarmu od ust.

Tak, kto chciał mieć w ustach
papierosa, musiał odmówić sobie chleba
i odwrotnie, kto chciał jeść, ten nie mógł
palić- do tego sprowadzało się całe za-
gadnienie. Trudno było średniemu palaczo-
wi utrzymać złoty gródek i ograniczyć
się do palenia wyjącznie tasunku, gdyż
nie wystarczał on na okres przydziałowy.
Jeśli jeszcze ktoś miał silny charakter,
to wychodził zwycięsko z tego dylematu;
przy skąbszym- musiał się uciekać do wię-
cej lub mniej niemoralnych sposobów uzu-
pełniania braków: od ponżenia się przez
zebranie poprzez sprawianie różnych arty-

sz do kradzieży.
kufów żywnościowych i innych

A jeśli się zważy, że atmosfera obozowa, a przede wszystkim gład, przy którym palenie było rzekomo znakomitym stymulantem, wymagający ustawicznego używania tego narkotyku - nie trudno jest powiedzieć, jakie niekiedy smutne następstwa pojawiają za sobą ten nałóg.

Dla mnie zagadnienie to było mniej ważne, może dla tego, że apetyt mało jedenie miałem zawsze większy od chęci palenia. Z tego też względu nie wiele miałem w całym okresie wypadków "zamaichów samobójczych" w postaci sprzedazy chleba dla zdobycia tytoniu. Gdyby zliczyć wszystkie me transakcje tym "darem bożym" to nie wiem, czy zebrałoby się 4 kilo chleba, z których żądałbym musiał zrezygnować przez cały okres. Coż to jest w porównaniu np. do tej, jaką sprzedał Szawcenko czy Lebiada, którzy prawie co dzień obywali się 200 gramami chleba, bo resztę sprzedawali na machorkę! Jeśli nawet kiedy zjedli trochę więcej, to chyba tylko wtedy, gdy nie znaleźli refleksantów.

Kwestia tytoniowa stała się dla mnie aktualna już z chwilą mego zatrzymania, kiedy to poprzedni zapas tytoniu już się wyczerpał i miałem nie więcej, jak na dwa skrzypki. Stąd też zabrawałem dotknęto. W znacznym stopniu pokoleniu pod tym względem był Ignaczewski, któremu udało się zabrać przeszło kilo samorodki i on znakomicie mnie wspomógł, korzystając z mego bibułki, kłosa i gar, miałem przeszło dwie kładzeczki.

Nimo wyrzucenia przy rewizji - resztę zupełnie nieporzobnie - paręci z danej mi części, przez kilka dni w Przysięku miałem jeszcze dość palenia i to mimo konieczności dzielenia się z tymi, którzy byli w gorzej od nas sytuacji. Przypominam sobie, jak jakiś "Polak" miasta Łodzi "prosząc mnie o jednego pierosa zaklinał się na wszystko, że nie stępnęgo dnia mi odda: "Stowo honoru nie nu daje, przecież ja jestem Polaki!" Nie bardzo mnie ten argument przekonał, to też za drugim razem mu już odmówiłem, nie spotykając się zresztą z jakkolwiek urazą z jego strony.

Przez okres spędzonych tam tygodni tylko jeden raz wytasowaliśmy po parę listków tytoniu, które w czasie dłużej drogi między magazynem, a przekaźnikami nam jeszcze bardziej zmalały, w każdym razie kilka papierosów z tego było. Kiedy znaleźliśmy się w wesołonie, wszelkie możliwości palenia się zakończyły i to właśnie wtedy, kiedy najbardziej trzeba nam było podnieść w postaci tytoniu. Dzięki zresztą temu, że nie miałem palik, łatwiej było nam wytrzymać, bo nie było pokusa. Najbardziej bowiem chciało się palić wtedy, gdy widziało się jakiegoś szczerliwca, zachęcającego się rozkosznym dymkiem. Ja mogłem się do nich zaliczyć po sprawieniu wiecznego pióra Cichockiego: dzięki niemu przez parę dni mogliśmy się zachęcać dymem z zachowanym przez Ignaczewskiego fajki, nie mając o nicu. Kiedy i ta niewielka zdobycz rozpięta się w powietrzu, znowu nastąpił dni chude; próba bowiem zastąpienia tyto-

nie namiaszkę w postaci ornu-
chów sucharów spęta już po kilku po-
ciągnięciach na panewce!
Dopiero po przybyciu do Kos-
pasza tj. ostatniego marca mogliśmy się
znowu zaciągnąć, gdyż w opuszczonych do-
piero co przez starą zakogę barakach
znaleźliśmy dużo "sztumli", z których pow-
stało kilka papierosów, a po paru dniach
dostaliśmy przydział aż 50 gr machorki.
Wtedy już można palić bez ograniczenia,
licząc się z tym, że najwyższej parę dni
będę musiał posić, bo z początkiem na-
stępnej dekady nowym rasunkiem wypełnię
dziurę. Nieestety przeliczyliśmy się co
do siatkości przydziału, gdyż jeszcze zda-
je się raz tylko dostaliśmy po 25 gra-
mów, poczym nastąpiła kilkumiesięczna przer-
wa, kiedy to byliśmy zdani na przemysł-
ność własną i siły. Wówczas też po raz
pierwszy spotkałem się z alternatywą:
jeść albo palić. Wolałem rzeczą prostą,
jak już wspominałem, to pierwsze i w re-
zultacie zostałem skazany na okres dłu-
giego postu. Coprawda od czasu do czasu
dawał ktoś "pokuric", lecz to zobowiązywa-
ło do rewanzu, na który mnie nie było
stać.

A machorka była wtedy nadszy-
czaj droga, gdyż "stakan" tj. szklanka kosz-
towała wtedy 30-40 rubli, a 200 gramów
chleba 5 rubli, co odpowiadało wartości
kylki machorki, zawierającej 6-7 skretów.
Wytworzyły się też wtedy specjalne mia-
ry do tego towaru. Z braku szklanek hand-
larze porobili sobie z puszek od konserw
odpowiednie miarki półstakanowe, skrupce
zarazem za tabakerki. Zwykle taki podred-
nik miał dwa takie pudełka: na jedno, pra-

widkowe albo nawet wiskaze, ku-
powak, zaś na mniejsze sprzedawak, narabi-
jąc podwójnie: raz na cenie, obejmującej
zwykle 25% zysku, a drugi raz na towarze.
Nie pamiętam już, jakie miary
dawano w Kospaszu; jeśli natomiast chodzi
o dwa ostatnie obozy, to jako widz rozmai-
tych transakcji, a nieraz i ich uczestnik
mogę stwierdzić, że sprzedawcy, rekrutu-
cy się z ludności, naogół dawali dobre
miary - szklanke z czubem, odpowiadającą
prawie 2,5 miarki półstakanowej.
Drugą miarę, używaną zresztą
tylko w Kospaszu, była łyżka, której po-
jemność - w zależności od sumienności
sprzedawcy - wynosiła 5-7 malkich skretów.
Decydował przy tym większy lub mniejszy
czubek i wielkość łyżki. Mniejszych miar
w zasadzie już nie używano; jedynie w
Rezu jakie paskarz, niemiec, zrobił sobie
wcale przemysłną i zgrabną miarkę na jed-
nego skreta, cięższą się wielkim powdze-
niem zwłaszcza wśród chorych.
Kiedyś w szpitalu interpeło-
wali lekarza o powód niewydawania nam ty-
toniu, okazało się, że dla tego nie dosta-
jemy, że sprzedajemy chleb za machorkę, a
poleci nam go wydać, gdy te transakcje
ustaną. Idiota! - albo nie chciał zdyskre-
dytować swej ojczyzny, że nie może się
zdobyc na te odrobiny tytoniu, albo też
logika rozsądka ma swe własne, proleta-
riackie prawda, nie rozróżniające przy-
czyny od skutku. Przecież jasne, że trans-
akcje chlebem ty ustakły, a przynajmniej
znaczenie się zmniejszły, gdyż wydawano
przyskrupujący nam tytoni!

Pod sam koniec mego pobytu w
kospaskim szpitalu usmiechnęło mi się

szczególne w postaci 1,5 staka-
na wzamian za opisana już sprzedaz dzien-
nej koszuli. Pozostaly staka-po zaplaceniu
Voglowi za doprowadzenie jej do stanu uzy-
walnosci-starczyk mi jeszcze na pare dni
pracy w szachcie.

Pannujace w niej warunki-czeke-
nie na wozki czy wegiel-jeszcze bardziej
wzmagaly zgdze palenia,ktorej nie bylo
czym zaspokod. Pewne wyjscie z impasu
mozliwe bylo jedynie dziki temu,ze na
ogol brak szachtorstwa jakos katwicj mog-

ra nabyt machorkę, to tez bardziej skora
była do udzielenia"dynka". Kiedy już bo-
wiem widok innych zaciągających się złył
czkowiakowi dokuczal, moznu było poprosic
o pozostawienie końca, zwanego dymkiem i
bardzo rzadko spotykako się z odmową.

Manie jakos trudno bylo pogo-
dac się z takim zbractwem i rzadko się
do niego posuwalem i to zwykle już wtedy,
gdz godz rzucik niedopakęk, będgacy zresztą
najwyzej resztą papieru bez zadbka ma-
chorki. Nie mialem takich skrupulów jedy-
nie przy dobrych znajomych,którym przy-
najbliższej sposobnosci się rewanżowalem.

Zamiast postugiwac się sakra-
metalnym"zostawcie poczgnac" wolałem
już zblieranie"sztumli".Sposobnosć do te-
go nadarzaka się wzaszca w czasie mej
pracy jako okatczyka na powierzcchni.
Gradzianscy czy konwoje nie byli tak
oszczedni,jak internowani, to tez ich nie-
dopakki zawieraky nieraz wcale pokazna
ilosci machorki, to tez mimo konkurencji
udawako mi się czasem uzbierac pare skre-
tow.Zdgajac sobie sprawe z nieobzysajnos-
ci takiego postępowania,staralem się to
robieć mozliwie niepostrzezenie,mimo to

Jednak moje poszukiwania nie
pozostaly niezauwazone-przede wszystkim
przez konkurentówi-.Dowodem tego byly kie-
dys wypowiedziane kiedyś przez Bogusław-
skiego w mej obecnosci i zdaje się pod-
moim adresem słowa:"Przecciez nawet nie-
ktory panowie z inteligencji nie mogli
się powatrzymac od zblierana niedopakówi"
Zatwo mu bylo nie idc ich sladem,gdz
dziki swym machlojkom miak zawsze pod-
krochakiem palenia!

Sytuacja na rynku tytoniowym
poprawila się po przybydnie wlasowców,wi-
jacych duzo tego towaru.Wtedy tez szora-
starem z korzystnej certy i za 300 gr
chleba dostalem prawie stakm machorki,
co znacnie przewyzzako obowiazujacy pa-
rytet.Fo kilku dniach jednak znowu nastę-
pik kryzys,z ktorego wybawiko mnie otrzy-
manie mej pierwszej-i zarazem ostatniejli-
wyplaty za prace.

Wynosiła ona aż 23 ruble,ktę-
re zresztą dostalem na dwie raty,gdz po-
trgali mi z niej nieslusznie 10 rubli za
jakęs drogę,na ktorej nie pracowalem i
dopiero na skutek mej reklamacji po kilku
dniach otrzykamem reszte.Gdybymodrazu do-
stal tak duza /1/ kwote, to mógłbym odna-
zu hurtem zakupic jakie 3/4 stakana za-
miast poszczegolne lzyki,na ktore zuzy-
kalem obie raty,bo co innego mialem z nimi
zrolit?

Po tym powrocie do szpitala
Sytuacja moja nieco się poprawila dziki
Graszewskiemu,przetrywajacemu tam na zaka-
zenie krwi.Dziki swem sprytnowi kupieckie-
mu & zlodziejstkiemu pozostal on stosunko-
wo duzy zepas machorki,ktora noczqtkowo
się ze mną dzielil.Kiedy jednak po kilku

niecie!"-pocieszali nas i w rezultacie dostaliśmy ligę. Przecież i oni chcieli palici!

Zupełnie inaczej było pod tym względem w Rezu. Tu od samego początku re-gularnie faszaliśmy tytoni i to pierwszo-rzędny, bo po jakichś 24 rubli za 100 czy 200 gramów, choć na nasz gust trochę za słaby. Nadawaliśmy się on do naszego nor-malnego życia, po dobrym obiedzie i w wy-godnym hotelu. W naszych warunkach, wymaga-jących raczej "siekierzy", wydawanie go by-ło właściwie rzucaniem perł wśród wiew-ry. Może tym też kierowało się kierowni-ctwo, redukując początkową porcję deka-dową z 50 gr do 33-35 gramów według swe-go widzimiesia.

Jego dobre wydatki się szerególnie przy użyciu faszowanej po-czątkowo cienkiej tibiutki; stosowany przy jej braku zwykły papier gazetowy psuł aromat. A od lata sytuacja na odcińku "bu-mazkowym" niewiadomo z jakich powodów stała się wprost katastrofalna, gdyż w ogóle przestali nam wydawać papier i mu-stawiliśmy go zdobywać różnymi sposobami. Kwestia zresztą bumazek wyma-ga oddzielnego omówienia. Przypominam so-bie, jak kiedyś jeszcze w domu z braku tibiutki próbowałem ją zastąpić gazetą i o mato się nie udusiłem buchającym z niej gryzącym dymem palącego się pro-mieniem papieru. Dopiero w Hosji przeko-nakam się, że tam innego papieru jak ga-zetowego wogóle do palenia tytoniu się nie stosuje, a nawet, że papiers z machor-ki właśnie najłpiej smakuje w gazecie. Widocznie papier w niej jest inny, ani-żeli u nas, bo ani nie pali się, promie-

Jednak po kilku dniach mu się on wyczerpał, dąb mi niedwuznacznie do zrozumienia, że powinienem mu się teraz zrewanżować, to też chcąc nie chcąc musiałem spuścić 300 gr chleba i w ten sposób swój drugi względem niego wyrodnąłem.

W następnym obozie-dajwie-pa-nowała również bryndza, to też musiałem znów kilka razy chleba sprzedać względ-znie wymienieć, by móc trochę zaspokoić mą namiętność względnie zrewanżować się wspierającemu mnie dość szczerze malarzowi Skrybani /czy jak się on nazywał/, Znajdował się on w lepszej sytuacji niż-ki swym bohórazom koksikim, malowanym sa-dzą, cegłą i wapnem dla naczałstwa, które niekiedy poczuwają się do wyplacania mu zęte arcydzieła paru szczytami tytoniu.

Użytkownikami w drodze do Kruti-chy dobrymi trzema sakanami tytoniu dzieliłem się przez kilka dni z tym ówczesnym towarzyszem, VD o zapomnianym już nazwisku do chwili, gdy uznałem za stosowne wstrzymanie mu kredytu z uwagi na zbyt szybkie topnienie mego zapasu. Dopiero wtedy poczuł się on do obowiązku rewanżu i muszę przyznać, że uczciwie zwrócił mi pożyczone mu skrefły.

Dopiero w Kostoluchowej wyda-wało się, że państwo przypomniało sobie o swym obowiązku przydziałania nam tyto-ryzujących z tego, że nas przenoszą do Re-żu, naczałstwo uznało za stosowne wydać po 50 gr tytoniu jedynie chorym ze szpi-tala, nas zaś jedynie pocieszono obietni-cą wydania. Nie pomogło zwracanie się do obcych oficerów: "Jak się należy-dosta-

Była to już ilość, która przy
odrobinie oszczędności pozwałała o "kon-
ski zqb" związać koniec z koncem. Reszta
można było sobie jakoś skombinować. W
tym pod koniec grudnia i w początkach
stycznia pomogły mi wyprawy kartoflowe
Maciągi, które przyniosły nam nie tylko
"kartoszki", ale i "dienty".
Jeeszcze do wiosny były pewne
przerwy w dostawie tytoniu, od tego cza-
su już dostawaliśmy go regularnie. Gdy
też był w OK, miałem w pewnym okresie aż
6 paczek, bo do lasunku dokupiłem jeszcze
trzy, korzystając ze spadku ceny paczki
do 2 rubli, spowodowanej zarówno dużą
podażą, jak i słabością jej zawartości.
Przechowywałem je w szafce
jednego chorego i kiedyś raz sięgnął po
przedostatnią, stwierdziłem, że zawiera
ona trochę zamiast machorki. Podjrzy-
wałem o autorstwo tej zamiany Ziomka,
ordynarnego chama, który właśnie leżał
przy tej szafce, nie schwytywszy go jed-
nak na gorącym uczynku, tylko bezradny.
Kiedyś po wyleczeniu znalazł
się znowu w szafce, bardzo mi się za-
oszczędzone ruble przydały, zwłaszcza,
że na dole znaczną wicęją się palito
choćby dla tego, że ogień w lampce był
zawsze pod ręką, a nie potrzebna było do-
pięro czekać na okazję. Aż ktoś zapalił.
Poza tym na dole człowiek zawsze czuł
się raznie, widząc ogień papierosa.
Nie zwracało się przy tym uwagi na jego
wygląd, od którego postrojeniu obserwowa-
torowi mogłoby się zrobić niedobrze:
skrzęcony czarnymi od węgla kępami w at-
brudnym jak on papierze i palony w at-
mosterze takiej, że lampka gasła! Na to

niem, ani go zupełnie nie czuc.
I właśnie mówiąc gazeta tu
nie stuzyka, przynajmniej w naszym warun-
kach, do właściwego swego celu tj. do czy-
tania, a wyłącznie do palenia w niej ty-
toniu. Trzeba je jednak było kupować,
to było równoznaczne ze sprzedażą chle-
ba. Wobec tego brako się jakikolwiek pa-
pier: czy to opakunkowy, czy znalezione
po drodze koperty czy nawet tekturę, któ-
rą rwało się na cienkie płatki i musiała
ona spełnić swe zadanie.
Jak wyglądały nasze pluca po
takim papierze, lepiej nie myśleć!
Sprzedawcy gazet robili zresz-
tą doskonałe interesy, kupując je od rus-
kich za 3-4 rubli, a sprzedając ewitarkę
po rublu, tj. z przeszko 100% zyskiem. Do
tych kupna uciekałem się do ich kupna
tylko wtedy, gdy miałem pieniądze, a wszy-
stkie inne środki zawiodły. Później wspo-
magał mi w dużej mierze czy to Smolik,
czy też w jeszcze większym stopniu Sen-
ko, który zupełnie uwolnił mnie od zmart-
Lecz wracam do zasadniczego
tematu. Jak już wspominałem, że był pierw-
szym obozem, w którym sprawa tytoniu by-
ła że tak powiem, urzędowo uregulowana.
Nie było zresztą w tym - jak przynuszcza-
zasługi widać, a propositu wynikiem popra-
wy kontury, możliwiającej dostarcze-
nie tytoniu i nam internowanym.
Za słusnością tego przypusz-
czenia przemawia i fakt, że nawet w Samo-
cwiecie, gdzie naczaństwo robiło co mog-
ło, by dawać nam jak najmniej, dostawali-
śmy jednak tytoni i to w wyższej normie,
bo 50 gr tytoniu lub 150 gr machorki!

lową tulejkę. Przynajd ten, na-
zwany "katusz" doskonale pełni swe za-
danie, zwłaszcza w rękach fachowca. Był on
w Rezu bardzo rozpowszechniony i prawie
co 2-3 palacz się nim posługiwał. W nas-
tępnych obozach nie był on już tak popu-
larny ze względu na większe udostępnie-
nie zapatek.

Już mniej praktyczną odmianą
tej katuszy było pudełko blaszane ze
spalonym płótnem, żarzącym się pod wkły-
wem iskier, padających z krzesiwa, które
jeszcze w wagonie zastępowano kamyszkim
od zapalniczek względnie szkłem lub zy-
leką.

Na marginesie zapatek trzeba
wspomnieć, że naogół sprzedawaliśmy je
jako zbędne, a do tego popłatne, gdyż za
pudełko dostawo się 3 ruble względnie
stekan machorki. Trzemysłni zdobywali się
przy tym na takie sposoby, jak wktadanie
na dno pudełka kawałka drzewa wzgl. pa-
pieru, a na to cienkiej warstwy zapatek
tak, że zamiast normalnych 45-50 sztuk
było ich tylko kilkanaście. Kupujący w
pospoliczku zwykle nie sprawdził zawarto-
ci, dzięki czemu niejedni dwolili, a nawet
troili swe zyski. Podobnych zreszt macho-
lojek dopuszczano się i sprzedający mydła,
dodając przy jego przetwarzaniu żywicę
lub gliny albo też wktadano do środka
formy jakiś twarpy przedmiot. W ten spo-
sób psuto nam zarówno reputację, jak i
koniunkturę!

Opócz wspomnianego już nabie-
rania przy handlu tytoniem na miarę, nie
cofano się przed dodawaniem do niego
drobno pociętych garzątek bzu lub innych
roslin, podobnych z wyglądu do machorki,

jednak już nie zwracano się
wagi, byle tylko skrócić jakos czas do
zmiany!

Bumazkę też musieliśmy tam sa-
mi organizować, gdyż dopiero pod koniec
pojawiła się "kazonna", zresztą taka gru-
ba, jak zwykły papier. Za to kilka razy
dali nam po pół pudełka zapatek, co nam
się bardzo przydało, gdyż umożliwiało nam
bardziej europejskie sposoby zapalania
papierosów.

W ogólne sposoby uzyskiwania
ognia były bardzo różnorodne. Nie mówię
tu o szachcie czy zimie, bo wtedy łatwo
było sięgnąć po ogień do lampki czy pie-
ca. Na robocie jednak skazani jednak by-
liśmy niejednokrotnie na dłuże oczeki-
wanie, aż któryś z przechodzących ruskich
da nam "prykuric" względnie któryś z za-
możniejszych kolegów zdecyduje się ze-
paść zaparkę. Normalnie jednak pracowało
nas tyłu, że prawie zawsze ktoś palił i
można było od niego wziąć ogień. W gor-
szym położeniu byliśmy w Rezu, gdzie za-
patek nie było, a i przechodnie zdarzali
się rzadziej. Był jednak "modus in rebus"
i zawsze znajdował się magik, umiejący
wykrzesać ogień.

Początkowo posługiwano się
sposobem wprawdzie prymitywnym, ale sku-
tecznym. Ołóż wyciągano z tufałki kawałek
waty, zwijano go w watek, ktadziono między
dwie deski, które szybko przesuwno wo-
bec siebie i po chwili już wata się tli-
ła. Później posługiwano się bardziej udo-
skonalonymi metodami, należącymi już do
ery zelaznej, a nie kamiennej. Mianowicie
stosowano zwykłe krzesiwo, przy którym
rolę hubki pełnił knot, wsmięty w mete-

sai "Naturalnie rozemielony
 się przy tym objął.
 Muszę tu dodać, że objł tenże
 byli naogół mało oszczędni, to też ich
 niedopatków stanowiąłi co najmniej 1/3 na-
 szych papierosów. Z początku, oprócz tego
 przy robieniu porządków ich popielniczek
 jednak czasie przyszedł do przekonania,
 że jest to marnowanie darów nietylko i że
 czątkiem zbierać te sztamle, co dawano mi
 co noc od 2-3 dużych papierosów.
 Kiedy już było wiadomym, że
 niedługo mamy jechać do domu, zaczęli
 być zapasy machorki, do czego znakomicie
 pomogła mi przyniesiona do zony rzecz. W
 rezultacie też w chwili wyjazdu miałem
 pełen woreczek tytoniu i machorki, razem
 jakies cztery stakany, co-jak sobie odli-
 czyłem-poniemo mi wystarczyć na drogę.
 Trochę się przeliczyłem i chyba nie cał-
 kiem nieoczekiwany dodatkowy lasunek w
 drodze, byłbym zmuszony jessze przed ce-
 lem podróży posić. Tych 50 gr jednak ma-
 towało mnie z impasu i jessze w przed-
 ciu przez parę dni miałem co palić. Naj-
 post zresztą nie trwał zbyt długo, gdyż
 po ponownym zaopiekowaniu nas do wagonów
 dano nam jessze ca 5 gr liczi, które w
 niżej Podlaskiej zastąpiły otrzymane z
 paczce unrowskiej amerykańskie papiero-
 sy. Wtedy to dopiero była rozkosz zapalić
 sobie i to na pełny zółdęki
 Również i pierwsze polskie pa-
 pierosy nadwyczał mi smakowały, choć z
 początku trudno mi było przyzwyczaić się
 do ich ceny, wynoszącej 3-5 zł. Dopiero
 gdy przestalem myśleć kategoriami przed-
 wojennymi, i z tą ceną się pogodziłem.

co dawano się stwierdzić do-
 piero przy paleniu.
 Gatunki tytoniu były rozmaite:
 od słabej, której zresztą sprzedający nie-
 dy tak nie określił, by nie odstępować
 klientów, poprzez średnią aż do "skąpcy",
 naprawdę trudnej do palenia. W przeświet-
 stwie zresztą do naszej samordki-urals-
 ske bynajmniej nie smierdziała, a nikto-
 ra miała naprawdę aromatyczny zapach,
 choć mało w niej było liczi, a przeważnie
 pokrojone kodyki.
 Kiedy latem 1947 r. cena "krusz-
 ki" ustaliła się na trzy ruble, mołem
 sobie już częścię pozwolić na jej naby-
 cie, gdyż dzięki Sence za ewentualnie
 sprzedany chleb miałem wyrownanie w tor-
 mie zupy. On sam zresztą w chwilach kry-
 zysu bardzo często pomagał mi swoim ty-
 toniem, tym więcej, że prawie nie palił.
 Z uwagi na bliższe nasze stosunki nie
 krępowałem się go prosić w potrzebie.
 Również i dr. Glage niejednokrotnie poma-
 gał mi w miarę swoich możliwości. Rzecz-
 prosta w okresie "prosperity" odważem-
 niakem im się swoim zapasem, choć nie wy-
 równało to moim względem nich zobowią-
 zani z tego tytułu.
 Przypominam sobie, jak to kie-
 dyś późną nocą w czasie mego dyżuru w
 szpitalu podszedł do mnie Glage z nie-
 śmiałą prośbą /było to w początkach na-
 sazej znajomości/ o jednego skręta. Nie
 mając wtedy ani jednego zdzba, musiałem
 mu odmówić. Po chwili wrócił do mnie po-
 ogień i z uśmiechem: "Dzisiaj zrobikem
 coś, czego nie zrobikem już od studenc-
 kich czasów, mianowicie zebrałem tytoni-
 z niedopaków i zrobikem sobie papiero-

ładnie rzeźbione. W ich wyrobie celował wioch Bosko, który zrolił dla siebie zaopatrył w wyraz swych pragnień "Vieni ore solare!" - "nadejść stonieczna chwilo!" - co się w końcu i dla niego spek- niko!

Mnie na to nie było stać, to też musiałem się zadawać zwykłym pudeł- kiem z puszeki od konserw, które zresztą doskonale spełniało swe zadanie.

I tyle byłoby słów odołanie tej kwestii. Warto jedynie dodać, że gdy wkrotce po mym powrocie mama wyciągnęła z ukrycia chowane dla mnie pudełko z pol- ską samoródką, po zapaleniu jej żdziwilem się sam, jak można było także. W istwo pa- lić. Tak mi się już wtedy gust pod wpy- wem polskich papierosów ówczesnych, nie- wiem czy lepszych od przedwojennych, zmie- nił! No tak, na bezrybiu i rak rybą!

Za wczesnie jednak dotarłem do terazniejszości, bo nie wspominałem jeszcze o związanych ściśle z paleniem "fikach" czyli ustnikach.

Względny ekonomiczne nakazywa- ky wykorzystywać najmniejsze ilości ty- toniu, co umożliwiałą właśnie ustniki. Poza tym papierosy jakoś lepiej w nich smakowały, a przynajmniej tak mi się wy- jawiało, to też zawsze starałem się mieć jakiś ustnik. Siłą rzeczy i pod tym wzglę- dem musiałem się ograniczać czy to do znalezionych, co nie było trudno, czy

też do darowanych, którymi były oczywiście- cie te najprzyjemniejsze, wycięte z ka- warka gatęzi, tracone tak samo łatwo, jak się je zdobyło. Jedynie we wrześniu 47 otrzymałem w drodze podarunku od jednej "prtomaszczy" na II szachcie ustnik me- talowy, zrobiony z rurki od szachioruki i gwinki mosiężnej. Bardzo go polubiłem, gdyż był higieniczny i nie zanieczysz- czął się niedopalkami, niestety jednak. I on podzielił los swych poprzedników. Zgubiłem go bowiem na stacji w Wierd- kowsku i wskutek tego nie udało mi się nawet tej drobnej pamiątki dowieść do

domu. Imi natomiast posiadali na- prawdę bardzo ładne ustniki, zrobione z różnometalowych krążków z odpowiedni- mi monogramami. Pochodziły one przeważ- nie z Nagórnej i ceni ich w ostatnim czasie dochodziła do kilkumastu rubli, to też były dla mnie nieosiągalne. Również przedmiotem handlu by- ły srebrne pudełka na mechorkę czy to z aluminiowej blachy, czy też z drzewa,

Pierwszą mi znajomością i to
 na, był wspomniany Tenczewski, znajdujący
 mnie przez denka. Wprowadził w przyrządku
 przyłączył się do nas chemik Cichocki,
 jednak jego zgon już w pierwszych dniach
 jazdy na wschód ostateczną nas obu. Pozo-
 stałych kilku Polaków z naszego wagonu
 trzymało się na drugim jego końcu i
 prawie zupełnie z nimi nie rozmawiali-
 śmy.

Ta znajomość w zasadzie skoń-
 czyła się w Kospaszu, gdyż jego los skie-
 rował do szpitali, a mnie do szpitala, a
 po pewnym czasie się zamieniłiśmy, gdyż
 u niego powstało podejrzenie gruźlicy,
 a wreszcie przeniesiono nas do różnych
 obozów i spotkaliśmy się dopiero w dro-
 dze powrotnej. W każdym razie to właśnie
 chcę nierozdzielnie się z jedną brat-
 nią duszą skłoniła mnie do twierdzenia
 w czasie pierwszego przelotu, że czuję
 się zupełnie dobrze. Gdyby nie to, praw-
 dopodobnie zostałbym zakwalifikowany do
 innego obozu rekonwalescentów /razem z
 Bułczyńskim/, gdzie jednak - jak się póź-
 niej okazało - panowała duża śmiertelność
 czy to z uwagi na wyszelekcjonowany już
 ludzki materiał, czy wskutek zbyt dobrego
 odżywiania.

W szpitali kospaskim zżyłem
 się bliżej z towarzyszem podwójnego ko-
 za, niejakiem Voglem, VD z Łodzi, prowadząc
 z nim dłużej rozmowy na temat spodziewa-
 nego rychłego wyzwolenia. Znak on język
 rosyjski, lecz się z tym nie zdradzał,
 licząc się z możliwością ucieczki. Z chwila
 jego odejścia ze szpitala i ta zna-
 jomość zupełnie się skończyła.

W dwóch zawsze rannicy

W takim konglomeracie ludzi
 obejmującym prawie wszystkie narodowości
 europejskie, z wyjątkiem Anglików, w którym
 reprezentanci wszystkich warstw społecz-
 nych od analfabetów do ludzi z wyższymi
 wykształceniem, od złodziei i gestapowców
 i szpiedżów byli ze sobą związani jednym
 łożem i stołem oraz pracą, siłą rzeczy
 człowiek nie mógł być wyizolowany. Stąd
 też rodziki się pewne sympatie, bo "homo
 animal sociale est", czy też antypatie, bo
 "homo homini lupus".

Nic też dziwnego, że i ja, choć
 z natury odupek, miałem swych znajomych,
 wśród których najchętniej w wolnych od
 pracy chwilach się obracałem. Liczące
 mnie zresztą z nimi węzy były naogół
 bardzo luźne, ulęgły przetrwaniu z chwila
 do prezentowania do innego obozu - co by-
 ło ciekawym naturalne - czy nawet do innej
 pracy, a oparto były więcej na pewnym
 materialistycznym wyrachowaniu, aniżeli
 sympatii. Ściśle bowiem mówiąc przez ca-
 ły czas nie spotkałem rówieśnika, z któ-
 rym by mnie coś bliższego łączyło.

Coż mnie bowiem mogło łączyć,
 poza wspólną niedolą np. z Tenczewskim,
 o 8-9 lat ode mnie młodszym, będącym po
 maturze, czy z drugiej strony z s. Dubrzyń-
 skim, o kilkanaście lat ode mnie starszym,
 albo z takim Białozymem, VI, który wyro-
 kał od waszy, rzekomo z powodu wrzodów!

Do podobnych elementów należa-
ła znajomość z Przybylakiem, podobno agen-
tem Gestapo, jak mi mówił znający go bli-
żej. Kim był, tym był, w każdym razie nie
raz pomógł mi on dolewką, gdyż przez pe-
wien czas pracował w rozlewni szpitalnej.
Kiedys-pamiętam-w ciągu jednego dnia do-
stawałem od niego około 5 miszek gęstej ka-
szy, z których ostatnią musiałem już od-
stąpić komus innemu, niezdolny sam jej
spozyć.

W Samowiecie wspólnie tożę i
wspólna praca na szachcie złączyła mnie
na dłuższy okres czasu z Maciągłem, obok
niego jednak bliżej zżyłem się z Koją
t.j. Mikołajem Senko, kierownikiem sanza-
strii, o kilka lat ode mnie starszym. Już
samo posiadanie przez niego osobnego po-
koju w szpitalu umożliwiało spokojne
rozmowy. Nie wiele też lepiej od niego
zniosłem wiadomość, że nie został on za-
kwalifikowany do wyjazdu z wszystkimi
Polakami. Przyczyną tego była najprawd-
opodobnie okoliczność, że urodził się na
terenie Hojzi i podał się w czasie oku-
pacji za Rogganina. Staratem się też go
pocieszyć, lecz cóż to mogło pomóc. Trzy
wyjeżdżacie dał mi on list do swej zamiesz-
kanej w Łodzi żony, do której w czasie
meogo dochodzenia do się pojechałem. Prze-
kazalem jej wtedy oprócz listu i ustne
informacje co do miejsca ukrycia przez
niego dobnych zresztą kosztowności, któ-
re zostały wczepniej zostaty przez nią
znalezione.
Najpóźniejsza już, a zarazem
najdłuższa znajomość łączyła mnie ze Smo-
likiem, młodszym ode mnie o około 10 lat.
Spotykałem się już z nim w Rezu, gdzie

Przez dalsze dwa tygodnie zży-
łem się z tym towarzyszem pracy Iwanowem,
by poza tym przez dłuższy czas pozostać
osamotnionym. Nie uwzględniałem przy tym
tych znajomych, z którymi w miarę ochoty
mogłem porozmawiać. Wśród nich może naj-
bliższym jeszcze był Kędzia, z którym rów-
nież, podobnie jak z Ignaszewskim, tyłem
na Ty, podczas gdy z pozostałymi na Pan,
a zwłaszcza z Niemcami, postępującymi się
zwykle słowem Du. Protestowałem nawet
przeciwko takiemu tykaniu mnie, przypomni-
ając, że do nie tak dawna nie rządziły
się do mnie odzwac nawet przez Kamerad.
Długo też trzymałem się w tej rezerwie
i dopiero w ostatnim roku zmiekkłem, sto-
sując się do ogólnego prądu i zwyżają,
a najwyzej nie pozwalając się tykać
przez szczeniaków.
W dajmie typowym towarzyszem
chłopak, z którym złączyło mnie zimo i
posiadana przez niego narzuta różkowa,
którą rozkładaliśmy na deski, by przykręć
się wspólnie mym koszuskiem. Gdy tempera-
tura w baraku się podniosła, wspólnota
interesów a za nią i symbioza wygasła
i później w Rezu prawie się nie znaliśmy.
W Krutisze zkolet wspólnie to-
żę złączyło mnie z niejakim Redemache-
rem, rymarzem, z którym prowadziliśmy nie-
Tubań podobna symbioza różko-
Rezu przetrwało i tę znajomość.
Tubań podobna symbioza różko-
wa złączyła mnie z zkolet z Drodem, po-
siadaczem koca, z którym się ze mną dzie-
lił, za co pomagałem mu niekiedy w pracy.
Najpierw jednak on poszedł do szpitala,
potym ja i znajomość się skończyła.

był kierownikiem II szpitala
czy też starszym sanitariuszem, lecz ja-
kos nie doszło wtedy do bliższej znajo-
mości, gdyż robił wrzenie wywyższające-
go się. Ponownie zetknęliśmy się ze sobą
już w Brześciu i przez okres spędzonych
tam kilku dni zbliżyliśmy się do siebie,
kontynuując tę znajomość już na wolno-
ci poprzez korespondencję. W 1948 r. na-
wet odwiedziłem go w Bytomiu, gdzie za-
mieszkał u swej siostry. Po jakimś jednak
czasie i ta znajomość uległa uwikłowi-
niom i jedynie z kędzią spotkałem
starca i jedynie z kędzią spotkałem
się później jeszcze parę razy z tytułu
jego zamieszkania w Poznaniu i Zawodu.
Co się z innymi stało - nie wiem
i wcale tego nie jestem ciekawy. W kaz-
dym razie, sądząc po snutych przez nich
planach spędzenia pierwszych dni wol-
ności, przynuszać należy, że wkrótce
miałoby być zarcie i nście. Jakie skutki
nieustraszenia i czy choćby nieostro-
wności mogły stać wynikiem, przekonak się
wspomniany Smolik, który mimo że liźnął
trochę medycyny, nie opark się pokusie
-po rozstaniu się ze mną w Warszawie -
zjedzenia w Częstochowie bigosu, co pra-
wie spowodowało śmiertelny kiszek, z którego
się ledwo wyliznął. Dla tego też ja wola-
łem przez kilkanaście dni jeszcze zacho-
wywać pewną dietę, dzięki czemu pozoga-
nie z dystrofią przeszło całkowicie spo-
kojnie!

Niestuszenie obwiniony.

Po zapoznaniu się z poprzednio
sporządzonym przeze mnie rejestrum mych
grzechów mogłaby dojść do wniosku, że w
obozie stałem się nakołowym przestępcą,
bez odrobiny sumienia, zdolnym do wszy-
stkich występków i zbrodni. Nie zawsze
jednak tak było i choć ze względu na kłód-
dopuszczaniem się czynów, których w normal-
nym życiu bym nigdy nie popełnił, jednak
kierowankiem się zawsze pewnymi zasadami
-że tak powiem-dobrego tonu. Mogłem wzięć
trochę machorki komuś, mającemu jej w da-
nej chwili dosyć, czy jakiś dodatek chle-
bowy, ale nigdy nie pozostawiłem nikogo czy
to pieniędzy czy całej porcji chleba.
Mimo to aż trzykrotnie padłem
ofiarą nieustannych podejrzeń o takie
wskazanie przestępstwa, co - mimo pewnego
stępienia moralnego mocno mi podziurawia-
ło nerwy, wskazuje z uwagi na swą całkowi-
tą nieustanną. Te oskarżenia wytoczone
zostały w ostatnim już obozie, a więc wie-
dy wskazuje, gdzie aureola świętości naj-
bardziej mi głowę mejską, przynajmniej
jeśli chodzi o własność prywatną!
Pierwsze posądzenie miało miej-
sce gdzieś w marcu 1947 w czasie pracy
na III szachcie. Stała tam koto "lesopil-
ki" budka dla gradziarskich, do której
od czasu do czasu wpadaliśmy się roz-
grzać przy ogniu. Kiedyś tam pewnego ra-
zu siedział, znajdujący się w niej ruski
wyszędź, zostawiając swój woreczek, czego
nawet nie zauważyłem. Po chwili nadzedł
inny towarzysz niedoli, ja zaś wróciłem

do pracy. Po kilku minutach usłyszałem jakiś hałas w tej budce i wspanie bdygadier, bym przyszedł. Znalazi się niczego się nie spodziewając, znalazł się w środku, ten ruskij rzucił się na mnie i chytyając pod gardło, zawołał: "To ten mi chleb zwarował!" i chciał mnie udężyć. Naturalnie starątkiem się go odęchając, jednak moje siły nie wiele znaczyły wobec takiego rozjuszonego byka. Kiedy mnie wreszcie puścił, bdygadier Maszko zapłatał się, jak to było z tym chlebem. Naturalnie stanowczo zaprzeczyłem, bym cośkolwiek zabrał i widocznie szczerobóbrzmiała w mym głosie, bo do dalszych rozmów nie doszło, jedynie bdygadier nie mógł sobie odmówić przyjęmności do pomocy i mi kolaniem do szybszego wyjścia z budki. Zaprzysiężłem mu za to zemsta, do której jednak nie stałem się nie nadatym. Jestem przekonany, że zrodziłem się ten, który po mnie wszedł do budki. Tak na marginesie tego całego zajścia tylko głową można kiwać na myśl, jak utrata kawałka chleba mogła na Uralu doprowadzić człowieka do wściekłości! Widocznie oznaczają on dla niego "był albo nie był!"

Drugie podejście dotknęło mnie kilka tygodni później w szpitalu ze strony Karaska. Raz popokładaniu na prawiano światło w komorze, w której siedział i w związku z tym dał mi klucze od niej. Wieszorem, wszedłszy do niej, ty się pokoryć spać, po chwili mnie zawołał, pytając się: "Gdzie są te trzy ruble?" "Jakiej?" "Pokoryłem tu popokładaniu kilka naszcie rubli i teraz to jest, a 3 braku"

Ja. Oddajcie mi je, bo powiem lekarzowi!" "Czyście zwartowali? Ja żadenych rubli nie widziałem. Chyba żecie ich nie pokoryli!" "Wiem napewno, że pokoryłem i nikt inny nie mógł ich wziąć, jak tylko wy!" Byłem tak rozwiściecony i zdenerwowany tym nieastuznym podjęciem, że chciałem mu dać w pysk, jednak z uwagi na to, że to był chłop jak dąb, mogłoby to dla mnie poczynić smutne konsekwencje, to też tylko schwyliwałem za rękę, poczynając do myjącego się. Kasię dr. Glage i po niemiecku zapoznającem go ze stawianym mi przez Karaska zarzutem. Ten wysłuchał mnie spokojnie, nie chcąc jednak zajmować się panieniem cudziej bielizny, powiedział: "Zatwórcie tę sprawę między sobą, a jeśli nie, to ja jutro zatwórimy!" - i sobie poszedł.

To moje wystąpienie widocznie przemówiło oskarżycielowi do rozsądku, że ja jednak nie mogłem mieć nic wspólnego z zaginionym tych trzech rubli, bo po chwili przyszedł już do mnie spokojnie i by zatagodzić sprawę, czy poprawił o papierosa czy też dał mi go. Ja również już uspokojony powiedziałem mu kilka słów, tłumacząc, że jeśli istnieć mu te pieniądze zginiły, to musiał je zabrać ktoś inny, a nie ten, na którego w pierwszym rzędzie musiałoby paść podejrzenie. Wiącej już do tej sprawy nie wrócił, widocznie przekonany o bezasadności swego zarzutu, a może poprostu dla tego, że te pieniądze znalazł, a będąc chłamek, nie uważał za stosowne mnie przeprosić.

Te dwa podejścia pochodziły od osób, że tak powiem, "satisfactionist" Fährig", to też jakoś przesyłał nad nimi

osobicie byłem przekonany, że
sprawę obu tych kradzieży był popli-
ski. Przed zginięciem bowiem pierwszego
kawatka przechwatem mu coś na jego po-
bę pod zagłówniem, i kiedy pójnój pod-
czas mej nieobecności tę rzecz zabierał
możt zauważyć leżący obok kawatka myła
pikny i skorzystał z takiej kuszceł
okazji.

I to był już ostatni, ale pow-
tarzam najbardziej przykry dopust boży,
bedący jakby karą za me poprzednie prze-
chy zeczywicie popełnione!

do porządku. Inaczej natomiast
przedstawia się sprawa w trzecim wy-
padku, gdzie podjęcie pochodziło od
osoby, z którą żyłem nieco bliżej, a mia-
nowicie od pikny.

Kiedy spaliśmy koto siebie na
I. baraku, zginęko mu raz mydło i to w
okolicznościach naprawdę trochę dziwnych.
Mianowicie gdy ja się ubierałem, on po-
szedł na gniadanie, zostawiszmy mydło pod
zagłówniem. Po chwili i ja wyszedłem, nie
wiedząc zresztą wcale o tym mydle, a wró-
ciłem już po stwierdzeniu przez niego
braku pudełka. Nie dźwije się, że w pierw-
szym rzędzie na mnie jako na najbliższe-
go sąsiada wrócił on swe podjęcie,
gdym jednak się zastanowił, nie byłby
tak pohopnie mnie o kradzież posądzat,
zważając, że drugim jego sąsiadem był
Migacz i on też mógł wchodzić w rachubę
jako sprawca kradzieży. Ponieważ już pr-
zed tym w podobnych okolicznościach
zginęko mu mydło i tytoń, nie wahał się
tym razem przypisać mnie tę stratę i
rozstrząsać swego zarzutu wobec sąli, co-
prawda nie w mojej obecności.

Gdyby mnie to spotkało ze stro-
ny innego, nie przejąłbym się tym, ze wzglę-
du jednak na łączącą nas większą zazy-
łość możemy się po nim spodziewać tro-
chę większej oględności i wstrzy w mię
uczciwości! Wytkakakem się też po tym,
naturalnie w przenosni, Sence i ten mnie
trochę pocieszył. Zastanawiałem się, czy
nie poddać tej sprawy pod ocenę sąli ko-
leżeńskiero, z uwagą jednak na treść od-
powiednich w nim osób, machniętem ięką i
czas zaleczył i te renę.

Uszczerbki na mieniu.

Po opisie doznanych uszczerb-

ków na zdrowiu i na honorze oraz wyrządzo-
nych innym na mieniu, kolej na powiedzenie
słów kilku na temat doznanych uszczerbków
na mieniu. Pominę tu doszczętne obrabowa-
nie mnie przy zatrzymaniu, bo przecież
nie mnie przy zatrzymaniu, a opiszę tu, w których
był to akt "legálny", a opiszę tu, w których
osoby prywatne zdołały wzbogacić się moim
kosztem.

O stracie zegarka i obrączki
już mówiłem, z kolei "nada" wspomnieć, idąc
chronologicznie, o okradzeniu mnie i ob-
rabowaniu w dostłownym tego słowa znacze-
niu ze spuszczony po Gichockim. Jak już w-

innym miejscu o tym mówiłem, inwentarz
po nim był niemały, bo obejmował marynarkę,
kamizelkę i kurtkę. Pierwsze dwie skradzio-
no mi w młokotowskiej kazi, a sprawczymi
były albo "banaszycy" albo też niemieccy
lub ruscy towarzysze niedoli. Zawiesiłem
bowiem wszybskie rzeczy na jednym haku,
przy wydawaniu ich jednak z przazarki zga-
sły wszybskie lampy z wyjątkiem jednej,

to też powstał taki bakałan, że kiedy na-
reszcie z ogólnej kupy wyciągnąłem swój
kłębek, hak już był rozpięty i brak było
wspomnianych rzeczy. Nikt z sąsiadów nie
chciał się przyznać do ich zabrania, to
też nie pozostało mi nic innego, jak cie-
żyć się z tego, że moje własne rzeczy mi
pozostały. Gdy już wychodził z kazi, nie
ubrany w płaszcz i kurtkę, jakiś ruscy
chcieli mi ją ścisnąć, jako rzekomo nie
moją, jednak zdołałem się im wymigać.
Nie długo jednak cieszyłem się

ich posiadaniem. Kiedyśmy się

bowiem znaleźli w nowym wagonie w towa-
rzystwie różnych kłamków i mongoków pod
wodzą żyła litewskiego, sierżanta SS, Fi-

szosa, odrazu zauważyli mój podwójny strój
i chcieli mi kurtkę ściągnąć, poniechali
jednak tego narazie, gdyż energicznie za-
protestowałem, powołując się na swą narodo-
wość. Nie wierząc jednak, by na dłuższą
metę ten wybieg się udał, "podarowałem"

kurtkę pistole, zastrzegając sobie jej
zwrot po przybyciu do obozu, co solennie
obietali / i rzecz prosta nie dotrzymany.

W miarę zepadania ciemności
bandyci rozzuchwalałi się coraz bardziej

i znów zaczęli na mnie nadierać, bym za-
mienił płaszcz na jaką kurtkę. Nie oglą-
dając jej wcale odmówiłem z miejsca, a
wówczas paru z nich zaczęło mi gwałtem
ściągać płaszcz z grzbietu. Nie pomogło
którzby za pierwszym razem jakoś mnie ob-
roniła, i kiedy wobec mego oporu kornierz
zaczęł już trzeszczeć, sam zaś leżąc

już na ziemi, przerygnąłem z oporu, by
nie narzązać się na coś jeszcze gorszego,
do czego te oprychy były zdolne. Ściągnę-
ngli wówczas ze mnie nie tylko płaszcz,
ale i marynarkę, zresztą dość lichą, rzu-
cając mi w zamian jakieś kachmany, a
jakie było moje zdumienie, a

zarazem i radość, kiedy w tej kurtce po-
znał wcale porządny barami kouszek, nie-
co krótki, ale za to znacznie cieplejszy
od mego płaszcza. Drugi kachman okazał
się już znacznie gorszy, bo był zwykłą
drellichową bluzą, natomiast czapka, jaka
mi na odchodnym zostawali w miejsce mo-
jej, była niemiecką polówką z opuszczaną:

tylne części na kark, a tym samym wyrodniesz i ciepłej się od mej narciarci. Wszedłem z tym na tej trans-akcji przymusowej nie jak przyskowiowy Zabłocki i raczej wygrałem, gdyż kosztówek nieprawdę bardzo ciepły i mocno mi się przez następny rok przysiadł.

Znaczenie gorzej na tym "baza-rze" wszedł Ignaczewski, bo wzmian za zdarze z siebie rzeczy dostał prawdziwe fachmany, przez które przezwiecało ciasto. Nie myśmy jedni zresztą padli ofiarą tych hien; w jeszcze gorzej po-łożeniu byli Niemcy, z którymi się bynaj-mniej nie patyczkowali, a obrabowali z czego tylko się dało. I pomyśleć, że tych zbójów było zaledwie kilku, a popleczeni-ków w postaci milczących wspólników mie-li najwyżej kilkunastu, podczas gdy ofiar było kilkadziesiąt. Tak jednak ten nie-ład "Herrenvolk" pozwał się być po py-sku!

O tym, jak wykazana przez her-sztę przedsiębiorczość znalazła uznanie w kierownictwie XVII Lageru przez miano-wanie go zwodnym-wspomniatem już poprzed-nio. Tu dodać należy, że panowanie tej elity już w obozie nie ulętko zmniejsze-niu, a jedynie utrudniało się ono w mniejszej oficyjalny sposób. Dowodem tego by-ła następna moja strata jeszcze domowego swetra.

Mianowicie kiedyś po kąpieli w kaźni chciał go ubrać, stwierdziłem je-go brak. Nie ulętko wtpliwosci, że ukradł go ktoś z naszego zwodu, bo innych wtedy nie było. Bakszczyca po doniesieniu jej o stracie oznajmiła, że nikogo nie wyms-

ci, dopóki swetr się nie znaj-dzie i każda mi wszystkich przewidować. Z bóry widziałem, że tego rodzaju rewiz-ja nie da wyniku, bo przecie nie łatwo przy pobieżnym przeglądzie namacać swetr ukryty gdzieś na tyłka czy nawet wdzimny pod koszulę. To też otrzymałem się do otmaniania najbarziej podejrzanych, prze-de wszystkich ruskich, naturalnie bez wy-niku. Zwodni zaczęli się wreszcie niecier-pliwie, proponując przeniesć rewizję na salę, to też chcąc nie chcąc musiłem się na to zgodzić. Jak było do przewidzenia, po przybyciu do baraku wszyscy się roz-leciali i o rewizji nie było już mowy. Spółkiem niedaleko naszego zwod-nego, nazwiskiem zdaje się Semidonow, i kiedyś w noc się obudzili, by posiedzieć trochę około ogniska, poczułem w kieszeni szczyptę machorki, której poprzednio tam nie było. Nie zastanawiając się znowu nad jej pochodzeniem z przyjemnością wpa-likam tych parę papierosów. Popiero i nie tej przyszkło mi na myśli, że prawdopodob-nie to złodziej mego swetra, muszę się w-ziąć za niego, dać mi to odrobnie jako rekomp-ensację za mój swetr.

Jakie było moje zdumienie po kilku dniach, gdy zobaczył mój "rodzoni" swetr pod marynarką właśnie tego zwod-nego! Ponieważ nie mogłem liczyć na je-kiejkolwiek powrót meych poszczepionych kacyjnych ze strony starszyzny obozowej, którzy dli w te same bazy, co sprawa, musiłem zrezygnować z jakichkolwiek re-klamacji.

Tak się stało, że dostaliśmy się do jednego obozu i pod koniec mego pobytu w Kospaszu został nawet rotm.

Krzyżede-krzycał, lecz taki zły znówu nie był, też nie wiele sobie z niego robiłem i tylko czekałem, by mi na co zwrócić uwagę; wtedy już bym nawiązał do mej straty. Jakos jednak jakby się ze mną liczył i nie dał powodu do wystąpienia z wspominkami.

O stosowanych przez naszych ówczesnych ojców metodach najlepiej świadczy wypadek pewnego sąsieda, nie-szczęśliwego posiadacza naprawde bardzo ładnego futra. Wspomniany fiszoz i towar-rzysze widocznie powzięli na nie chrapkę, gdyż pewnego razu kazali iść na kolekcję wszystkim, nie pozwalając się wyręczać kolegami. Jaka była jego rozpacz, kiedy powrócie z niej stwierdził brak swego futra! Odrazu domyślił się, kto w tym maczał palec, powiązawszy ten nagły rozkaz z położeniem tuż obok naszej izby Legowiska tych wilków.

Dalszą strate poniosłem 13.4. 47, kiedy przed półciem do szpitala myś się w bani. Wówczas to najpewniej jeden z pracy ukradł mi długą ponczoche. Zrazu bolakem nad tą stratą, nie wiedząc, jak sobie też niejdą radę, jakos jednak i z tym się pogodziłem.

Jako szpitalnik musiałem wszyskie swe rzeczy oddać do magazynu, gdzie stkie narazone nie tylko na kradzież, ale i na spalenie przy dezynfekcji. Wówczas też zginał mi drugi mój swetr po cichoci kim. Po opuszczeniu szpitala dostatek za niego inny, buraczkowy, który choć gorszy, swą funkcję jednak spełnił.

Dalszą poważniejszą stratą dla mnie, choć na szczęście tylko chwilową, było zniknięcie mych okularów. Było to

zdaje się 11 września, gdy po powrocie z pracy jak zwykle pokoczył je w bani na parapecie okna i poszedłem się umyć. Jakie było me przerażenie, gdy po powrocie już ich nie znalazł! Za dużo było wtedy w bani kwasowców, bym mógł się zgrabu dopatrzyć. Czując się bez nich jak bez ręki, zameldowałem zaraz o stracie skretarzowi; by okłosił ją na prowińce, co też zrobił, lecz naturalnie bez wyniku. Wobec tego od siebie obiecałem dać za ich zwrot porcję chleba. Po kilku dniach podszedł do mnie pracujący ze mną wólgadeutscher, pytając się, czy podtrzymuję swą obietnicę wynagrodzenia. Naturalnie potwierdziłem i po chwili cieszyłem się już mymi "oczkami", które rzekomo znalazł w ktocie koło bani. Możliwe, że tak było, że jakiś kwasowiec je zabrał, by zaimponować innym, lecz nie przez nie nie wi-dząc, odrzucił je, a możliwe też, że sam rzekomy znalazca je ukradł. W każdym razie nie dociekałem już, kto był sprawcą, zadowolony z ich odzyskania. Ponieważ w międzyczasie z powodu ich braku dostatek się już na powierzczenie, by nie stracił tej dobrej posady, nie zdradziłem się z ich odzyskaniem, a schowałem je, po kilku zas dniach dla większej pewności oddałem je na przechowanie kędzi.

Kiedym jednak przed wyjazdem do Łajwy poprosił o ich zwrot, okazato się, że już ich nie ma. Ponieważ dostę do "rodzatočnej" miał tylko rosylski lekarz i belzer-wkasowiec, sięgając rzeczy na nich skierowato się me podejżenie ich przy-właszczenia. Kilka dni przed tym widziałem nawet u lekarza okulary, podobne do moich, lecz nie zwróciłem wtedy na to uwagi.

Dopiero po dowiedzeniu się o stracie przysłała mi ta okoliczność na myśl, nie miałem już jednak czasu na skontrolowanie skuteczności mych podjętych. W każdym razie była to strata, która najbardziej mnie dotknęła, bo z jej powodu mój horzont życiowy w dostatecznym tego słowa znaczeniu znacznie zmalał. Z drugiej zaś strony w myśl zasad, że nie ma takiego złego, co by na dobre nie wyszło, strata pozwoliła mi na wyrwanie się z szachty, a i później ich brak pozwolił mi przesażać nieco w markieracji jako "zupelnie" lepszy. W dajcie poniosłem dalsze straty, wartościowo drobne, lecz ze względu na ucucielowych stosunkowo duże; straciłem bowiem aż trzy rzeczy: krzyżyk, kociołek i kżykę. Jeszcze w Kospaszu zdobyłem się na wielki heroizm i kosztem 300 gr chleba nabyłem maki aluminiowy krzyżyk z myślą o Dziuni. Muszę się przyznać, że przed jego nabyciem zastanawiałem się długo, w końcu jednak ulętkiem pokusiłem się o naprawę tego późniejszego zakwaterowania. Wszakem bowiem, że Dziuni będzie ten podarunek miłszy, że uzyskany drogą pewnego samozaparcia się w postaci jednodziennego głodu. Krzyżyk ten miał lekką skłonność do tego w wolnych chwilach często wygładzaćem go palcami, licząc, że wrócić do domu, gdy skaza zostanie starą. Niestety nie dany mi było wręcz Dziuni tę drobność pamiętkę z Uraju, gdyż kiedyś wróciłszy z bani, stwierdziłem jego brak. Wobec niemożności nie mogłem go znaleźć, a próba cikiem czympędzej do bani, lecz z powodu

do baniszczyka o luczwo była bezskuteczna. Następnie dnia o świecie udąłem tam się znowu, lecz znalazłem jedynie sznurki od krzyżyka, a on sam waiłki bez śladu, prawdopodobnie w kieszeni kłębregos z palaczy. Gdy bowiem wieczorem byłam się o niego, jakiś VD leżący na ławce leżał na ławce i niewątpliwie do mym odeficju go znalazł. Cóż było robić, musiałam się pogodzić z tą stratą, która dotknęła mnie nie mniej, niż strata okularów. Niezależnie zwykle chodziłam rami, to też kilkanaście dni później stwierdziłem brak mego kociołka aluminiowego, wiszącego zwykle koto mej przyszy. Widocznie któryś z sąsiadów go obrzął. ngk, by spytać wyjeżdżającego wówczas z ocozu. Za radą towarzyszy uważałem wprawdzie na idących do kuchni, lecz tyle było podobnych kociołków, a nie mogłem przycięż każdego szczegółowo oglądać, ty nie narazić się na grubiaństwo, że musiałem w końcu zrezygnować z poszukiwań. Cate szczęście, że trzeci obrąte mieszanej zwałki, prawie podobnej trzonka, poniosłem już później, gdy miałem bakę z konserwy, bo w przeciwnym razie musiałbym naprawić na ławce innych, pożyczając za każdym razem część zastawy stołowej, bez której skazany byłbym na śmierć głodową. To wszystko jednak było niczym w porównaniu z następną stratą, ponieważ na już w Krutisze. Wszystkie poprzednie dotyczyły przedmiotów materialnych, a nie z wymazaniem z mego pamięci najważniejszych-
-323-

wolalem nie narzadac ich na spa-
lenie i swój woreczek zostawilam w izbie,
chowałac go pod belkę nad moją przeczq.
Kiedym po niespełna godzinie sięgnęła po-
nownie do niego, podpadło mi inne zawia-
zanie węzełka i mniejsza objętość. Czym-
prędzej zajrzałam do środka i jaka była
moja rozpacz, kiedym zauważyła brak kilku-
nastu kawałków z notatkami. Hm! oka na
salę z kilkunastoma osobami nie pozwa-
lała na zorientowanie się, kto by wchodził w
rachubę jako sprawa, gdyż każdy był w
równym stopniu podejrzanym. Trzymomiałam
sobie wtedy, że gdy wrócę z bani, na mo-
ją przeczqę pod pozorem patrzenia przez
okno na dziedziniec przeszedł niejaki
Mazurkiewicz i wyglądając przez okno
trzymał się belki. Widocznie też wtedy
wzagnał woreczek na swoje miejsce! Nie
mając jednak żadnych dowodów, nie mogłam
go przypisać do muru. Włoczorem, gdy wszy-
scy się zetrzali, wygłosiłam apel do uczci-
wego "znalazcy" o zwrot tych notatek, lecz
naturalnie bezskutecznie. Z jednej strony
był on ewidentny, gdyż potaszczył się na pa-
pier, który nie nadawał się na tumaszki,
bo był tam i pergaminy i opatrunkowy, że
z drugiej strony był na tyle uczciwy, że
nie rąbnął mi wszystkich notatek i za-
to trzeba mu było dziękować. W każdym ra-
zie w sumie była to dla mnie duża stra-
ta i przez kilka dni nie mogłam się z
nią oswoić. Pocięszakem się jedynie tym,
że powstała luka nadłam jakoś wypełnić
z pamięci, i kontynuowalem pisanie mach
wspomnień, a jedynie straciłam odład wie-
rę w szczegółliwość dla mnie cyfry 16, gdyż
wypadek ten miał miejsce właśnie 16.2.46.
Kruticha zresztą przyniosła mi

szych przeżyć i wrzeń. Jak
mocno odczuwam tę zgnęb, niech świadczy
fakt, że zaprzestaniem wówczas amawiania
na intencję Dziwni krótkiego paciera,
którego do tego czasu nie zapomniałam.
Wówczas jednak byłam tak rozgorączkowaną w
stosunku do ludzi i niebios, że uważałam
dotknięcie mnie jeszcze takim ciosem za
dowód zupełnego o mnie zapomnienia i w
myśli zasady "jak Bóg Kubię, tak Kuba Bogu"
machnąłam na wszystko ręką. Nie bardzo to
było logiczne, lecz wówczas nie zastana-
wiałam się nad tym praktycznym logiką!
Bliższe szczegóły tej straty
są następujące:
Pierwsze me wspomnienia z obo-
zu zacząłam pisać dopiero w czasie pob-
ytu w szpitalu, kiedy to udało mi się zdo-
być trochę papieru. Wprawdzie już w cza-
sie transportu znotowałam sobie na ka-
wałku papieru kilka wrzeń, jednak uległy
one zupełnemu zatarciu. Dopiero też w
szpitalu przystąpiłam do systematycznego
spisywania ważniejszych wypadków w for-
mie krótkich zapisków. Po wyjściu z niego
stawa się aktualna kwestia ich wiarygod-
ności. Pomogło mi znalezienie
go przechowania. Pomogło mi znalezienie
go woreczka od opatrunków, znakomi-
cie nadającego się do tego celu. Nosikiem
go zawsze ze sobą, przeważnie w tylnej
kieszeni spodni. Kiedym pewnego razu w
Jawie sprawdziła objętość zwitków, wycho-
dziło mi jakichś 200 stron normalnego
formatu. Naucony doświadczeniem, posłużył
wałam się w miarę możliwości przy ich pi-
saniu stramentem.
Kiedym pewnego razu w Krutysze
wybierał się do kąpieli i zarazem prażarki,

Rozgrym niecu.
W ten sposób pozbowiony zosta-
łem wszystkiego, co miało jakikolwiek ch-
wałem się być dalszych stracił, których do-
kniży moje prawo własności. Wszystkie bo-
wim, co miałem na sobie lub przy sobie,
było już "kaszionne" i w razie utraty zo-
staby zastąpiłone innymi rzeczami.
W Resu dość dużo losy były
dla mnie przychylnie, nie nasytając na mi-
żadnych strachach, wreszcie jednak sprzy-
krzyła im się ta bezczynnosc i znowu do-
kliwie mnie uderzyły i to w najczulszą
stronę, po ponownie w me pamiętniki. Przez
tych pół roku objętość ich znowu powo-
nie wzrosła nie tylko dzięki omawianiu
wszystkich plotek na temat naszego wy-
jazdu, ale i wszystkich dolewek.
Już kilka dni przed definityw-
ną utratą groził mi ich przepadek przy-
okazałi Generalnej rewizji. Wiedząc o nie-
umiejętności w drewnianej doniczce na-
kwiaty w szpitalu i omal nie zomiatem,
widząc, jak jeden z rewidujących zaczął
zdejmować jedną doniczkę po drugiej i
zaglądać do środka. Na me szczęście na-
ten pokusę wpadł dopiero po ominięciu
pierwszej stojącej przy ścianie, która
właśnie służyła mi za "safe".
W każdym razie było to dla mi-
przestrony, by oglądnie, chociaż mógł skrap-
to też, gdy po pewnym czasie pozostala się
wiedzieć o powtórnej rewizji, schowałem swój
woreczek w uszynie pod dachową płytkę.
Mimo, że nikt z rewidujących go tam nie
znalazł, gdy w końcu wyczerpano do wszyst-
własności, już jej tam nie zastatkem. Wła-
wierzając sobie przystawkiem drabinię i

dalszą jeszcze stracę, a miano-
wicie mego kouszaka, który ulotk "prawy"
konfiskacie władz. Mianowicie po naszym
przybyciu naczelnictwo ogłosiło, że będzie
dawać nową odzież i szuby. Kiedyśmy jed-
nak udali się do bani, gdzie to wydawa-
nie się odbywato, okazato się, że swoje
stare rzeczy trzeba zdać. Wprawdzie mie-
liśmy je otrzymać zpowrotem przy odej-
ciu, jednak nie bardzo w to wierzyliśmy.
Wobec tego w myśli zaszły "sicher ist si-
cher" zostawiam swój kouszsek w baraku,
jak również swetr i spodnie cywilne, a
w pozostałych rzeczach udatem się do ba-
ni, gdzie otrzymatem nową bieleżną, walon-
ki i jakie takie szuby. Kiedyśmy jednak wró-
cił do baraku, wpadła za nami jakaś baba
z naczelnictwa, która zaczęła ścigać z
przez pozostałe tam cywilne rzeczy. Wi-
dząc swój kouszsek w niebezpieczeństwie,
chciałem go ukryć, lecz go zobaczyła i
nie pomogły tłumaczenia, że to jest wkas-
ność towarzysza, będącego na robocie.
untoska go wraz z innymi kupcami. Natural-
nie więcej już go nie widziałem i praw-
dopodobnie teraz jakiś grażdziński cie-
szy się jego ciepłotą.
Zasnacząc tu muszę, że już w
pierwszych dniach pobytu w Kossaszu je-
den ruski dawał mi za niego tufajkę i
150 rubli, lecz naturalnie odrzuciłem ze-
wzgardą tę śmieszną propozycję. Podobnie
zrobiłem z ofertą cieszewskiego, obwecu-
jącego mi zamian porządu piasecz w kra-
ju kouszsek ten był nie tylko ciepły,
ale jeszcze wcale porządny, a jedynie w
rękawach skórka ulotka spieczeni przy-
nieostrojnym-zbyt nagłym-suzzeniu przy-

szeregów zbadaniem każdą płytę, jednak daremnie, wciąż jak "kamto-
 ra bez pieprzu"! Widocznie jakiś chory
 zauważywszy mój zwitek, wystający spod
 belki, skorzystał z takiej sposobności
 zdobyć bumażek.

Ta strata dstręczyła mnie cał-
 kowicie od kontynuowania tego dzieła i
 od tego czasu ani słowa już nie napisa-
 łem. Gdybym zresztą wiedział, że jeszcze
 przeszło rok będę musiał tam żyć, może
 tym się zdobył na dalsze pisanie, nie
 spuszczać się na mą pamięć.

Po przeszło roku - już w Samo-
 cwiecie - gdy raz wspominał sobie, że
 ostatniej stracie, przypomniał sobie, że
 jeszcze w Rezu zawożano go do naczal-
 stwa celem przetrzymaszania jakichś zna-
 lezionych pamiętników. Usniał się wów-
 czas, czytając bzdury przeważnie o jedze-
 niu, pisane na jakimś kolorowym papierze.
 Poniemaj ja takiego nie używam, nie
 mogły to być moje.

W ten sposób uwolniony zosta-
 łem od dalszej troski również o mienie
 niematerialne i odgad gwizdaniem sobie
 na wszystko. Bez najmniejszego wrzenia
 też przyglądałem się, jak z magazynu szpi-
 talnego zabierają mój swetr i ostatnią
 pamiętkę z domu, me ślubne szasery, i nie
 skorzystałem z możliwości ich rewindyka-
 cji. Nie przejąłem się też zupełnie stra-
 tą pół kilo chleba z półki, gdyż dzięki
 pracy w kołchozie byłem wówczas syty, to
 też nie brałem za złe tej kradzieży ma-
 cącemu mnie! ode mnie.

Tak samo nie przejmowałem się
 utratą w Samocwiecie kilkakrotnie mydła,

troskliwe przechowywanego w
 oczekiwaniu na lepszą koniunkturę. Jed-
 nie utrata ostatniego kawałka mnie dot-
 knęła zarówno dla tego, że to był ostat-
 ni kawałek i nie miałem się czym umyć,
 jak i dla tego, że ukradł mi go w bezczel-
 ny sposób najbliższy mój sąsiad, natural-
 nie Repłiński. Nosiłem go wówczas za
 dnia w pudełku w kieszeni, na noc zaś wsu-
 wałem pod zagłówek. Kiedyś pewnego razu
 przy ubieraniu się chciałem je wsunąć do
 kieszeni, podpadła mi jego lekkość i w
 środku stwierdziłem pustkę. Ograniczyłem
 się tylko do głosego zyczenia sprawy,
 ty jego córka kiedyś ciężko odpokutowa-
 ła za ten czyn ojca, pijąc tym wyrzanie
 do Fenlińskiego, ten jednak udat niewi-
 niątko. Nie mając żadnych dowodów, wolałem
 nie wszczynać awantury z tak blachego po-
 wodu.

Zbliżający się wyjazd pozwolił
 na szybkie puszczanie w niepamięć tej
 jednej z ostatnich strat. Dalsza dotyczy-
 ła znalezionego swego czasu paska od
 spodni. Jak łatwo przyszedł, tak i łatwo
 poszedł, gdyż zostawiłem go przez zapom-
 nienie w łani, kiedyśmy łasowali nowe ub-
 rania na wyjazd. Stracił spóstrzegłem już
 za późno, to też musiałem się odgad po-
 skugiwać pozostającym, już znaczenie gorszym.
 Ostatnią wreszcie stratą było
 skonfiskowanie mi przez naczalstwo już
 przy wyjściu z obozu skądś zdobytego sza-
 like, co zaliczyłem na koszty uzyskania
 wolności!

Jak z całym widać rejestru mych
 strat był wcale niemiejszy od rejestru
 zysków tak ilościowo, jak i wartościowo.
 Na straty materialne plukem i

Plus, ale straty niematerialne dają mi się odczuwać właśnie teraz, gdy przystąpiłem do ich utrwalania z pomocą. Chętnie też zrezygnowałbym wówczas nawet z większej ilości chleba, byle swą zgrabę odzyskać. Niestety brak u innych poszanowania cudzej własności dał mi wtedy w skórze!

Jakby to teraz inaczej wyglądało? Jakby me pamiętniki, gdybym mógł się oprzeć na tak obfitym i autentycznym materiale. Ile to ważnych szczegółów życia obozowego ujrzało by światko dzienne! I jak poważnie rozszerzyłaby się ich objętość! Już same dzienne zapiski stworzyłyby poważny tom, a coś dopiero osunę na ich ile kwestyje! I coś coś robić, cięszmy się, że przynajmniej tyle zachowają się mej pamięci, że starczy na jeden tomik. Lepszy rydz, niż nic!

Wy Polaki skoro ujadacie domo!

Powższe zapewnienie styszełiśmy od otaczających nas Rosjan na każdym kroku. Czy to był system, czy też wyprawa-ko z przekonania o istocie sztyki ote-skaniu nas do ojezyny-to pytanie, na któ-re trudno było znaleźć prawidłową odpowiedź; prawdopodobnie oba poglądy byłyby słuszne.

Czy i w jakim stopniu wierzyli-śmy tym obietnicom i dla czego po pewnym czasie przeciwstawialiśmy im swój własny referen"Niezwieszno Kagda wiertnolsie domo", będący aluzją do panów naszego życia i śmierci-N.K.W.D.-postaram się dać odpowiedź, nie wprost, lecz przez przedstawięnie historii tych rozlicznych obietek-cacaneek.

Zaczęto się to już w Przekim"Prowierym-pajdziesz domo!"-taką odpowiedź dawał nam tamtejsi oficerowie na nasze pytania, dlaczego nas wzięli i jak długo będą nas trzymać. "A kiedy będzie ta prowierka?" "Skoro!" No, jak sztyko, to dobrze-pocieszałiśmy się, nie zdając sobie jeszcze wtedy sprawy z katastrofego końca tego wyrazu, kłumacząc je na naropażkie "prędko". Dopiero później wielkim się przekomarzę pomyśleć "Wystro" i "skoro", a sztyko dostawie odpowiadają polskiemu sztyko i prędko, taktycznie są synonimem kłumaczenia "ad calendae graecus" Zbyt późno też rozumieliśmy, co wiaćciwie znaczy powiedzenie "ruski mieścig". I lecz narazie ta obietnica pro-wierka nie nstchodzila, a zastępiła ją

powodu wybuchu tyfusu, choć żadnego chorego nam nie widziano.

Optymiści jednak nie dali za wygraną i znowu szły pogłoski o listach z wijką lub mniejszą ilością nazwisk, która wreszcie zmalała do dwudziestu kilku. I wtedy okazało się, że tylko ta lista nie stała się fikcyjną, gdyż rzeczywiście zdaje się 21.8.45 opuściło nasz obóz około 27 szczytów-lekarzów-zydów i prawie samych Volkadentochem. Czym się władze kierowały przy takim ich wyborze, pozostaje ich tajemnicą, której nawet i przy pomocy wódki nie moglibyśmy rozetrzeć!

Równoczesne przybycie wkasowców do naszego obozu wzmocniło plotki, że mają nas znużować i że wyjedziemy, skoro tylko wprawią się do pracy. Oni jednak są mi, znając dobrze właściwości psychiki robotniczej, nie mieli tak co do siebie jak i co do nas zdziwienia i nie wrócili nam

rychłego zwolnienia. Dał temu wyraz w rozmowie ze mną jeden zruszczony polak, opowiadając mi anegdotę o tym, jak to w tym czasie wisi kartka: "Świecodnia kostiumów się nie sprzedaje; kostiumy będą zawtra!" nie usuwana przez cały rok. Tak też miało być z nami: nie świecodnia, tylko zawtra!

Wreszcie znowu upłynął pod znakiem list, to na 110, to na 140, to znów na 80 i tak w kółko. Wycofanie prawie wszyscy Polaków z szachty również przemaszko za tym, że zamierzają coś z nami zrobić. I rzeczywiście, kiedy był po raz drugi w szpitalu, słowo stało się ciałem i już następnego dnia po powstaniu plotki o liście z 107 nazwiskami wywołano nas ubrano i wywieziono do obozu rzekomo zbiorczego, skąd mieliśmy jechać już do Polski.

połaska, że pojedziemy do naszego "prawittelstwa" do Lublina lub Warszawy. I kiedy ruszyliśmy pieszko w stronę Lublina wydawano się, że tu obietnica się spełni. Niestety jednak albo rząd zmienił w międzyczasie swą formálną siedzibę albo też chodziło o odebranie nam chęci do ucieczki wobec nadziej na rychłe zwolnienie!

W Kospaszu znowu oticerowie zaczęli powtarzać piosenkę: "Porobotacie niemożko i ujedziecie!", a za nimi i lekarze, będący zresztą naszymi towarzyszami niewiadomo za jakie winy, czekającymi również na zwolnienie, tyle że nie w obóz. I kiedy przyszła wiadomość o zakonizowaniu w ich głosie nawet można było dopatrzeć się nutki gębokiej wiary w nasze szybkie zwolnienie.

Nie tylko jednak te zapewnienia budziły w nas wiary w szybką realizację: były i znaki obiektywnejsze, a miały one co pewien czas robione spisy. Wystarczyło, by ktoś przyszedł do nas po jawie dane, a już powstawała plotka, że to lista do wyjazdu. Jednym z takich proroków był Kędzia, który z racji swego stanowiska trzymał rękę na pulsie wszystkich wydarzeń obozowych. On też, gdy wylądował do szachty, zapomniał mnie, że już jest lista wyjazdowa i za kilka dni wyjedziemy, otrzymałszy na drogę po 2.000 zł. Tak mówili, że w tym czasie, że z umiarkowanym wiarą, dziwiąc się z posiadaniem lekarzowi, że jeszcze ją urządzą i byłym przy tym pewien, że to ostatnia. Zapowiedziany jednak koniec czerwca minął i wyjazd nie nastąpił, rzekomo z

stkie poprzednie obietnice czy
plotki miały na celu jedynie utrzymanie
nas przy nadziei i tym samym wybić nam
z głowy wszelkich złych myśli!

Nie pozostało też nam nic in-
nego, jak oczekiwanie wiary, gdyż dopiero
ona mogła zmienić sytuację. Uchylił też
plotki o zrytkim wyjeździe, co nie znaczy,
że poniechalibyśmy i rozmów o nim. Gazety
bowiem przynosiły nam wieści, jak to jest
cy Niemieccy mają wnet wrócić do kraju,
a nawet jak już wracają, dawały one rów-
nież wyraz swemu oburzeniu, że w innych
krajach przed naturalnie Kosji istnieje
jeszcze niewolnictwo. Pierwsze wieści bu-
dziły w nas łatwo zrozumiałe rozgorzce-
nie, że niedawnych wrogów już się puszcza,
a nas przyjaćci się trzyma, drugie zaś
jedynie śmiech pały!

Dopiero wieści o amnestii w
Polsce, a następnie wizyta Cyrankiewicz
w Lutym 1947 w Moskwie przemonaly nas,
że jednak o nas w kraju myślą, to też ha-
rometr na wyjazd znacznie podkoczył. Ko-
mentowaliśmy jednak użyte w gazetach wy-
rażenia "w jak najkrótszym czasie" "znowu
i to, co liczyliśmy na wygodnie, trwato w
rzeczywistości mieszając.
W każdym razie coraz więcej
było pomyslnych jaskółek "wiosny" dla nas.
Nie mam przy tym na myśli badania nas bu-
stwa, które nigdy nie zaprzestało nas bu-
jąc, by jak najwięcej zmocnić naszą wy-
dajność w pracy, czy też gości z zewnątrz,
którzy również wzywali nas do ostatnie-
go wysiłku, by opinie, jakie podjęli z nami
do kraju, były odpowiednie.
Zwiększona troska o nasze utra-

I kto wie, czy istotnie nie
istniał taki zamiar, skoro gdzieś w listo-
padzie wywołano kilkunastu i z dawny wy-
stano ich do innego obozu, skąd po mieśią-
cu odjechali faktycznie do kraju. Zasad-
niczej jednak grupy nie ruszono, a jedynie
wysłano jeszcze gdzieś ca 90 chorych ze
szpitala, "kuda jednak nie znają!"

Ostatni dzień grudnia 1945 zno-
wu wzbudził w nas nadzieję na rychły trans-
port. Tym razem znawcy już wiedzieli, że z
braku wagonów wyśle drobne grupki oobo-
wymy docierając gdzieś na pokładowo-za-
chodni skraj Uralsu, już na granicy Sybe-
rii. Nie okazali się przy tym fałszywym
prorokami, gdyż około 10 stycznia odszedł
pierwszy transport, którym następnie i tak
poprzez Krućkę i Kostokuchową dostali-
śmy się wreszcie do Reza, który miał już
być napewno naszym ostatnim obozem zbior-
czym, przywracającym nam siły i zdrowie,
żeby nie potrzebowali się nas wstydzić
w Polsce.

Przyjęty tak tydzień po tygod-
niu w oczekiwaniu na wyjazd. Tak drobny
fakt, że brygady roboty nie wróciły na
obiad, a mają pracować do późno, wyśtar-
zał do zrodzenia plotki, że ma to zwią-
zek z wyjazdem, gdyż faktycznie chodziło
o terminowe wykonanie robot wojskowych.
Latem nasze nadzieje na rych-
ły wyjazd zmalały zupełnie, gdy najzdrow-
szych wzięto do Aktonaj do szachty mimo
solennych uprzednich zapewnien, że to
nie nastąpi. Dopiero jednak gdy pod ko-
niec października 1946 nastąpiła nowa
fala z innych obozów, a nas przetrzucano
do Samocwietu, przekonaliśmy się, że wszy-

poważnie mierz zaniepokoiła, bo komplikowała ona sytuację polityczną w kraju, co mogło mieć poważne reperkusje w stosunku do nas. W ten sposób wszystko odbijało się na naszej biednej skórze. Na szczęście sprawdźcie się przyszkolcie: wszystko dobre, co się dobrze kończy!

nia i potrzeby, jak i zamykanie oka na dyscyplinę obozową - były przejawami poważnego zamiaru wywiązania się z zawartą z rządami polskim umową.

Najpierw zresztą przyszedła kolej na Węgrów, którzy z chwilą podpisania traktatu pokojowego już w lutym wyjechali, po nich gdzieś w maju wyruszyło 3 Białorusinów już jako cywile, latem odesparowano od nas Ukraińców, a we wrześniu opuścilo nas i dwóch Włochów. Jedynie w stosunku do nas to "skoro" nie nadchodziło, a tymczasem zbliżała się już groźba zimy!

Nawet wtedy, gdy już nas przetrano do wyjazdu, zdawało się, że wszystko obróci się w gruzy, gdy po paru dniach kazano nam przebrać się w stare rzeczy i iść do pracy! To chwilowy brak wagonów tak nam strachu wówczas napędził. Wreszcie jednak one nadeszły, a za nim i ten najpóźniejszy moment przejścia przez ucho igrzeliwe w postaci ostatniej rewizji na przychodnięj.

I rzeczywiście katwiej było wielbłądowi przejeżdżać przez ucho, aniżeli nam się przedostać przez palce NKWD! Ja wśród tych wszystkich plotek i domysłów nigdy nie traciłem nadziei,

że dzień wolności do nas zawita, a jego nadejście zależne jest wyłącznie od stosunków politycznych i międzynarodowych. Kiedyśmy też dowiedzieli się o powrocie do kraju armii Andersa, zwiększyły się nadzieje. Gdy tylko jego sprawa nas tutaj trzymała. Pylismy bowiem jednym z atutów w ogólnej rozgrywce przy zielonym stole. "Puscicie tamtych - puscimy i my". Z kolei ucieczka Mikojajczyka z Polski

Nieco o faunie obozowej.

Gwoli nieodstraszania ewentualnego czytelnika taki niewinny tytuł dałem temu rozdziałowi zamiast pierwotnie zamierzonego "traktatu o pluskwach, wszach i t. p. pasożytach, jak również z tego samego powodu odstąpiłem od umieszczenia na wstępie sparatyzowanego motto Maruszynaściego "Za dobrze jest czkowiłkowi na wście-rzekę Pan-i stworzył... pluskwę!"

Bo o niej przede wszystkim będzie tu mowa jako o tej przedstawicielce fauny, która najbardziej data nam się we znaki przez cały prawie okres pobytu. Kto też jest na nią uczulony, lepiej niech dalej nie czyta!

Moje pierwsze zetknięcie się z żywą pluskwą-zresztą narazie z jedną-nastąpiło dopiero w osiemnastym roku w I. klasie na lekcyjach przyrody, lecz nie dowiedziałem, co odpowiedziałem czwór-ki u prof. Dżezpolskiego i-co gorzej-utrącił jego zaufanie. Ja ogłuchniałem przy-tem nie higieny domowej, hanbę jednak, jeżeli chodziło o ówczesną plinność.

Choć zatyłem na tym polu byłem niedoświadczony, to jednak odrazu scep-tycznie ustosunkowałem się do twierdzeń kol. Moszkowicza co do podziału pluskw na kilka ras czy szczepów. Twierdzenia te, oparte na czyżo wizuálnych i przez

to zbyt powierzchnowych prze-

skankach, przmiały:
 1/ pluskiewce o barwie brązowej
 2/ wrzeczionowate o tym samym zabarwieniu i kształtu jak pierwsze, lecz kolorem bia-łego".

Moje pierwsze badania i obserwa-cje w tej dziedzinie dostarczyły mi tyle materiału, że pozwoliły mi obalić to dyle-tanckie twierdzenie, a ponadto jeszcze sprostać wiele istniejących na tym po-lu przesądów i tym samym dołożyć materiału cegiełkę do tego gmachu wiedzy. Jako czło-wiek skromny muszę odrazu się przyznać, że nie zgłębiłem wiedzy skoniła mnie do po-święcenia wielu nocnych godzin na zbada-nie tej dziwniej parazytologii, a dopiero-temu niemożność spokojnego spoczywania w objęciach Morfeusza z ich własnie powodu.

Wyniki moich obserwacji można sprowadzić do następujących twierdzeń:

Istniat-przynajmniej u nas-jeden tylko gatunek pluskw, a ich różny wykład zależy jedynie od wieku wzmian-d-nej stam odżywienia. Należy pluskw, wiel-kości różni od szpilki, to "dziewice", które nie zakosztowały jeszcze kwi ludz-kiej, a tym samym nie posiadają w sobie jej barwika. Pozostate zaś dwa rzekome gatunki-według klasyfikacji kol. Moszko-wicza-to podrostu środne i nasycione, opi-te krwią ludzką aż do granic wytrzymało-sci ich zewnętrznej powłoki.

Leż to ja godzin powiększilem obserwacji, a równocześnie walcę z tymi-rcj z bóly byłem skazany na straconą klęskę z powodu liczebności przeciwnika.

Jak często z twarzą, spazmową wyrazem mściwości i dzikiego okrucieństwa, pocenjkowaną jak oblicze czerwono-skąrego, zgnajdującego się na ścieżce wojennej, dusikiem całym zetkami wyruszący - ce na wyprawę pluskwy, maszerujące po deskach i słupkach przycz. Z jaką prawdziwie sadyrystyczną rozkoszą, podążoną ze wstrętem, rozgniatatem je, nie zwężając na to, że krew z nich tryska mi na twarz czy ręce, upodabniają mnie do wspomnianego już Indianina. Bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia niszczyłem ich setki podczas przerw we śnie, zakuając tyłko, że brak szkieł czy światła utrudnia mi łowanie, umożliwiając niekiedy ucieczkę przed mną zemią!

Nie wszystkie zresztą obawy cieszyły się //i// jednakową ilością tych paszytów. Kiedy w pierwszych obozie, dopiero niedawno postawionym, dzięki porze zimowej mieliśmy "przyjemność" oglądać jedynie ich pojedyncze egzemplarze, spacerując po ścianach, to już w kospaszu stały się one prawdziwym problemem. Wtedy też poznaliśmy ich posyjską nazwę "krapy", która kojarzyła się w mym umyśle z krami jakichs dziłich potworów i sama w sobie już wywoływała niemiłe dreszcze.

Początki mej walki z niemi celchowała jeszcze, że tak powiem, niemiłość i dżentelmeńskie metody, jak postugiwanie się przy ich duszeniu petyczkaniem czy też kubkiem z wodą do ich topienia. Dziełki zresztą surowemu zakazowi zabijać nich na ścianie - by nie plamie śnieżnej jej białości/co równoznaczne było z

urządową ich ochroną/-walka z nimi były wtedy dość trudna, zwłaszcza że nie miało się wtedy jeszcze był zbyt duży. Trzazu zresztą sytuacja nie była jeszcze tak alarmująca, a dopiero w miarę podwyższania się temperatury zwiększała się katastrofalinie ich liczba, aż w końcu doszło do tego, że musieliśmy przed nimi kapitulować i rejtrować z zajmowanymi miejsc w poszukiwaniu innych, młej narazonych na ataki wrógów. Najlepszą jeszcze była podłoga, która zmęczonych po nieprzespanej nocy mitotnie przytulala do siebie aż do chwili, kiedy rozpozczynako się codziennie jej męsto.

W tym czasie, jak już wspomnieliśmy, było w polowym ławku, ławki i ławki - tu. Stąd też najintensywniej pożądana była praca na II zmiianie, gdyż z niej wkładnie wracała się już pod koniec nocy, a tym samym unikano się walki z pluskwami, owadami wybitnie nocnymi.

W miarę ochładzania się temperatury, zmniejszała się i aktywność i liczba naszych wrógów, to też odym w październiku 1945 wrócił do szpitala, można już rejtrować z przycz.

Obojętne opisanej już indywidualnej obrony czynnej i biernej "praznikiem" brano i zbiorową czynną, zwana "praznikiem". Polegała ona na rozbićciu nar i zanurzeniu desek we wrzącej wodzie, specjalnie na ten cel przygotowanej. Skuteczność tej walki zależała od właściwej temperatury wody, a ta niestety zwykle była za niska. Już większe rezultaty przynosiło zmywanie

popelnienia przestępstwa. Co
za rozkosz opanowywała wtedy człowieka,
gdym udało się takie opite kwinty
schwytać w palce czy wprost na ciele
zlincozować! Zaspokojona żędra zemsta po-
zwalała wówczas zapomnieć o wstrętnym
zapachu!

In ten miatem możność przeko-
nania się o niesłuszności twierdzenia,
jakoby pluskowy uciekały od światła. Przy-
najmniej tamtejszeby żadnej żenady czy
obawy spacerowały sobie ona no nas bez
względu na to, czy światło się paliło czy
nie. Jedynie w dzień przerywały one
tylko ze względu na nasycenie się we-
właściwej porze, a nie ze względu na to-
tofobie. Jednym też tu ratunkiem było
ucieczka na niższe przyce, bo żył niski
temperatura nie pozwałała na korzystanie
z podłogi. Na parterze jeszcze można było
jako tako wytrzymać z uwagi na różnicę
temperatury między tą kondygnacją, a I.
piętrem, mogła dochodzić do 20°. Z dwój-
ga rzeczy wolalem jednak trochę marznąć,
aniżeli być zmuszonym do sterczenia z go-
ry przeznaczonych na niepowodzenie bojow-
ny. Naucony dozwiedzeniem, na do-
staniu się do baraku roboczego nie pcha-
łem się na górne przyce /gdzie przestę-
nie było już miejsca/, a zadawałem się
dolej, gdzie naujące zimno paraliżowało
w znacznym stopniu ruchliwość mych nie-
przyjaciółek. Nie można było się zresztą
dzwić ich niemiawości, skoro i w moich
złych wówczas krew zamarzła! Jednak i
tutaj zdarzały się desperacki, dla których
uczucie głodu było silniejsze od uczucia
zimna i pędziło je na wyprawę do zycio-

nie desek wodą z dodatkiem so-
dy kaustycznej. W dniu prania musiał-
śmy swe ławy i piernaty wynosić na kory-
taz i marznąć w oczekiwaniu na koniec
całej akcji. Nie narzekaliśmy na to, gdyż
przez kilka, a nawet kilkanaście dni mie-
liśmy względny spokój ze strony naszych
wrogów i mogliśmy stracone godziwy snu
odspać.

Wszystkie jednak te tysiące
pluskwiew były niczym wobec milionów, ja-
kie gniezdziły się w szpuntowanych, nie-
tynkowanych ścianach szpitala w Jajwie.
Tu dopiero byliśmy zmuszeni staczać
prawdziwe szytówce boje z naszymi dre-
czycielami. Jedynie dzięki temu, że watan-
ki higieniczne były tu najgorsze i w prze-
ciwnieństwie do innych szpitali musiał-
z nas wszystkiej kwi, co przy spaniu w
bieliznie niewątpliwie by nastąpiło z
uwagi na ten los. Za to, gdy jakas dosta-
ła się już za koszulę, ile trzeba się by-
ko namęczyć, ty ją schwyć i poskac w
gład za tysiącami jej poprzedniczek!
I tu dokonalem ciekawego spo-
strzeżenia, jeżeli chodzi o zachowanie się
poszczególnych okazów. Jak może nie wazy-
stkim /co za szczęście! / wiadomo, ukąsze-
nie pluskwy nie odrzuca się odczuć,
a dopiero po chwili i na tym właśnie po-
lega trudność jej schwymania in flagran-
ti. W chwili bowiem, gdy czuje się ukąsze-
nie, już jej w danym miejscu niema, a i
jej ruchów się nie czuje. Czasami jednak
kę albo też samo ukąście i wtedy udawato
się ją schwyć na lub niedaleko miejsca

dajny napój. W każdym razie, powtarzam, sytuacja była tu jeszcze możliwa do zniesienia. Dopiero gdy wzrastała góra, beznadziejna wojna zaczęła się na nowo. Nie krępowaniem się już wtedy względami na czystość ścien, tylko trudem, duszkiem, miazdzykiem pluskwami setkami, nie zważając na to, że pod krwawymi plamami powoli znikła naturalny kolor tworzących ściany desek.

Udręka moja skończyła się dopiero z chwilą opuszczenia dajny. Dwa godziny następane obozy-Kruticha i Kostoku-pobawione były tego plugastwa, może dla tego, że wygrzyzły je wazy, które w każdym razie nie pozabawiły nas tylu krwi, co tamte insekty. Również w Rezu z początku nie mieliśmy z nimi w roboczym baraku nic do czynienia, a dopiero po wym powrocie ze szpitala zaczęły one występować, zresztą w znosnych jeszcze ilościach.

Za to w szpitalu wetowały sobie one niepowodzenia u roboczych, zmuszając do ponownej ucieczki na niższy poziom, i pozostawiając nas z kolei na pastwę nie mniej krwiożerczych komarów. Tak to biedny wpadał z deszczu pod ryne! Kiedy sytuacja stała się już niemożliwą do zniesienia, naczałstwo zdecydowało się na zbiorową obronę czynną, mając ku temu nieco lepsze środki, niż Kłanowicie za bania stak na Kospaszu.

Kłanowicie za bania stak na odpowiednim podmurowaniu obrzumi żelazny kocioł o średnicy ca 1,5 metra, który napełniako się wodą i po jej zagotowaniu

zauważano się zniesione uprzednio przyce. Ze względu na odpowiednią temperaturę wody operacja ta była nagół skuteczna i dawała nam spokój na kilka tygodni. Widocznie jednak nie niszczyła ona jaj, względnie niedobitki przetrwały większą rozrodzoność, gdyż po tym czasie nowe pokolenia pluskw dochodziły nie tyle do głośności, ile do żeru, zmuszając do powtórzenia operacji. Obrzydzenie człowieka wzrost brzo na widok gęstawy, brunatnej cieczy, wypełniającej kocioł po takiej kąpiel, w której ginęły bez przesady miliony pluskw!

W najbrudniejszym-zwłaszcza raz po naszym przylyciu-ostatnim obozie tj. w Samowicie sytuacja "pluskowa" powinna być-wydawato się-również najgorzszą, a tymczasem ku naszej wielkiej radości, nie była ona wcale gorsza niż w Rezu, być może dzięki mrozom. Spotkaniem się z nimi w niewielkim zresztą rozmiarze w czasie mej służby w szpitalu. Hatomiasz kiedyś we wrzemu dostał się do drugiego baraku, gdzie urzędno mieściło się O.K., zagnadnienie to znów stało się piekące w dostojnym tego słowa znaczeniu. Znowu zaczęły hucze z nimi utarczki, znowu ich setki ginęły bez widocznego zresztą ubytku. Już dekret nad tą gwałtowną zacięty przybić jedyną czerną barwą. Już szmatka rozkładana pod głową celem łatwiejszego ich łpienia coraz więcej upodabniala się do zlanego krwi bandaża, gdy przeniesienie mnie do baru do baraku szachciarskiego uwolniło mnie zupełnie od tej plagii egipskiej. Miał, choć spoczywaniem na gołnej przyce, może spać narazicie spokojnie bez potrzeby ustawicznego zrywania się,

Leżę, spadły na niego, uni-
 kaję tym samym mozołno strzbania się
 po ubraniu. A choć czuło się tylko te,
 które spadły na nieostojnięte części cia-
 ła, niewątpliwie padały i na inne; odwie-
 ny posąd byłby dla nich zbyt pochlebny.
 Jako przystający im styl niską inteli-
 gencję. Za tym ostrożnym wiotkiem prze-
 mawia i fakt, że okrycie się płaszczem
 czy przesłonięciem nie na długo chroni-
 ło mnie przed ich atakami.
 Nie dość na tym: wypadku gro-
 żącego niebezpieczeństwa, gdy zdołało ta-
 kie byłoby uniknąć pierwszego mego ataku,
 a dalsza ucieczka po ścianie nie rokowa-
 ła wiele szans, przeciwnieżka ratowała
 się w ten sposób, że oddalała się od ścia-
 ny na kilkanaście centymetrów, spadając
 dzięki temu na podłogę, co równieznaczne
 było z ocaleniem.
 Tak to przedstawiały się wza-
 jemne walki i fortelle, wykorzystywane
 przez obie strony dla utrzymania życia
 czy też poprawy snu. Zostawmy jednak te
 tak niegodne sławy stworzenia, a przejdź-
 my z kolei do innych, mniej może krwiozer-
 cnych, ale za to niebezpieczniejszych ry-
 walek tj. wazy.
 Pierwszą i zarazem najgroź-
 z nimi znajomość zawarłem w czasie jazdy
 na Ural. Pojawily się po kilku dniach do-
 bytu w wagonie, przeszedłszy na mnie od-
 Czernomorcow, szczególnie hojnie nim ob-
 sypanych przez naturę. Polowanie na nie
 urządziłem od samego początku i to po-
 kilka razy dziennie, zabijając ich za ka-
 dym razem po kilkadziesiąt, bez widoczne-
 go zmniejszenia ich ubytku. Za mną poszli i
 inni. Tymczasem, jak jeden z nich widząc me

by u mnie każę po twarzy czy
 szyi pluskwę.
 I na tym skończyły się moje z
 nimi homeryckie boje!
 Gdyby się mnie kto zapytał, ja-
 kie były najgorsze, otrzymaby paradok-
 salną odpowiedź, że czym mądrzejsze, tym gor-
 sze! Ukąszenie bowiem tak duże, jak i
 mądry byłoby, jednakowo bolesne, natomiast
 schwylenie mądry znaczenie trudniejsze ze
 względu właśnie na jej znikome wymiary.
 Próby polowania na takie konczyły się
 zwykle ich zduszeniem, zwłaszcza że nie
 chronił ich jeszcze chitonowy pancerz,
 przybijający w miarę dorastania. Takie zas
 zduszenie pozostawiało mnie satysfakcji,
 jaką dawała wiadomość zemsty!
 Skuteczne polowanie upewniało
 mnie co do słuszności powiedzenia, że
 "zemsta jest rozkoszą bogów", czasem jed-
 nak i ludzi.
 Lecz dość już o martwych plus-
 kwach, poświęć trzeba parę zdań i ży-
 wym, a w szczególności ich zwycięzcom i ogar-
 nika, kiedy po dokładnym zdawkobym się
 wzblić wszystkim każącym po podkopyw-
 ku pluskwę, czowiek przychodził do-
 zmezoną krowę i znowu czuł poruszenie
 ce się krwiopijki. Drugo pozostawało dla
 zagadką, skąd one się biorą, za dopiero
 dokładniejsza obserwacja pozwoliła mi
 ją rozwiązać, co zresztą w niczym nie po-
 łączyło moich szans w walce z nimi.
 Mianowicie wykazyły one na
 górne deski czy sufit i kierując się nad-
 dołnie całą ciepłą, unoszącą się nad

W Kospaszu prazarka byla dosc
 mozliwa, pozwalajaca na uzyskiwanie tem-
 peratury ponad 110°. Timo to jednak sam
 bytem gwiazdkiem, jak pomimo takiej ciep-
 loty po 1/2 godzinym trzymaniu odzieży
 w komorze żywa wesz spacerowaka sobie
 spokojnie po lulajace. Obecny przy tym le-
 karz zarządził ponowne przeniecie, lecz nie
 wzmocniło to naszej zachwianej już wia-
 ry w skuteczność takich zabiegów.
 O zupełnym zresztą wyśpieniu
 wszy nie mogło być mowy nie tylko dlatego,
 że kontrola była zbyt mała i zawsze zna-
 leżli się niechlujcy, którym nie chciało
 się iść do prazarki. Trzeba zresztą przy-
 znać, że sama jej procedura wymaga pew-
 nego zaparcia się, gdy np. kolej na daną
 brykadę przychodzi w nocy lub nawet nad
 ranem.
 Jedynie też w szpitalu dzięki
 czuwającemu nad tym Hofmanowi otwóży-
 wano częste przeniecie, w razie już tym
 było gorzej. Timo to nie było jeszcze i
 tam tak źle, skoro kiedyś Hofman, prze-
 tując wesz do narysowania obrazka, prze-
 znaczonego do walki z tymi pasozytami,
 musiał dopiero rozłożyć konkursa na jej
 dostawę, wynaczając jako nagrodę 200 gr
 chleba. Otrzymał ją ktoś, który twierdził,
 że znalazł ją dopiero w ruskiej rocie.
 W jejwie mimo braku wody do
 mycia i spania w ubraniach jakoś nie
 można było narzekać na wszy, może dla
 tego, że pozarty je pluskwy!
 W czasie podróży do Krułichy
 miatem nieszczerze spać z jednym wesa-
 rzem, od którego też odziedziczyłem spory

polowania, najpierw bardzo się
 dziwił, że "Taki człowiek, a ma wszy" / jakby
 to przedstawiciele mego zawodu byli nie-
 tykani! /, a po paru dniach już się sam
 musiał iskać.
 Wśród tych pasozytów znajdowa-
 ły się wszystkie ich gatunki: głowowe - zół-
 te, których ukąszenie paliło jak ogień, a
 głównym polem ich dzierania była głowa
 aż do koźnierza; odzieżowe - szare i najwięk-
 sze oraz konowe - białe. Choć dawały mi się
 one wszystkie porządnie we znaki, zmusza-
 jąc do ustawicznego drapania się, to imni
 byli jeszcze gorzej nimi dotknięci. Prze-
 konam się o tym w bani mokotowskiej,
 zobaczywszy u niektórych na pierśiach
 czy plecach otwarte rany, pochodzące od
 ustawicznego drapania się.
 Z jaką też rozkoszą pozbyliśmy
 się ich w tamtej prazarce, naprawdę bar-
 dzo skutecznej. Stało się to możliwe nie
 tylko dzięki samemu umyciu się, ale i
 ścięciu wszystkich włosów, co zresztą
 jeszcze bardziej upodobniło nas do nie-
 wołników.
 W parę dni później dodatkowe
 odwienie w XVII obozie uwołniło nas do
 reszty od nielicznych niedobitków czy
 też nowych przybyszów. Tamtejszą banie
 obskugiwaly dwie kobiety, podobne raczej
 do kosciotrupów. Z grozą słuchaliśmy ich
 opowiadań, że otrzymaly po 10 lat więzie-
 nia za uchylanie się od pracy w nakaza-
 nym miejscu względnie za ucieczkę. Nie
 chcieliśmy zrazu im wierzyć, później jed-
 nak przekonaliśmy się, że nieśwety wypad-
 ki takie / naturalnie kar, a nie uchylan
 się /, nie były wcale odosobnione.

narybek, którego poztyłem się dopiero w obozie i to częściowo. Tutaj też sytuacja na polu waszowym przedstawiała się najgorzej: już po kilkudniowym pobycie wszy zaczęły się rozmnażać mimo coziennych "powierek". Już nieco lepiej było w Kostotuchowej, czemu winość wie należałoby się dziwić z uwagi na brak prężarki, której funkcje spełniały zamprowowane ad hoc beczki, w które pakowano rzeczy i podgrzewano znajdującą się na dnie wodę.

Najlepsze stosunki higieniczne panowały w Rezu, gdzie prężenie odbywało się nie raz na miesiąc, jak poprzednio, lecz co tydzień. Z tego też względu naorki byliśmy wolni od tej plagi, zwłaszcz- cza, że poza tym i w ciągu tygodnia urządzano urzędowe powierki waszowe. Kiedy raz przy takim przeglądzie znalezione u kilku wszy-wymieniono nam zaraz dwie linie.

Tutaj też prężarka była urządzona na skale europejską, z wysuwanymi wózkami i dwiema izbami, uniemożliwiającymi w zasadzie przenoszenie wszy. Miśnowicie rozbiłarą się w jednej izbie, wieszako się odzież na odpowiednich hangach i oddawano je bieżącym, którzy zawieszali je na wózkach, wsuwanych następnie do komór. Pod żelazną szel. cęglaną ich podogą palił się ustawicznie ogień, dający odpowiednią temperaturę. Z tej izby przechodziło się po urządzeniu ostrzyżeniu przez fryzjera, do drugiej izby z kawatkiem mydła. Do mycia służyły odpowiednie korytka drewniane, w których nabierako się wody ciepłej lub zimnej - kranów i myto się dowoli. To jakiej

pod gładznie przechodziło się z tej łani do dalszej izby, gdzie wypychano wózki z wyprzonymi już rzeżami i czpówek się ubierał, wymieniwszy jeszcze koszulę, jeżeli akurat były czyste.

W Samowiecie stosunki też naogół były możliwe, choć jedno prężenie natomiast było stanowczo za mało. Udziałem to szczególnie wtedy, gdy po wyjściu z szachty-mustatem się zmięknęło na utranie z Gochzarowem, poprzednim bieżącym. Zgodnie z przystawą, że "szewc bosó cho-dzi", ten niechaj przekażat mi swe ubranie z wazami, choć miał przecież sposobność pozbyć się ich kilka razy tygodniowo. Ponieważ akurat było to kilka dni po prężenie, musiałem przemyczyć się prawie miesiąc, nim mogłem się ich pozbyć.

W tym też obozie miałem sposobność dokonania ciekawego odkrycia. Miano-wicie kiedyś zjadł kilka grówek czosnku, użyskanego jako honorarium za chitoman-ctwo, anostreżem, że moja dotychczasowa trzódka opuściła moje goćcine ciato, widocznie nie znosząc zapachu tej rośliny. Nie miałem już możliwości ponownego przeprowadzenia eksperymentów, potwierdzających me spostrzeżenie, w każdym razie poczuwam się do obowiązkowu zwrócenia na to uwagi ewentualnym badaczom.

Już w czasie powrotnego transportu mimo wieżek wielozu natrafiliłem na pojedyncze okazy tych stworzeń, zdosta-łem je jednak szczelnie wyłupić i poostatej prężare w Przeszciu przybyłem na ojezyny łono bez tych "peret kózch".

Na tym wyzerpiałym temat pasoz-żytniczy. Z innymi bowiem przedstawicie-łami fauny, zaliczanymi do tego samego

gatunku, jak pełki i t.p., nie

miękam na szczęście styczeńności. Niektórzy

co prawda byli ofiarami żarłoczności szczu-

row, które, zdychając z głodu w kuchni, wo-

kały po rotach szukać pożywienia i rzu-

cały się na chleb czy nawet mydło. Trzy

tym ostatnim artykule należy bezstronnie

zaznaczyć, że część strat należało przy-

piśać nie szcukrom, lecz dwunożnym amato-

rom cudzej własności.

Te gryzonie zresztą żyły z na-

mi w zupełnej zgodzie, nie wahaając się w

jasny dzień biegać po sali. Jedynie w

ostatnich dniach mego pobytu w Samowie-

cie obciążyłem swe sumienie zabiciem

dwóch z ich rodu, odkrytych przy rozbie-

ranu starej świniarni. Nie zapomniałem się

zresztą nad nimi, jak to czynił konwój,

który próbował im wypalić oczy prądem

polanem względnie je przebić, a poprostu

zabiłem kopatą, przysalając na koniec

ziemią.

Ogólnego do nich otrzydzenia

nie podzielił jedynie serb, który miał

podobno porzec na surowo według jednych

szcursa, a według innych mysz. W każdym

razie na fakcie pożerania jakiegob zwie-

rzęcia przychwycili go OK-ery i nawet

doniesli o tym lekarzowi. Była to zresz-

tą kreatura conajmniej anormalna, jeśli

nie zwyródniła, o czym świadczy nie tyl-

ko wspomniany fakt, lecz również i to,

że kiedyś przychwycono go na picciu wias-

nego moczu. Jeśli pierwszy fakt można

jeszcze pokazać na karb głodu-choć prze-

cież mniej od innych nie jadł-to drugi

już naprawdę należy przypisać złozeniu.

Rzecz prosta, że innym apetytniejszym

rzeczom, jak pokrzywa czy inne

rodliny, nigdy nie darował, obżerając się

nimi, jakby nic innego nie dostawał.

lecz czas już skończyć z tym

od początku do końca obrzydliwym tema-

tem, tak jednak ważnym ze względu na rolę,

jaką odgrywał w naszym życiu obozowym,

zarówno ze względu na dokuczliwość obi-

sanym w nim przedstawicielom fauny, jak

i związane z nimi niebezpieczeństwo dla

zdrowia, którego nie szczęście jakoś uni-

knęliśmy.

Łuchowej było ich kilkanaście na lekarstwo, a dopiero Reż dał nam okazję do bliźszego z nimi zetknięcia.

Było ich tu kilkadziesiąt w wieku od 15-60 lat, większość naturalnie w szpitalu. Miły dla siebie osobny czwórbaraku, odizolowane od innych, gdzie prowadzili swe gospodarstwo - Z przedstawicielkami tej grupy spotkałem się po raz pierwszy w czasie choroby, a w szczególności z dwiema, Anielcią i Hanką o niepełnych mi już nazwiskach.

Pierwsza, zdaje się officer AK, bezierna, o budowie męskiej, w wieku około 27 lat, jako kobieta była zupełnie nie poręczająca, natomiast jako człowiek przedstawiała może największą wartość. Może właśnie dzięki swemu wyglądowi nie była przedmiotem adorcji ze strony męzczyzn i prawdopodobnie już w czasie okupacji prowadziła z konieczności asceetyczny tryb życia, kontynuując go i w obozie po niewoli. W czasie naszych podróży od pracy opowiadała mi ciekawe szczegóły ze swych awanturnych przeżyć okupacyjnych.

Drużna, rzekomo rozwódka po jakimś SS-łamanie, była owszem, owszem, to też cięszka się nawet dużym powodzeniem. Agystował jej zwłaszcza przytylak i przez pewien czas tworzyła nierozłączną parę. Rzecz jasna, że nie poprzedzawali oni tylko na stosunkach wyjątkowej toniczności, lecz to już nikogo nie obchodziło. Inne również miały swych "przydupników" i naturalnie skutki ich działań dobiegły już dobiegły musiał się

I Flora była wśród nas.....

XXXV.

Bardzo mi przykro, że muszę kobietom odebrać liżę, jakoby zawsze i wszędzie odgrywały wielką rolę w życiu mężczyzn. Napewno te, które musiały w nie których obozach, jak np. w Reju, dzielić z nami wspólny los, przekomarły się na własnej skórze, jak niekuznie przypisywały sobie wielki wkryw na nasz ród. Jeśli bowiem chodzi o ogromną większość nas w sztykach, to muszę stanowczo stwierdzić, że zadanie pięci drugiej i związane z nią zadanie zupełnie dla nas nie istnieje. "Inter tamem silet sexus" - można powiedzieć, paratrącające znane powiedzenie!

A przecież nie byliśmy zupełnie od nich izolowani. Wprawdzie w Kospaszu ich wśród nas nie było, ale za to w Reju kilkadziesiąt i to nie tylko starych i trzyletnich; było i kilka takich, na które w normalnych warunkach napewno by się zwrócić uwagę!

Leż znowu trzeta zaczął ab ovo. W przytęku było ich zaje się kilka nasie, już starszych, to też zupełnie niegodnych uwagi i przypuszczam, że wtedy też nikt na nie nie patrzył. W czasie transportu widywaliśmy je tylko przez lotnie w czasie roznoszenia posiłków, później zaś zniknęły nam z oczu, gdyż pozostały wraz z chorymi w Bastaj. Spotkaliśmy się z nimi /czyteż z innymi/ dopiero w dawie, gdzie jednak nie miałem możliwości /i chęci/ bliższego się z nimi zetknięcia. Również w Kosto-

ujawnić. W rezultacie też w czasie pobytu w tym obozie zakochał się o dwa czy trzy noworodki, zwiększyła się o dwa czy trzy noworodki, co napewno przysporzyło dużo kłopotu naszym władzom, nie wiedzącym, czy uznać je za fałszywów, czy też za stroniaków demokracji?

Pod względem żywotnościowym nie było z nimi trudności, gdyż chleba otrzymywali ci nowi obywatela po 100 gramów już od chwili swego urodzenia.

Już w roku mieliśmy sposobność wspólnej pracy z grupą kobiet, jednak i wtedy swe kontakty z nimi ograniczyłem do zamiany kilku słów z niejakią Franją, która widocznie odczuła zaszczepiła ją spotkać i zrewanżowała się raz za to odstępniem kolejącej zupy.

Otrzymywały one te same racje żywotnościowe co my, a poza tym jeszcze różnie nieoptymalne dodatki od swych wielkocieli, to też normalne porcje były dla nich często zbyt obfite i odstępowały je swym znajomym. Czasem aż obrzydzenie brało człowieka na widok różnych gości, siedzących jak sępy przy sąsiednich stołach i czyhających na okrucy ze stołu pani!

W każdym razie dzięki tym towaryszkom niedoli frekwencja na niedzielnych potanówkach w tym obozie urządzanych była zapewniona, a nawet nie brała kto takich-zwłaszcza wśród Funkcyjnych którzy jeszcze mieli nie tylko ochotę, ale i siły na tańce z nimi. Kównia i teatr dzięki nim nabierał atrakcyjności, gdyż była wśród nich i jakaś artystka warszawska!

We wręczniu przyszedł do nas nowy transport kilkunastu kobiet polskich zdaje się z Leningradu, które wybitnie różniły się od starszego kontyngentu. Już sam idwyląd wskazywał na pochodzenie z lenszych ster i jak się okazało, były to przeważnie nauczycielki z krakowskiego. Przy zbieraniu kartofli miatem sposobność porozmawiania z jedną studentką, nie na normalne obozowe tematy, to też czułem się jak odrodzony. Zachowanie ich również odpowiadało ich stanowisku społecznemu i jak się w toku rozmowy z nią dowiedziałem, podobnie kładziesięciu z nich tylko dwie popętniły "faux pas", przy czym tłumaczył je młody wieki!

W dzień naszego wyjazdu z Reza nadzedł nowy transport z różnych obozów, w tym wiele kobiet, jednak już nie mieliśmy okazji się spotkać. Tam to rzecz. Wiem tylko, że spotkało się tam to dziewczęstwo, zupełnie dotychczas o sobie nie wiedzące.

W Samowolce znów byłim wyjątkownie w swoim gronie, nie licząc naczelniczkę "sanczasit" i siostry. Dopiero latem przysiali do nas ca 20 sztuk niby dla pozrywki, lecz nie długo one u nas były. Dopiero też w czasie transportu przełotnie wpadały nam w oczy ich postacie.

Jeżeli chodzi o wygląd zewnętrzny, to naogół niczym się one od nas nie różniły. Te same futajki i spodnie szdobyły w czasie pracy, najwyżej z dodatkiem jakiegos szala czy swetr; natomiast w czasie wolnym przywdziewały one na siebie coś, co nialo przypominał szaty nie-

!...nie samym chlebem żyje człowiek....!

My enostowne czyjes będnę
 mniemanie, jakoby życie nasze spowodowało
 się do pracy, jedzenie i spania, muszę po-
 wiedzieć kilka zdań i o naszym życiu w-
 kach kulturalnych. Coś przecież musieli-
 my robić z przyszłością nam-zręczą
 tylko teoretycznie-omłotom Godzinami wol-
 nego czasu dziennie, jak i z "wychodnymi".
 Coż-zależało od niwera kulturalnego da-
 nej jednostki. Jedno odsyłał stracone
 przez pluskwy Godziny, inni gadali o je-
 dzeniu czy też organizowali sobie jakies
 "plecionki" czy temu podobne uzupełnie-
 nia obozowego "menu", inni wreszcie stara-
 li się o jakieś strawę i dla ducha. Na tym
 polu zresztą panowały bardzo różne wraun-
 ki: poczwszy od jednego na mieście egzem-
 plarza jakiegoś Lichej kasetki poprzez
 mniejsze i większe biblioteki aż do
 przedstawień kulturalnych!

W takim kółeczku, stricte sensu
 obozie pracy, nie czas było na "warcotni-
 wienie" wolnych hwił na jakieś tam za-
 jęcia umysłowe. Kartezek nie było żadnych,
 z wyjątkiem paru propagandowych broszur,
 na których uczyłem się znajomości alfa-
 betu rosyjskiego. Znajdujące się tam sza-
 chy, a później i damka, nie cieszyły się
 zbyt wielkim powodzeniem, chyba w szola-
 lu. Raz namówił mnie na szachy dr. Szmoje-
 dow, lecz erowolna klasa odebrała mi
 ochęć do dalszych gier. Młodnicy brida
 zrobili sobie jakieś karty z tektury,
 przez pewien czas spędniające swój poli,
 z którym czasem jednak wyłazył się zu-

wiedzie. W tym też stanie rze-
 czy nawet ich figury/nie mówiąc już o
 twarzach/ nie mogły podziwiać na nasze
 zmysły, zresztą całkownie ułpione. Dystro-
 fia bowiem do tego stopnia wyjątkowa
 nasze ciała, że nie byłismy zdolni do ja-
 kiejkolwiek męskiej reakcji i byśmy-przy-
 najmniej my przeciągcy!-mogli być czymś
 więcej, niż "bednarzami"!

Już bowiem erekcja uchodziła
 na nadzwyczajne zjawisko, godne rozmowy
 z kolegami, a coś dopiero mówić o polu-
 cji! Mnie samemu zdarzyła się ona przez
 cały czas najwyżej z 5-6 razy i to w
 okresach zupełnie wyjątkowych, tj. np. w
 szpitalu, inni i tą drogą nie mogliby
 się pochwalic. Zresztą trzeba przyznać,
 że tematy seksualne nigdy nie były przez
 nas poruszane, a jeżeli już do nich do-
 chodziło, to raczej ze względuw psycho-
 logicznych i abstrakcyjnych.

Jednym słowem kobiety dla nas
 w tych warunkach w ogóle nie potrzebowa-
 ły istnieć i wcale ich brak nie odczu-
 waliśmy, przynajmniej ja! Nie przypusz-
 czam, by ta abnegacja wywołana była czymś
 innym niż dystrofią, w szczególności
 jakimś dodatkami sady czy tym podobne,
 rzekomo dawanymi do pokarmu w więk-
 szych zbiorowiskach męskich. Dla tego
 też wszystkie opisy w literaturze sek-
 sualnej o rzekomej rozpuście w obozach
 mogą polegać na prawdzie, jeśli dotyczą
 obozów w innych krajach. Co do rosyjskich
 obozów z czystym gwarantem należy stwier-
 dzić, że wychowują one namych świętych
 i ascetów!

nie i skonczyły swój żywot.
 Jedynymi uczniami duchowymi były przez pewien czas wieczory czwartkowe, urządzane w "rozdatoczniej". Niestety, ja miałem możność wzięcia w nich udziału dopiero pod sam koniec /gdyż dowiedziałem się o nich za późno/, jednak i to dało mi dużo. Duszę tych zebrań, które z kłumastu zauranych osób, był mój Krawczyk, chodząca encyklopedia, który mógł równie ciekawie mówić o bombieratomowej, jak i o móżgu ludzkim i awiazdach. Pod względem literackim cenną siłą był Gubert, który dzięki swej dobrej pamięci i umiejętności opowiadania zapoznał nas z kilkoma utworami literackimi. S. Dubrzyński starał się nas zaznajomić z przepisami egzekucyjnymi, lecz zdaje się tylko ja jeden słuchałem jego bardzo ciekawie zresztą przedstawionego tematu, imi zaś ledwo tłumili ziewanie. Jakos go to jednak nie peszyło, gdy też Rus zaproponował wygłoszenie referatu o księgach wieczystych, gotów był to zrobić, na szczęście imi go przegłosowali. Po kilku opowiadaniach Klatisa i Holmana o partyzancie wieczory te nieistety uległy likwidacji, gdyż lekarzowi nie podobają się te polskie zebrańa.

Ja i dwa następne obozy nie dawały umysłowi okazji do jakiegos treningu, nie licząc tego, że w pierwszym obozie gdzies około 6 stycznia 1946 zaproponowano nam gratisowe oddanie jakiegos przedstawienia teatralnego. Poszedłem nań jedynie dla tego, żeby zobaczyć się raz w innym otoczeniu i zobaczyć u źródła te "sztukę rosyzską".

Grana była jakg gładnia sztuka z tańcami, z której nic nie rozumiałem i nie wiele widziałem z uwagi na brak okularów, a ponadto i kłumastostopniowy mroź panujący na dużej sali odbierał ochotę do oglądania przedstawienia z uwagą, gdyż wszystkie nasze myśli biegły ku ogazanym barakom. W rezultacie też stumiko to na zawsze w nas wszelkie cięgoty teatralne!

Dopiero Res pozwolił nam na uprawianie wszelkiego rodzaju rozrywek, tak fizycznych, jak i umysłowych i można by go nazwać uniwersytem w porównaniu z poprzednimi szkołkami.

Przedę wszystkim była tu biblioteka z paraset książkami, które na pierwszy rzut oka - wydawałoby się - zdadne były do wszechstronnej gimnastyki umysłowej. Niestety okazało się, że większość z nich to broszury propagandowe i to w kilku egzemplarzach. W każdym razie dla mnie, który z biegiem czasu opanowałem jako ta-ko drukowany język rosyzski, nie stanowiły one dla mnie chłizozczyzny i z dumą mogę powiedzieć, że nie było takiej, której bym nie przeczytał. Miałem bowiem pewne względy u bibliotekarza, Okonia, a ponadto w tym czasie dużo czasu.

Poza tym było i sporo egzemplarzy książek niemieckich, między nimi i tom Fausta i II tom Vernego "20.000 mil podmorskiej żeglugi". Naturalnie na te rzuciłem się w pierwszym rzędzie, choć drugą książkę udało mi się otrzymać po dość dużych trudach.

Przy czytaniu zbioru wierszy niejakiego Wernera wpadł mi w oko jeden

i wiołonzela. Dzieki niemu
tez powstala okolo 10-osobowa orkiestra,
stojaca wedlug mojej oceny na dobrym po-
ziwciu, nie ograniczajaca sie do wystapien
oficjalnych, ale probujaca nam umilic zy-
cie codzienne przy posilkach. Niesiety
okazalo sie to rzucaniem perek wrod
wieprzy, gdyz wiekszosc plcbu przyjeta
te wystepy z pogarda i niezadowoleniem
jako psujace im przyjemnosć jedzenia. Na
skutek tez bpdz ich interwencji bpdz tu
zbyt malych dodatkow ze strony kuchni,
po krótkim czasie orkiestra ta ograni-
czyła sie do cotygodniowych tancówek w
soboty czy niedziele.
Zespół teatralny opieral sie
na dwóch filarach: niejakiu Aleksym z bo-
dzi i wkodku Brozdowskiu /?/ z Warszawy.
Obaj brali niegdys czynny udzial w re-
wiach i temu podobnych imprezach, majac
ku temu odpowiednie zdolnosci tak alto-
skie, jak i reżyserkie. W rezultacie te-
przy pomocy kilku lepszych amatorow i
amatorów udalo im sie postawic teatr na
wcale dobrym poziomie. Ja niesiety mia-
tem sposobnosć nie wiecej jak dwa razy
ocenic ich talenty, gdyż jako roboczy nie
mogłem sobie pozwolic na utrate cennego
czasu wolnego na takie przedstawienia,
odbywajace sie w niedziele dopiero o
20-ej, to tez trzeba bylo rezygnowac z
ucmieschow Melpomny na korzysć ramion
Morteusza.

Oczywiscie wszystkie imprezy
odbywaly sie w jezyku polskim, co nie
przeszkadzalo uczestniczemu w nich i
innym, tak licznie reprezentowanym w Pozn-
aniu narodowosciom. Ich ciezgato nie ty-
le moze samo przedstawienie, ale odbywa-

wiersz z uwagi na swą aktual-
nosć w naszych stosunkach. Odniesakem go
sobie, lecz niesiety mi zainiqt, ale pierw-
sza zwrotka utrwalila mi sie w pamieci.
Oto ona:
"Stets mich bedrängende Frage,
Die aus dem Schlarf mich weckt,
Endlos ziehen sich Gestreckt
Die kommenden Tage..."
Autor, komunista niemiecki,
zbiegky do Rosji, zadaje sobie w dalszym
ciągu pytanie: "Wann kommt die Stunde",
kiedy znou będzie mógł wrócić"na ojczy-
zny kono" i zobaczyc swych najdrozszych.
Ten wksnie wiersz przypominał
mi sie później niejednokrotnie w chwila-
lach, kiedy wzrastaly nadzieje na wolnosć,
i stad tez mozliwosc jego utworzenia.
Nie samymi tylko ksiazkami nas
Rez raczyt. Posiadalismy bowiem wksną
orkiestre /sic! i nawet teatri Muzyka
i sztuka mialy być dla nas tymi lekar-
stwami, które pozwolilyby na pozwanie,
a przynajmniej stkumienie naszej tęskno-
ty za wolnoscia. Orkiestra byla wcale po-
rzyadna, zasobna tak w instrumenty, jak i
wykonawcow, których nie trudno bylo zna-
lesc wśród 1.200 zatogi, zwkszcza, jeze-
li znalazł sie czkowiek, który umial ich
zorganizowac i wyćwiczyć. Taki zas czko-
kompozytora z Lodzi, Venckiego i jakiegos
profesora muzyki, Polaka, który zresztą
miejszą w tym role odegrywat.
Tenze Vencki nie poprzedzaj
na samym zorganizowaniu orkiestry, a sta-
tak sie również i o budowe odpowiednich
instrumentów i z jego rak wyszly skrzypee

Książeczki bowiem trzeci nie
 można było uznać ani za antydemokratycz-
 ny, ani też za nieprzystojny dla tego ty-
 tułu, że biedna Hiszpanka, która niebawem
 data się pować zarowi krwi, biega: "San-
 ta Madonna! Fortuży! jutro z Casablanki
 wrócić ma mój mąż!"
 O ile też był dla nas jakby
 okresem oświecenia w porównaniu z okre-
 sem ciemności w poprzednich odcinach, to
 w Samocwicie znowu nastąpił dla nas okres
 -przynajmniej z początku- pełnego czer-
 wienia. Przez kilka bowiem miesięcy po-
 zjawieni byliśmy jakiegokolwiek pokarmu
 dla naszych umysłów.
 Wprawdzie były pewne starania
 o zorganizowanie kilku śpiewaczego, lecz
 zmarło ono jeszcze w wieku niemowlęcym,
 po odpięciu kilku pieśni z okazji ja-
 kiejś uroczystości.
 Rdz. teatr spektaklu kino, wy-
 świetlające filmy co tydzień, lecz mające
 zasadniczą wadę, że należało za wstęp
 płacić najpierw 3, a później 1 rubla. Z
 powodu braku żywej gotówki my z powier-
 chni nie wchodziliśmy też w zasadzie w
 rachunek jako widzowie. Mimo to ja z dwu-
 krotnie miłą zaszczyt uczestniczyć w
 seansie: raz dzięki przeszarcowaniu się
 przez kuchnię, drugi raz- już we wreszcie-
 dzięki fundacji Senki. Nie wiele jednak
 odniosłem z tych przedstawień korzyści,
 a to wskutek braku okularów, powodujące-
 go, że na ekranie widziałem jedynie poru-
 szające się trudne do zidentyfikowania
 plamy. Filmy były "echt" uralskie: pierwszą
 dla młodzieży, bez początku i końca, wciąż
 się urywającą, drugą nieco lepszą z życia
 artystów, o treści jednak trudnej do zro-

Jące się następnie potanców-
 ki, w których zresztą brałi przeważnie
 zresztą bierny udział. Ja zresztą też je-
 dynie raz w takim właśnie charakterze
 wziąłem w niej udział, choć przymam się,
 że miłą ochotę zatańczyć. Na szczęście,
 jednak strajk orkiestry, jak i świadomość,
 jak bym wyślądat "na parkiecie" w tym stro-
 ju i buciorach, przynasiły mój zapak i
 uratowały mnie przed zatamaniem ślubu,
 że żadnej kobiety nie wezmę w ramiona.
 Inni jednak, nawet robotnicy, nie
 omisszali uczęszczać na wszystkie wy-
 stępy; kto wie zresztą, czy dla wiktoria-
 ci z nich nie była to pierwsza i ostat-
 nia możliwość oglądania desek teatral-
 nych!
 Czy scenariusze do tych przed-
 stawień były "made in Poland", czy też wy-
 tworem ziemi uralskiej, podobnie jak i
 kilka popularnych piosenek, jak "Z gór
 Nevada" i "Casablanka"-nie mogę powie-
 dzieć. Moje pierwsze przekonanie o ural-
 skim pochodzeniu tych piosenek zostało
 zachwiane po tym powrocie dowiedzeniem
 się, że melodia pierwszej pochodzi z cza-
 sów wojny. Autorem jednak drugiej miał
 być właśnie Aleksy, za czym przemawiał-
 by i fakt, że po pewnym czasie, gdy pio-
 senka ta stała się bardzo popularna w
 obozie, każde wyłapy nagłe zakaz jej roz-
 powszczania i nawet uwagły za sto-
 somne zamknął autora na parę dni do kar-
 ca za rzekome profaszystowskie nastawie-
 nie, wyrażające się aluzją do "Białego Do-
 mu"! Tak przynajmniej twierdził wstajem-
 się, by głupota cenzura była aż tak wiel-

mi ten argument nie bardzo
trafił do przekonania, gdyż dotychczas
pod pojęciem wojny prasy rozumiałem
wojnę słowa. Widzę zaś prawie pokrywa-
jącą się ze sobą trzęśniętą rozjątki-
wą złaższalowanych do najwyższego stop-
nia. Woląłem jednak tę "zależną" od finansist-
ki "niewołną" prasę europejską!
W czasie mych nocnych dyżurów
w szpitalu miśkiem można przeczłania
nie tylko wszystkie księgi niemieckich
lecz i rozjątki, których czytanie nie
sprawiało mi już trudności, choć oczywiście
nie wszystkie, a niektóre z nich, choć
propagandowe, były naprawdę ciekawe. Zna-
jącym wśród nich i kilkanaście stron
liczącą broszurę o kategoryi, zawierającą
bardzo mizerny materiał w porównaniu z
analogicznymi "weissbuch über Kalm". Zawi-
rta ona m. in. protokół zeznań świadków,
odwołujących swe zeznania przed Rymem-
mi jako złożone "pod przymusem". Pyta-
nie, kiedy on miał miejsce?
Gazety rosyjskie dotrą do
ty nie tylko w "klubie", lecz również w
wieszane były w jadalni, zresztą nie na
pate tyrolu. Z poczłku cieszyły się
one dużym powodzeniem, przetrwały do
strony pałacy, jednak zamknięte kilka
wreszcie odstraszyły innych od tego
podziału "lektury".

"Niemcomini" mieli do swej dy-
sponycji kilka kompletów gazet. Do-
łuch nie tykałem, a kiedyś przeczyta-
łem zresztą promotnie. Nie cieszyły się one
powodzeniem, gdyż nasze dystrybucyjne uny-

zmunia. Nie powiem też, by
wywarły one na mnie większe wrażenie
estetyczne, to też z dalszych możliwości
dostanie się na seanse na gapę już zre-
zygnowaliśmy.

Na wiosnę zwiększonej trosce
o nasze szaty towarzyszyła i troska o
nasze umysły, który przjawia się w
otworzeniu "kwasnego ogrodu" czy jak się
to nazywało oficjalnie; wśród nas bowiem
utarka się nazwa "kwasny ogonek czy ogó-
rek".

Była to świetlica, a w niej
"wstio" i wstio" i d szachów do osobnej bib-
lioteki, obejmującej i kilka polskich
kajętek, niestety bez poczłku i końca,
a poza tym stosunkowo dużo niemieckich
z nieodstępnym Majdankiem i gazetą.

Prócz oficjalnej Izwiestii i
Prawy były tam, co najważniejsze, i Ra-
zety niemieckie i to wzrost z Berlina.
Niestety obiegły one od swych przedwo-
jennych czy nawet wojennych wzorów tak
co do rozmiarów, jak i treści. Mimo to
stanowiły one dla nas bardzo pożądany
powiew z zachodu i między wierzszami moż-
na było wiele rzeczy wyczytać, nie tylko
o Polsce, bo o niej wzmianek było mało,
ale o sytuacji w samych Niemczech. Nie
wpływało na ich atrakcyjność to, że do-
chodziły one do nas z kilkutygodniowym
opóźnieniem.

Jeżeli zaś chodzi o dotacje ze strony finansistów; doko-

sły nie nadawały się do zbyt intensywnego myślenia.

Z instrumentów muzycznych mie-

liśmy do dyspozycji jedynie gitarę, któ-
rą postugiwał się przeważnie Diduszczak
przy swych możliwym głosom śpiewanych
piosenkach. Latem powstata możliwość na-
bycia za około 1.500 rubli harmonii i
nasza elita zdokata jakoś zebrać wśród
siebie tę astronomiczną dla nas sumę, co
skłoniło z kolei pikule do umiiania nam
posiłeków grą na tym instrumencie. Jak po-
przednio nie spotkało się to z uznaniem
większości i wrótce grajek stracił oka-
zję do zdobycia dolewki. Nasze pytanie,
co się z tym instrumenciem stanie z chw-
lę naszego wyjazdu, czy ją wylosują czy
też rozbiórą, znalazło odpowiedź w innym
rozwiązaniu: poprosi fundatorzy o dsprze-
dali ją poprzedniemu właścicielowi.

Z najbardziej wydawałoby się

celową rozrywką w postaci radia nie wie-

le mieliśmy do czynienia. Co prawda w

każdym obozie było na przychodni radio,

jednak głośnik był odwrócony od obozu,

to też głos jego do nas prawie nie do-
chodził, a jedynie przy wyjściu z obozu
do pracy mieliśmy okazję posłuchać ja-
kieś muzyki. W Samowiecie przed naszym
przybyciem były w barakach głośniki, lecz
dla nas ich nie uruchomiono, niewiadomo
dla czego.

"Taki to sposób przez tych
parę lat karniono nasze dystroficzne umy-
sły dystroficznymi pokarmami!

Trochę uśmiechu...

Niekiedy jednak samo życie roz-

świetlato szarżując naszymi dni drobny mi
promyczkami słoneca, sprawiającymi, że czło-
wiek zapominał o swym losie i chociaż nie
chcę musiał się uśmiechnąć. Takich zda-
rzeń było niewiele, nie miałem jednak warto
wymienić choć kilka takich, które z uwagi
na swą wyjątkowość, odbiegając od normal-
nej szarzyzny, utkwiły szczególnie w mej
pamięci. Za autentyczność pierwszego, sty-
szanego zdaje się od Rusa, nie mogę, praw-
dziwosci drugiego i trzeciego jestem już
pewniejszy, gdyż obojdcie przy tym byłem,
za autentyczność czwartego ręczę słowem.

W Kospaszu mieliśmy starego
Telczera rosyjskiego, który kiedyś na kar-
cie ambulatoryjnej zobaczył przy nazwi-
sku jakiegoś wlasowca oznaczenie choroby,
pisane - jak zwykłe - alfabetycznie łacińskim,
w konkretnym wypadku The czyli Tuberku-
loza. "Czto takojest" - głowi się biedak, wi-

docznie nie znajdując tego alfabetyka
wreszcie wola uradowany: "Heureka! Już wiem,
Germanisko-wlasowska swokoocz!" Dla inter-
macji nieznających alfabetu rosyjskiego
należy wyjaśnić, że w nim The czyta się
jako "g-w-s" i stąd to skojarzenie Tel-

czera. Niewierzycyca odsyłam do Rusa czy
Seiberta, gdyż jeden z nich to opowiadał.
Gdy latem 1945 przyjechało do
nas kilku oficerów NKWD na dochodzenie,
pierwszym pytaniem, skierowanym do prze-
słuchiwaneogo, było, za co został wzięty
/jak gdyby tego sami nie wiedzieli!/
Gdy zapytany w ten sposób odpo-

nia i odpowiedzi na zasadnicze
rębnice mnie przez cały czas pytamie,
za co?

Kiedyśmy raz przy pracy w łozu
anytali jakiegoś gwałdzianina, czy stoją-
ca pod szczytem drugiego brzegu cerkiew-
ka jest czynna, odpowiedział: "Nie, ale
przed dwoma laty było tutejszych miesz-
kańców wyszło dwóch delegatów do władz
w Świerdłowsku z prośbą o jej otwarcie."
"No i co, z czym wrócił?" "Dotychczas jest
cze nie wrócił!" - odpowiedział krótko.
O stylu Smoronia, starszego zo-
ny w Samocwiecie, już krótko wspomnia-
łem. Jego elokwencja była bardzo lapidarna,
przeplatał swe przemówienia sakramental-
nym "kurwa twoja mać", przy czym raz wy-
knął mu się następujący passus: "Ponieważ
z rozkazu naczelnika szereg się chorobny,
zarządzą zrobić porządki!" (czy faktycznie
naczelnika nie powinni natychmiast usu-
nąć jako sabotażystę?

Kiedyśmy raz także po powrocie
z pracy czekał na otwarcie bramy, didusz-
czak jak zawsze odważny, odezwał się do
nadszkiego władnie majora, naszego karmi-
ciela: "Gwałdzianin major, dajcie nam tu-
czej kuszad, bo usianiem. Przecież maszyna
bez benzyny nie ujedzie!" "Pojedzie! - od-
powiada tenże. "Nie pojedzie!" "Pojedzie!"
- odpowiada się major. "Chyba z głębi!" - od-
powiada tenże. "I pod górę toż!"
Na takie dictum dyskusja się
urwała i mogliśmy tylko smutnie pokiwac
głowami nad taką mentalność.

Pewnego razu atakem kolo szpi-
tala ze Genki i jakimś sklepikarzem z
Łodzi, który w toku rozmowy przyznał, że
przed wojną był wielkim sympatykiem komu-

wiałek - zgodnie zwykle z praw-
dą - że nie wie, dostawał dalsze pytanie:

"Byłeś w Lesie?" "Byłem!" "O job Tw. mać!
To ty przecieko nam walczyłeś? To taki z
Ciebie patriot! Ot widzisz, za to cię
wzięli i za to niemożko porobotałeś!"

Gość wychodzi uradowany o tyle, że przy-
najmniej wie, za co siedzi, a wchodzi dru-
gi. "Za co cię wzięli?" "Nie wiem!" "Byłeś
w Lesie?" "Nie byłem." "O j. t. m. i! To taki
z ciebie polak! To ty z Germancem ro-
totał! Ot za co cię wzięli, teraz niemoż-

ko tu porobotałeś!" Tak jeden został się
tu za to, że był w Lesie, drugi za to, że
nie był! Kto chce psa uderzyć...!

Ja wródził takie odpowiedzi
nie otrzymać, ale nie miałem entymatycz-
ną. Kiedyśm bowiem na jego pytanie powie-
dzieć, że właśnie chciałem się jego o to
zapytać, bo sam nie wiem, odpowiedział:
"Hm, ja też nie wiem, ale widocznie w kra-
ju wiedzieli, za co was wzięli, skoro was
wzięli!"

Przy tym ogólnikowym przesła-
nianiu, ograniczającym się w zasadzie do
danych personalnych, nie uniknąłem pow-

nego gu! pro quo. Jego pytanie bowiem,
czy skrzyłem w armii / domyślnie krajo-
wej / , rozumiałem jako pytanie o studi-
w wojsku i odpowiedziałem twierdząco,
na dalsze zaś kiedy - że w r. 1928/29. "Kag-

da, kagda! - zapytał się poruszony. Dopiero
obecny przy tym tłumacz rosyjsko - niemiec-
ki, jakiś Czarnomorzec, wyjadł o co py-
tającego chodzi i w ten sposób nieporo-

zumienie się wyjaśniło. Był może też dzie-
ki niemu nie otrzymanem podobnego jak
inni wyjaśnienia przyczyn mego zatrzyma-

nizmu. "No, a teraz? Wyleczył się się?" Tak! - odpowiedział krótko, lecz wymownie.

Kiedys siedzę sobie z Magaczem przy kłeci, czekając na badzic, gdy zjawia się nasz dziesiętnik, były kapitan, który przez kilka miesięcy był w Polsce w czasie wojny. Był on czymś bardzo poruszony, co wkrótce ujawnił, gdyż apluwając na ziemię, wyrzucił: "O! ruską kulturę, od bar-dach! Tam nuzny być napis jebidka, a nie lebidka! "Dopiero z dalszej jego rozmowy z "priomaszczycą" dowiedzieliśmy się wia-ciwiej przyczyny jego oturzenia i ledwośmy mogli się powstrzymać od śmiechu.

Otoż do pracujących w lebidce kółchoźnic przyszło kilka koleżanek, a za nimi i kilku konwojentów i rzecz prosta zaczęły się między nimi amory, to na kaw-ce, to na motorze. W trakcie kulminacyj-nych między nimi zapasów ruszył motor, wiązony prawdopodobnie przez zażrosną kółchoźnicę i biedna para musiała nolens volens porzesać na "coitus interruptus".

Przyznam się, że tego ostatnie-go fragmentu opowiadania nie bardzo zu-miałem, to też nie rzeczę za prawdziwość takiego właśnie zakończenia zabawy.

Już miał powodu do śmiechu, ale więcej do komentarzy dała nam próba samobójstwa Andrzejkiewicza. Mianowicie w styczniu 1947 r. tuż koto pobudki przy-biegł ktoś na salę z wiadomością, że w ustępie jeden się powiesił. Choć będąc tam przed chwilą nikogo nie zauważyłem, powodowany ciekawością poszedłem tam z innymi i ujrzelimy jakiegoś jeżomocia, leżącego w drugim ustępie na ziemi!

ciężko oddychającego. Okazało się, że to właśnie andrzejkiewicz, który chciał sobie odebrać życie przy pomocy kilkunastu sznurka. To drugie, jak i pora-tuż przed pobudką, kiedy uszyp był trumnie odwieczany-nasunęła podejrzanie, że chodziło mu o symulację samobójstwa celem wydobycia się z szachy. Tak też władze obozowe, a w szczególności Smoroni ocenty jego postępowania i dla wybić go na kilka dni w karcu, gdzie miał czas na odzyskanie równowagi ducha. Kiedy stam-tąd wyszedł, prawdopodobnie zakował, że wyszedł z tej przegrody. cako, gdyż porząd-nie zatrudniłmy mu swymi drwinami życie, pamietając, jakim to był kozakiem w jed-nym z obozów. Miał on tam jeszcze taki wifor, że podłono obrabiał jedną kółchoź-nicę!

Na zakończenie wspomnę jeszcze o humorystycznym dla aranzera, a obrzydli-wym dla otary zdarzeniu w Ilodawie, o którym mi opowiadał kiedys ciszewski.

Otoż kiedy oczekiwali na dalszy trans-port, udato mu się raz dostać tak upra-gnionej wody. Rano jednak stwierdził, że ktoś mu ją wyplł ze schowanej baki. Choć przeto go ukarać, postarał się o drugą, w którą ukradkiem neszła i umieścił na miejscu tamtej z wodą. W nocy ku swe-mu wielkiemu zadowoleniu usłyszał chłive-chęptanie, a kiedy rano zapytał podejrzane-go V. T., jak mu smakowała woda, był zdzi-wiony twierdzącą odpowiedzią. Nie zdokłał on już opisać miny tego biedaka, gdy uszy-szał o pochodzeniu napoju, a jedynie ogre-niczył się do opisanja swej satysfakcji z ukarania sprawcy.

I tyle-a wiec niewiele-bykoby
odnosnie tej kwestii! Nie znaczy to, ze
tylko tyle bylo usmiechu bylo w naszym
owczesnym zyciu: takich jasnych promykow
bylo niewatpliwie wiecej, lecz zatarly
sie juz one w pamieci!

XXXVIII.

wielka improwizacja.

Omowione dotychczas kwestie
znaczyly sie przewaznie z moga osoba, to
tez, by nie spotkac sie z zarzutem ego-
centryzmu, wypadaj pomina iomowid pod
tym poetyckim tytulkiem sarnawy, dotyczace
tak mieszkaniec naszego matego obozu,
jak i wiecej, obejmujacego caly kraj.
Rozdzierajac powloke tajemnicy, powiem
poprostu, ze choc tu oriasc sposob omija-
nia trudnosc, wynikajacych z braku naj-
potrzebniejszych narzadz i czy przyborow
względnie materialow. Z tymi brakami spo-
tykalimy sie na kazdym kroku i niejed-
nokrotnie trzeba bylo nadstawic wielkiej
cyl.
W jaki sposob zdołaliśmy wy-
brnąć z braku zapatek, omówiłem już przy
kwestii tytoniowej, to też tutaj kolej
na opisy sposobów wyjścia z innych im-
pasow.
Z pierwszymi objawami braków
materialowych spotkaliśmy się już w cza-
sie transportu. Nie otrzymawszy misiek, mu-
serw, w które przeczornie zaopatrzylimy
się jeszcze w Przytku. Stuzki one nam
i dżnij, tyle, że w miarę przechodzenia
z obozu do obozu te "banki" udoskonalano
czy to przez zakrycie drugiej, co zresztą zna-
też przez zwiększanie ich objętość, czy też
komicie zwiększanie specjalnych z blachy. Nie-
które z nich wyglądały całkiem przyswoi-
cie i misy tylko jedną wadę, że trzeba

było za nie płaciłi ja osobie-
cie nie czułem się na siłach do ich wy-
"kaziomnych" misiek, byłem skazany na miko-
sierdzie szczęśliwych posiadaczy dubie-
tów.

Po raz pierwszy z taką koniecz-
nością spotkałem się w Jajwie po kradzie-
ży mego, otrzymanego od Ignaczewskiego,

kociorka wojskowego. Zrazu musiałem się
ograniczyć do pojedynczej banki, bardzo
niekorzystnej z uwagi na niemożność uzy-
skania dołewki, po pewnym jednak czasie
uzyskałem dużą od Junkiewicza i skrzyżka

mi ona wiernie aż do Rezu. Tam już mie-
liśmy zaszczylt przejęcia w dostrownym te-
go słowa znaczeniu na garnuszek rządowy,

podobnie i Samocwicie, gdzie kwestia od-
rębnych banków była aktualna jedynie dla
karoflarzy.

Z kwestią nakryć stółowych wig-

zaka się sprawa pozostających stłuców. Z
góry trzeba zaznaczyć, że widelce były
nam zupełnie niepotrzebne i nie wiem, czy

wogóle Rosjanie, zwłaszcza młode pokole-
nie, znają tego rodzaju przyrząd. Rolę
łyżki pełnił w czasie transportu zwyk-

ły patyk, odpowiednio przycięty, gdyż ze
względu na znaczną konsystencję otrzymany-
wanej wówczas kaszy zupełnie wystarczało.

Jak było w XVII obozie, już nie
pamiętam, zdaje się, że dostawialiśmy tam
łyżki do każdego posiłku. W Kospaszu ma-

sytuację uratowało znalezienie zaraz po
przyjeździe jakiegoś aluminiowego odlewu
łyżki, a właściwie jej projektu z 4-5 cm
kikutem rękojeści, co ukatwiło zresztą
jej przechowanie. Jej zatokowate wkrębie-

nia na przegach tylnymiej nie
zmniejszały jej użyteczności i służyła
mi ona wiernie aż do końca 1945 r. Dopie-
ro pod koniec mego tam pobytu ktoś zta-
komiał się na nią, a właściwie na umiesz-
czonych na niej kłikanaście gumów kon-
serwy i w ten sposób straciłem swą wier-

zętkę o kształtach normalnych, do czasu, doki
znowu jej nie zgubiłem względnie nie zna-
lazł się na nią amator...

W Samocwicie nie posiadający
tego niezbędnego przedmiotu wyfasowali
już rosjskie łyżki. Do nich i ja nale-

żatem, to też przez pewien czas miałem
jedną w zapasie, aż mi ją przy rewizji
zabrali. Ponieważ zgubiłem wkrótce i dru-

gą, przez kilka dni musiałem korzystać
z nożyczek. Tróbowaniem uzyskał inną od
starszego aktywu, ten jednak opryskliwie

zbyt mnie i dopiero pikuta uratował mnie
swym duplikatem, lecz nie na długo, gdyż
z chwilą zgnubienia swojej zapadł zwo-

tu. Nie sprawiło mi to już wówczas kło-
potu, bo w międzyczasie znalazłem już
inną, którą jako zdobyłcz wojenną przywio-

złem triumfalnie do domu.
Może należały do przyrządów
zakazanych, to też trzeba się było kryć
z ich posiadaniem, zwłaszcza, że niekiedy
gorliwe władze urzędniły na nie, zwłaszcza
cza przed większymi świętami, polowania,
nie tyle z obawy o swe bezpieczeństwo,
ile poprostu z chęci zdobycia co ład-
niejszych okazów.

Przedmiot ten był nie mniej
niż łyżka pożądany, zwłaszcza przeze mnie,
bo wolałem zawsze pokroić sobie chlebowe

skibki, aniżeli zjadąc całą
 pałkę. Również imi woleli mieć go na
 własne, czy też przez zrobieńie, czy też
 drogą kupna za chleb. Dla mnie pierwsza
 droga była niedostępna, druga niepożądana,
 na, to też skazany byłbym czy to na kasę
 i innych czy też na kufuszczenie, tj. na
 zaalezenie.

W zasadzie też musiłem ogre-
 niezać się do ich namiastek w postaci
 zwykłego kawałka blachy, którym w XVII
 obozie od biedy można było chleb pokroić.
 Przy wyjściu jednak z obozu odebrano mi
 to "niebezpieczne" narzędzie i w kospaszu
 korzystać z pomocy innych, nie mogąc pozwolić
 sobie na kupno wyrzbianych tam przez
 fachowców wcale żadnych nożyków. W cza-
 sie podróży do dajmy znałazłem w pocia-
 gu noż, zrobiony z dużego łowadzie, na
 końcu sklepanego, który mimo swej wybie-
 tej formy spełniał z powodzeniem swe
 zadanie. Barę miesiący cięszkiem ciął je-
 go postawianem równoległo ze znalezie-
 nym w dajwie składanym kozikiem, by zwyk-
 ką kolejną łosną zgnieć kozik w kospasu-
 chowej, a gwóźdź utracić przy rewizji.

Zastąpiły je kolejne: zaostro-
 ny z jednej strony trzonek kłótki, zrobio-
 ny własnoręcznie z blachy aluminiowej
 nożyk, mający jedną zaletę, że nie rdze-
 wieł, i darowany mi przez Senkę Kozik.
 Wszystkie one przedzły czy później po-
 dzielily los swych poprzedników i do
 dziś może gdzieś leżą w lesie.

Ostatnim przedstawicielem te-
 go narzędzia był darowany mi przez Ritra,
 a zrobiony z pikki stalowej nożyk. I on
 wpadł wnet w oczy konwojanta i uległ
 na miejscu likwidacji, widocznie z obawy,

był mi nim gardło nie pod-
 nęti

A tymczasem imi wiele przyda-
 we arcydzieła własnej roboty, zwłaszcza
 specjalistycznej, gdzie w ogóle nie
 to dużo artystów. Ich wyroby miały okie-
 dźliny aluminiowe, miedziane wagi, miedziane
 i niczym nie różniły się od fabrycznych.
 Az zaś było czasem patrzeć, jak śliny
 one w kieszeniach konwojentów.

Opisane dotychczas braki ma-
 teriałowe są jednak jakby wprowadzeniem
 do tematu. Kówesta bowiem o wprowadzeniu
 miakem na myśli sposoby usawnia przez-
 kód, z jakim napotykalimy się w pracy.
 Z potrzeby wprowadzenia zote-
 ngliśmy się już w pierwszych obozie przy-
 kłolach czyli "klocach" bez centków czy
 też gwóźdźkach mosiężnych zamiast żelaz-
 nych itp. Okazało się, że hojnie zna-
 tyłko jedno narzędzie: tonór, służący nie
 tylko do zwykłego celu, lecz zastępujący
 cy młotek, hebel, noż, otęgi itd. Żeby to
 jeszcze był porządny topór, ale gdzie-
 tem; w przeważającej części były one ni-
 to tępe, albo suadaty z trzonków, do tego
 nadpękniętych lub sekających. I takimi "che-
 poszymi instrumentami" mieliśmy wyrabiać
 normy! Daka była w nich stal, wiaderko
 fakt, że kiedyś nowitunki tonór po kil-
 ku uderzeniach /moich własnych/ w
 zmarznięte drzewo się wyszczerbili!

Albo kopatki! Tak zwykłe się
 składało, że do niego mieliśmy ciężkie
 żelazne, a do śliny lekkie blaszane, mg-
 ce się za każdym nabraniem. Nawet w daj-
 wie i kłutisze oprócz lekkich, zgrubnych
 kopat do niego spotykano się i zwykłe

z desek o grubych jak kolki
rekojesciach.

Tebraki materialowe najbar-

dziej daly sie odczuc w Samocwiccie ze

względu na różnorodność wykonanych

tam robot. Kiedy z początku zatrudniony

byłem przy zmianianiu szyn jako "bełtacz"

ty-łaczący szyny, miałem do dyspozycji z

6-7 kluczy, z których jednak żaden nie

był właściwy. To samo zresztą można by-

ło powiedzieć i o narzędziach, albo za

dnących albo za krótkich. Nic też dziwne-

go, że czasem trzeba było porządnie się

spocic- mimo panującego mrozu- by jako

tako złączył szyny.

Albo praca w lesie. Mieliśmy do

dyspozycji z 8 pil, lecz tylko para z

nich była możliwa, to też zabierana by-

ła przez lepiej się znających na rzeczy,

których już później z ręk nie wypusz-

czali. Nam zaś skłębiliśmy i miał pyrkajm

pozostawali albo bez zębów, albo pęknię-

te albo wreszcie przerażliwie tępe. Nic

też później dziwnego, że ze swym partner-

rem nie mogliśmy nadążyć za innymi mimo

ustawicznej pracy. Kiedy pewnego razu in-

spektorowi zwróciliśmy uwagę na te "cha-

rosze" według określenia dziesiętnika

narzędzia, przyznał nam wprawdzie rację,

lecz to nie wpłynęło na zmianę ich sta-

nu. Przychodził coprawda do nas czasami

jedem ostrzyć pilki, lecz zwykle cięły

one potym jeszcze gorzej.

Podobne warunki były i w szach-

cie. Tam również dobre narzędzia należały

do rzadkowie i każda zmiana ukrywata je

w różnych zakamarkach, by nie wpadły w

ryce konkurencji.

Wystarczy tu bliżej opisać na-

sze wiernie towarzyszył pod-

ziemne-szachciorki. Węzdzie były one

jednakowe, a. D. 1800 lat wczesniejsze na-

wet, sądząc po wyglądzie i działaniu.

Opalane rzadko natęż, a częścięł topić

lub nawet benzynę o knotach improwizo-

nych, nie dających się wysuwać mimo ist-

nienia specjalnych do tego smubek, bez

siatek ochronnych, na szczęście z uwagi

na brak gazów niepotrzebnych, i bez

szkiełka, które dostawało się już tylko

wybranicom. Stąd też zarówno szybkie wy-

palanie się paliwa, jak i czyste gasi-

nienia, to też pod koniec zmianę zwykłe

pozostawało się już w ciemnościach. Dla

uniknięcia takiej ewentualności w cza-

się swej pracy wolatem brać dwie, by mieć

jakąś rezerwę. Dla wzmocnienia ich świat-

ła trzeba było wyciągać knot, co zchole-

powodowało silne kępcenie. Mimo tych wad

bez nich nie można się było obyć!

W kospaszu widad było czasem

elektryczne lampki o świetle bez porów-

nanie s. Iniejszym no i zdrowszym. Nie-

stęły dla szarej masy szachciorkowej

stanowiły one tylko przedmiot marzeń,

bo korzystał z nich tylko dobra dziesiętnicy.

Miasto to o tyle tylko dobrej strony, że

już z daleka zdradzało nadejście władzy.

Nie tylko zaopatrzenie w s

przet kulato; to samo dotyczyło i mate-

riatów. W rezu dla ożijania ścian pod

tynk z braku gwoździ postugiwaliśmy się

kwaatkami drutu, ciętymi z miedzianego

kabla elektrycznego. Gdy bowiem wyzer-

wały się nieliczne kilkucalowe gwóźdźe,

natknęliśmy się na wytierający spod du-

dynku kawat kabla, prawdopodobnie poty-

czonego z jakąd maszyny. Nie powstrzymako

to nas od pewnego rodzaju wandalizmu, na widok którego przedsiężorcy europejski wyrwał sobie włosy z głowy, i odcięliśmy spory kawałek, by zrobić z niego namiastkę gwóźdź, zresztą przy pomocy siekiery i kawałka żelaza, jako że obcęgów, w Hosji prawdopodobnie w ogóle nieznanych, nie mieliśmy pod ręką.

Dla scharakteryzowania warunku ków bezpieczeństwa naszej pracy muszę tu wrócić do wspomnianego już poprzednio nadanku przez nas w listopadzie 1946

węgla na stacji w Kamocwicie. Zatrudni-
li nas przy tym prawdopodobnie z uwagi na zensucie się bagra. którego prace my musieliśmy zastąpić. Zadanie nasze pole-
gało na przeniesieniu przy pomocy nosi-
łek węgla z haki doład korytem do bag-
ra do stojących o jakies 50 wagonów. W

tym celu musieliśmy najpierw ułożyć nad-
tym korytem, szerokości jakich 3 metrów,
mostki, z szyn żelaznych i pali oraz ugr-
niających się desek, z których każdej chw-
li groziło zeslizgnięcie się do dołu,
zważała że pracowaliśmy wtedy do 2-ej
w nocy. Jakos jednak szcześliwie nikomu
się wtedy nie stało. Gdyśmy zwracali
naczelnikowi uwagę na te anormalne warun-
ki, odpowiedział, że to nasza rzecz, a nie
jego!

O swej omyłce przekonak się po-
niwczasie. Gdy bowiem po paru dniach w-
giel przysypak dwóch niemów, nie uszko-
mu to na sucho i jak po przeszło pół ro-
ku się dowiedzieliśmy, miał on dostać
każdy wyroczek!

Do powyższego tematu należy i
tak charakterystyczny dla wszystkich
obozów brak zamków. Kłódki w zasadzie

były używane poza zonią naj-

bliższą wisłata przy bramie wyjściowej,
a dalsza przy karcu. Boza tym nie było
ich przy żadnych drzwiach, podobnie jak
i zamków. Pod tym względem nie mogliśmy
uważać się za zamkniętych: wszystkie
drzwi stały przed nami otworem, wyster-

czyko je tylko kornaci!
Prak również było i wyłoczni-
ków światła. Zarówki palły się dnem i
nocą, dla ich zgaszenia rozszerzako się
druży względnie wykręcało zarówek-nie
zresztą dla oszczędności, lecz dla ucho-
nienia przed zrodziejami. Mniej kosztował
prąd niż zarówki, które zresztą nie mia-
ły obsadek; poprostu obwiązako się je dru-

nie tylko my czarnorodczy go-
dziennie spotykaliśmy się z tymi manke-
mentami; i nasza wyższe hierarchia wal-
czyła również z prakciem pacieru i ołow-
ków, które szły na warty złota. I na wol-
ności sytuacja nie musiała być lepsza,
zwideczyła notatka gazetowa, według któ-
rej wyprodukowano czy też miano wypro-
dukować około stokilkadziesiąt milionów
otówek, czyli niecały otówek na osobę!
Podobnie przedstawiała się i sprawa pa-
nieru; w tej samej notatce uskarżano się,
że papier w zasztych nie nadaje się do
pisania!

Gentilimy też właściwie war-
tosc otówek, których cena wynosiła 10
rubli, i kawałki o długości 1 cm wykorzy-
stywalimy do kolic, umieszczając je w
specjalnych rurkach. Taki właśnie kawa-
łek, podarowany mi przez Ignaczewskiego,
skrzył mi aż do Resnu, kiedy uległ nie-
ostrożnemu zdeptaniu.

Podobnie przedstawiała się sprawa papieru. Zbyt wielki był na niego popyt ze strony pałaców, by wystarczał on i dla piśmiennych. Stąd też dla tych ostatnich pozostał jedynie zwykły papier do opakowania, jako nieprzydatny dla pierwszych.

Brak stramentu nam nie przeszkadzał; jego znakomitą namiastkę przedstawił nadmanganian potasu, będący zastawno lekarstwem, jak i "czernikiem".

Z podobnymi trudnościami walczyli i lekarze. Poza jedną i aspyrynę innych lekarstw prawie nie było. Rolę bandedy spełniał papier toaletowy; gazowe prądy się kilka razy. Również brak było termometrów: dwa lub trzy na cały obóz, strzeżone jak oczko w gówie nie tylko ze względu na cenę—około 60 rubli—ale i z uwagi na trudności ich nabycia.

Oczywiście nie można przy tym wszystkim zapomnieć o tym, że główną przyczyną tych trudności materialowych była wojna i stan powojenny, nie mniej jednak nie można nie przyznać, że praca nasza w takich warunkach była prawdziwym bohaterstwem, a uzyskanie w niej odpowiednich wyników graniczyło prawie z cudem. Nie podejrzewam zresztą o tego rodzaju poglądy autorów widniejącego na branie w Samocwicze zdania "Praca dla ZSKH jest szczyttem sławy, honoru i bohaterstwa", jednak za każdym jego widokiem pojął, taki mi się nasuwał z tą tylko zmianą, że zamiast "dla" winno być "w", a sławę i honor bym pominął, jako niepotrzebne!

Lecz wreszcie i my, bohaterowie pracy, przestaliśmy być zmuszani do jej świadczenia i improwizacji!

Znalezienie wśród różnych państw Działu odpisów jest podobną sprawą tego zwołnienia, odpowiadać nie może ono na tych organów oraz listów mych braci z tego czasu (skierowanych sprasze do niego) lecz dotyczących mej osoby) skłania mnie do dopisania - już po 30 latach od powstania poprzednich części - poczętkowo niezadowolony trzeciej części, obrzucając w porządku choronologicznym, bez żadnych komentarzy, a najwyżej z koniecznymi wyjaśnieniami - treści tej korespondencji i urzędowej i prywatnej.

Nie wiedziata ona wówczas, że jej sterania o odzyskanie matki z powrotem (nieograniczone zresztą tylko do planu, lecz popierane osobistymi, jakże niebezpiecznymi w tych czasach, wyprawami do Kordy - gdy matka tam już nie było, a następnie i całszymi do Warszawy, a nawet do Moskwy) jakoby akurat on mógł w tej sprawie coś pomóc) - były z góry skazane na niepowodzenie z uwagi na ówczesną sytuację społeczną - polityczną i bezsilność aktualnych formalnych władców Polaki; natomiast jednak w ich skuteczności niewątpliwie dodawała jej się do przetrwania rozłąki. Opisanie relacji z tych wypraw pozostałam jest uznaniu, do mimo upływu czasu lat nawet do nich choćby w rozprawie byłoby tak dla niej, jak i dla matki zbyt wielkim przeżyciem!

Do tej też części przerzucam dla jej ukoronowania z poprzedniej części dla dalsze kwestie, a mianowicie krótki bilans i próbę odpowiedzi na najważniejsze pytania co do przyczyn znalezienia się przede

nie na początku. Natomiast rozwiniecie przeliczeń w poprzedzonej części w 1947 r. dysponujęi takich kwestii, jak "Ustasunkowanie się przedziwności do nas i do państwa" czy "norma, norma..." stawa się nieaktualne wobec wspomnienia o nich w innych rozdziałach. Również mustatem zrygnowad z omówienia takich zmotowanych wówczas gwoli pamięci szczegółów, jak "opowiadanie Meiera o społeczym obrzędzie i rozprawianiu sprawy przez policję", czy też "zajście w wagonie z Torębskim - kuzna - stamtądny ożeni" - z powodu zbyt wielkich luk w pamięci. Na marginesie jedynie również pominiętego tematu "Inne transporty" nalezy zaznaczyć, że nasz - jeśli chodzi o straty - był chyba najgorszy. Wygnanki to z cyfrowo opowiadania, że gdy wizytujący jego transport z wlebszczyzny jakis smierci "pasażerów", miał komendantowi nerwt dowiedziat się o ówch wygnankach transportu zrobić ewentualną sprawę - jakby wygnanki z opowiadania smolika - nasz komendant miał podobno coś obrotu, lecz chyba tylko ze ułtymienie nalegających się nam racji z wyznaczonego I tak zmartwych co nie oski zamieścił

botników, jaky był przez czas
pracy męża zatrudnieni w firmie, trudno
było wszystkim zobaczyć.

Proszę zatem bardzo Władze
Ślęcze o zaciągnięcie opinii od innych
robotników tej firmy, którzy mogliby po-
wiedzieć, czy dla wszystkich był przykry.

Boję się, by czysto osobiste po-
rachunki nie stworzyły fałszywego swia-
dectwa o wym. mężu, skazując go na niezna-
stuzoną karę.

Zaznaczam, że mąż mój był ranny
w wojnie z Niemcami w 1939 r., jest podpo-
rucznikiem Wojsk Polskich, przeto bardzo
proszę o łaskawe wysłuchanie mej prosby na-
stępnie wstąpić wszereg W.P. i wraz ze
zwycięską armią Rosyjską i Polską zgnębić
ostatecznie odwiecznych naszych wrogów
Niemców.

Wakt ten gotknął nas tem bardziej,
że przez 5 lat tęskniliśmy do wysrobodozo-
nej Polaki i w tej chwili tak radośniej.
Ukochany mąż mój wskutek jakiegoś niepo-
rozumienia został aresztowany na skutek
oskarżenia przez ludzi, którzy sądniej sa-
toonej poważnej krzywdy nie wyrządzą.

Jeszcze raz przeto b. proszę o
łaskawe uwolnienie męża mego, proszę by
wyróżniał dla ludzi błądów, a któ-
rych nie było z tej woli i mied litosć
nademną bardzo zbolatą. Jestem pewna, że
mąż mój po uwolnieniu spod zarzutów całej
swoje życie poświęci dla zgnębiaenia w spól-
nego wroga i obudowy zniekanej Ojczyzny.

Osobiezenie robotników firmy
wraz z ich własnoręcznymi podpisami zażę-
M...P...
czam.

Koto, 7 lutego 1945 r.

M. Gros wotającej na puszczy.

Najwczesniejszym piśmiennym świad-
kiem starych Dziuni jest poniszsza proba,

zabrana przez nią w wyprawie do Kłodawy,
a później i dalej. Do jej wręczenia odnos-
nym organom radzieckim jednak nie doszło,
co wynika zarówno z faktu zachowania się
jej w oryginalne, jak i późniejszej o niej
wzmianki.

Do Komendanta Wojskowego
w Kęcie Kutnie.

Proba.

Data 25 stycznia b.r. został aresz-
towany mąż mój... jak mówię ogólnie na
skutek skargi złożonej przez robotników

z firmy, w której pracował mąż mój podczas
okupacji niemieckiej. Podobno mąż mój miał
być dla nich szorstki w obelgach i nie
zakatwał ich przychylnie.

Pozwolę sobie wyjasnić pewne szcze-
gółki:

W 1940 r. mąż mój, bezrobotny, ukry-
wał się przed wywiezieniem do Niemiec, a
następnie zatrudniony przez A. Ernsta w
charakterze pracownika umysłowego przez
znajomość języka niemieckiego, którego
Ernst nie znał wcale. Był on zatem tylko
pracownikiem, jak inni i wykonywał tylko
to, co mu szef Niemiec polecił, zatem o
złej woli zrobienia komus krzywdy czy nie-
zakatwienia pomyslnie nie może być tu
absolutnie mowy. Zresztą szef Niemiec w
stosunku do męża odnosił się bardzo źle,
robiąc mu ciągłe zarzuty, że działa na je-
go niekorzyść. Swego czasu prosił mąż na-
wet o zwolnienie z firmy, na co Ernst nie
chciał się zgodzić, a groził mu obozem.

Fonadto na tak dużą liczbę ro-

Dodatkiem do tej prosby była przepustka, wydana 10.2.45 przez Komendę Powiatową M.O. w Kole, stwierdzająca, że ob. P..M... udaje się do Skierzwie w celu odszukania zaginionej rodziny z dodatkiem: "Uprasza się władze wojskowe i cywilne wyżej wymienionej nie czynić przeszkód w podróży", oraz dalszym dodatkiem Komendy M.O. w Skierzwie, zawierającym, że adresatka jest w drodze do Fruszkowa celem odnalezienia rodziny.

2.

Śladem po drugim podaniu jest poprzednie wkasnoręczne przez ówczesnego Ministra Sprawiedliwości pismo tego organu z 24. IV.1945 Nr. O.4185/320/45, zawierającym, że podanie Obywatelki w sprawie zatrzymania męża jej M.T. zostało skierowane do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie według właściwości.

3.

Za radą Jęzka jedno z podań zostało skierowane pod poniższy adres:
Do Ministerstwa Sprawiedliwości
na ręce Ob. Wiceministra Heiniga
Podanie.

Mąż mój... stał się zamieszkały w Kole, ul. Toruńska 6 pełnił jako asesor sądowy czynności sądzowskie w Sądzie Grodzkim w Kole. Dnia 25.I.1945 po oswoobodzeniu Koła został w związku z pełnieniem obowiązków sądzowskich zatrzymany w Kole i wyprowadzony przez Kłodawę, Kutno w nieznanym kierunku. Od tego dnia nie miałem żadnej wiadomości.

Zatrzymanie i wywiezienie mego męża nastąpiło wskutek jakiegoś tajemnego nieporozumienia, które przy bliższym badaniu musi się wyjaśnić.

Powinno się na znane oszczędzenie Obywatela Ministra Sprawiedliwości w sprawie natychmiastowego zwolnienia sądzów i prokuratorów zatrzymanych przez władze rosyjskie i proszę wyrazić troskę niezwłoczne zbadać sprawę i zaprzęgnięcie zwolnienia mego męża.

Wierzę głęboko, że za sprawą Ob. Ministra zostanie naprawiona krzywda wyrządzona mojemu mężowi i miłe i że mąż mój zostanie niezwłocznie wypuszczony na wolność.

(Dop.: Dedy powyższe pismo nie posiada, jednak z zakażonego potwierdzenia odbioru przez Ministerstwo Wyższe, że wręczenie nastąpiło 16 maja 1945 r.

4.

Ślad po dalszym podaniu zachował się jedynie w poniższej postaci:
Ministerstwo Sprawiedliwości, Nadzór nad Prokuraturą i Sądownictwem Specjalnym. NSpec. 31/Rpt. 447/45/1790.
Warszawa, dnia 31 lipca 45.

Do Obywatelki.....
W związku z podaniem Obywatelki z dnia 4.VII.45 stwierdzam, iż wszczęto kroki celem ustalenia miejsca pobytu M.T.... arestowanego dnia 25.I.45.
Z uwagi na długi upływ czasu od chwili arestowania, sprawę przedstawio pewne trudności.
O wyniku zostanie Obywatelka zawiadomiona. Prok. Dr. J. Serwicki.

5.

Zachowany następny projekt II-

stu, bez daty i adresata - dotyczył próby

adresowanej, jak wynika z jego treści i

pokwitowania odbioru - do W-Premiera Miko-

łajczyka:

"W dniu 25 stycznia b.r. do wej-

ściu wojsk sowieckich został zatrzymany

z niewiadomych mi powodów mąż mój.....

i wprowadzony przez Kutno w niewiadomym

kierunku.

Zatrzymanie i wywiezienie moje

go męża nastąpiło jedynie wskutek nieporo-

zumieli czy osobistych porachunków, które

przy bliższych badaniach muszą się wyjas-

nić.

Krzywdą wyrządzoną po ciężkich

5 latach niewoli, w której rodzina męża b.

ciężkie poniosła ofiary: 1 siostra przez

3 lata w więzieniu w Lipsku, druga 2 lata

w obozie koncentracyjnym w Linzu, obie do-

tygodnie nie wróciły, trzecia siostra 3-krotnie

na t.zw. "Forach" w Poznaniu, w mojej brat

3 lata w Buchenwaldzie, siostra 5 lat na

przymusowych robotach w Niemczech, wszyscy

wyśledzeni - jest najcięższą, do dokonania

przez przyjaźni i własnych współpraców.

Zwracam się już kilkakrotnie

do władz o wskazanie mijszej pobytu męża

i o zbadanie sprawyśdotychczas bezskutecz-

nie.

Tym razem zwracam się z gorącą

prośbą do Pana Wicepremiera o łaskawą in-

terwencję u właściwych władz, by niezłocz-

nie zbadały sprawę i zarządziły uwolnie-

nie mego męża.

Wierzę głęboko, że za sprawą Pa-

na Wicepremiera zostanie naprawione krzyw-

da, wyrządzona mężowi i mnie i

że mąż mój zostanie wypuszczony na wol-

ność.

Nie mogę się pogodzić z myślą,

by w tej naszej krwi i tkance spotkał nas

ci wywołanej Polacze mogła spotkać nas

take niezam niezastępowana krzywdą."

Odpowiedzią było ponisze stereotypowe

piśmo:

Rzeczpospolita Polska Prezydium Rady Mi-

nistrów-Sekretariat Wicepremiera Stani-

stawa Mikołajczyka. L.dz.62/45.

Warszawa, 4 września 1945.

Potwierdzając niniejszym odbior

listu Pani w sprawie p..... donosimy

uprzejmie, że poczynione zostały starania

celem pomyslnego zakończenia sprawy. Zo-

stata ona przekazana odpowiednim władzom

we kompetencji.

O wyniku sprawy zostanie Pani

powiadomiona osobnym piśmem.

Sekretarz /-/ M. Hulewiczowa.

6.

Wzmianka w gazecie "Jak zwracać się o re-

patrację z Z.S.S.R." stała się powodem

daleszego podania do Pełnomocnika Rządu

R.P. do spraw repatriacji ludności polskiej

z Z.S.S.R. z 20.9.1946 r.:

"Uprzejmie proszę o sprowadzenie do Pol-

ski mego....., który przybył obac-

nie w Rosji w Gub. Mototowskiej na Uralu,

gdzieś w kopalniach węgla.

Mąż mój po wejściu na tu.tere-

ny wojsk sowieckich został zaproszony w

dn.25.I.45 przez Komendanta Miasta w ce-

lu zorganizowania sądu, następnie zatrzy-

wany i w 3 godz. później wprowadzony z

transportem w kierunku Warszawy. Jaki był

powód zatrzymania męża, tego dowiedzieć

się nie mogłam, chociaż pytałam o to kilkakrotnie Komendanta Miasta, który każdorazowo odpowiadał mi, że tego powie- dzieć mi nie może.

Zatrzymanie i wywiezienie mego męża nastąpiło wskutek jakiegoś nieporo- zumienia i czysto osobistych porachunków. Mężono między innymi, że jest to porachu- nek jeszcze sprzed 1939 r. za jakąś rozpra- wę sądową-ale to są tylko przypuszczenia. Podaję powyższe prośbę o przy- spięzienie sprawy powrotu męża mego do Polski.

W zatęczeniu przeaytam zasąd- czenie Starosty pow. Kolskiego o tym, że mąż był i jest obywatel polskim, to zna- czy, że w czasie okupacji nie korzystał z praw uprzywilejowanych grup przez okupanta. Zatężam także oświadczenie ro- botników firmy, w której mąż mój pracował w czasie wojny, które w swoim czasie chcio- kam zrobić wkładom sowieckim.

Ponadto nadmieniam, że od lutego 1945 r. pracuję w Starostwie Powiatowym w Kole jako lojalny obywatel nad obudową Polski i chciałabym bardzo, aby za przyczyną Ob. Pełnomocnika została wreszcie napra- wiona krzywda, wyrządzona mojemu mężowi i mnie i że mąż mój nawszciz wróci do Kraju; Skwitowane zostało to podanie pisemam Urzę- du so Spraw Repetracji Ludności Polskiej z ZSRN, L.d.z. P/13/46; podpisany przez Ge- neralnego Pełnomocnika W. Wołkiewicza; Zawładamiam, że podanie z d. 20. IX. 1946 r. w sprawie zwolnienia i repatriacji T. przestane zostało w dniu dzi- siejszym do Ambasady R.P. w Moskwie.

M-wa 22.X.1946.

Nie omieszkała Dziwnie napisac do same- go "Obywatele Prezydenta Krajowej Rady Na- rodowej w Warszawie";
Prośba.

Mąż mój....., polak-po wejściu Wojsk Radzieckich w styczniu 1945 r. zo- stał zatrzymany i wywieziony do Rosji, gdzie obecnie znajduje się na Uralu w Gub. Mołotowskiej (przed rokiem przebywał jako miastka Kiziel).

Zatrzymanie i wywiezienie mego męża nastąpiło wskutek jakiegoś nieporo- zumienia i czysto osobistych porachunków. Na moje zapytanie o ówczesnego Komendan- ta miasta, co jest powodem zatrzymania me- go męża-odpowiedział mi, że tego powie- dzieć mi nie może.

Podaję powyższe gorąco proszę Obywatele Prezydenta o wyjednanie u Władz Sowietkich zwolnienia mego męża i możliwości powrotu do Polski. Wierzę głęboko, że za sprawą Oby- watele Prezydenta zostanie naprawiona krzywda wyrządzona mojemu mężowi i mnie i że mąż mój zostanie niezwłocznie wypusz- czony na wolność i powróci do Kraju. Poswiadczenie obywatelstwa dla mego mego wydane przez Starostwo Powia- towe Kolskie przy najbliższym zatężam. Koko, dnia 18.X.1946 r.

(Odpowiedzi na to pismo chyba nie otrzy- mała).

Do czego zostało wykorzystane ponizsze zaswiadczenie P.P.R., zachowane w odpisie, niewiadomo). (An. nr. 5)

P.P.R.Kom.Pow. Kolo, 13.XI.46

1018/c/I.46.
w Kolo

Zaswiadczenie.

Komitet Powiatowy P.P.R.w Kolo
ze ob.H.T., zam...

Zawodu sędzia grodzki w Kolo na naszym terenie tak w czasie przed 1939 rokiem, jak również za czasów okupacji hitlerowskiej cięszyk się dobrą opinią wśród naszych członków jak również społeczeństwa tutejszego.

Jako sędzia grodzki za rządów przed 1939 r. nie prowadził żadnych rozpraw sądowych-politycznych jedynie zwykłe członków Partii nie czynił jakichkolwiek zarzutów. Arsztonanie jego przez przecho-

dzące przez nasze tereny w chwili wyzwo-lenia Armii Czerwonej nastąpiło przez osobistą niechęć i złość członków, którzy na naszym terenie nie cięszyk się dobrą opinią i który nie jest członkiem naszej Partii.

Zaswiadczenie niniejsze wydano na

prośbę żony ob.T.starającej się o powrót męża.

I.Sekr.K.P.P.R.w Kolo

C.J.

9.

Poniższe pismo M.Spr.Zagr.Biura Konsularnego świadczy o tym, że i do tego organu wy-stane zostało jakies podanie:

Warszawa, 19.III.47.
W związku z podaniem Obywatelki

w sprawie powrotu do Polski członka rozzi-ny męża M.S.Z.komunikuje, że dla dalszego prowadzenia sprawy należy przedłożyć odpo-

wiedź na zatącony kwestjone-riusz i poswiadczenie obywatelstwa pol-

skiego.

Za Naczelnika Wydziału

Dr.Nagaj Marian.

Wypełniony kwestionariusz, zawierający obok danych personalnych i adresowych również wzmiankę, że "Grudniu 1945 r. był na Uraniu w Gub. Mołotow około m.Kiziel w ob-ozie Gubach" wyżany został przez Dziunię 26 marca 1948 r.

10.

Niewątpliwie w związku z tym podaniem po-zostało pismo Starosty Powiatowego Kolo-skiego z 13 czerwca 1947 r., porokujące tę samą sygnaturę Nr.K.I.5572/T/87 z 24.V.47, przestane Min.Spraw Zagranicznych.

"Za zwrotem podania ob....w sprawie powrotu jej męża do Kraju, który w początkach 1945 r., tuż po wypędzeniu okupanta niemieckiego został wywieziony na tereny ZSRR, ze swej strony dodaje co następuje:

Ob....pierz cały okres okupa-cji niemieckiej był polakiem, z jakichkol-wiek przywilejów, jakimi okupant hitlerow-ski w stosunku do pewnych osób narodowos-ci polskiej stosował nie korzystał i swo-je obywatelstwo polskie zachował.

Ob....został aresztowany i wy-stany w śląb Rosji przez grupę NKWD, idącą tuż za Linia frontową, trzeciego dnia po wypędzeniu Niemców z Kola.

Ob....znam osobiscie z przed-1.9.1939 i z czasów okupacji niemieckiej. Był on zawsze zdrowych poglądów demokra-tycznych i zwoleńnikiem współpracy ze

Związkim Radzieckim. Arszto-
wania więc jego przez władze sowieckie
je się być tragiczną pomyłką, co oczy-
wiście jest możliwym w czasie zawieruchy
wojennej.

Z przytoczonych wyżej okolicz-
ności wynika, że przebieg powrotu ob. T.
nie istnieje jakikolwiek zastrzeżenia
natury społeczno-politycznej.

Starcza Powiatowy
J. Olskiewicz

11.

Niewiadomo, czy ponizsze pismo było dal-
szym zawiadomieniem na poprzednie podanie,
czy też na jakieś inne, niezachowane.
Min. Spraw Zagranicznych, Departament Poli-
tyczny Wydział Radziecki.
Warszawa, 26.7.1947 r.
319/2942/47.

Ministerstwo Spraw Zagranicz-
nych komunikuje, że sprawa porotu z ZSRR
ob. ...znajduje się w stadium załatwienia
przez Ambasador R.P. w Moskwie
O wyniku nastąpi dodatkowe po-
wiedzenie.

Naczelnik Wydziału Radz.
J. Zambrowicz.

12.

U podstaw następnego podania leżał wyci-
nek z gazety z ołówkową datą "19 września"
(jakby ręką Mamy zrobiony) z następującą
treścią: Carkowita repatriacja Polaków z
ZSRR zakończona będzie do nowego roku.
Warszawa (APL). W wyniku umowy zawartej po-
miedzy rządem polskim a rządem ZSRR, Zwią-
zek Radziecki przystąpił do ostatecznej tra-
zy repatriacji ob. polskich z całego tere-

nu ZSRR, którzy w wyniku dzie-
ł wojennych znaleźli się na terenie ra-
dzieckim. Miedzy rep. znajdując się także
byli internowani w czasie działań wojen-
nych. W ramach tej akcji przybył wczoraj
na Punkt rep. w Białej Podlaskiej nowy
transport repatriantów. Transporty przy-
chodzące będą regularnie w ciągu najbliż-
szych miesięcy tak, że carkowita repat-
riacja z ZSRR zakończona zostanie przed
upływem roku bieżącego.

Na podstawie tej notatki wy-
stane zostało nowe podanie do Gen. Pektro-
mocika Rządu RF do spraw repatriacji, na
które odpowiedział następująco:
L.dz. P/198/47 Warszawa, dn. 6.X.47

Zawiadomiam, że podanie z 25.
IX.47 w sprawie zwolnienia i repatriacji
ob. przesłane zostało w dniu dzisiejsz-
szym do Ambasady RF w Moskwie.

Przyśtanie galszych podaj w
powyższej sprawie jest celone jedynie w
wypadku uzyskania przez Obywatela nowych
informacji, dotyczących osoby zatrzymanej.
O odpowiedzi Ambasady RF w Mos-
kwie zostanie Obywatel natychmiast powie-
domiony.

Generálny Pektomocnik M. Wolicki.
13.

W związku z tym pismem pozostaje ostat-
nie już pismo Dziuni do tego Pektomocni-
ka.
Do Nr. P/193/47 z 6.X.47 Koko, 14.X.47.
W ślad za podaniem moim z n
dnia 25. IX. 1947 w sprawie wyjednania pow-
rotu z terenu ZSRR męża mego... uprzestaje
donoszę, że obecnie uzyskana nowy adres
pobytu męża mego w sierpniu 1947 r. ... a

XLI. Słowa pociechy.

1. Na wyrwyhych z notosu dwóh kartkach nasak jézo prwadopodobnie w poczatkach maja 1945 poniszze słowa:

Kochana Dzianiu,
piszê krótko, bo w pocztku. Jedz do Warszawy do Ministerstwa Sprawiedliwosci do komisjara Heine z podaniem.

(Tu podatk tresc pisma, przytoczonego w poprzednim rozdziale pod nr. 3).

Kochana Dzianiu, napisz podanie mnie jwiziej powyzszej tresci (mozesz je rozszerzyt wedl. swego uznania) i wyslij natychmiast listem poleconym do Ministerstwa Sprawiedliwosci. Opis zachowaj dla siebie.

W najblizszym czasie musimy pojechać oboje do Warszawy i dotatkowo

interwenjowac osobiscie. Sgadzê, ze w przy- szlym tygodniu przyjadê do Kola i sprawê tê zaklatamy.

Bgdz dobrze mysli i pozdrow serdecznie Ilmusiê, siostrzyczkê i brata

ode mnie

J.

Nastêpny jego list byl juz znaczenie dluzszy.

Kochana Dzianiu,

widzalem sie niedawno z podprok. Matysia- ktem i zapytalem sie go o Edmunda. Powtd- rzyt mi to, co i Tobie, ze byl i razem w jednym obozie. Stosunki w obozie byly

znosne, byl tam i lekarz urzadzajacy, zna-

jomy wój i Edmunda. Najwazniejsza rzeczq, co do ktorej sie upewnilem, bylo to, ze

oboz nie byl jakqs kazniq, w ktorej lu- dzi likwidowano, lecz byl tylko obozem

Ural.
mianowicie: Hez, ob. Sierdrowsk,

Podajac powyzsze prosze o

przeslanie tego nowego adresu w sklad za moim poprzednim podaniem Ambasady RP w Moskwie z prosba o przyspieszenie powrotu meza.

14.

I wreszcie ostatnie trzy pisma, zamykajace te całą urzadowa korespondencje w chwi- li, gdy juz znajdowalem sie w Kraju na ko- nie rodziny.

Pierwsze jest zawiadomieniem

Petnomenika z 4. XI. 47, zawiadamiajqcym o skierowaniu podania z 14. X. 47 do Ambasady RP w Moskwie z sklad za poprzednio wyslan- na sprawq z 6. X. 47.

Drugie stanowi zawiadomienie

Wydzialu Konsularnego Ambasady RP w Mos- kwie z 24. XI. 47 Nr. 319/R/29455, ze "sprawa w naglqtku powolana zostanie zaklatwiona w ramach zawartego w marcu b.r. porozumie-

nia miedzy delegacja Rządu z Premierem Cyrenkiewiczem na czelu a Rzqdem ZSRR. O definitywnym zaklatwieniu

sprawy Wydzial Konsularny zawiadomi do-

dotkowo.

Radce Ambasady A. Juszkiewicz. (Am. 5)

Trzecie, pochodzace z Wydzialu

ku Radzieckiego Dep. Politycznego M. Spr.

Zagr. z 25. 11. 47 - 3/9/5531/47, zawiadomia-

to, ze sprawa powrotu z ZSRR .. . znajduje

sie w stadium zaklatwienia przez Ambasade

RP w Moskwie. O wyniku nastqpi dotatkowe

powiadomienie.

J. Zambrowicz.
I na tym "res absolwitura"!

Musimy jednak uzbroić się w
 cierpliwość, gdyż może upłynąć jeszcze
 kilka miesięcy, zanim wyjdą się jego z
 Twoją rodzinę.
 Serdecznie pozdrawiam Ciebie i
 Józef
 Miedzychód, dn. 12.X.45.
 M.15.X.45.
 Dziś otrzymałem dalszy list
 od znajomego Minister Wojski, z którym roz-
 mawiał, przyrzekał mi, że jeżeli tylko Egi-
 jest w Rosji (a o tym nie ma wątpliwości),
 to przyjadzie napewno, chociaż nie mógł
 podać bliżej terminu. Dotychczas przyjecha-
 ło siedem takich transportów.
 Ponadto rządził ów minister, aby
 złożyć podanie do Technocznika rzędu do
 spraw reparaacji ze wschodu. Na wypadek,
 gdyby nie wrócił w określonym umówi tera-
 tryjacyjnej terminie, to wówczas zostanie pod-
 jęta akcja interwencyjna na drodze dypl-
 matycznej. Podanie winno zawierać opis his-
 toryczny, ilościowy, nazwiska świadków
 przyczyny aresztowania, nazwiska świadków
 mogących potwierdzić te ilościowości. Dob-
 rze byłoby mieć i dotychczas opinie miejscow-
 wej rady narodowej.
 Podanie to Dziuniu napisz i
 przeslij je do mnie, a ja przesłać je dalej.
 Dla wyjaśnienia podaję, że osoba, która się
 dziękił mi zajął sprawą, to jest dany
 szef, profesor Akademii Lekarskiej w Gdan-
 sku, dr. Władysław Czaplinski w Gdańsku-
 Wszesz.
 Jeszcze raz serdecznie pozdr-
 wienie od nas Józef

Józef.

Izolacyjnym. Nie miał mi po-
 wadzić, co się stało z Edłem, przypu-
 czaj, że wyważono go razem z innymi i
 stał Rosji.
 Dziś otrzymałem wiadomość od
 znajomego, oświadczył wkrótce, którego
 prosiłem o zajęcie się naszą sprawą. Pi-
 sze mi, że będzie w poniedziałek rozma-
 wiał z ministrem Wojskim i będzie pro-
 sił go o poszukiwanie na terenie Rosji
 i wpisanie na możliwie jak najwcześniejsz-
 szą listę do reparaacji. Ponadto będzie
 interwenjował u innych czynników. Obiecuję
 uczynić wszystko, co jest tylko możliwe.
 Zalecił jeszcze zasięgnięć wi-
 domości o Edim we Wronkach i w Rawiczu,
 gdyż 2800 ludzi przyjechało w czerwcu do
 tych miejscowości.
 Napisał od siebie do tych miej-
 scowości, ja napisałem również pod adresem
 Zarządu Obozu Izolacyjnego (nie wiem dok-
 ładnie, jaka nazwę mają te skupiska in-
 ternowanych). Jestem jednak przekonany, że
 z tych miejscowości, gdyby się w nich
 znajdował, byłby już zwolniony, gdyż бага-
 nie więźniów spoczywa w ręku komisji, zko-
 ńskiej z szefem S. Apelacyjnego w Pozna-
 niu, którzy są napewno poinformowani przez
 Prezesa S.A. o sprawie.
 To jest narazie wszystko, co
 mogę Ci donieść w tej sprawie i dregę-
 cał nas sprawie. Pokrzepiła mnie wiadomość,
 że w obozie, w którym był Ed, obchodzo-
 no się z więźniami do ludzku. Skądinąd po-
 chodzące wiadomości potwierdzają również,
 że ogólne traktowanie było znośne. Możemy
 więc mieć uzasadnioną nadzieję, że Ed ży-
 je i że utrzymy go znowu.

3.

W tym samym czasie i Tolo się odezwal:
Poznań, 13.10.45.

Kochana Dziuniu,

list Twój w sprawie Edi otrzymałem już dawno, o ile się nie mylę, w dzień mego wy-
jazdu do Warszawy, dokąd dostłem prezente-
sienie. Nie odpisywałem Ci, gdyż miłłem na-
dzieję, że będę mógł się wyrwać choćby na
jeden dzień do tego łowa i zobaczyć jak
sprawa wygląda. Niestety tak wdepłem, że
dopóki jestem we wojsku, to o wyjeździe
nie ma mowy. A z wojska nie chcą mnie pus-
cić.

Byłem natomiast w Min. Sprawied-
liwości. poinformowano mnie, że Edi został
wywieziony do Rosji i że Naczelny Proku-
rator Sowiecki ob. Wyszynski powiedział,
że nie przeciwko tym wywiezionym nie ma.
Został też już podobno wydany rozkaz przy-
wzięcia ich do Polski. Min. Spraw. ma na-
dzieję, że wszyscy oni widzą jeszcze w tym
roku.

O Edzie myślę ciągle i robię
co mogę. Niestety mogę djabalnie mało.

Całuję Cię mocno. Pozdrowienia
dla Twych Bliskich, ukłony dla p. Stillero-

wej.

Tolo i Nina.

4.

Z kolei i Józio dał dalszy znak życia o
sobie:

Międzychód, 4.XI.1945 r.

Kochana Dziuniu,

Twoje podanie wysłałem natych-
miast Dr. Czaplinskemu i jestem przekon-

ny, że poruszy niebo i ziemię, aby sprawa

Jaknajszyciej zostaje zat-

wiona. Podanie napisane było bardzo dob-
rze. Niezależnie od tego napisaniem do Pre-
zesa Sądu Apelacyjnego w Poznaniu i do
Ministra Sprawiedliwości i podaniem co naj-
spieszniej repatriacji i podaniem Two-
ważniejszego adresu Edmunda. Gdy słyszałem
od ojca, jeszcze przed przeczytaniem Two-
go listu, że Edmund chorował, ogarnęło mnie
tzwonne zruszenie: chorować w takich wa-
runkach, zdale od najbliższych, jest ogrom-
nym obciążeniem żywotnych sił człowieka.
Uspokoiła mnie i pocieszyła Twoja wiado-
mość, iż ostateknie czuł się dobrze i zdrowo
wyglądał. Niem nadzieję, że wtedy organizm
zniszczył chorobę bez uszczerbku i pozwole
Edmundowi zniesć również trudny powrót do
kraju.

Mogę sobie wyobrazić Twój stan
psychiczny, miniony i teraźniejszy. Gdy wy-
szedłem z domu, a właśnie trzeba sięgnąć
wstecz, gdy przestaniem dzielić pokój i kęz-
ko z "tymi młodszymi", Edmund był jeszcze
dzieckiem i stąd zapewne pochodzi, że ile-
kroć o nim myślę, widzę go stabszym ode
mnie i mój sentyment do niego wyraża się
w rzuwym i miłkim uczuciu przywiązania,
jakby ojca do małego dziecka.

W sobotę pojawię prawdopodobnie
do Gdańska i będę się widział z doktorem.
Może będzie mógł mi udzielić dobrych wie-
domości? Napizę Ci natychmiast, o czym się
dowiedziałem.

Jestem zdrowy: Z utrzymaniem
są pewne trudności, ale są one powszechne
i u nas może mniejsze, niż u innych rodzin.

Przesyłam ustatowanie rzeczek dla
Mamusi, serdeczne pozdrowienia i ukłony dla

Siostrzyczek i Brata, Ciebie ścisłym sa-

decznie w imieniu Meni, Słarka i własnym

Józef.

5.

Następny list był od Tola.

Lubna, 1. I. 1946 r.

Kochana Dziuniu,

W dniu Nowego roku przesyłam

Ci najserdeczniejsze życzenia szczęśliwe-

go powrotu do domu. Nam jakies przecucie, że

On jeszcze w tym miesiacu wróci. Oby się

to spełniło!

Osobiecie innych życzeń nie po-

trafiłem sobie skonkretyzować, mimo że po-

budzam fanabazję spirytusem kambodrowym,

przepisany mi przez lekarza na ostre

bronchit. Jednak żbyt mała jego ilość oraz

czynna "pomoc" Wł. Antoniny okupiła mi nie

do reszty. Jednak o ile to życzenie się

spełni, to już ten 46 rok będzie dobry!

Uściskowania i ukłony dla Waszy-

stkich.

Zwunia Toło Nimb.

6.

Zkolei znowu działo się znak życia.

Międzychód, 12. I. 1946 r.

Kochana Dziuniu,

nie otrzymam skwa, danego Ci w moim

ostatnim liście. Pobyt mój w Gdańsku nie

przyniósł niestety tego, czego się spodzie-

wałem, mianowicie, jakichś natychmiastowych

dobrych wiadomości. Pisankiem potem dwukrot-

nie do Ministra Sprawiedliwości oświadcze.

W dniu dzisiejszym otrzymałem list, którym

z radością spieszę się z Tobą podzielić.

List ten przychodził na początku roku, wie-

rzę, że nie będzie mi już długo czekać na

Edmunda. Napewno powodzi

mu się teraz nieźle, no i wie, że o nim

pamiętamy. A oto odpis listu:

Rzeczpospolita Polska

Ministerstwo Sprawiedliwości

L. D. No. RB/Rpt. 126/45/25

Warszawa, dnia 9. I. 1946

Do Ob.

w Międzychodzie

W odpowiedzi na pismo z dnia

17 grudnia 1945 r. komunikuję, że Minister-

stwo Sprawiedliwości podjęło interwensję

w sprawie reparacji sądownikw polskich,

wywiezionych w początkach 1945 r. do ZSRR.

Sprawa ta została zabita i ona

pozytywnie. Czegóż z porad wywiezionych są-

downikw już powrócił. Pozostali oczekują

na dalsze transporty.

W przedmiocie reparacji bra-

ta Obywatela Sędzięgo, as. sąd. ambasada

RP w Moskwie pisaniem z dnia 12 grudnia 1945

zawiadomiła Ministerstwo Sprawiedliwości,

że sprawę jego powrotu przekazano Polskiej

Delegacji Sow. Pol. Komisji Mieszanej w Mos-

kwie do kompetentnego zabrania. Jedno-

czesnie Ambasada zakomunikowała, że ob.

wystano zasilek w kwocie 300 rubli.

Kierownik Nadzoru Prokuratorsk.

A. Dąb Prokurator.

stnowię się tam, czyby nie można Edmundo-

vi wystać za pośrednictwem urzędowych czyn-

ników dalszego zasilku. O pieniądze się nie

ktopocz, jeżeli tylko będzie można przestać,

zatemże to z ojcem i z tymi, co mają nie-

co Groza. Nie wątpiłem zasilek taki może

oddac Edmundowi duże usługi, choćby tylko

przez polepszenie jego wyżywienia.

Chciałbym, aby ten list dotarł do Ciebie jaknajprędzej i obudził w Tobie otuchę i chęć życia.

Mam wrażenie, że jeżeli chodzi o pomoc, udzielił on Edmundowi (800 rubli), to jest to wypadek niezwykły i przypuszczam, że jest to zaskąga stosunków dręczących skiego. Napiszę mu o tym i zobaczmy, co nam odpowie. A może w innych wypadkach również zaskiki wypracują?

Kochając, życzę Tobie, Mamusi i

Rodzeństwu szczęśliwego roku 1946

również w imieniu

Meni i Sławka.

Józef.

7.

Gdańsk, 15 marca 1947.

Kochana Dziuniu,

po otrzymaniu w dniu wczoraj-

szym Twojego listu udatem się dzisiaj do

Stowarzyszenia Przyjaciół Polsko-Radziec-

kiej. Dowiedziałem się tam, że akcja poszu-

kiwan Polaków w ZSRR zajmuje się tylko i

od niedawna Polski Czerwony Krzyż.

W P.C.K. otrzymałem potwierdzenie

nie tej wiadomości. Ponieważ było już po

godzinach biurowych, nie otrzymałem formu-

larza przepisowego i nie zaktualizem nie

konkretnego. Pójdę tam jutro znowu i złożę

odpowiedni wniosek.

Ze swej strony w ostatnim czasie

sie dwukrotnie wnosilem pismo w sprawie

Edmunda.

Na ostatnim zjeździe Sędziów

i Prokuratorów w Sopocie zetknąłem się z

sędzią S.N. Grudzińskim, delegowanym do Mi-

nisterstwa Sprawiedliwości. Przedstawiłem

mu sprawę i dałem odpis wniosku z danymi

personalnymi. Zapewnił mnie, że zajmie się i dopilnuje, by wniosek otrzy-
mał należyte poparcie.

Przyślat mi osobno pismo, które

zakończam. Zwroć mi je przy sposobności.

Pod koniec grudnia ub.r. otrzy-

malismy z Min. Sprawiedliwości wezwanie

do składenia wniosków o reparację są-

downików. Zgłosiłem oczywiście 10 i wno-

sek został wysłany do Warszawy.

Wezwanie ze strony Ministerstwa

świadczy o tym, że nastąpiło porozumienie

między nami a ZSRR w sprawie iaptracji

sądowników, co budzi nowe nadzieje. Jeśli

chodzi o sędzię Grudzińskiego, to zrobił

on na mnie bardzo solidne wrażenie i je-

stem przekonany, że otrzyma słowa.

Obawy Twoje, Kochana Dziuniu, są

nienzasadzone. Ludzie wracają ciągle z

obozów rosyjskich. W tych dniach właśnie

rozmaiałem ze znajomym, którego brat wró-

cił aż z za Uralu w grudniu b.r. Tenże mógł

znajomy przytoczyć nazwiska innych osób,

o których wie, że wrócili dopiero w grud-

niu ub.r. i w styczniu b.r.

Nie zapomnij Dziuniu, że Edmund

zylje napewno myśleć o Tobie i myśli te krze-

pi go, dodaje siłą i umożliwia wytrwanie.

Nie masz żadnej podstawy do popadania w

zwątpienie, jakkolwiek osobiste rozumienie,

jak bardzo Cię dręczy brak wiadomości o

mężu. Jestem przekonany, że Ministerstwo

Spr. Wyzyska te dane, które przestarem. Rząd

nasz zdaje sobie niezwykle sprawę, że re-

patrząc na Polaków z obozów rosyjskich

jest kamieniem problemowym rzetelności

przyjawni polsko-rosyjskiej. Z tego powin-

nes sobie zdawać również sprawę.

Przypuszczam wobec tego, że

akcja obejmie również i znaszczę tych

Polaków, którzy, zstąpił w Kraków, do-

tychczas z obywateli byłi zwolnieni. Mi-

mo wszystkim musimy być cierpliwi i nie

tracić nadziei, choćby nam jeszcze długo

wypadło czekać na powrót Ed. Jemu jest

niewątpliwie tysiątkroc więcej czekać,

nie mając żadnej o Tobie wiadomości. Na-

pewno jednak wierzy, że my o nim pamięta-

my i czekamy na niego z utęsknieniem...

Zanim otrzymamy przez P.C.K.o

niem wiadomość, może-da Bögl-on już będzie

w domu! W każdym razie napiszę Ci zaraz,

skoro tylko otrzymam jakąś wiadomość z

Warszawy.

U nas-bez zmian. Stawek zdrowi

dobrze się chowa, Mienia w dalszym ciągu

pracuje, co stanowi dla nas ogromną pomoc,

bo z mojej pensji byłoby przy nadmorskiej

drożynie trudno żyć.

Wanda widziała po Gwiszdece z poz-

nanie. Cieszymy się, że wszyscy są przy

dobrym zdrowiu.

Przeżyłam od Meni, Stawka i sie-

bie serdeczne pozdrowienia. Uprzejmie ukło-

ny dla siostryczek. Uściskowania ręk dla

Twoj Memy, a shakezhand dla Braciszka.

Jeżeli

(A oto wspomniany list: (An.nr.4).

Szanowny Kolego,

sprawa Waszego brata nadany został bieg,

zakończona. Zapewniam Was, że będzie nad nią

czuwał.

Łączę wyrazy poważania i uścisk

Grudziński

Warszawa 17.V.46.

8.

I wieszcie ostatek list w tej

sprawie!

Gdańsk, 4.VI.1947.

Kochana Dziuniu,

w tych dniach rozmawiałem z se-

dzim Grudzińskim z Warszawy. Powiedział mi,

że jak się dowiedział od arcy Ambasady

naszej w Moskwie, Edmund jest wpisany na

listę osób przeznaczonych do repatriacji.

Toniaważ indywidualnych zwol-

nien nie udziela się, powrót jego będzie

możliwy dopiero po zorganizowaniu zbiórek

transportów. W sprawie tych zbiórek pow-

robowi Cyrenkiewicz przekazał w marcu

wzgl. w kwietniu w Moskwie i osiągnął po-

myślne wyniki. Kiedy transporty się roz-

poczną, niestety nie możemy się dowiedzieć.

Zobaczą się z sędzią Grudzińskim ponow-

nie w najbliższym czasie. Może dowiem się

szczęśliwie, jak przebiega u niego

szczęście, jak przebiega u niego

szczęście, jak przebiega u niego

szczęście, jak przebiega u niego

szczęście, jak przebiega u niego

szczęście, jak przebiega u niego

szczęście, jak przebiega u niego

szczęście, jak przebiega u niego

szczęście, jak przebiega u niego

szczęście, jak przebiega u niego

szczęście, jak przebiega u niego

szczęście, jak przebiega u niego

szczęście, jak przebiega u niego

szczęście, jak przebiega u niego

szczęście, jak przebiega u niego

szczęście, jak przebiega u niego

szczęście, jak przebiega u niego

XLIII. Grosy i obgrosy.

Wprawdzie zarówno mógł jedyny "gros" jak i dwa dalsze mych tonarzysty, czy też związane z tym okresem dalsze listy zostały już przez mnie umieszczone czyto w zbiorze listów do Dziuni (nr. 32), czyto w zbiorze listów i znajomych (nr. 106-111), jednak każde kompleksowość nakazuje mi ich powtórzenie w tym opisie mych losów pod powyższym tytułem!

Pierwszeństwo ma naturalnie mógł listek, zresztą niepełny wobec szczegółowe-go zatarcia!

1.

21.XI.45

Dziunko Drogi!

Choc jeszcze nie nadeszła ma

godzina, jestem pewien, że "nie dugo ujrysz" mnie. Jestem zdów i dobrej myśli... "Zycze nam" spokojnej gwiazdki, a Pobie na "Wam" mierny "tego" w szystkiego, co "ty" sobie zyczysz... wszyscy zdrowi...

I.S. Nasz Gabinet był w willi

aptekarza u Schultzego. Noże u Ciebie są wydoszły? Kwity są w szarej teczce z moimi papierami osobistymi i księzkami. Przygotuj proszę goiny, jak go jeszcze masz, i daj go do przelicowania.

Serdecznie całuję

E.

2.

Powyższy list, wręczony Górec przy jego odejściu, dotarł do Dziuni dopiero na wiosnę z jego następującym listkiem:

Sochnowem, 7.IX.1946.

Szanowni Państwo!

Byłem na Urleju razem z p. J. J.

może drugi lub trzeci czy czwarty. Dla Edmunda otrzymanie od Ciebie wiadomości byłoby ogromną radością i krzepiącym zestrzykiem.

Jak Ci już pisałem, zrobiłem w P.C.K. zgłoszenie w oddziale poszukiwań na osobę wywiezionych. Rychłej odpowiedzi stamtąd się nie spodziewam.

Czy nie będziesz znova latem w pobliżu Górec? Nie zapomnij o nas. Chciałbym z Tobą porozmawiać i Cię zobaczyć.

Pozdrawiamy Cię wszyscy jak najserdeczniej. Dla Twojej Matki przesyłam najlepsze ukłony i ucałowanie ręk. Dla siostr i brata najlepsze podziękowania.

Józef.

(Czy te wszystkie starania przyczyniły się do przyspieszenia mego powrotu-trudno powiedzieć-liczyć nie, skoro wszyscy moi koledzy z Samocwiału wyruszyli razem ze mną w drogę do Kraju!)

I miatem szczególcie wczesniej od Niego **zaprosz**ac się powrotu do Kraju. Wszyscy polacy byli już wtedy wyznaczeni do powrotu, a oczekuję na transport kolejowy. Nie można przewidzieć kto znowu będzie tym szczęśliwym i następnym transportem przyjedzie. Tam, na Urals, nie wiono nam, że wszyscy wrócimy do końca marca, a więc może mój kolega niedołat jest już w domu?

Wróciłam 22. I. 46, lecz nie mogę tam odezwać adresu na kartce, którą dał mi dla bezpieczeństwa (chowała) zupełnie nieważną listę. Rozyłam ją jednak - bo własnoręcznie pisała.

Trudno mi opisywać szczegóły - w każdym razie mogł być państwo spokojni, bo jak wyjeżdżać nie czut się dobrze. Do tego podrowieni kęzę swoje pozostając z powołaniem

J. Górkas

Adres mój..... (An. nr. 2).

3.

(Tuż poprzednio jakiś anonimowy towarzysz niedołat, znajdujący mnie widocznie dobrze, dał Dziuni poniszęq wiadomość o tym losie)

Kłodawa, 30. 10. 45.

Szanowna Pani,
 Matzonek Pani, sędzia T... oraz szofer Rogaczewski z Kola, obaj razem stale przebywali, jechali do Rosji w transporcie razem ze mną w styczniu b. r. Z Kola przy- byli oni do Kłodawy, skąd po paru dniach prze transportowano nas najpierw do Lubel- skiego do obozu na maj. Przetęk. Tam prze- bywałam do 13. II. 1945, kiedy to ostatec- no nas do Dębina, skąd po paru dniach wy-

Ruszyliśmy transportem kol. do Rosji i 15 marca znaleźliśmy się na Urals. Z matzonkiem Pani poznałem się w Przetęku i spotykałem się z nim do chwili wyjazdu. W Dęblinie dostaliśmy się do różnych wagonów i od tej pory już nie mia- łem możności z nim rozmawiać. Intereso- wałem się jednak dalszym jego losem i od innych kolegów dowiedziałem się w końcu sierpnia, że jest on razem z Rogaczewskim w obozie Gubatewa jako mistrz Kiziel Gub. Mokotów dawniej Perm, że jest zdrowszy i prze- cnie. Ja przyjechałem do domu pierwszą transportem. Robiono nadzieję, że i reszta będzie krótko zwolniona. O ile wiem, wró- cił do Kola szewc Procki, który był w tym samym obozie, co matzonek Pani i zapewne będzie mógł udzielić bliższych informacji. Życząc rychłego powrotu nastoi- ka pozostaję z powołaniem

Zyh (?)

Proszę nie próbować korespon- dować, bo jest to surowo wzbronione, a ja ja mógłbym mieć nieprzyjemność.

4.

(Wobec otrzymania przy wyjeździe z samo- cwieta listu od Banki (urodzonego w Rosji i podającego się w czasie okupacji za je- manego nadeł w obozie - z chwilą mego pow- rotu przekazałem go pod wskazany adres z następującym listem):

Koko, 10. XI. 47.

Wielce Szanowna Pani!

Miałem zaszczyt należeć do Gro- na najbliższych przyjaciół Pani męża od przeszło roku, szczególnie w ostatnim obo-

po wym przyjeździe do Polski
pojadę zobaczyć do Pani, by porozmawiać
z nią o jego sprawie. Niestety podróż sa-
ma tak fatalnie odniósł się na mój stanie,
że jestem przywiązany do łóżka i dopiero
pod koniec tygodnia będę mógł we własnych
sprawach zawiadomyć pojechac do Poznania,
gdzie pobędę kilka dni, to też dopiero naj-
wczesniej po 20 bm. będę mógł przyjechać
do Pani, by zdać szerszą relację o losie
Mikusia. Wiedząc jednak z własnego doświad-
czenia, co to znaczy mieć znek życia od
najbliższych osób i mając dzięki uprzej-
mości mego znajomego Pani obecny adres,
przeżytkam w załączeniu listek Mikusia,
powierzony mi przez niego w ostatniej go-
dzinie.

Co do samego Mikusia, to może
być Pani o niego spokojna. Pełni on do
chwili naszego wyjazdu, tj. do 17.X. obo-
wiązkami kierownika lazaretu i miał niewie-
le pracy, a pozytywne ile chciał. Traca
ta dawka mu zadowolenie, to też nie przy-
jął nawet proponowanych mu ważniejszych
funkcyj. Fakt pozostanie coby bardzo
go przybił moralnie, znając jednak jego
tężyng duchowy jestem przekonany, że się
nie zakamie i szczerliwie doczeka się tej
chwili, kiedy i dla niego zabłyśnie jutro-
rzenka wolności.

Od Pani nie miał Mikus żadnej
wiadomości, to też nie raz w rozmowach z
mną wyrażał wątpliwosc co do Pani życia;
naturalnie odganiałem od niego tego ro-
dzaju myśli i bardzo się cieszyłem, kiedy
mi się to udawało. W ostatnich dniach rów-
nież wyrażał przypuszczenie, czy przypad-
kowo Pani również nie została wywieziona

z nie w Dąmowicie, gdzie nas
wspólnie niedoła ogromnie do siebie mimo
dość znacznej różnicy wieku zbliżyła. Do-
znaniem od niego tyle dobrego, że zobowią-
zały jestem wobec niego do grobowej deski.
Może choć w części uda mi się spełnić ten
dług wdzięczności przez to, że będę mógł
wspólnie z Panią przedsięwziąć jakie kro-
ki, które przyspieszą jego powrót.

Z bólem serca bowiem muszę Pa-
ni donieść, że Mikus niestety nie należał
do tych szczerliwych, którzy wydoszali się
z niewoli i to jako jedyny Polak z całego
obozu. Jako powód zatrzymania podano mu
oficjalnie fakt urodzenia się na terenie
rosyjskim, nieoficjalnie zaś należenie do
Komitetu, co razem stwarzało pozory przy-
należności do narodowości rosyjskiej i
niby dawano władzom prawo do zatrzymania
go jako swego obywatela. Wobec jego stanow-
czych zapewnień, że jest Polakiem, uspokaja-
no go, że sprawa się wyjaśni i niedługo mo-
że już być w domu. Znając jednak rozciąg-
łość rosyjskiego "skoro", zdawał mi się sobie
dobrze sprawę z tego, że jego zwolnienie
jest rzeczą konieczną, jako prawnik,
jestem zdania, że w jakim wypadku stanowi-
sko władz rosyjskich jest nieprawne i że
wbrew woli Mikusia nie mogą go jako oby-
watela polskiego zatrzymać na stałe. Nie
przypuszczam zaś, by wyszły w czasie mej
obecności w kraju jakie ustawy, które-
by tego rodzaju stanowisko władz sowiec-
kich sankcjonowały. Mimo wszystko jednak
nie możemy czekać, aż władze sowieckie sa-
me zdecydują się na jego zwolnienie, a mu-
simy poczynać w tym kierunku pewne stara-
nia. Obiecałem Mikusowi, że w kilka dni

I znów musiałem go przekony-
wać o bezwzględności tego rodzaju przypusz-
czenia. Bardzo też się ucieszyłem, dowied-
czawszy się, że moje słowa pocieszy nie
okazały się niezgodne z prawdą, że Pami-
łyje i praca. Jestem też pewien, że nie-
dlugo Mikus do nas wróci i będziemy mog-
li w spokoju wspominać ciężkie chwile,
spędzone na Uralsu.

Jeszcze raz zaznaczam, że dobo-
że wszelkich starań, by pod koniec przysz-
łego tygodnia móc przybyć do Pami z ust-
ną relacją.

Z głębokim szacunkiem

F.S. Gdyby Pami termin mego przyjazdu wy-
dawał się zbyt odległy i trudny podjąć
nie przekroczyłby tej siły, to proszę bez
najmniejszego skrupuła przybyć do Koba,
gdzie wraz z małżonką postaramy się pod-
trzymać Pami na duchu i w miarę możliwości
poinformować o drogach, widzących ku przy-
spieszeniu zwolnienia Mikusa. Zaznaczam
jednak, że w piątek wieczorem wyjeżdżamy
oboje do Poznania, to też ewentualny przy-
jazd Pami musiałby nastąpić najpóźniej w
ten dzień rano. Nocleg zapewniony.

5.

L.

(Na tym pobycie u P. Senko i uzależnieniu
tej informacji co do ewentualnych starań
o powrót męża narazie nasz kontakt się
skłócił i dopiero po miesiącu nawiazaniem
go z powrotem).
Szczona Pami
Dopiero po miesiącu mogę, korzy-
stając z chwili wolnego czasu, zabrać się
do napisania do Pami listu.

Bardzo jestem ciekawy, czy Pa-
ni kroki o zwolnienie Mikusa już zosta-
ły uwieliczone pomyslnym rezultatem? Nie
miałeś tu o ich ukoronowaniu w postaci
przyjazdu męża do kraju, bo taka nadzieja
byłaby jeszcze przedwczesna, lecz o otrzy-
maniu jakiegokolwiek informacji ze strony
interodajnych władz w przedmiocie sposobu
zatrważenia Pami wiatku. W związku z za-
kończeniem roku powinna Pami już otrzymać
jakąś odpowiedź. Bardzo bym się cieszył,
gdyby Pami ze chciała mnie zawiadomić o
przebiegu całej sprawy. Bóg przecież i miłe
bardzo los Mikusa obchodzi. A może już
Pami otrzymała od niego jakiś dalszy znak
życia?

Ja od 5 tygodni siedzę już tu
na nowym stanowisku na samej granicy i
pędzę żywot narazie kawalerski, czekając
na chwilę, kiedy moja żona, po zwolnieniu
z dotychczasowego miejsca pracy, pozwoli
mi wspólnie klepać białe i ciemne tace
ki żywota. Nacgięt jestem ze swego miejsca
zadowolony, choć niewątpliwie wolalbym
znajdować się nieco bliżej Poznania, a de-
leż od granicy. Żonie mój przychodzi trud-
niej podźwiżyć się z tym widmem bliskiej
granicy, lecz musi się jakoś z tym faktem
pogodzić.

Z okazji zbliżających się Świąt
życzeń Pami spędzenia ich w jak najlepszym
ustroju; niech wiaże w rękę powróci mi-
kusa będzie dla Pami w tym czasie podnie-
tą do spokojnego znoszenia tego dopustu
Rozegot

F.L.

6.

(Dopiero po 3 miesiącach dostatem odpo-
wiedzi, na której skończył się ostatni epi-

zod, kęcący mnie z ty przesz-
rosię).
Łódź, 30.3.1943 r.

Szanowny Panie Magistrze!

W jestni po pańskim wyjeździe
przez adwokata, do samaj brifio mi czasu,
napisam podanie do Warszawy i Moskwy.
Dotęczyłem tam kopie (potwierdzone mota-
rialne) aktu uznania obywatelstwa oraz
metryki.

7. I. otrzymałem odpowiedź z Mi-

nisterstwa Spraw Zagranicznych, Departam-
mentu Politycznego, w dzialu radzieckiego,
ze sprawa powrotu znajduje się w stadium
zatwierdzenia przez Ambasade R.P. w Moskwie.
Dotychczas jednak mimo obietnic
męza niema. Repatriacja wznawiona, a o Mi-
kusi ni nie wiem. Czekam bezskutecznie
każdego dnia.

Zwracam się do Pana z prośbą.

Może Pan ma jakies nowe wiadomosci stam-

ąd? Może otrzymał Pan ciekawy list?

Proszę mi doradzić, co mam obec-
nie robić, dokąd pisać, gdzie pukać, by przy-
spieszyc powrot męża? Jestem zupełnie bez-

radna i zafemana!

Ciekawi mnie, jak Pan urządził
sobie życie, jaki jest stan Pańskiego zdro-
wia po tyłu przeżyciach?

U mnie zmian wiscicie nie by-
ło z tym wyjątkiem, że prezentacja mojej
do innej firmy. Miejsce pracy jest ogrom-
nie daleko i dojazd trawajami dłuższy.

Zmęczona jestem tym borykaniem się z zy-
ciem.

Mysle, że niedługo kaže mi Pan
czekać odpowiedzi na moje pytanie oraz
da mi zyciwe rady i wskazówki na temat

dalszego postępowania w spra-
wie męża.

Łęczę serdeczne pozdrowienia
F. Senko.

7.

(Jednym z niezliczonych wówczas w Polsce
przykładów dowiedzenia się o losie swych
najbliższych jest poniższy list, otrzymany
od niejkiej p. Stefanii Miszczakowej z Mi-
licza, która otrzymała mój adres zdale się
od jednego z kuzynów z okazji przypadkowej
rozmowy w pocztań. List ten przez Koto do-
tart do mnie do Stubic).

Milicz, 11. I. 43.

Szanowny Panie!

Bardzo przerażam, że osmielał
się skreślić oto tych parę słów. Otóż ja-
dąc z wrocławia do Milicza spotkałam jed-
nego Pana w łodzi Kaliskiej, od którego w
toku rozmowy dowiedziałam się, że JWPan po-
wrócił z Kozielecka przed paru dniami. Bar-
dzo się tem zainteresowałam, gdyż mój brat
por. Frola Franciszek, lat 30 z Brodów pow.
Tarnopol był również w Kozielecku skrz. pocz.
12 i do dzis nie mam o nim żadnej wido-

mosci. Dlatego też zwracam się do JWPana
z wielką prośbą o udzielenie mi pewnej in-
formacji z Kozielecka. Czy możemy się go
kiedyś spodziewać, czy też optakimw jak
czyniliśmy do tej pory. Dyskretnie zachowam,
ne co daję słowo honoru. Bardzo proszę o
skreślenie mi kilku słów, na które czekam
z ufęsknieniem i za które składam najser-

M. St.

8.

(Naturalnie zaraz jej odpisatem, nie doda-
jąc naturalnie, że jejy z Kozielecka zna-

Sehr geehrte Frau!
Bis Mitte October war ich im
Lager Samocwiet mit Ihrem Sohn dr. Glage
zusammen und ich verspreche ihm sofort
nach meiner Rückkehr nach Hause an Sie
zu schreiben.

Ich habe, als Pole, das Glück,
vom Lager entlassen zu werden und seit
einer Woche befindet sich mich weder in mei-
nem Hause. Dr. Glage leider musste noch auf
seine Entlassung warten, hoffentlich nicht
zu lang.

(Zarówno brak daty, jak i dalszych szczegó-
łom przemawia za dobrym tylko, lecz niezre-
lizowanym zamiarem!)

Leżi się później w Katyniu!
Stubice, 26. I. 1948.
Wielce szanowna Pani!

Bardzo mi przykro, że niestety
nie mogę dać Pani żadnych informacji o lo-
sie Pani brata, gdyż w ciągu mego pobytu
w ZSRR nie spotkałem się z takim nazwi-
skiem. To sam nie wróciłem z Kozielecką i
nigdy tam nie byłem. Pani przygodny infor-
mator pomylił widocznie Kozieleck z Kizilem,
w okolicach którego przeżył kilka miesięcy
w 1945 r. przebywałem. Powtarzam jednak, że
ani tam, ani też w następnych obozach w
obłocci Swierdłowskiej z nazwiskiem Pani
brata się nie spotkałem.

O ile mi wiadomo, repatrująca
Polaków z ZSRR miała być ukończona do kon-
ca ubiegłego roku, lecz podobno w dalszym
ciągu transporty jeszcze nadchodzą. Czy
próbowała Pani napisać do P. U. R. - Punkt
Przyjeżdż w Białej Podlaskiej z próbą o
umieszczenie nazwiska brata na liście po-
szukiwanych? Może który z wracających de-
tali mógł podać jakie informacje?

List Pani dotarł do mnie okrze-
nie, to też proszę moją spóźnioną od-
powiedź uznać za uśrednioną.
Z całego serca życzę Pani otrzy-
mania jakiejkolwiek wiadomości o losie jej
brata!

Z poważaniem

E. P.

3.

(Dla całkowitego zamknięcia tego fragmen-
tu przytoczę tu jeszcze znaleziony projekt
listu do matki dr. Glagego. Czy go ostatecz-
nie wysłałem, uchylił się już mi pamiętać,
w każdym razie miałem ku temu dobre chęci!)

XLIII. Bilans zysków i strat.

Każda zaplanowana ekscursja ma swych podstaw jakis cel: poznanie swiata, zdobycie doswiadczen czy chodby zwyk- a przyjemnosć i realizowana jest w zasa- dzie tylko wtedy, gdy porównanie przypusz- zalnych zysków ze stratami wykazuje sal- o dodatnie.

Incezej jest z taką, w którejj cześćnik widzi udział wbrew swej woli, i nie powodowany żadnym z powyższych motywów wiecej wzniosłych celów. W takim wy- padku ogólny bilans może być dokonany- czywiście w razie szczególnego jej za- ocenienia- dopiero ex post, przy czym- sko- o niewiadomo, czy było, gdyby nie ona- stateczna ocena zależy przede wszystkim d tego, czy sporządzący ją jest optymi- stą, czy też pesymistą.

Patrząc na moją peregrynację kciem pesymisty, można ubolewać nad tym, że wyrządziła ona ogromną zrywdę moralną tej, która najbardziej od- zulała nieobecność

-ze przez cały jej okres skaza- y byłam na wegetację, pozdwiną nęgodzi- szelkich rozrywek umysłowych i kultural- ych

-ze wskutek mej niewolniczej racy straciłam jakiekolwiek dochody, cze- o reperkusje dąży się odczuć jeszcze po arduziściecu latach w postaci obniże- ia mego "pauze merentium" o kilkadziesi- ąt z tytułu niezaliczenia mi tego kresu (zresztą łaskawie skróconego o je- en rok) do okresu pracy w P.R.L.

-ze ominęły mnie te możliwości,

jakie stwarzają ówczesna sytu-acja: powrotu do maco zawodu w młodszych- ciałach bardziej atrakcyjnych (lecz czy przy- jemniejszych), potokonych w "starym Kra- ju", szerszego awansu, czy też nawet sta- nie się "szczególnym posiadaczem" jakiegoś nieruchomości poniemieckiej, gdybym zdąży- dował się na rolę pioniera na "Dzikim Za- chodzie". A może wreszcie poszedłbym w śla- dy tych, którzy wykorzystują koniunkturę powojenną, uzyskali wyższy status naukowy? A może wtedy incej kształtowałaby się

nasze rodzinę?

Na te jednak rzeczywiście czy- możliwe ujemne skutki mej ekscursji spoj- rzęć można i okiem optymisty!

Czy nie było wykluczone, że zgotowimy się do wojaka (a to bym niewąt- pliwie zrobił) pozostałbym gdzieś na te- renie obecnej N.R.D. z tabliczką z wymna- zwiśkiem czy nawet z napisem "Unbekannter polnischer Soldat", albo nawet z kupką zie- mi nad sobą bez takich napisów jako ofia- re ówczesnych warunków powojennych na te- renie Ziemi Odzyskanych?

Perpektywa szczególnego posta- dcaze bynajmniej nie jest w obecnych warun- kach taka zachęcająca. Uzyskanie wyższego stanowiska przy większym tćku byłoby coś wątpliwie, do zdobywania doktoratu napewno nie miałbym ochoty, a strategię tych kilku- gdzieściecu zł można przeboleć!

A przecież na plus zaliczyć trzeba nie tylko poznanie trochę świata i ludzi za darmo, jak i to, że nie utworzył się we mnie "syndrom obozowy" w postaci ano- malii psychologicznych; przeciwnie, tak dłu- gie przebywanie w zdrowym powietrzu i na

XLIII. Bilans zysków i strat.

Każda zaplanowana ekskursja ma swych podstaw jakis cel: poznanie swiate, zdobycie doswiadczen czy chocby zwyk- ta przyjemnosć i realizowane jest w zasa- dzie tylko wtedy, gdy porównanie przypusz- czalnych zysków ze stratami wykazuje sal- do dodatnie.

Incezej jest z taką, w którejj uczestnik wzięł udział wbrew swej woli, nie powodowany żadnym z powyższych motyw lub więcej wzniosłych celów. W takim wy- padku ogólny bilans może być dokonany -oczywiście w razie szczególnego jej za- konczenia-dopiero ex post, przy czym-sko- ro niewiadomo, czy było, gdyby, nie ona- ostateczna ocena zależy przede wszystkim od tego, czy sporządzający ją jest optymi- sta, czy też pesymista.

Patrząc na moją peregrynację okiem pesymisty, można ubolewać nad tym, że wyrażdziła ona ogromną krytykę moralną tej, która najbardziej od- czuła wą nieobecność -ze przez cały jej okres skaza- ny byłam na węgrzając, pozostawiając w sobie wszelkich rozrywek umysłowych i kulturow- -ze wskutek mej niewolniczej pracy straciłam jakikolwiek dochody, cze- go reperkusje dąły się odczuć jeszcze po paru dziesięciu latach w postaci obniże- nia mego "pauzy bene meritium" o kilkadzie- siąt zł z tytułu niezaliczenia mi tego okresu (zresztą łaskawie skróconego o je- den rok) do okresu pracy w P.R.L.

-ze omiędzy mnie te możliwości,

Jakie stwarzają ówczesna sytu- acja: powrotu do maco zawodu w młodszych- ciach bardziej atrakcyjnych (lecz czy przy- jemniejszych), potocznych w "starym Kra- ju", szerszego awansu, czy też nawet sta- nie się "szczególnym posiadaczem" jakiegoś niernuchomości poniemieckiej, gdybym zdecyd-ował się na rolę pioniera na "Dzikim Za- chodzie". A może wreszcie poszedłbym w śla- dy tych, którzy wykorzystując koniunkturę powojenną, uzyskali wyższy status naukowy? A może wtedy incezej kształtowałaby się nasze rodzinę?

Na te jednak rzeczywiście czy- możliwe ujemne skutki mej ekskursji spoj- rzęć można i okiem optymisty!

Czy nie było wykluczone, że zgłosziliśmy się do wojska (a to bym niewąt- pliwie zrobił!) pozostając gdzieś na te- renie obecnej N.R.D. z tabliczką z wym na- zwiskiem czy nawet z napisem "Unbekannter polnischer Soldat", albo nawet z kupką zie- mi nad sobą bez takich napisów jako ofi- ra ówczesnych warunków powojennych na te- renie Ziemi Odzyskanych?

Perspektywa szczególnego posta- dacza dynamiej nie jest w obecnych warun- kach taka zachęcająca. Użytkanie wyzszego stanowiska przy większym tytułu byłoby coś wagiłwe, do zdobywania doktoratu napewno nie miałbym ochoty, a stratę tych kilku- dziesięciu zł można przeboleć!

A przecież na plus zaliczyć trzeba nie tylko poznanie trochę świata i ludzi za darmo, jak i to, że nie utworzył się we mnie "syndrom obozowy" w postaci ano- malii psychologicznych; przeciwnie, tak dłu- gie przebywanie w zdrowym powietrzu i na

permanentej diecie wyknuę mu-
siało rzeczę korzystać na me późniejsze
zdrowie.

Okolicznosci, że "wychowanie na Urb-
lu" nie obudziło we mnie zamiłowania do
pracy fizycznej, a wprost przeciwny wywar-
to skutek, a tym samym, że zawiodłem inspi-
ratorów tego wychowania - nie umiałem za swo-
ją klęskę!

Dla tego też, puszczając w niepę-
mieć ogromną krzywdę moralną Dziuni i mo-
ją, porzeczając muszę na stwierdzeniu, że
nie ma takiego zła, co by na dobre nie wy-
szkoi! Tak miało być i czasyc się tylko
trzeba, że szczęśliwie uniknąłem wszystkiech
Scyll i Charjbd, czyhających na mnie przez
te trzy lata i że dobiłem do portu zdrow

czyli
wszystko dobre, co się dobrze kon-

Na sam koniec pozostawiam tę
kwestię jako najbardziej enigmatyczną. Wo-
bec niepostawienia mi jakichkolwiek zarzi-
tów można się tylko domyślać, że istniały
dwa przyczyny mego zatrzymania.

Pierwsza przyczyna - podła dennu-
cja! Ja ktoregoś z pracowników "Baugeschft-
tu A. Ernst", która w oczach ekipy N.K.W.D.
przedstawiała się jako "współpracownik z Ger-
maniem", wystraszając do odizolowania mej
osoby całym późniejszym "przewierci".
Druga przyczyna, która stała-
nie "usprawiedliwiała", a nawet nakazywała
niebędnie bliżej zasadności tej dennu-
cji - bo wtedy musiałaby okazać się jej tak
szkodliwa, a mianowicie przyznalibyśmy do
okresionej grupy społecznej, nieporządanej
w pierwszych chwilach Odręczenia. Samo oto
wo "sądzi" wystraszając już do uznania mi
za element podejrzany, niebawmy i nieporząd-
ny w tych pierwszych chwilach z punktu
widzenia osobowości, którzy - podobnie
zresztą, jak to było u Niemców (o ma misie-
rumi-), dla których wystraszła wzmianka:
"deutscheindlich und intelligent" - stoso-
wali niegdyż już zasada "dajcie nam
człowieka - paragraf zawsze znajdziemy!"

Chodziło wtedy najprościej o unie-
szkodliwienie elementów niebezpiecznych, do któ-
rych z grupy zakwalifikowano niektóre za-
wały czy stery, nie mówiąc już o A-Kowach
i to do wysokości ustalonego czasu kon-
tyngentu. O tym świadczyłyby okoliczności
zabrane niektórych współuczestników "wv-
cieczki".

W rozdziale "Trochę humoru" opi-
sałem już, w jaki to sposób wyjątkowo Akor

Ich w tym kotle.-wspólnie z nieakowcami.
 Wzniesienie umowy z towarzyszami wykaza-
 ły, że w innych wypadkach "rekrutacja do
 resocjalizacji" odbywała się w sposób mecha-
 niczny-bez jakiejkolwiek uzasadnienia.
 Szedł sobie prostopu chłopak
 drogą, zatrzymując samochód, by go podwiózł
 "w gorod". "Sadists"-zachęceno go i wysadza-
 no... w obozie zbioreczym.
 Albo też kazano we wsi zebrać
 się w którymś ludzkiem, kazano odliczać do dwóch
 i nieparzystych zostawiano, a parzystych
 zabierano do obozu (albo też odwrotnie) i
 u podstaw tego postępowania le-
 żało niewątpliwie tajne porozumienie Rząd-
 u Radzieckiego i ówczesnego Rządu Polskie-
 go, w którym tenże dawał drugiej "wysokiej ma-
 ni" się stronie "wolną rękę w rozto-
 czeniu opieki nad domowymi osobami w in-
 teresie przyszłego ustroju oświadczonego
 kraju.
 Na tej też podstawie we współ-
 nym kotle znalazł się obok samych Niemców
 i ich pobratymców wszystkie kategorie wie-
 ku, również Polacy, jedni stuznie, inni przy-
 pedkowo-ot poprostu z ostrożności politycz-
 no-klasowej!
 Stuzność takiej właśnie tezy
 potwierdza ją przytoczone niżej relacje kro-
 nikarzy tych czasów, nie wspominające zresz-
 tą ogólnie o podstawie prawnej tej opde-
 ki nad Polakami, a tym bardziej o jej rea-
 lizatorach.
 Pierwsza zawiasta jest w artyku-
 le "Radusze Kucharskiego, ogłoszonym w Gaze-
 cie Sądowej nr. 14-15 (260-261) z 16.7.1974
 pod tytułem "Siedem dni trójzienia":

Przedstawiła on najpierw ów-
 cześnie stosunki:
 "Nie wszystkie jednak oskarże-
 nia i donosy były stuzne. Wiele ludzi usi-
 łowało wykorzystywać te sądy dla porachun-
 ków osobistych-ne te politycznym lub
 ekonomicznym... Osiarę niejasnej sytua-
 cji, jaką tworzyły nieraz stosunki z oku-
 pentem ludzi związanych z podziemiem,
 stał się nawet pryncownik resortu-sędzia
 Ludwik Reske. Mimo licznych interwencji
 trzy miesiące spędził w więzieniu, zanim
 został oczyszczony z habibiego zarzutu-
 dzięki wyjątkowemu interwencji przez byłego
 szefa sztabu GL.....
 Pierwsze święta Bożego Naro-
 dzenia Czechowski spędził w P.U.B.P. w Za-
 mościu. Przyjechał tu, aby sprawdzić zasad-
 nosć aresztowania, które na tym-najbardziej
 niespokojnym terenie-byty bardzo liczne.
 Badanie akt i przesłuchanie zatrzyma-
 nych pozwało świat-się rzeczy-także
 zamostkiego szefa UB, prokuratora, niezai-
 nika więzienia i (naturalnie-przyp.mój)
 majora NKWD."
 Dalej autor pisze:
 "12 stycznia odbyło się uroczy-
 ste spotkanie nowego ministra z kierowni-
 ctwem magistratury sądowej, połączone z
 konferencją prezesów i prokuratorów sądów
 apelacyjnych i specjalnych... Teraz dzie-
 kałność ministerstwa nabrła nowego ży-
 cia-potoczyła się nutem szerokim a wart-
 kim. Na wzór innych resortów utworzono gru-
 py operacyjne, które miały postępować tuż
 za linią frontu i wskazywać polski wy-
 mier sprawiedliwości.....
 Grupy liczyły po trzy osoby, ty-
 le bowiem mieściło się w williście. Ta gar-

stała ludźmi, odpornymi w tym samym stopniu na lek przed wrogiem z lasu, co na wiatr surowej zimy, miska za zadanie w nieostygiłych jeższcze, polnawie miastach zabezpieczając resztki mienia sądomiego, poszukując, a niżej wydobycie z kryjówek prawników i kompletować z nich sądy, a także uniemożliwić uciążliwą zbrodniarstwo hitlerowskim i kolaborantom. Byli zaś wyposazeni tylko w ruloony plakatów z zarządzeniem ministra sprawiedliwości o wznowieniu działalności ci polskiego sądomnictwa i apelam do byłych prawników tego aparatu o przybycie na zebranie informacyjne...

Pierwsza wyruszyła grupa kielecka-radomska, którą kierował Stefan Banerz, teraz już dyrektor departamentu ustawodawczego. Zarządzeniem ministere zwolano zebranie informacyjne - w Kielcach na 17 stycznia, a w Radomiu na 18 stycznia (...)

Zwołującego przeżyła na zabranie informacyjnym uniknął najzmienitszy z prawników zamieszkałych w Radomiu - Maciej Barcikowski, który przed wojną obronił w polityczny, a teraz pracownik radomskiej delegatury "Spokem"....

"Poście resortu" udało się namet pozyskać zebranie swego dawnego egzaminatora (k. Rudnickiego) - tak nielata na zaburz po aresztowaniu w Piotrkowie dwu "czesów sądu."

Jakie to było tak pieczołowicie wykropkowane przez redakcję "Gazety" - "szokujące przeżycie" - dowiedziatem się od sądziców K. Bulczyńskiego i Dubrzańskiego, nielortunnych uczestników tego zebrania, gdy po kilku dniach zawiłali oni do sto-

doty w Przysięgu i dzięki jodkiemu niedopatrzaniu czy pechowli (co pierwszy przypadek życiem) nie mieli szczególności znaleźć się w grupie tych osób - ko 30 innych kolegów (m.in. prok. Natyska), którzy już w drodze do Dębliwa zostali w ostatniej chwili przez Ministerstwo wyeklamowani.

Mniej wrzawia na cenzurę był "Polityka", która w swym nr. 39 z 20.9.75 ogłosiła fragment "Pamiętników Ministra (Edmunda Zaleskiego)". Ten już wytręnie pisze - nie podając zresztą również rezyserów tych wydarzeń - co się wówczas stało "Otrzymałem w liści, że w Radomiu, w Kielcach, w Gęstochowie i innych miastach wywołanych (...). aresztowania wzywkich sądziców i prokuratorów. A ja partę dni wstecz wydrukowałem i rozsiłałem ulotki skierowane do zespołów urzędników sądowych, żeby natychmiast obejmowali samorzutnie swoje stanowiska i tworzyli jakby cięgiłość władzy państwowej na tych odcińkach. Teraz dowiedziatem się, że po odezwie nastąpiły aresztowania. Wyglądało to więc tak, jak bym ja nastawit specjalną parękę. Odezwę była przeze mnie podpisana, a mnie w Radomiu znali. Specjalnie mnie to zabolało i natychmiast zaprowadziłem interwencję u prezycenta Bieruta. Późnym wieczorem z Chajnem poszliśmy do Bieruta. On również się tym przejęł (...). Na drugi dzień rano sądzicowie zostali wypuszczeni. Wprawdzie niektórzy zostali później znów zatrzymani, ale to już z innego powodu. Za czasów sanacyjnych wielu sądziców w swoich wyrokach przeciwno komunistom było bardzo okrutnych. Wprawdzie mieli oni także nastę-

wienie od ministra ówczesnego Grabowskiego, ale obiektywnie mogli prze-

cież okazywać więcej niezależności i

ludzkości. Sam wiedziałem, nawet z terenu

Radomia, o paskudnych wyrokach. Czyż można

się było dziwić, że w najbliższej przysz-

wistoci zostało zainicjowane śledztwo

na temat wybitnej gorliwości w wyrokach

sądowych. W Radomiu były w swoim czasie

skazane niepełnoladne dziecięta z gim-

nazjum na osiem lat więzienia każda za

sympatie prohiszpańskie i jakoby udowod-

nioną przynależność do Związku Młodzieży

5. lutego 1978 r.

Finis coronat opus!

W zasadniczej wersji powstały one w pierwszym półroczu 1948 r., przepisane na czysto (cz. I i II) w ciągu 1976 r., a zakończone ostatecznie (cz. III) w dniu

Na tej niesmiertelnej i nieudolnej próbie usprawnienia poczynił organów ówczesnych władz kończą się zarówno w sadzie bezstronne, lecz jakże wymowne, choć przemilczające istotne szczegóły - relacje świadków czy kronikarzy tych czasów, wyjas- niące właściwe przyczyny znalezienia się przede mnie na początku, jak i moje własne wspomnienia jednej z ofiar tego rodzaje- go okresu "błądów i wypaczeń".

XLV. Kropka nad "I".

Przed ostatecznym postawieniem

tej kropki - w postaci oprawy - należał roz-

szerzyć konieczną poprzednią stronicej not-

kę opisaną "ciąży i porodu" tego "dziecka", w

którym starałem się "zainicjować" i et studio"

przekazać wspomnienia o moich "Trzech Ja-

tach na początku" - nim przybrało ono obec-

ny postać.

Przystąpiłem do niego wrócić do

moim powrocie, korzystając ze śladów pamie-

ci, która musiała mi zasługiwać przedzono

od czasu do czasu - aż do czasu - bieżącej za-

piszki na światkach papieru, bezpowrotnie

stracone.

Prody tej pamięci utrwalalem od-

razu maszynowo na blankietach "Fuenarvart-

cherungensstaat Frankfurt/O" i do 6.2.48

wiektem już 32 było zapisane strony, obej-

muszące część ogólną. W ciągu dalszego mie-

sięca przybyło drugie tyle, potem jednak

zapat wój ostabł, mimo to jednak ostatecz-

nie 98. stronie (pierwotnej numeracji) zako-

czyłem 12.8.48.

Operatorem się przytyłem na sporząd-

zonej dyspozycji, obejmującej 26 kaset II,

zapisując sobie przy okazji skróty po-

szczególne epizody w miarę ich przypomnia-

nia sobie.

Ówczesne poczucie niepewności

skroniło mnie do tymczasowego zakoleżenia

działa i przetwarzania zapisanych karetek-

do Poznania, gdzie przez długi lata spo-

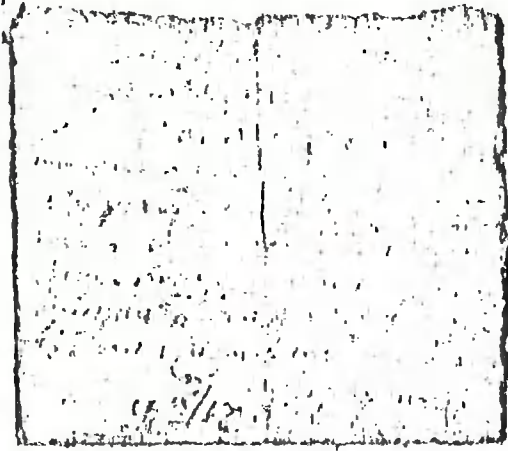
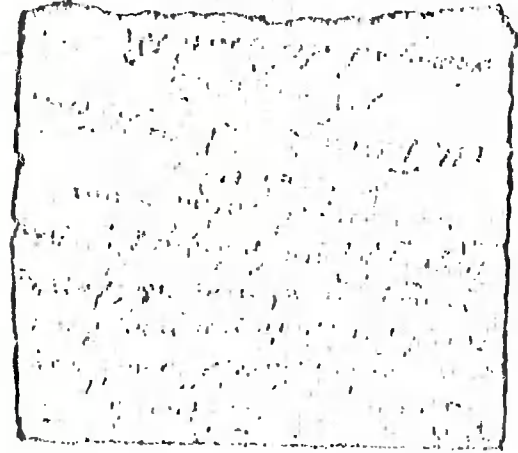
czywały sobie spokojnie w skrytym. Wtedy

też zainicjowałem mi z nich jedną kartkę (0.28),

obejmującą początkowe dni w Rezu. Gdy tam

gdzieś w 1967 i. w. wróciłem do tych wspomnień,

zabrawszy je z Poznania, udało mi się na



obecnej 96. stronie utworzył
jakiej 1/3 utraconej kartki. Zginęły równie
niez w roku zapomniała kilka epizodów,
przewidywanych do utrwalenia.

Wzamban za to, kiedyś gdzieś w
połowie 1974 r. przystąpił do przepisania
zapisów w obecnej formie, po skonczeniu
w styczniu 1975 latniejącego materiału,
postanowił rozszerzyć go o III. część,
wykorzystując materiały zabrane z Korb,
i skonczył je ostatecznie 8.2.78.

Nieuleżnie od tej pracy wiele-
krotnie wrócić do brudnopisu, dokonując
w nim drobnych uzupełnień, a przede wszystkim-
kim poprawek stylistycznych, których-jak
obecnie widzę-mogłoby być więcej. Brzoza-
Gólnie jednak szlifowaniem ostateczną wer-
sję spisu treści, odstępując przecznie
od pierwotnych "roboczyh" tytułów.
I ten spis wraz z kilkoma anek-
sami oraz obecną kropkę-postawioną po
dalszych 15 miesiącach od powyższej daty-
stnowi faktyczne zakończenie!

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

S P I S T R E S C I

I. Przynosił wam wolność-oddychajcie swobodnie!

II. Piegrzyska do Kłobęcy.

III. Za drutami przycięku.

IV. Kolejna droga krzyżowa.

V. Transport smierci.

VI. Kwarantanna w XVII latrze.

VII. Kto nie pracuje ten nie je.

VIII. Następny etap-jaśma.

IX. Podróż przez Ural do Krutichy.

X. Krutichy.

XI. Jeszcze nie dorósł do wolności.

XII. Droga prowadzika przez Ręz.

XIII. Za dobre wywieziliby wspomnie- nie!

XIV. Koko się zamyka.

XV. Przew uszlachetnia człowieka: zarówno w kopalni... jak i na powierzchni

119

128

149

164

170

192

195

202

205

216

223

230

238

266

XXIX. Zostawcie...

XXVIII. Trudne była toła Antofa...

XXVII. Człowiek nie jest z zelaze...

XXVI. Pod egidy Hermesa...

XXV. Z Merkurym na Ty...

XXIV. Intelektualne pomagę w...

XXIII. "Panem nostrum cotidianaum..."

XXII. Nie szata zdołi człowieka...

XXI. "Budiet zawtra wychodnojsz..."

XX. Czy jeszcze nie ucieklij?

XIX. Dajmożadę nam nie potrzeba...

XVIII. Nasze "naczelnstwo"...

XVII. Godzienna czoła...

XVI. ...jak i na powierzchni

XV. Przew uszlachetnia człowieka: zarówno w kopalni... jak i na powierzchni

XIV. Koko się zamyka.

XIII. Za dobre wywieziliby wspomnie- nie!

XII. Droga prowadzika przez Ręz.

Aneks nr. 6.

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

Wzrost 170 cm

Wiek 25 lat

XXX. W dwóch zansze rżnij*ł*
 XXXI. Niektuznie obwiniony.
 XXXII. Uszerzbił na mieniu.
 XXXIII. "Wy Politeki skoro ujed*ł*e
 te domo*ł*
 XXXIV. Nieco o faunie obozowej.
 XXXV. I Flora była wśród nas.
 XXXVI. Nie samym chlebem żyje czło-
 wieki
 XXXVII. Troche umiechu...
 XXXVIII. Wielka improwizacja.
 Cze*ł*o*ł*o trze*ł*o.
 XXXIX. Wstę*ł*p.
 XL. Głos wołający na puszczy.
 XLI. Słowa pociechy.
 XLII. Głosy i odgłosy.
 XLIII. Bilans zysków i strat.
 XLIV. Za co*ł*o
 XLV. Kropka nad "i".
 XLVI. Inneki

306
 311
 316
 331
 338
 354
 359
 369
 375
 386
 388
 401
 413
 424
 427
 433
 435